

The Project Gutenberg EBook of Ironia Pozorow, by Maciej hr. Lubienski

Copyright laws are changing all over the world. Be sure to check the copyright laws for your country before downloading or redistributing this or any other Project Gutenberg eBook.

This header should be the first thing seen when viewing this Project Gutenberg file. Please do not remove it. Do not change or edit the header without written permission.

Please read the "legal small print," and other information about the eBook and Project Gutenberg at the bottom of this file. Included is important information about your specific rights and restrictions in how the file may be used. You can also find out about how to make a donation to Project Gutenberg, and how to get involved.

****Welcome To The World of Free Plain Vanilla Electronic Texts****

****eBooks Readable By Both Humans and By Computers, Since 1971****

*******These eBooks Were Prepared By Thousands of Volunteers!*******

Title: Ironia Pozorow

Author: Maciej hr. Lubienski

Release Date: June, 2004 [EBook #6000]
[Yes, we are more than one year ahead of schedule]
[This file was first posted on September 22, 2002]

Edition: 10

Language: Polish

Character set encoding: ISO-8859-2

***** START OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK IRONIA POZOROW *****

Etext produced by Michalina Makowska, Szczecin, Poland,
Eve Sobol, South Bend, IN, USA, and Julia Jezierska, Stawiszyn, Poland.

Title: "Ironia Pozorów"

Author: Maciej hr. Łubieński

PROLOG

Dnia to...

Leniwo, sennie pierzchały mgły przezrocze, tul-ce się dot-d w niemej pieszczocie do ścian wielkiego grodu i wodnej, płyn-cej u stóp jego fali.

Wreszcie - znikły...

Na wzgórzu ukazało się miasto. Z wysoka, iglicami katedry, licznymi gmachami i zielonymi ogrodów przejrzało się dumnie w nurtach szarych rzeki, a po szybach okien domów jego zamigotał równocześnie pierwszy bławy promyk chmurnego jesienno- wiatu.

Na poddaszach krytego cegła- staromiejskiego domku nieprzełonił niczem okno jedno załmiało się weselej od innych do matowego porannego światła. Ciekawie do wnętrza facytka wyliznęła się brzask smętny.

W pokoiku, o paru najniezwyklejszych tylko sprzętach, na razie nie było nikogo.

Pościciel nienaruszona biała się dościsła, wszystko wokoło zał wskazywało wyraźnie, iż w ścianach siedziby tej od wczoraj już nie było, puls bowiem kłujący tu jakiegoś jednego życia, zastygł w panującym wszędzie nieporządku, wyraźnie oczekiwało zdawać cierpliwie na swego pana i wstąpił.

Tymczasem zał tylko po niezamiecionych kątach białą pustką i nudą, a nietrudno było domyśleć, że bieda w swej ziemskiej wędrowce zagłębieniu nieraz musiała...

Gościńce jej bowiem zdradzało tutaj - wszystko. A więc i ubożyzna mebli i atmosfera jakaś duszna, wreszcie to coś niewidzialnego, nieokreślonego, z kątów, ze ścian, zewsząd, wycierającego, co, jak widma cienia, szeptał jakby, mówił wci-ż o sobie i żałowało się skarży.

W przedziwnie zgodnej, panującej tu ogólnie harmonii szarzyzny, melancholii i smutku, dźwięczała jednak, drgała, niby uśmiech radośny, jasny, nuta weselsza. Była zał ni- stojąca w rogu pokoju, na komódce starożytności, zniszczonej, w inkrustowane, wykwintne ramy oprawna fotografia gabinetowa młodej dziewczyny, ku której z obok stojącej szklancej małej wychylała się pieszczotliwie w rozkwicie swym śliczna aksamitna róża.

Dziewczynie i róża patrzyły na siebie, lecz krówa kwiatów z siedzstwa swego dumnie- bytylko mogła.

Z martwej bowiem kartki kartonu, spoglądała na świat dużymi oczyma cudna twarz dziewczyny, a zakłóty w rysach i układzie całej postaci nieukończony jakby wdziołek - ta była największa kobiety, oporna na lata i burze życia, więc zawsze, jak kwiecie wiosny - szła na widza i chwyciła go za serce, czarując natychmiast swym słabym b-d... co b-d... tylko artyzmu ludzkiego odbiciem.

Odosobnienie za wyrażenie rogu izdebki, gdzie stała fotografia, otaczających i rozrzuconych po pokoju sprzętów, oraz pewna czystość staranna, cechująca to miejsce - świadczący sobie równie aż nadto, że nieobecny właściciel mieszkanka tego dbała wielce o ten zakątek, zdradzając przytem, że i on w biedzie swej miał może jakby chwilę jasną, jakie swoje marzenie!...

Tak, niewątpliwie!...

Siła bowiem jakby ukryta, a nieukończona jednocześnie i dziwna, była od tego kłóciła pamiętek; zdawała się być jedynym uśmiechem smutnego kłóciła tu bytu i jedyna równie kapliczka, nikłego zbudnego zapewne jakiegoś szczęcia, ale zawsze - szczęcia.

W szarnej istnienia "pana", zamkniętej w tych ścianach biedy, życie wplatało widać jakby niezłotą, rzuciło na osłody hojnie i litościwie promień duchowych promieni!...

Tymczasem w ciszy izdebki nie przerywało nic zgoła... Przez małe okienko widać było spietrzone dachy z czerwonej cegły, kominy; dalej, w dole, srebrzyła się rzeka, a wśród niej cicho sunęła w stronę berlinka, zdając ku miejskiej przystani.

Z wieży którejś z pobliskich wież w ogólnym milczeniu melodyjnie rozległa się niebawem dźwięk sygnaturki porannej. Monotonne nieco popłynęło w dal echo z dzwonu, a zawtórowały mu wkrótce wistawki licznych fabryk, turkot wozów z mlekiem i pieczywem, oraz inne, płynące zewsząd odgłosy.

Powolnie budziła się już miasto.

Krótkimi uliczkami staromiejskiej dzielnicy zdając krokiem równym i szybkim ku opisanej powyżej siedziby swojej młody mężczyzna, rosły i gibki, ubrany w jesienne palto i pognieciony miękki kastrowy kapelusz, nadający się niademu obliczu jego i bujnemu zarostowi wyraźny typ jakby południowca z Zachodu. Szedł on, pogwizdując z cicha, z rękami w kieszeniach, zamyślony, a po wyminięciu kilku przechodniów, skręcając w uliczkę wąską i głąb, znalazł się na niej sam zupełnie.

Po chwili jednak z poza węgła starożywieckiego domu, tworzącego róg tej ulicy, wysunęła się pewna postać poczęła i widać ją za nim.

Była to biedna jakaś babina, a śmiało podpiła, bo zataczając się lekko, krzykliwie podśpiewywała coś sobie. Mała, krępa, okręcona czerwono- wełnianą chustką - i w takiejże spódnicy, kołysała się ona zabawnie, przystając co kroków kilka, i niby baletnica szybko wykręcając

się na jednej nodze.

W swe kołtiste ręce spódnicę ujmowała przytem pociesznym ruchem, a z pełną komizmu gracy – unosząc ją – wyraźniej i głębiej powtarzała ostatnie piosenki zwrotek, i szła dalej, aby w parę minut ponownie wykonać same identycznie produkcje.

Idący ulicą czyżna przystanął i patrzył ciekawie na babinę, wkrótce jednak, znudzony, obojętnie odwrócił się i począł iść dalej.

W tej samej chwili postępszała za sobą woźanie:

- Hej, panoczku, panoczku! Stójcie-no ino tam, stójcie!...

Młody człowiek odwrócił się i ujrzał zmierzając – ku niemu kobieciny; trzymała coś w ręku i kiwała nań. Zdziwiony podszedł bliżej i zapytał:

- Cóż to, czegoś ode mnie chcecie?

Babina zaś, podając mu jakiś przedmiot, objaśniła:

- A dygubiliła to panoczku!... Przez mała psewróciłabym se bez tego torbce...

Nieznajomy machinalnie ujął w ręce, co mu dawano.

Trzymał pugilares duży, ciemny i elegancki; był on ze skóry koloru wiśniowego i mile dotknął swem pieczęcią.

Na ten widok zarumienione od porannego chłodu oblicze młodzieńca zbladło, ręka mu zadrżała nerwowo, a na ustach, które z lekka poruszyły się niedostrzegalnie, zamarły, jakby niewypowiedziane jakieś słowa.

Jednocześnie spojrzenie jego dużych ciemnych oczu obrzuciło badawczo uliczkę: wokół nie było nikogo, tylko zapuszczone stopy licznych okien u domów patrzyły przed siebie martwym okiem - w ciszy uśpienia jeszcze drzemało tu miasto.

Przenikliwy, rozumny wzrok nieznajomego spoczął z kolei na twarzy stojącej przed nim kobieciny, i zatrzymał się na niej dłużej – chwilę...

Zdawała się ona być wsi, a Bogu duszę winna, ucierała w tej chwili swój nos zamasyficy, nieestetycznym i prymitywnym, ludowi naszemu wfałciwym sposobem, mrugając równocześnie małymi, zasłanymi krwią, jak u krówka, oczkami. Niewłaściwie była przytem poweselała – od trunku, a nie pijana – przed chwilą widać – tylko - tak sobie, gwoli zadośćuczynienia nastrojowi swemu, czy też może zbytkowi przyrodzonego temperamentu.

- Dziękuję wam! - Lakonicznie rzucił nagle nieznajomy, prosto w piegowat – i czerwona – twarz babiny i odwróciwszy się z pośpiechem, podniósł kołnierzyk paltota, wtulił w niego głowę, nasunął na oczy kapelusz i począł iść bardzo szybko, wkrótce zaś puścił się prawie że

biegiem.

- A to ci leci!... Niby ta elektryka, zrozumienia nijakiego niemaj-ca, -
zawyrokowała głośno do siebie, wznosząc ramionami, kobiecina.

Ra...no z miejsca ruszyła i śpiewała nową piosenkę, echo za jej piosenką,
odbijając się o mury charakterystycznych, przygarbionych wiekiem kamienic
Starego Miasta - pognało za nią - cym już w głębi uliczki męcząc, -
ostatni - sw - , dwukrotnie powtórz - , zwrotek - :

"A kto kocha, ten jest zdrow,
A kto kocha - ten jest zdrow..."

Zgrzytnęła klucz w zamku cichej facyatki, otworzyła się gwałtownie
drzwiczki, i na progu stanęła właściciel tego mieszkania. Od powiewu,
wywołanego prądem powietrza, zadrżały firanki u małego okienka, ze
szklanego za kielicha pochyliła się ku fotografii młodej dziewczyny
róża aksamitna, jakby pragnąc z nią wspólnie powitać pana swego.

- Nareszcie!... - wyszeptała z ulgą usta przybitego i ruchem nerwowym,
zamknęła cicho drzwi za sobą, przekręciła klucz w zamku.

Rzecz dziwna - natychmiast w czterech ścianach smutnej doł izdebki
zrobiła się jakoś weselej i jaśniej!...

Młodoświeżym i siła szty, biły od młodego mieszkańca facyatki, i niby
brakujący promień światła, ożywiły, zda się, wnętrzu poddasza.

Rzuciwszy kapelusz i paltot na krzesło, młodzieniec bacznie rozejrzał
się po swym pokoiku, a zmarszczywszy brwi i jakby coś rozważając,
pozostał w pozycji stojącej dłuższą chwilę.

Poruszył się jednak niebawem i podszedł do drzwi, nadsłuchując
równocześnie. Postawszy za nim minut parę, zbliżył się następnie do
okna, a wpatrzywszy się w nie przez sekundę może, po krótkim wahaniu,
powolnym ruchem spuścił roletę.

Szarawa ciemność zalegała izdebką.

Młodzieniec podszedł do kanapy, przed którą stał stoliczek mahoniowy, i
usiadł. Wkrótce w ciszy rozległ się zgrzyt zapałki. Po chwili mała
lampka oświetlała już poddasze, młody człowiek zaś, raz jeszcze
obejrząwszy się wkoło, szybko, sięgnął do kieszeni swego ubrania.

Nerwowo, śpiesznie wydobył stamtąd wręczony niedawno portfel skórzany i,
z błądkiem ciekawości w oczach roztworzywszy go, położył na stole.

Z sześciu, zapiętych małymi klapkami, przedziałów złożony, z wielko-
spodni, idąc przez całą długość jego kieszeni, w oczekiwaniu, cicho,
pugilares patrzył zdawał na siedzącego męcząc.

Ręce jego jednak, dotknęły tylko pobieżnie wypełnionych kryjówek,
zatrzymały się chwilę beczynnym, a na nerwowej twarzy odbiło zdumienie,

połknięte jakby z przestrachem.

- Jak to, więc tak dużo tu czegoś? - mówiły wyraźnie wielkie, wyraziste oczy młodzieńca, i jednocześnie pytały się zdawały niepewnie: - Czy tylko to aby pieniądze?..

I dziwna reakcja odbywała się w duszy jego.

Gdy kręcąc uliczkami leciał do swego mieszkania, palił go chęć ujrzeć, co zawiera portfel, a obecnie?... Lęk oto jaki niewytłumaczony zawładnął nim nagle.

Przecucie mówiło mu wyraźnie, że tu, przed nim, w pugilaresie tym, ukryty na razie od oczu ludzkich, mieści się majątek może, tkwiący pieniądze - ten talizman ludzkiego dobrobytu i szczęścia, drzemała światła tego potęga - zfoto...

A jednak nie poruszył on dotąd wcale portfela... Dlaczego?

Bo z przecuciem bogactw, które czekały zdawały tylko dotknięcia jego, czuł dobrze, zdawał sobie on sprawę z czegoś innego również.

To była własność cudza!...

Upomni się o niego niewłaściwie; on zaś, nie wiedząc, co się tam znajduje, możeby mógł jeszcze, pomimo swej nędzy, zwrócić właścicielowi ten oto przedmiot, czy uczyni to jednak, unurzawszy ręce w zawartości jego?

Z ręką na portfelu opartą można czytać się bardziej jeszcze.

Wszak, choć pozoru wesołości i syty, nie posiadał on w istocie na razie złamanego szelęga przy duszy. Ostatnie pieniądze wydał na bilet kolejowy, który pozwolił mu wrócić w ciemny poddasza z wczorajszej zamiejskiej wycieczki, związanej z nadzieją otrzymania posady.

Nie otrzymał jej - wracał z niczem; głodne dzisiaj już teraz pytał co zagięta mu w oczy zimnym nieubłaganym spojrzeniem.

A tu, przed nim!...

Młodzieniec zerwał się z kanapki i przebiegł pokój kilka razy. Nagle, wytrzymał nad... już nie mógł, pochwytał w drżące ręce leżący portfel i rozpiął ruchem gwałtownym po kolei wszystkie jego kieszonki...

I oto z jednego przedziału natychmiast z przyciszonym brzękiem posypały się na wyszarżniętą serwetkę stolika rulony złota, błyszczące, nowe - zamigotały w niepewnym świetle lampy i ułożyły się cicho... W ślad za nimi z innych kieszonek portfela z szelestem wypadły pliki storubówek, w opaskach, a z kryjówki jego spodniej wysunęły się do połowy wielkie kwadraty pierścionków!...

Więc nie było to urojeniem, marzeniem, mrzonką!.. Rzeczywiście zatem drzemał tu pieniądze w swym majestacie!..

Młody człowiek odskoczył od stołu i wpatrzył się w nagromadzone kupce grosza.

Na twarz jego wystąpił wyraz chciwości i oszpecił ją, oczy głębokie, duże, przybrały pożyłek koci i wpiły się uporczywie w banknoty i złoto.

Po chwili zbliżył się ponownie do stolika. Lubieżnym ruchem swej delikatnej ręki przesunął po nagromadzonych pieniądzach, a po ciele jego równocześnie przeleciał dreszcz.

Jak włosy pięknej kobiety, jak ciało jej zmysłowe, aksamitne, pieściły go banknoty... Zanurzył rękę głęboko i dotknął się złota.

Z cichym brzękiem rozsypało się ono w strumyk bąszczy, a nim do głębi ponownie wstrząsnął dreszcz.

Nigdy w życiu swym nie miał tyle pieniędzy u siebie. Fortuna zawsze impertynencko odwracała się od niego, szczęście dotychczas uciekało odeń równie, jak od zapowietrzonego, pieniądz za, drzwi-co unosił się w niedostępnych dla wynach, niepochwytne, szydery - stronił od niego stale.

Młodzienc przesuwając wciś machinalnie rękę po storubówkach. Przed oczyma migały mu wizerunki, podpisy na banknotach, złote imperiały zimnym dotykiem gaskały jego dłoń...

Wyrwawszy rękę wreszcie z piśczołliwego uścisku złota, młodzienc szybko pochwycił nagle pliki storubówek i liczył poczęt.

Drżące ręce jego brały i porzucały co chwila zwitki banknotów; szelest papieru, zduszony dźwięk monety zagrały w ciszy izdebki, zdziwiły te biedne ściany, tak zdawna odwykłe od brzęku pieniędzy, wyganiając, zdawało się, biednie, przykucną gdzieś w kącie, z legowiska swego. I widmo jej w łachmanach zniknęło przestraszone, wygnane szmerem poddanych Złotego Cielca - umknęło, szukając gdzie indziej schronienia.

A młody człowiek wciś liczył... Teraz dłoń jego dotykała zwitka pięćsetrubówek. Było ich dwadzieścia.

Ciemny rumieniec powoli występował na śniadą twarz młodzienc, oczy zaś jego paliły się bezustannie chciwości niezdrowym blaskiem.

W papierach i złocie, z pewną, drobną tylko różnicą, było wszystkiego dwadzieścia siedem tysięcy.

Młodzienc odstąpił od stołu i wolno z rozmysłem poczęt przechadzał się po izdebce.

- Dwadzieścia i siedem tysięcy!.. Dwadzieścia i siedem...

Powtarzając się bezustanku, w głowie jego huczała i wracała myśl jedna, a dziesiątki innych ginęły, topiły się tylko w niej, jak w chaosie,

zanikały - milkły...

On zatem, który prócz jedyne go na sobie odzienia i tych paru sprzątek wokoło, nie posiadał nic na świecie, on - za jednym zamachem mógł stać się oto właścicielem owych, rozsypanych przed nim pieniędzy?..

Młodzieniec zadrżał.

- A moralność a etyka? To właśnie nie twoja, to zguba czyja? tylko, ty powinieneś pieni-dz ten zwrócić zwrócić zwrócić. jak róg owadów nagle zabrzmiały w uszach mężczyzny jakieś szepty i gęsy.

- Odda ha-ha-ha!.. A to dlaczego? ciekawym? - zadrwił rozs-dek zimny natychmiast. - "On prend son bien, ou on le trouve." - Znalazłeś - to twoje! A zreszt-, gdyby to samo, co ty, znalazł byś kto inny, czy myślisz, że post-piłby on inaczej?

- Oddałby, oddał na pewno, bo chciałby pozostać uczciwym!.. - silny głos prawości rozległ się właśnie w duszy mężczyzny.

Wstrząsnął się młody mieszkaniec facyatki i przetrząsk- czoło, po chwili zał- zmęczony usiadł na jednym z koszlawych fotelików i, podparłszy głowę dłoni-, zadumał się głoeboko.

A rozum drwił dalej bezlitośnie, zjadliwie, s-cz-c się kroplami ironii:

- Nie słuchaj bredni i sentymentalnych mrzonek! - szeptał. - Uczciwość frazesa!.. Któż naprawdę uczciwym jest w czasach obecnych? Obejrzyj się tylko i wpatrz uważnie w ludzi, walcz- cych o byt obok ciebie. Czy wreszcie, jak chcesz... odr-askawy uśmiech fortuny!..

Los, odbieraj-c może naumylnie drugiemu, co miał zanadto w swym trzosie, pragnie dobrotliwy, obdarzy ciebie, nie chcesz-li?

- Ha, to b-d... sobie zatem wspaniałomylnym, szlachetnym, wielkim! Umieraj z głodu, b-d... głupim!.. Ale pamiętaj, że gorzkimi łzami łąowa kiedy będziesz chwili swojego szafu - pamiętaj, że biednym!

Zamiał się jeszcze rozum szyderczo i umilkł, mężczyzna zaś, zadumany, pochylił się na krześle, jakby przygnieciony do ziemi, oparłszy przytem łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoni.

Tak, niestety, był on biednym!..

Straciwszy matkę lat temu parę, uczył się następnie za granic-: w Niemczech i we Francji. odebrawszy kosztem bogatego stryja wykształcenie nie fachowe, lecz ogólne i staranne, zdecydował się rok temu wł- nie powrócił do miasta, gdzie ujrzał by światło dzienne, by zbliżyć się do dotychczasowego opiekuna swego, a brata rodzonego niezycę ojca.

W młodzieńczej wyobra- ni studenta roiła się nawet podóczas nadzieja miała owaładnia sercem starego bogacza, aby po najdłuższem życiu zapisał mu mienie.

Tembardziej zatem śpieszył się z swoim wyjazdem, lecz przybył za późno. Niestety; stryjka swego już nie zastał.

Łożycy tylko z obowiązku na studia bratanka, a nie przywitany do zgoła innym, serdeczniejszym wczajem, parę tygodni temu wfałnie starzec przeniósł się był do wieczności, zapisawszy cały majątek na dobroczynne cele.

Nie zastawszy więc w mieście nikogo na razie, kto by go znał lub pamiętał, odważył się wówczas za bary.

Przepisywał referaty, polisy ubezpieczeniowe, dawał lekcje, czynił, co tylko mógł i zdobywał miejsce przy biesiadnym, ogólnie ludzkim, a tak zazwyczaj niegościnnym stole...

O chłodzie i głodzie mijały mu w ten sposób dni całe, gorycz jednak do życia, w walce o byt ciężkiej, nie rozgaszczała się w duszy jego, nie mającego po prostu czasu w bezbarwnej swej biedzie i gorączce zarobku analizować ziemnych stron swego żywota. Miesiące parę temu dopiero się okoliczności i ludzi, o których ocierał się począł, żal wyklął mu się w duszy do świata, s-cz-c z niej niezadowolone i gorycz.

Traf ślepy zrzędził pewnego dnia, iż spotkał rówieśnika swego z lat dawnych.

Przy wspomnieniu tem ostatniem, młody mieszkaniec poddasza zmarszczył brwi i zamysłił się jeszcze głębiej, niż przedtem.

Dawny jego kolega szkolny z kraju i zagranicy, Edmund R-ski, potrosze nawet kuzyn i towarzysz zabaw dziecińczych - dził bywalec stolicznych salonów, chłopiec zamożny, zbliżył się do niego pierwszy wówczas. Było to podczas karnawału, w zimie, w jednej z kawiarni, bardziej uczęszczanych w mieście.

Po dłuższej gawędzie i rozpamiętywaniu młodzieńczych lat ubiegłych, Edmund R-ski rzekł mu wtedy:

- Wiesz co, mój drogi? Dobrze się nazywasz, żadne masz maniery, które pozostały ci po rodzicach i wychowaniu starannem, notabene wcale dobrze i z akcentem mówisz po francusku, tandem tedy zaproponowałbym ci coś... tylko nie obra... się na mnie przypadkiem... Gdyby ci tak ubrać elegancko, bardzo dobry i okazały byłby z ciebie tancerz... He, cóż ty na to? Proszony wfałnie jestem o młodzieńczę do państwa W. na bal, pojutrze, chod... ze mn... Siedzisz i marnujesz się gdzieś w k-cie, qui lo sa, przystojnym jesteś, a nuż podobasz się komu?.. Ja ci pomogę i ułatwię wszystko...

Od słowa do słowa, dał się namówić wtedy. Otrzymałszy od bogatego i hojnego, oraz uprzejmego kuzyna pożyczkę, wyekwipował się i poszedł na bal z nim razem.

Edmund R. przeprowadził rzecz całą - bardzo rzecznie. Przedstawwszy

protegowanego swego, nie omieszkaj przypomnieć wszystkim z osobna o stryju jego, filantropijnym zapisodawcy, a także o rodzicach, ongi, przed laty, zamężnych i wpływowych. Dobrze wychowanego, eleganckiego i miłego tancerza zaprasza począć chętnie, tembardziej, iż powszechnie wiadomo o przyjaźni jego z Edmundem R., znanym i cenionym bywalcem.

Młody mieszkaniec skromnego poddasza poruszył się niespokojnie na krześle i spojrzał przed siebie wzrokiem zamglonym, zapatrzonym we wspomnienia własne.

Wówczas to, po owym pierwszym balu, przestąpił on zaczarowany dla dotąd próg salonów i zapamiętałe bawiące poczęły flycie, które prowadził, upajało go. Niepomny jutro - szalał.

Trwał to tygodni parę, i nagle skończyło się wszystko... Edmund R-ski, wezwany telegraficznie do umierającej siostry za granicę, wyjechał, pieniądze wyczerpały się równocześnie, a zaniedbana czasowo jego własna zarobkowa praca wysunęła mu się z ręki; ktoś inny, także potrzebujący biedak, zastąpił go.

W okienko facytki karnawałowicza zajrzał głębiej; po wizytach i balach pozostał w pamięci jego tylko chaos ogólny - wrażenie chwil rozkosznie jakby prześlanych, i jedno wspomnienie trwałe.

Oczy młodego mężczyzny zadumane, w tej chwili błyszczące i jakby tkliwe, skierowały się w róg izdebki, gdzie w północy lampy majaczyła fotografia.

Nabył ją u fotografa i niemal codziennie stroił w kwiaty; przedstawiała zaś ona elegancką pannę z towarzystwa, córkę ukraińskiego magnata, błyszczącego ubiegłego karnawału w salonach piękności, dowcipem, otoczona rojem wielbicieli, a która pokochała uczuciem miłości pierwszej - prawdziwej.

Dla niej rzucił się w wir czczych zabaw bez środków po temu, bez pamięci...

Odepchniętemu twardej biedy od rydwanu bawiego się świata - przeszłoniętego w pamięci jego gaz-ułudny, mieniącego się setkami odcieni i blasków - pozostały tylko wspomnienia dręczące, rozkoszne, kilkunastu rozmów, tańców, uścisków dżoni, spojrzenia... i - nabyta za pieniądze własny fotografia pięknej dziewczyny.

Mydlana bańka złudna - marzenie!..

Siedzący wciąż w zamyśleniu przed stolikiem młodzieniec głowę pochylił i ponownie ukrył ją w dżonie. Niby na jawie, przed oczyma żywo stanął mu bal ostatni... W jarzącej się świetle powodzi, wśród kołyszących się w takt melodyjnego walca par, sunęli oni wówczas po szklistej posadzce salonów...

Ona miała spuszczone główki cudnie i opierała się z wdziękiem na jego ramieniu, on zaś, tuż nieznacznie tancerkę swą do piersi, pożerał

wzrokiem jej twarz, nagie ramiona i szyję kształtną, a długą i gładką, jak kwiat, o łodydze wysokiej.

Od czasu do czasu piękna panna wznosiła na niego swoje głębokie, mieniące się ...renice, i spojrzenia ich spotykały się na chwilę...

Potem liczne dziewczęta przykrywały znów oczy długimi rzęsami; on rzucał szeptem, przyciskał machinalnie kibiś do siebie, czekając ponownie niemej ...renic rozmowy. Nagle uciszył się w balowej sali...

To muzyka ustała była, a oni walcowali jeszcze, ci-gle przytuleni do siebie - zrośli skrytem jakby pragnieniem.

Później odprowadził znużoną tancerkę, a ona leciutecznie, dziekczynnie paluszkami drobnymi naciskała jego dłoń...

Młodzieniec zerwał się z krzesła, potrząsnął go gwałtownie, i dużymi krokami zaczął przebiegać szybko swój pokój. Jednocześnie z wyrazem miłośni bezgranicznej spojrzenie jego pobiegło do kominki małej, gdzie stała fotografia z ręką.

Z kryształowego kielicha delikatnie wychylał się kwiat purpurowy, dotykając warg prawie dziewczyny. Usteczka jej małe uśmiechały się rozkosznie, pocałunku zda się spragnione...

Młody człowiek pozostawał chwilę w niemej kontemplacji ubóstwanego przez siebie kielicha izdebki, a wreszcie powoli wzrok swój przeniósł w stronę stolika, gdzie leżały cicho banknoty i złoto.

Wyraz marzenia, ekstazy błyskawicznie znikł z jego oblicza - przypomniał sobie chwilę obecny.

Zwolna do stolika zbliżył się poczęstak; utkwivszy spojrzenie w rozsypanych pieniądzech, jednocześnie myślał:

- Niemi tylko może zdobyćbym mój swe marzenie, one pozwol- mi i ułatwi- zbliżenie do ukochanej! A potem...

I mimo woli znowu spojrzął młodzieniec w róg pokoju.

Oczy dziewczyny kuszące patrzyły zalotnie, paliły go, obiecywały zdawały rozkoszy uśmiech, miłośni szczęście!.. Rumieniec oblał twarz męczący.

- Ach, mój, posiadaj życie, zlać z ni- istnieniem i dusz-!.. - zawirowała mu w głowie myśl uporczywa.

- Przecież to córka magnata; księżęta, hrabiowie ubiegają się o ni-, czemu ty jesteś dla niej? - zerem, nie otrzymasz jej nigdy, - uspakajała mój, nerwy wzburzone, trze...wa, zimna logika. - Chyba, że pieniądze tych oto posiadziesz wiele... wiele...

- Z małych strumieni tworzą się rzeki; we... to, a może ci więcej

przybłędzie!.. - szepnął rozum podstępnie.

Młody mieszkaniac facytki schwycił się nagle za głowę.

Boże, Boże! - wyszeptał - cóż jednak uczyniło ze mnie to, tak krótkie zetknięcie się z światem zbytku, to zbratanie się, otarcie z lud...mi szychu i złota! Jakże innym byłem dawniej! Jakże - lepszym!..

Młodziżna smutnie zwiesił głowę.

Teraz, przyjrawszy się niedawno ludziom bogatym, ich trybowi życia, czuł w sobie, poza uczuciem miłości, dziesiętki związanych z niem pragnie. Złoto, ten bożek dumny i wspaniały, przed którym korzyły się miliony, ośmiwał go, mamił... Przedsmak zaś możliwych w dalekiej przyszłości bogactw, użycia, a kto wie, może znaczenia i wpływów, współz osignięciem najpręd ukochanej kobiety, za pomoc- tego oto, rozsypanego przed nim grosza - odbierał mu równowagę duchową, mieszał myśli.

Porwał się znowu z miejsca i po pokoju biegał, niebawem jednak rzucił się na krzesło, wyczerpany, uporczywie, ponownie wpatrzywszy się w fotografię ukochanej.

Od czasu do czasu odrywał wzrok od drogich rysów kobiety i przenosił go z wolna na stos banknotów i złota. Później spojrzenie jego, wewnętrznej pracy myśli jakby posłuszne, wracało powtórnie do lubego wizerunku.

Przy samych wargach dziewczyny drżał kwiat purpurowy obecnie - dziewczę i róża całowały się teraz lubieżnie...

A w izdebce tymczasem lampa powoli dogasała stopniowo, niepewnym, migoczącym światłem jakby z ręką radosnego słońca, poprzez rolety zagał-cego co chwila do wnętrza facytki.

I północie jakieś, tajemnicze, mgliste wsunęły się równocześnie na poddasze - zaludniły cicho puste, zakurzone kąty jego...

Siedzący młody człowiek zrywał się nagle z krzesła swego.

Bo oto niespodzianie dwoim się w oczach zaczyna...

Rozsypane na stole złoto zalewa izdebkę całą, a z komórki starej zstępuje zaczyna z wolna ona sama, zamglona i powiewna postać. Dotykając stopkami drobnymi złota, idzie ku niemu ona, z zalotnym uśmiechem, piękna niewinna - chyli się rozkosznie w jego ramiona!..

Młodziżna ku zjawisku temu wyciąga instynktownie ręce, na wprost przytomnie naprzód pochyla...

Lecz oto nagle czar pryska...

Wypełniająca wnętrze izdebki złocista przestrzeń znika, zjawisko eteryczne zaś zaczyna oddalać się coraz bardziej, unosi w górę,

niepochwytny, a za nim tylko na ciemnym tle facyatki, jak w-ż
ognisty, wije się struga błyszcząca ścieżka, dotyka stóp jego - pomostem
złota -cz-c go w ten sposób z uchodzącym cieniem ubóstwianej przeze
kobiety.

Wreszcie znika wszystko.

Młody mężczyzna przeciera dłoni- czoło, rozgląda się...

Niema nikogo!

Cóż to więc było?

Hallucynacja zapewne naprężonych nerwów i rozigranej wyobraźni,
rzucająca mu na ekran półcieniów izdebki fantasmagoryczny obraz
noszonego ci-gle w duszy dziewczęcia! Wpływ to rozprężonych wrażeń i
myśli, skutkiem wysiłku, szumiącego jak potok, nawątem zw-tpie i pyta
mózgu. Zapewne...

I młodzieniec powtórnie przeciera dłoni- zmęczone czoło, a jednocześnie
złazuje jakby, że widzenie już pierzchało. Przed oczyma stoi mu ci-gle,
jak żywy, obraz jej, ukochanej - chłonnie w siebie jej postawdzięc-
całuje myśli- oczy jej i usta.

W przelocie zarazem, po raz nie wiadomo już który, wzrok jego dotyka
banknotów i złota, a w duszy bunt mu się zrywa.

- Jak to?.. On miałby odtrącić od siebie ten grosz, i w ten sposób
stracił na zawsze może, środki ku zdobyciu drogiej sercu kobiety?..
Zniszczył bezpowrotnie pomost złoty, -cz-cy go z ni- jakby w
widzeniu proroczym?

Nie, przenigdy. Tak naiwnym nie będzie...

Pieni-dz ten potroi, majątek zrobi, fortunę - złotem przełamie, zwalczy
przeszkody wszelkie.

- Zrobi majątek, czy to tak łatwo? - na dnie duszy gdzieś zatajone
zw-tpienie nagle ironicznie pyta, jakby ostudziła przedwczesn-
radość

Chmura niezadowolenia przelatuje po czole mężczyzny.

- Tak, zaiste, prawda, to nie tak łatwo. Lecz z potęg- pieniędzy w dłoni
tak, czy też inaczej, do wszystkiego zawsze dojść łatwiej w życiu; -
klucz złoty otwiera wszystkie bramy!..

I ostateczna, przełomowa walka odbywa się w tej chwili zdaje w duszy
mężczyzny. Na wysokim czole naprężają mu się żyły, oczy ciemniej-, a
twarz bladej- się staje... Z nęc- pokus- zawładnięcia cudzym mieniem,
po raz ostatni staje do boju wpojone w młodocianych latach jeszcze
zasady.

Powrotność – fal – z daleka cicho płyn – i płyn – coraz potężniejsze, bliższe i zalewaj – stopniowo umyśl młodzieńca. Szemr – coraz donośniej, silniej...

A z przypływem ich jednoczenie mięknie – zaczyna coś w duchu młodego miękczyny, bo oblicze jego wzburzone uspakaja się stopniowo. Co myśli, z rysów twarzy odgadnąć jeszcze trudno, domyśleć się jednak można, że poryw jakiś, szlachetniejszy od poprzednich, czystszy, opanowywa go – w swoje posiadanie bierze.

Po chwili machinalnie ujmuje on w ręce porzucony na stoliku obok pieniądze pugilares i milcząc, zgarnia rozpocznym rozsypany stos banknotów i rulonów monety.

Przy czynności za tej, zagadkowej jeszcze, bezustannie tak samo zamysłony młodzieniec odwraca niebawem w dłoń trzymaną portfel, a równocześnie spojrzenie jego pada na coś, czego nie zauważył dotąd wcale.

W rogu pugilaresu, u góry, mała, dziewięćciopięćdziesiątka rzuca mu się w oczy korona hrabiowska; wdzięcznie granacikami oprawionemi w złoto mieni się ona, szyderczo zda się patrzy... Na ten widok poprzedni spokój i wyraz pierzchaj – nagle z rysów miękczyny, i rzuca się w tył gwałtownie.

Wrenice jego, zmatowane dotychczas cichym zamysłem, złowrogim teraz błyszczą – ogniem, a jednocześnie w duszy następuje momentalnie przewrót nagły.

Znowu zaczyna biegać po pokoju wzdłuż i wszerz...

I jak kępa drzew gdzieś w polu samotna, co ugina się pod gwałtownym naporem wichru ku ziemi, zwycięża ona, pokorna – tak duch młodzieńca, miotany ponownie burzą – myśli, kołysa się – zaczyna.

Gdy ujrzał on bowiem emblemat ludzi utytułowanych, żywo stanęły mu przed oczyma salony, których miesiąc temu parę był gościem i sylwetki hrabiców, kręcących się koło jego ukochanej.

Widzi ich jak na dłoni, wszystkich, niby na jawie!..

Widzi dumnego ojca pięknej dziewczyny, zazwyczaj traktuj – tego go z góry – dla nich, potomków starożytnych rodów, chociaż czestokroć biednych – pełnym uprzejmości wyrafinowanej i uniżonej niemal grzeczności. Widzi wreszcie siebie samego bezkarnie i dotkliwie obrażanym przez tychże arystokratów, lecz tak zręcznie, że na pozór nieraz nie można zda się było winnych, czynili to bowiem oni, z – subtelnością – oraz jubilerskim jakby wykończeniem, jak dotknę – potrafi – tylko ludzie "bardzo dobrze wychowani."

I przy tym wspomnieniu ostatniem, jakby zraniony, mieszkaniec małej izdebki, wzdryga się i wyrzuca szeptem:

- Jak to? te dwadzieścia parę tysięcy należą do jakiegoś hrabiego? Zatem los ślepy i ironiczny zarazem wsuwa mi w ręce czepienia jednego z

tych wstąpienie, którym tak często zazdrościłem bogactwa, znaczenia i tytułów!..

I ja, wobec jednostki takiej, miałbym prawo szlachetnego, zwracaćmu to, co dla mnie kropla w morzu tylko, fundusikiem, przeznaczonym zapewne na hulanki nocne i zabawę?

- Ha-ha-ha!.. - rozlega się po pokoju szyderczy, szatański prawie śmiech mężczyzny, i odbija od ścian niemiłym dla ucha brzmieniem.

- Ha-ha-ha, niedoczekanie twoje, panie hrabio!.. - szepcze dalej półgłosem, a krew w żyłach kipi mu nieustannie - wre niespokojna, burzliwa.

I z duszy jego jednocześnie pierzcha - bezpowrotnie, zda się, nikt, jak uroda i marzenie, wszelkie dobre zamiary, wszystkie, tak niedawne jeszcze, wahania pomiędzy prawami uczciwości i ich pogwałceniem.

Zwycięzka, jedyna, jedna rozgaszca się tam nienawistnie tylko do kasty uprzywilejowanej i wyróżnionej w społeczeństwie. Wypielęgnowana cierpieniem i biedą, wysubtelniona wykształceniem, a szczególnie przedstawianiem jeszcze za granic - w kołach różnych zapalonych głów, o przekonaniach skrajnie demokratycznych - rozogniona wreszcie nadczułości - nerwowo - w zbliżeniu się i czasowem powierzchownem zyciu z przedstawicielami tej sfery - buchała obecnie gorącym płomieniem, wszystko sobą przewyższając i tłumiąc.

- Za moje upokorzenia, tak niedawne - zaszeptały znów cicho usta mężczyzny - za moje cierpienia i biedę - za to, że ja nie mam takich przodków, jak ty, panie hrabio, ani twych bogactw, blasku i złota - mam życie całe w nędzy cierpienia to, gdy los sprawiedliwie bezwzględnie, odbiera ci część mienia, przypadkiem, i mnie nie - w zamian obdarza?.. O, nie, panie hrabio!.. floydowi, cyganowi, wrogowi - każdemu bym zwrócić może, lecz tobie - nigdy!..

Ostatnie słowa mieszkańiec poddasza wymówił w zapamiętaniu głębiecią i z mocą - jak - dziwnie. Twarz zaś jego dziko po prostu wyglądała w tej chwili; pociemniawszy, jakby od wewnętrznej ognia, demonicznie piękna i straszna - zarazem była ona, a zjadły płomień szczerzej nienawistni do tak zwanych powszechnie "arystokratów" zajął ją na niej pełnym blaskiem.

Odruchem nagłym zbliżył się do stołu i obie dłonie położył na plikach banknotów i złocie. Czego nie zdążył stanowczo uczynić koliczności inne, sprawiła chęć lokuczenia w czemkolwiek wyżej postawionej społecznej jednostce, jedna chwilka nienawistni i szata.

- Moje, moje!.. - wyszeptały usta mężczyzny zwycięzko, jakby z mimowolnie, ukryt - w sobie radości nut, a echo słów tych, urywanych, cichych, dziwnie - moc - rozbrzmiało w martwym milczeniu facyatki.

Cisza nastąpiła znowu.

Tylko w piersiach mieszkała poddasza przełknięte jakby swym czynem serce poczucie baprzyciszonym tętnem, a szelest ten miarowy, jak zegaru wahało, mierzący zdawało te chwile przełomów – w duszy człowieka, depczącego uczciwością – dla miłości, nienawiści i złości..

Nagle martwość pokoju przerwała go gwałtownie. Były to czyjeś kroki silne, przyśpieszone, idące po schodach, a coraz wyraźniejsze, bliższe... Niebawem rozległy się tuż za drzwiami, ucichły, i jakaś ręka wstrząsnęła lekko klamką, w ślad zatem za rozległo się trzykrotne pukanie.

Gdyby w kataklizmie niespodzianym runęła ziemia, zapadając gdzie w niezmierzone głębokie wszechświata - mniejsze to chyba uczyniłoby wrażenie na stojącym przed stołem mężczyźnie, niż chwila obecna...

Nogi zadrżały mu, a bojałliwa trwoga ścisnęła krew w żyłach, coś za nim, niby gad obliźnięty, przemknęło po krzyżach i za kark chwyciło despotycznie, zaparłszy dech w piersiach.

W półmiciach dogorywającego światła nie pomyka lampy twarz pochylonego nad piędziemi młodzieńca nabrała strasznego, a zarazem dojmującego – trupio-białego wyrazu, ręce zaś, jak kleszcze, wpiły się w leżące pod nimi banknoty.

- Nie oddam was, nie zwrócę za nic w świecie! - mówił zdawały wyraźnie kurczowo zacisnięte palce, drżące w zwojach papierów i złoście.

Z ekranu izdeбки, mającego coraz bledszymi cieniami, światło w tej samej chwili zniknęło; zapanowała tu szarawa ciemność w ślad zatem rozległo się powtórne, tym razem silniejsze pukanie, poza drzwiami zaś jednocześnie dały się słyszeć słowa, wyrzeczone głosem męskim, dźwięcznym i młodym.

- Widać że śpi, lub go nie ma...

- Ale to oryginalne - zauważył ktoś drugi, ciszej nieco. - Zaręczam ci, iż przed chwilą paliła się wewnątrz pokoju lampa, przez szpary u drzwi ślizgało się światło! - słowo!

- Ha, jeżeli tak, to może Romanek ma u siebie jakiegoś dyskretnego, a wesołowizytę - snaż rozmyśłem donośnie rozległ się głos pierwszy. - Nie przeszkadzajmy mu. Chod..., Hermanie!..

- Wesołej zabawy! - krzyknął ironicznie nazwany Hermanem, nachyliwszy się do drzwi, zapewne blisko, bo echo głosu jego wstrząsnęło ścianami poddasza, poczem kroki przybytych oddalały się zaczęły.

Westchnienie ulgi podniosło pierś mężczyzny.

Kilka kropel zimnego potu upadło mu na rozpostarte dłonie; zbudzony tem jakby, odstąpił od stołu i rzucił się w wycieczeniu na kanapkę.

Poznał po głosie tych dwóch, dobijających się do niego przed chwilą,

pocziwych studentów uniwersytetu - widział w wyobra...ni swej teraz
niemal obok siebie wyra...ne postacie ich, w wytartych mundurach i
spłowiałych od śniegu i szarego czapkach, pokrzywionych butach... Biedni
chłopcy!

Przypadkowo zaprzyjaźnił się z nimi, jak tylko przybył tu, do miasta -
oni, zacne serca, pierwsi uczynnie nastręczyli mu zarobkow- prac...

Dawno już nie widział ich. Ba, parę razy nawet w epoce owego
kilkutygodniowego świątecznego szaleństwa, spotykał ich na ulicy, a biegał w
towarzystwie eleganckich karnawałowiczów, mimo woli powstydził się ich i
udał, że nie dostrzega. Nie pamiętali mu tego - przyszli.

Mieszkaniec poddasza w zamknięciu przesunął drzwi - po jedwabistych swych
włosach.

- Gdybyż oni wiedzieli i czytali w duszy jego?

Rumieniec palącego wstydu i upokorzenia zakwitł na twarzy młodzieńca, a
wyraz cierpienia i wewnętrznej bólu rylcem swym śladami poczęły rysy
wyrazistego oblicza.

Długo jeszcze przesiedział tak w zadumie...

A gdy po jakimś czasie szary zajął do poddasza, nie było już
złota na stole; schowane - znikło, młody za chwilę, śmiertelnie
znudzony moralnie - w końcu ubrany, cicho zdawał się drzemać na
łóżku.

Niebawem zasnął....

I sen oto, przed wewnętrznym wzrokiem duszy młodzieńca, w tym
tajemniczym jej życiu marzeń i rojeń, snu zaczęły przedziwne
obrazy...

A więc najprzód zdał się śnić - czemu, i leci on w przestrzeń bez końca,
ciemną - i mroczną, unoszony niewidzialnie - jak śnieg...

Tuli w objęciach swych przytem jak-ś powiewną - kobiecą - postać. Podobną,
choć nie identycznie i całkiem, jest ona do ukochanej przezeń
dziewczyny, a objęszy pieszczotliwie szyje jego nagiemi ramionami, tak
zawisła, ustami łączy do jego ust rozkosznie - on zaś, jak z kielicha
pieni-ć się, musy-ć wino, pije nektar warg tych wilgotnych, ton-ć w
pocałunku ci-łym, nieustannym, zda się - wiecznym.

Upajający wreszcie jednak zawrót głowy i osłabienie omdlewał - jak-ś i
dziwne z wolna poczyna go ogarniać

Za wiele, zanadto upajającej, oszłamiającej słodyczy daj - mu już te
kobiece usta, jak pieczęć warg jego bez końca przyłgnięte.

Lecz oto nagle ciemniej mu w oczach wszystko dokoła i się swoich nie
czuje już prawie. Przymyka więc powieki i leci znów tak samo dalej w

przestrzeż, niczego niepomyślnego i nic zgoła w okół siebie nie widząc.

Trwa tak do wyczerpania...

Wreszcie, wypocząwszy w ten sposób po swym wyczerpaniu, nie czując już ani ciężej na jego szyi kobiety, ani zawrotnego czasu jej tchnienia... otwiera oczy...

Tamte, widziane przed chwilą obrazy, bezpowrotnie pierzchnęły; obecnie znajduje się zupełnie sam. Stoi teraz na ziemi, a stopy jego dotykają jakiejś kamienistej płaszczyzny, szarej, bezludnej i smutnej. Promienie zachodzącego słońca padają na niego i krwawymi swymi dogasającymi, zamierającymi blaskami...

On zaś nieporuszony stoi i bezustannie patrzy.

Nagle promienie gasną... Mrok szary pokrywa płaszczyznę swymi wszystkimi dokoła, a w cieniach tych tajemniczych, cichych, szeptać ruszających coś zaczyna.

Z rumowisk i kamienistych szczelin podstępnie wypięzły oto jakieś postacie, mary, i jak duchy nie z tej jakby ziemi, skrzydlate - rozpięzają się po równinie, z przytęumionym szelestem. Nad głowami ich lecą wielkie czarne żółte ptaki, szumem swych skrzydeł mącą martwą rozlaną wokoło pustką i ciszą.

On, nic zgoła nie pojmując, spogląda wcięż, przelękły, zdziwiony... Po chwili dopiero zdaje się rozumieć.

To - postępujące niewidzialnemu, a nadprzyrodzonemu skinieniu - lecą tak zapewne żerująca padła ziemski - wyrzuty sumienia!...

Tymczasem szmer lotu ptaków - olbrzymów cichnie, zmierzch pochłania ich postacie - nikną.

On z ulgą oddycha i instynktownie postępuje parę kroków naprzód.

Nagle wyrывa mu się z piersi przenikliwy krzyk!... Nad jego głowami wiszą, chwyciwszy się ptak czarnopióry, a zniesiony lotu swego, wkrótce siada mu na ramionach, niemiłosiernie wpiwszy w nie swe szpony, równocześnie zaś w głowie uczuwa uderzenia miarowe.

To ptak ów straszny i wielki, niby dziecięciem w pień drzewa, stuka jemu tak w czaszkę jednostajnie...

Wzgląd za tem jedna z pierzających wokoło postaci zjawia się przed nim blisko. Ubrana w fuchmany, czarna i brudna, przyskakuje doń obcesowo, drapie go, i utkwivszy w oblicze ofiary swej palcami żarem, płomienne, dzikie... renice, nachyla się bardziej jeszcze i plwając mu w samą twarz zaczyna.

Z ust jej, wykrzywionych, wstrętnych, leży się strumienie lawy żółtej i palącej, ból...

A jednocześnie tańcz – oto w kręgu, z szelestem widziane niedawno w portfelu zwitki storubówek i innych banknotów. Dwoj – c się, troj – c w oczach, przybieraj – one fantastyczne kształty, a niektóre, przedzierzgnięte jakby w jakieś karty złowrogie, szponami drobnemi r – mu ciągnę bez litości. Inne znowu, z głowami wężów obrzydliwych, sycz – c, k – saj – go zewsz – d.

Napastowany, nieprzytomny, opędzaj – c się rozpaczliwie, rękami, nogami – ci – gle, tarzaj – c się nawet od jakiegoś czasu po kamienistych zrębach – ucieka w kołcu zaczyna równin – , jak szalony. Potyka się co chwila, pada i ucieka znowu, gnany czered – karłów i olbrzymików, o głowach, szyjach gadów, z błąszcz – cemi – dżami ze złota.

Nad głow – , z ramion przemoc – spędzony, wisi wci – ż ptak olbrzymi, a postać – gówna, mglista, leci z nim wespół w mroczn – dal...

Nagle, niewiadomo jak, sk – d i kiedy zjawia się znowu poprzednia kobieca postać

fpi – cy, w swem majaczeniu sennem – odczuwa niewysłowion – radość ona, podawszy sw – r – czkę drobn – , z uśmiechem zalotnym na ślicznie wykrojonych usteczkach, towarzyszy – mu zaczyna.

Razem bezustannie biegn – teraz po kamienistej równinie. Czarowna towarzyszka jednak nie czuje, jakoby, co dolega męczy – czy...nie, i nie widzi roju prześladowców jego.

Dziewczce to, czy kobieta, ubrana cała w bieli, zasypana kwieciem róż i konwalii – cudna, lecz lekko, dotykaj – c się zaledwie stopkami swemi ostrych kamieni. Nad główk – jej, jakby w przeciwieństwie ptakiem czarnym, lec – cym obok – chwije się duży ptak biały...

Zjawisko śnieżnego ptaka trwa jednak bardzo krótko, bo oto jemu, wpatrzonemu uporczywie w sw – towarzyszkę, zdaje się nagle, że pióra u skrzydeł tych mleczy z lekka szarzeją – poczynaj – , stopniowo ciemniejsz – przybieraj – c barwę...

Wycięż a wzrok coraz bardziej, ale niebawem nic wokoło, nawet prześladow – cych go mar, rozpoznanie jest w stanie.

Noc czarna, despotyczna, rozpina – ją nie pocyna nad płaszczyzną ponur – sw – oponę.

Naraz znika wszystko...

On równocześnie czuje, że leci w przepaść bez dna, treści, oraz w chaos, z którego ocuca go dopiero uderzenie silne o coś całym ciałem.

Spogl – da...

Przed nim obecnie wznosi się sfinks olbrzymi; o niego to w rozpędzie uderzył się przed chwila. W jasnościach aureoli gorzej fosforycznym

blaskiem, uśmiechaj—c się zagadkowo. Na olbrzymich barkach jego, na tułowiu - obliczu, wszędzie, niedostrzegalne zrazu dla ludzkiego oka, wij— się, ruszaj— miriady drobnych lilipucich postaci.

Jedne z nich rodz— się tu z uśmiechem na ustach i piskiem, innych do grobu zanosz—; ci walcz—, deptaj— po sobie, zabijaj— się, wzajem w przepaście spychaj— - tanci w ramionach drugich pij— miłośnicy rozkosze, a tam znów inni jeszcze głodne twarze i ręce wynędzniałe wyciągaj— po datek, s—siaduj—c z blizka z takimi, co w bogactwie i zbytkach nurzaj— się po uszy, lub grzeźn— ciałem w rozpuście, jak w błocie.

A środkiem - rozbite na tysiące strumieni, na kropel miliony rozprysnę, płynnie, faluje zdjęto...

I przed promienistymi jego potoki, jak przed światłoci— - korzy się pokornie, s—żalczą, wszystko dokoła.

Czołem lilipucie bij— przed nim miriady - to też ono nadaje owemu sfinksowi tajemniczemu blask fosforyczny - ono krąży tu, bezpodzielnie panuje.

Lecz oto nagle olbrzymia głowa sfinksa ujrzała snajpowego przybysza.

Usta jego, wyniosłe i dumne, rozchylaj— się szerzej, i miast zwykłego uśmiechu zagadki, sardoniczny, szyderczy, wstrząsa przestrzeniami śmiech.

Ha-ha-ha!... Ha-ha-ha!... sfinks śmieje się - śmieje szatańsko i zwycięzko jakby - wyniośle - strasznie!...

.....

Głuchy jęk wyrwał się z piersi upionego człowieka. Wstrząsnął on murami pogrzeżonej w ciszy izdebki, kraj—c zali serce swem echem smutnem, cichą i gasną, zamieraj—c powoli...

.....

Obudził się śpiący.

Wyłeczącym, zamglonym jeszcze wzrokiem szklanym popatrzył zaspany wokoło siebie bezprzytomnie i niebawem przymknął na powrót ciężką powiekę, obróciwszy się równocześnie do ściany.

W kilka za chwilę później, blada twarz mieszkająca facytki, spokojna, nieruchomo spoczywała na poduszce, pogrzeżona w twardym śpieniu. Dusza tym razem zdrzemnęła się w nim zapewne równie, oddech bowiem śpiącego miarowo rozlegał się już swobodnie całym w samotnej, cichej izdebce.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Zd-żaj-c do pobliskiej Wenecji, wpadł poci-g kuryerski w morze, i hucz-c, leciał, płyn-ł niby po powierzchni fali. W przedziale wagonu drugiej klasy było tylko dwoje ludzi. Kobieta młoda, ubrana w strój lekki, dystyngowany, z szarego materiału, drzemała, czy spała, wciłniła w gł-b, z główk- opart- o poduszkę bocz- - męczyzna zaś, siedz-cy naprzeciw, trzymał delikatnie w dłoniach pozostawion- w uścisku jej r-czkę drobn-, i pochylony z lekka, patrzył z miłości- w znużone rysy i blad- twarzyczkę kobiety.

Od czasu do czasu wzrok jego odrywał się od oblicza towarzyszk, biegł poprzez otwarte okno, ścigał-c, zda się, pogr-żone w ciemnościach bezgwiazdnej nocy, niewidzialne tuż poza mkn-cym poci-giem Adryatyku fale.

I wtedy, za każdym razem przesuwała się chmurka jakby po czole jego, osiadał tam jakiś cień niepochwytny, a usta jednocześnie drgały skrzywieniem goryczy, czy bdu pełnem.

Gdy jednak wzrok zniżał ponownie, to w zetknięciu się z obliczem młodej kobiety, pogr-żeniem w cichym uśpieniu - oczy smutkiem zamglone łagodniały mu prawie natychmiast, a choćomimo woli i bezustannie myśli rozpamiętywaś się coś zdawała - z ust momentalnie zniknęło zagięcie cierpienia i powoli przeistaczało się w uśmiech, oraz zapatrzenie się w ukochane rysy.

Siedz-cy tak w zamyśleniu nieruchomo - a w widocznej obawie zbudzenia towarzyszk - podróżny posiadał cechy zewnętrzne dość interesuj-ce.

Był to przede wszystkim męczyzna piękny bardzo; ciemny brunet, o wytwornej powierzchowności i ułożeniu, charakterystycznej owalnej głowie i czole wypukłym, upiększonym łukiem brwi czarnych, w-ziutkich i regularnych, miał on poci-gł-, śniad- twarz, okolon- średniej wielkości brod-. Nerwowe, wyraziste rysy oblicza tego wyra...nie zdradzały przytem pochodzenie południowe, zarówno jak i piękne, duże oczy, patrzące na świat gor-co, z rozmarzeniem nieokreślonym, aksamitnym spojrzeniem dziecka Italii.

Do drugiej ojczyzny swej poniek-d rzeczywiście d-żył tak lat trzydzieści zaledwie mający młody człowiek.

Nosz-cy jedno ze starszylacheckich nazwisk, Roman Dzierżymirski, był synem niezł-cego już, a dawniej bogatego bardzo i znanego w szerokich kołach własnego kraju, Oskara Dzierżymirskiego, oraz żony jego, rodem Włoszki, a byłej przed swoim ślubem śpiewaczki.

Pochodzenia pono w-żliwego bardzo, choćniezwykłej urody i wdzięku, była ta matka Dzierżymirskiego Romana, będ-ca, jak mówili jedni, dzieckiem miłości wolnej pewnego dorobkiewicza rzymskiego - jak twierdzili drudzy, podrzutkiem tylko, z mętów społecznych dzisiejszej Romy, wychowanem i uposażonem przez tegoż przemysłowca włoskiego.

Po niej piękno i dziedziczył syn, po ojcu zaś niew-żliwie tę

wytworzył ją cęchowała najmniejsze nawet poruszenie siedzącego podróżnika, i postawił ją jakby pałką, mimo woli nieco wyniosłą.

Roman Dzierżymirski jechał w stronę nie z matką swą w podróż poślubną, a raczej z kraju uciekał, ojciec bowiem śpiący cicho naprzeciwko niego kobiety, szatynki, o licznych rysach, January Gowartowski, bogaty i dumny magnat kresowy, odmówił być jemu jej ręką...

Lecz miłość matki nie pyta, gdy idzie o posiadanie kobiety!

Roman zdobył swą żonę dzisiaj, porwał ją za jej zgodą. I lub ich tajemny, w małej wiosce, w zaciszu Karpat - odbył się w stronę nie dwa dni temu...

Przyszło mu to wszystko z łatwością. Ona kochała go, ubóstwiała, nic zgoła nie widząc poza nim, na stronie materyjalna za i kosztą, wynikające z takiego niespodzianego obrotu rzeczy, zwracając uwagi nie miał potrzeby.

W rodzinnym mieście wiadomym było powszechnie, iż rok, czy dwa lata temu odziedziczył Roman Dzierżymirski fortunę w kapitale, po dalekim krewnym, osiadłym i zmarłym w Stanach Zjednoczonych.

Jechał zatem dzień młody i ostatni potomek dogasającej już w nim rodziny Dzierżymirskich, ze skarbem swym, drogą sercu matką, do Włoch, ojczyzny matczynej. Wzrok jego, błądzący się bezustannie pomiędzy twarzą żoną, a skrytym cieniem nocy krajobrazem, zamglony, mylący, w dalszym ciągu wspominał coś zdawał.

Poza oknami wagonu fale morza nieustannie szmerły wciśnięte cicho, w dali za, na czarnym tle widnokręgu, stopniowo, coraz bliższe, bąszczały już wiatka Wenecji.

- Oto tam - mówiły niejako marzące oczy mężczyzny - za godzin kilka czekaj mnie uśmiechy pierwsze i rozkosze ziemskiego szczęścia w objęciach ukochanej ponad wszystko kobiety! Oto tam, wymarzony od tak dawna, oczekuje na mnie raj własny ułudnego podziału wzajemnego uczucia, w zupełnym oddaniu się niepokalanego niczem dotąd kwiatu - niewinnego dziewczęcia...

Wzrok Romana z zachwytem spoczął na twarzy śpiącej kobiety. Równocześnie pocierając, pozostawiając morze za sobą, wpadł w jakieś gaje, brzęczące rojem owadów. Jednostajna, monotonna ich muzyka wpadała uporczywie w uszy podróżnego, a on, cały zasłuchany, spojrzeniem swym znowu ogarnął ciemną przestrzeń poza oknem wagonu.

- Co, zagadkowa przyszłości, niesiesz mi w darze?.. Czy zapłacisz mi za to, com przebył dotąd, przecierpią, dla zdobycia drogiego dzisiaj? Czy wynagrodzisz, czy skarzesz? - pytała zdawały czarnej nocnej dali posmutniałe nagle chwilowo oczy mężczyzny.

I ponownie w kątku warg jego pojawiła się bolesna, przelotna zagłębienie ust, a snając odpędzając przykrą, Dzierżymirski powstał

ostrożnie, nie wypuszczaj-c wci-ż z dżoni r-czki ułpionej swej towarzyszki. Wychylił przez otwarte okno głowCE... Na tle ciemnołci połyskiwały już teraz rzCEsiłcie łwiatła - poci-g wjeżdża wtałnie na stacyCE. W sekundCE, z nagła szarpniCEte, gwałtownie zatrzymały siCE wagony.

Dzierżymirski o mażo nie upadł, straciwszy na razie równowagCE, i poci-gn-ł za sob-r-czkCE żony, łciskaj-c- jego dżoæ lew- - prawa zał oparł siCE silnie o ramCE okna.

- Ach!.. ach!.. - z twog-, wyrwało siCE z ust mżodej kobiety, i otworzyła szeroko oczy, zdziwiona.

Szybko Roman pochylił siCE ku niej i przemówił miCEkko:

- Przepraszam ciCE, kochanie, przestraszyłał siCE, prawda?.. Ale to wina nie moja - wagony szarpniCEły tak silnie...

- To ty... Romanie!.. - szepniCEła kobieta i zarzuciwszy w łlad za tem, z niewystżowionym wdziCEkiem, obie rCEce na szyjCE mCEżczyzny, przytuliła siCE doæ czule, składaj-c równoczełnie pocałunek na piCEknem czole.

- Wysi-dziemy, zżotko, już Wenecya! - rzekł Roman, wysuwaj-c siCE delikatnie z objCEmłodej żony uniósłszy j- w ramionach, postawił na równe nogi.

- Nareszcie!... - wykrzyknCEła Ola radołnie, oprzytomniawszy całkiem na widok jałniej-cego dworca.

- We-ne-cya! - zabrzmiało donołnie pod samem oknem wagonu, gdzie ukazała siCE kCEdzierzawa głowa i łmiej-ca twarz konduktora.

- Statione Ve-ne-tia!.. - przeci-gle, łpiewnie odpowiedział głosowi pierwszego konduktora okrzyk drugi, dalszy, i zgin-ł.

Poci-g, którym jechali Dzierżymirscy, zatrzymujac siCE tylko kilka minut, jechał dalej wprost do Medyolanu - należało siCE łpieszyæ.

Roman pobiegł do przeciwległego okna, otworzył gwałtownie drzwiczki od wagonu, i pocz-ł wołaałonołnie:

- Facchino!.. facchino!.. *)

[*] Po wżosku tragarz.]

Za mCEżem zrCEcznie wyskoczyła z wagonu Ola Dzierżymirska. Niebawem zjawił siCE poż-dany tragarz i ruszono z bagażem do dworca. Tu obst-piono przyjezdnych.

Cały rż przeró nych figur hałałliwie ofiarowywaæm pocz-ł swoje usługi, rz-d zał sżużby hotelowej, w galonach, z ożywieniem i gestykulacy- namawiał ich każdy z osobna do siebie. Gadatliwoławżochów oszołomiła na razie Dzierżymirskich.

Po chwili dopiero Roman, znaj-cy kilka wżoskich wyrazów, zdołał siCE

porozumieć wybrawszy hotel, kazał się prowadzić do przystani.

Niebawem młoda para podróżnych sadowiła się już w wygodnej, na czarno pomalowanej gondoli, obsługiwana z natarczywością przez różnorodnych oberwańców i gapiów, stojących w pobliżu.

- Pysznie się siedzi! - zawyrokowała głośno Ola, wyciągnęła się na miękkiem, czarnym obitem, siedzeniu.

Roman usiadł przy niej - gondola zakłósała się lekko...

Powoli odpychano już ją od brzegu, gdy oto z kilkunastu stron naraz wyciągnęły się ku niej odjeżdżające prosz-ce dźwięki z kapeluszami, i chorem zabrzmiała prośba o datek. "Soldo, soldo!" chociaż żądanie, lecz z odcieniem lekkiej jakby groźby, rozlegało się dokoła ustawicznie powtarzane na wszystkie tony.

- A to złodzieje!.. - mruknął Dzierżymirski; zmuszony jednak wyjść z kieszeni portmonetkę, rzucił tam i ówdzie z humorem drobne monety.

Gondola ruszyła już - płynęli...

Młode kobiety zabawiła ta scena. Perlisty śmiech jej, wesoły, rozlegał się wokoło, gdy oto nagle, jakby czem zmroziły, ucichł. I Ola, objęta wzrokiem roztaczającym się przed nią krajobraz, ruchem wdzięcznym przytuliła się do mężczyzny.

- Jak tu czarno, Romanie, nieprawdaż? - szepnęła.

Dzierżymirski, milcząc, opiekuńczo objął ramieniem kibicowany i przycisnął ją miękko do piersi, rozejrzawszy się zarazem.

Rzeczywiście, czarno tu było.

Wenecja już spała. Skłębione chmurami niebo odbijało się w mętnej wodzie kanałów i powlekało je kirem ciemności, po którym tylko blednym ognikiem przeświecało, wiło się czerwone światło latarni, umieszczonej u spiczastego, czarnego końca gondoli.

Płynęli przez Canale Grande*).

[*] Po włosku : Kanał Wielki.]

Jak gdyby śnił o swej dawnej potędze i chwale, wokoło nich zadumane, ciche stały wyniośle rzedem weneckie pałace. W żadnym oknie nie paliło się już światło, otulało je milczenie zupełne.

Gondola, kołysząc się z lekka, unosiła co chwila swe przednie i tylne dzioby, płynęła spokojnie, z jednostajnym pluskiem wiosła i szmerem rozstępującej się pod nią fali.

Przytuleni do siebie, dłużej chwilę z ciekawości patrzyli Dzierżymirscy wokoło. Z ustek pierwszej Oli niebawem posypały się rozliczne uwagi.

- Patrz, patrz, Romanie! - wołała ona co chwila, wskazując z zajęciem na wznoszące się zewsząd budowle.

Dzierżymirski potakiwał jej, objął ją, i półgłosem prowadzona swobodną rozmową zbudziła milczenie jej - różniła się echem wyrażeniem po grodzie weneckim, o tej porze tak bardzo cichym.

Tymczasem po obu stronach kanału kolejno przesuwały się, jak w kalejdoskopie, cudne swobodnie - archaiczne - struktury pałacowe.

A więc, najpiękniejszy może z prywatnych siedzib Wenecji, własność księżniczki della Grazia, wychylała się z cieni "Palazzo Vendramin-Calergi", z roku 1841 w stylu początkowego odrodzenia; z nim siedziała skromna, pięćdziesięcioletnia XV wieku, pałac "Erizzo" - dalej zwracała uwagę inna, z pozłacanym niegdyś frontem, do dziś dnia zwany "Ca Doro".

Opodal bardzo pięknie wznosiła się majestatycznie dzisiejszy lombard miejski, pałac "Corner della Regina", wzniesiony w r. 1724 na tym samym miejscu, gdzie ujrzała świat królowa Cypru, wenezyjka, Katarzyna Cornaro.

Wkrótce, tuż poza dzisiejszą pocztą w Wenecji, zajmując dawniejszy niemiecki magazyn towarów "Fondaco de Tedeschi", zamajaczył olbrzymi most "Ponte di Rialto", w kształcie murowanego łuku wzniesiony.

Wsunęły się pod jego arkady, gondola Dzierżymirskich cichutko prześlizgnęła się tamtędy i skręciła wkrótce na lewo, w wąski kanał, stanowiący arterię boczną - "Canale Grando". Szeroka tafla wielkiego kanału znikła wkrótce z oczu i jadła barka, zagłębiając się coraz bardziej w szybką wodną uliczkę, wymijała coraz ciśniejsze i węższe zaułki. Ściany domów odrapane, ponure, szare, zdawały się, na płynących w gondoli, a śmiejąc się coraz bardziej, pragnęły pochłonąć ją - niejako w swym labiryncie.

Ciemności nocne panowały tu jeszcze większe. Gdzieś tam tylko błysnęła zółtawo młotym światłem latarnia - żywego ducha załamywała gdzieś nie mogła być.

Umilkła od paru minut Ola trwożnie przyglądała się - do ramienia Romana.

- Brr! straszno tu jakoś... - szepnęła.

- Nic, kochanie - odparł Dzierżymirski, musnąwszy pocałunkiem jej włosy - zaraz dojedziemy.

Nieprawdaż, że już blisko? - zwrócił się do gondoliera łamanym włoskim narzeczem.

- Si, signore. - odparł żywo zapytany, a nudząc się znał z cudzoziemcem gawędziarstwo, zanucił półgłosem jakiejś smutnej piosenki.

Ubrany całkiem biało, wahadłowym ruchem przechylał się bezustannie

przy wiosłowaniu w prawo i lewo, na tle otaczających ciemności, czynił on wrażenie fantastycznego zjawiska, głos zaś jego monotony błąkał się po kątach i odbijał dziwnym echem o mury, oraz zakratowane okna w swym niezakłóconym jakby domów. Roman milczał.

Ujmując i tułając miśko w objęciu Ojca, wsłuchiwał się w ten śpiew jednostajny, mrukliwy, i dziwnego doznawał wrażenia. Zdawało mu się mianowicie, że on nie do cywilizowanego, dzisiejszego, ale jakiegoś zbójckiego z zamierzchniej przeszłości dojeżdża grodu; że ucieka, kryje się tu ze swym porwanym, czy też skradzionym łupem... Oto z ciemnych zaułków i kątów śpiącej Wenecji wysuwają się po prostu jakby wyraźne jakieś cienie, mary, czy odbicie dawnych zbrodni, mordu i gwałtów, tak licznych w historii krwawej tego dziwnego miasta...

- A! *) - rozległ się nagle tuż za Dzierżymirskim krzykliwy głos gondoliera, i jednocześnie zoczyła w zaułek ciemny.

[*) Uwaga!]

- Sia-stali! *) - przeciągle odpowiedział ktoś z innej gondoli.

[*) Na prawo!]

Roman i Ola spojrzeli ciekawie.

W nadpływającej weneckiej barce siedział mężczyzna czarno ubrany, w białym kapeluszu, brunet, o ponurem wejrzeniu.

Gondola, otarłszy się prawie o napotkaną ściankę, prześliznęła się cicho - znowu byli sami.

- Patrz, tam się świeci, co się stało?... - rzekła półgłosem Ola, kręcąc głowę - i wskazując piętro jednego z domów.

Roman spojrzął.

- A, rzeczywiście - odparł - przecież chociaż jeden jakiś znak życia...

Na brudnawym wodzie kanału, porysowanymi ścianami i kołyszącymi się kadłub pustej gondoli, przywilejanej u stopni marmurowych wielkich kutek drzwi, kładło się cieniem przygnione czerwone światło, idące z okna oświetlonej komnaty. Jednocześnie płynęły melodyjne, ciche akordy fortepianu, wydobywane z nieznanego kobiecym ręką. Wtórowały im nie miały brzęk mandoliny.

Rozpływając się powoli, w milczeniu, muzyczne tony łączyły się zgodnie co parę minut ze śpiewem, męskim, silnym tenorem, i szły ponad dachy, kanały, leciały daleko, dłużej...

Poruszony muzyką i śpiewem, Dzierżymirski silnie przycisnął do siebie Ojca. Wsłuchani w melodyjną miłosną pieśń po południa, zbliżyli się oni instynktownie, a twarze ich, partę ku sobie, pochyliły się.

Pocałunek gorący łączył usta mężczyzny i kobiety; nie odrywając warg, w dreszczu wzajemnej rozkoszy, wśród deszczu spadających, jak drobne krople rosy, dźwięków - przepłynęli Dzierżymirscy pod oknami domu. Coraz

cichsze fale granej melodii goniły ich, powodzi- zalewały jeszcze czas jaki, aż umilkły.

Gondola w tej samej chwili wjechała na kanał S. Marka; plac tej nazwy, gdzie w całej pełni ogniskowało się jeszcze życie miasta, zamigotał rzeszę w oddali dziesiątkami niebieskawych i żółtych wiat - przewoźnik oznajmił głośnie podróżnym, że są już na miejscu.

- Dojeżdżamy, Oluniu! - poinformował Roman i z uśmiechem wpatrzył się namownie i czule w twarz swej towarzyski.

W ciemnościach nawet nocy, widoczny rumieniec objęty płomieniem twarzy kobiety, i wzrok w zawstydzeniu spuściła przed palcem spojrzeniem męczycy, które zapewne swym blaskiem mówiło coś nad wyraz miłego.

W tej chwili właśnie przedni dziób gondoli stuknął o marmurowe stopnie hotelowego balkonu, a w parę minut później Roman i Ola znajdowali się już w obszernym, o marmurowych ścianach i posadzce pokoju, rozbrzmiewającym w ciszy stępnionym, głuchym brzęczeniem mustyków.

Odprawiając natarczywego stugocę, proponując im przystanąć w miast przewodnika, w celu obejrzenia powierzchni na przechadzce placu San Marco, bazyliki i pałacu Dogów - Dzierżymirscy wkrótce zostali zupełnie sami.....

W Wenecji wszędzie pogasty już wiat. Noc zupełna, czarna, zawisa chwilowo nad grodem. Nie trwało to jednak długo; stopniowo chmury na niebie rozstępowały się poczęty i ręk księżycy nie miało wychylić się poza nich.

Zamigotał na wieżach kościoła S. Marka, złotawym brzęcie czterech rumaków, krójących na szczycie tej katedry - musnął swym blaskiem ściany pałacu Dogów, a przeszedłszy się po jego galeryach ponurych, zajrzał w zakratowane okna wiszącego mostu, takżecego pałac z dawnym wiezieniem, a znanego powszechnie pod nazwą "Mostu Westchnię".

Wyjrzawszy za siebie już odważnie nieco, tracił srebrzysty lśniący - tafle laguny, zadrgał sieci - wiat na powierzchni wód, a niebieskawo - błękitny - dotknął się ich pieszczotliwie, otworzył nagle perspektywę daleką, hen! aż ku Lido-na morze...

W niezamkniętej ciszy, starożytny zegary licznych kościelnych i klasztornych wieżach wybijały rytmicznie którąś godzinę. Jedne z nich brzmiały basem, inne kwiliły wiolinem, lub brzęczały melodyjnie, także w sobie te dwa melodyjne klucze, a bijąc w ten sposób, zdawały się mierzyć w milczeniu chwile czyjegoś może szczęścia...

Niedyskretne, ciekawe, promienie księżycy zaskliły się jasnym światłem na taflach szyb hotelowych, dawnego pałacu Dandolo. Zatrzymały się przy jednym oknie i pomknęły znowu obojętne w dal...

A posłowo uśmiechnięte, wiecznie tak samo szerokie oblicze księżycy nie zmieniło wcale wyrazu.

Bo cóż go zaiste, obchodziano tych dwoje ludzi, którzy przybyli aż tutaj po ułudę rozkoszy? Cóż znaczyły dlań dwa serca, zrywające wspólnie kwiat miłości i zapomnienia?

On, filozof, wszak w swym życiu prawiecznym widział podobnych zdarzeń aż nadto wiele; on znał nicości tych chwil, umiał na pamięć kochanków zakłóca i ich nieraz słomiane zapały, gasnące za życia podmuchem - pod rzeczywistością bezlitosną. Wiedział również, że zapały te same, odegrane czestokroć ożyte, kiedy, w przyszłości, obosiecznym cięciem ranił i te bledy tych samych ludzi, skierowane do jednostek innych, zarówno łaknących uczucia i życia...

Powiewna chmurka pieścotliwie przytuliła się do twarzy księżycy i przesłoniła go leciutko, kaskada zaś miesięcznych promieni, zbladłszy, niepewnym, migotliwym blaskiem zalała ułpioną Wenecję.

W tej samej chwili dwie jakiejś postacie, zbliżone do siebie, zamajaczyły poza taflę jednego z okien hotelowych, i dwie głowy, dotykając się wzajemnie, zapatrzyły się we wdzieczny krajobraz laguny i morza, zamglonych chwilowo półmwiatłem, oraz cieniami księżycy.

I postawszy tak długi chwile, jakby rozmarzone, znikły niebawem, splecione w uścisku, niezdolne napawać się długo poza sobą - niczem, nawet pięknem przyrody...

Wład prawie zatem nastąpiła ciemność nieprzejrzana i zapanowała nad miastem pamiętek.

Zadumany i jakby tęskny tulił się zmierzch szary do ścian kamienic wielkiego miasta, do witryn wspaniałych sklepów jego, pełzą u podnóża pomników, ścierał kontury gmachów kościołów - wszystko dokoła pogrzezał w mroki i cienie.

W wykwinicie umebłowanym swym pomieszkaniu siedziała na fotelu Melania, marszałkowa Warnicka, rodzona siostra ojca dzisiejszej Oli Dzierżymirskiej, a dotychczasowa od dzieciństwa prawie opiekunka tej ostatniej.

Przez otwarte okno, łecznie z echami wielkomijskiego gwaru, wciskał się tutaj wolno zmrok, a ściemniając się stopniowo coraz bardziej, pocieszał - co jakby wygładzała - starał zmarszczone wysokie czoło wiekowej już matrony, łagodnie muskał jej siwe włosy, i zagłębując jednocześnie nie miało w oczy rozumne, wyraźne zdawał się współczuć smutnemu jej zamyśleniu.

Na małym stoliku przed marszałkową leżał otwarty telegram. Opiewał on zaś lakonicznie: "Przewidzenia sżusne. Ola już po ślubie z

Dzierżymirskim. Przyjeżdżam. Ładyżyæski."

Już może pół godziny po przeczytaniu powyższej wiadomości, nieruchomo w swym fotelu siedziała pani Melania.

Od trzech dni - to jest od czasu gdy Ola zniknęła z domu swej ciotki, by więc nie wrócić marszałkowa Warnicka z niepokoju postarzała się o lat co najmniej kilkanaście.

Poczłkowo nie mogła zrozumieć postępków swej siostrzenicy; tak dobrze było jej u niej, może zatem powróci ona lada chwila - niewątpliwie.

Musiała wyjechać miasta na parę godzin, zagnana interesem ważnym... mówiła sobie, perswadowała staruszka.

Nazajutrz jednak wieczorem, gdy żadnej o Oli nie było wieści, obawa kochającej dziewczę ciotki wzrosła o ni- do tego stopnia, iż myślała, że zwaryuje. Dom cały był przerażony, latano, szukano rozpaczliwie nieobecnej po mieście, na chybił trafił - wszędzie, oczekując zarazem z trwogą - wiedz - zda się w powietrzu katastrofy - wiadomości jakiej strasznej, o nieszczęściu, lub nawet o śmierci.

Zbawcą pełnej niepokoju marszałkowej okazał się wówczas Emil Ładyżyæski, przyjaciel całego domu Gowartowskich, stary kawaler, sprytny wyga wielkomięski, a poza tem człowiek rozumny i bystry bardzo. Zebrawszy naprędce wskazówek tu i ówdzie, wpadł od razu na trop wątpliwy. Domysły jego były trafne.

- A ja powiadam pani marszałkowej, że panna Ola używa już miodowych miesięcy! Młodość nie żartuje, gdy kocha... były to ostatnie słowa jego i sprawdziły się, niestety...

Przez samego ojca panny, Januarego Gowartowskiego, pogardliwie odrzucony konkurent, inaczej poradził sobie.

Marszałkowa w zadumie westchnęła cicho, ciężkie bowiem, zaiste, czekały jej - niebawem przejęcia. Brat jej, January, którego, o niczem jeszcze nie wiedz - c, powiadomiła, wzywaj - c go, natychmiast po zniknięciu Oli, lada oto chwila nadjedzie...

Cóż ona, na Boga, powie ubóstwiają - cemu córce ojcu, jak się potrafi wytłumaczyć przed nim ze wszystkiego? Wszak to na jej opiece pozostawił on być, wyjeżdżaj - c, jedyne swe dzieci...

Lecz czyż mogła przewidzieć podobne rozwiązanie sprawy?

Przenigdy!...

I marszałkowa Warnicka niżej jeszcze pochyliła na piersi głowę swą - siwą, a czoło jej poraży zmarszczki, znacz - c jakby ślad męcz - cych ścigaj - cych się myśli.

- A ja -, Ojcie, to dzieci, które współ z bratem i ona kochała całą - siłą -

swej duszy, czyż tak znów dalece winiano ją na byt?...

Zapewne...

Nie porzuca się od razu wszystkiego, nie ucieka chyłkiem, choćby nawet w ramiona ukochanego mężczyzny, gdy sprzeciwia się temu wola rodzica, gdy...

Pani Melania przetarła czoło pomarszczoną dłonią. "Młodość nie żartuje, gdy kocha!" zabrzmiały jej w uszach słowa Emila Ładyżńskiego. Miała słuszną rację.

I nagle, z początku nieokreślone, później coraz głębsze, śmielsze, zakiełkowały w duszy staruszki wyrzuty sumienia. Bo czyż doprawdy, Ola nieszczęśliwa tak bardzo była winna?... Miłośzkośćmiła ją, porwała, a reszty niewłaściwie dokonało wychowanie młodej panny, kapryśnej pieszczotki ojca, ulubienicy również jej, marszałkowej, zawsze dla niej pobłażliwej i słabej.

I pani Melania znów zadawała sobie dalej w myśli pytania...

- Czy Ola posiadała w duszy swej to, co by ją od popełnionego kroku wstrzymało? Czy wpajano w nią te zasady młodych, takie na przykład, jakimi ją karmiono lat temu wiele, w których pokolenie jej podobnych wyrosło?... Marszałkowa w zadumie spuściła nisko głowę.

- Nie, nie! - odpowiadało coś skrycie na dnie jej duszy.

Ola zasad takich nie miała, a z czyjejże to było winy?

Najprzód, naturalnie, ojca, Januarego, lecz następnie i jej przecie, zastępując Oli odeszłą z tej ziemi matkę.

I z szarogodzin, coraz bardziej rozgaszczając się po buduarze - z mrokiem, pełnym cichej melancholii lipcowego wieczora, wkradając się do duszy marszałkowej wyrzuty potęgowały, rosły... Samokrytyka za własnego postępowania zgryźliwie szarpała jej mózg, coraz to nowymi pytaniami ją zasypując:

- Czy starała się wniknąć do duszy młodego dziewczęcia, a potem, zbadawszy ją, formować kształcać - mówiła ona. - Czy wtedy - pytała dalej - gdy po niewinnym dzieciństwie i młodocianych lecjach po raz pierwszy wstąpiła Ola, już jako dorosła panna, na śliską arenę salonów i światowego życia, dałaś ty jej, prócz wskazówek powierzchownych, banalnych, jakie przestrogi inne, głębszej, poważniejszej natury?...

A później - gdy rozbawiona, rozmarzona zabawą, flirtami i tańcem, z pobudzonymi zmysłami i wyobraźnią, wracała ona do domu z towarzyskich balów i zebrała - czy zastanowił się wy kiedyś, ty i brat twój, January nad tem, co przechodziło tam przez ową młodą główkę, co zapalało wyobraźnię jej i w bezsennych nocach może marzeniem ułudnym na skrzydłach niezdrowych fantazyj nie pozwalało zamknąć...renic do snu cichego?...

Uczyniliście wy to wszystko? Zastąpiliście dziewczęciu temu matkę, wykonywując wspólnie ten nałożony na was obowiązek, z koniecznością drobniawościami, z którymi w istocie czestokroć nie rachujecie rodzicielki same?...

Oblicze zadumanej marszałkowej wyrażała teraz ciche cierpienie, żal jakby i skruchy, w tym bowiem wewnętrznym, milczącym rachunku sumienia coraz ciężej odczuwała winy po swojej i brata stronie.

A raz poruszone sumienie znów pytało dalej niełaskawie: - Czy pochwytałaś ty również te chwile, gdy do kryształnej młodej dotąd jeszcze duszy zapukała miłośna wkradła się tam, i rozkwitła bujnie? Czuwałaż eś razem z ojcem Oli nad sercem swej pieściotki? Rozumnym słowem, uwaga - głębok, kształciliścież je? hodowali, strzegąc to serce, niby kwiat cieplarniany, od temperatury niezdrowej? Myśleliścież wy o tem, iż tam, zamiast skromnego, piśknego pączka, o barwie żagodnej, może wzrosnąć krycie i bezkształtnie zajął nieapurple - kwiat namiętności cichy, wszystko dokoła duszy - cy swoni -?..

Czy uczyniliście wy to wszystko? - powtórnie, jako konkluzya wtopliwości wszelkich, szarpnęło pytanie ostatnie duszy - marszałkowej.

Przygnębiona oparła znużoną głowę o poduszkę starożytnego mebla.

Odpowiedzenie mogła obronić na zarzuty, powstałe w jej myślach za podszeptem sumienia - milczała zatem.

- Nie! - szyderczo odpowiedział z kolei rozum!... Wypieściliście tylko ulubione swe dziecko, nie odmawialiście mu niczego - osypywaliście wszystkim, czego zapragnęło, znosząc nawet kaprysy, zachcianki i urojenia; ustępując woli, którą rozumnie powinniście byli kształcić i służyć - a nie rozkazywać!

- O, wy! wychowawcy młodego pokolenia, jakże daleko jesteście od powinnościami swoimi!.. załmiała się w kołcu rozum z goryczą.

Marszałkowa Warnicka, nie ruszając się z miejsca, przymknęła powieki, chwilę dłużej - w jednej i tej samej zostawszy pozycji, wreszcie wstała ociężale z miejsca swego i powoli zbliżyła się ku oknu.

Zapalono już latarnie w mieście. Po szerokich - trotuarach pierwszorzędnej ulicy snuły się tłumy. Pani Melania wpatrzyła się w nie, a w jej myślach jednocześnie szumiało:

- Uderz się w piersi!... Mea culpa, mea culpa! - boż winna, bardzo winna!

Zamigotała, zabłysła snopem promieni i iskier miłośni płomyk, i dziewczyna wyciągnęła ku niemu pragnące ramiona, jak światło... bez steru na morzu rozhukanem - dziewczyna, którą wychowała - zdeptała uczucia drogich sobie osób, nie oglądając się nawet za ich błogosławieństwem!

- Zbieracie, co¶cie zasiali! - g¶os jaki¶ w uszach marsza¶kowej rozbrzmiewa¶ i r¶¶, pe¶en pot¶Egi.

Nagle staruszka cofn¶¶ si¶ wstecz ca¶em cia¶em i drgn¶¶ nerwowo. W ciszy apartament¶w rozleg¶ si¶ w tej chwili pokilkakro¶silnie dzwonek.

To by¶ January Gowartowski. Marsza¶kowa przeczuciem ju¶ zgadywa¶a przybycie brata, a przeta¶szy czo¶o r¶Ek-, z g¶¶bokiem westchnieniem odst-pi¶a od okna.

W s-siednim salonie, na odg¶os dzwonka, zapala¶ w¶a¶nie ma¶y lokajczyk ¶wiat¶o, w przedpokoju rozbiera¶ si¶ kto¶ i rozmawia¶ ze s¶u¶-cym.

Pani Melania, ws¶uchawszy si¶ pilnie, pozna¶a g¶os brata. Wysit¶kiem woli rozpogodziwszy, jak umia¶a, oblicze, przest-pi¶a pr¶ buduaru, i wesz¶a powolnym krokiem do salonu. W tej samej chwili we drzwiach ukaza¶ si¶ przyby¶y.

By¶ to m¶E¶czyzna, lat ko¶o sze¶¶dziesi¶ci mo¶e, chudy, wysoki, i pomimo wieku, trzymaj-cy si¶ jeszcze bardzo prosto, oraz gibki, jak trzcina, o wygl-dzie i uk¶adzie delikatnym, zr¶ecznym i dystygowanym. Twarz January Gowartowski mia¶ wygolon- starannie, g¶ow¶ pi¶Ekn-, z przypr¶szonym nieco w¶osem, a w-s sumiasty, bia¶y, okala¶ mu wargi, wygi¶ete nieco dumnie - oblicze za¶ jego, nacechowane jakby wyrazem wynios¶o¶ci, nerwowe, zmienne, znamionowa¶o cz¶owieka, na pierwszy rzut oka, nader wra¶liwego i uczuciowego mo¶e nad miar¶.

Ujrawszy siostr¶, podbieg¶ ku niej szybko i z¶o¶y¶ w milczeniu na jej r¶Ece pe¶en uszanowania poca¶unek. Przytem spojrzenie Gowartowskiego spocz¶¶o na jej twarzy pytaj-co, i dopiero po przelotnej chwili oczekiwania jakby, widz-c marsza¶kow- nieco zmieszan-, odezwa¶ si¶ pierwszy:

- Odebra¶em telegram tw¶, pani siostro, niepok¶ przygna¶ mi¶ tu natychmiast... Ola wyjecha¶a podobno, gdzie? po co? na co?.. Czy tylko jej co z¶ego si¶ nie sta¶o? mo¶e ona chora, gro...nie, bro¶ Bo¶e?.. Powiedz, Melanio, szczer- prawd¶, m¶w pr¶edzej, bo wytrzyma¶ niepokoju nie mog¶!.. - dr¶-co wym¶wi¶ pan January s¶owa ostatnie, z akcentem pro¶by, g¶osem pe¶nym obawy, i z trosk- na wyrazistej twarzy czeka¶ na odpowied....

Tymczasem zmieszanie marsza¶kowej ros¶o. Unikaj-c spojrzenia brata, rzek¶a:

- Ale¶ uspok¶ si¶, m¶ drogi, c¶ znowu?.. Upewniam ci¶E, i¶ Ola najzdrowsza si¶E czuje i ¶e zgo¶a nic z¶ego jej nie grozi...

Twarz Gowartowskiego natychmiast rozpogodzi¶a si¶E i westchnienie ulgi podnios¶o pier¶ jego, odczu¶ bowiem szczer¶aw s¶owach siostry.

Rzuciwszy opodal kapelusze i podr¶ na torebk¶E, usiad¶ wygodnie na fotelu i spokojnym ju¶ zupe¶nie g¶osem zapyta¶:

- No, więc cóż, na Boga, stało się z Ol-? wyjechała - dokąd?...

- Zmęczonym pewnie jesteś i głodnym - przerwała bratu Melania - może kazała ci herbaty, przekąski?... - i mówiła to, przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka.

- Ależ, ma chłre, - żachnęła się trochę niecierpliwie Gowartowski - to wszystko zrobimy później, po cóż te ze mną ceremonie; co ci się dzisiaj stało, taka nienaturalna jakaś jesteś? - zatrzymała się pan January i spojrzał siostrze badawczo w oczy.

- Nakarmisz mnie potem - dorzucił po chwili, z uśmiechem - lecz powiedz mi najpręd, co się tutaj stało?...

Marszałkowa i na to nic zupełnie nie odpowiedziała, bo w tej właśnie chwili na progu salonu ukazała się przywołany lokaj. Wszystko, co dotychczas robiła, miało za cel zyskać tylko na czasie, po prostu bowiem nie wiedziała, w jaki sposób podać bratu smutną i wstrząsającą odpowiedź... i w jakiej uczyniła to formie. Zwróciła się do sędziego.

- Zapal lampę w buduarze, a gdyby kto tam przyszedł, to powiedz, że ciemno, i nie przyjmuję...

- Wszak prawda - z kolei pytał - co na pozór skierowała się do brata - i ty zapewne nie masz dziś ochoty widzieć go?...

Za całą odpowiedź... Gowartowski wruszył z lekka ramionami, jednocześnie jednak z pod oka kilkakrotnie spojrzał na siostrę, a z twarzy jego pierzchała pogoda.

Coś poza kulisami działo się w tym domu niedobrego, czuł to pan January nerwami, więc czołko zasępiło mu się i brwi przelotnie zmarszczyły. Powstał gwałtownie z siedzenia, nieobecny myślami, szukający zagadki, nie rozumiejąc słów siostry, znajdując się już w oświetlonym buduarze i mówiącej coś do niego.

- Co mówisz? nie słyszysz... - rzucił po chwili. - Może tu przejdiesz, będzie nam wygodniej rozmawiać. - powtórzyła głośnie tym razem marszałkowa.

Gowartowski posłusznie podszedł ku drzwiom i przestąpił próg buduaru.

Zamknij drzwi za sobą, mój kochany, i siadaj, proszę cię! - bezdźwięcznym głosem odezwała się pani Melania, sama zaś skierowała się, by przymknąć drzwi do pokoju jeszcze jedne.

Pan January tymczasem usiadł i ze wzrastającym coraz bardziej niepokojem śledził ruchy swej siostry. Teraz był już pewnym, że czeka go coś niezwykłego, i z tego, tak bowiem ostrożnej i dziwnie postępującej siostry dawno już nie oglądał.

Marszałkowa zbliżyła się właśnie ku niemu, a usadowiwszy się obok, na

kanapie, ujęła w obie dłonie rękę brata. Postanowiła w myśli zaraz od razu przeciwnie – ce pewnej rozmowy, rzekła zatem łagodnie i serdecznie, wpatrzywszy się rozumnie i dobrymi oczami w twarz brata.

- Przyrzeknij mi przede wszystkim, mój drogi, że nie zanedbasz zmartwisz się tem, co ci powiem, i znieśiesz wiadomość bardzo smutną, co ci zakomunikowałam – prawdziwie po mojemu...

- Ależ dobrze, dobrze, moja kochana... Lecz powiedz – że mi nareszcie, o co chodzi, bo siedzę, jak na rozłożonych węgłach, i po głowie latają mi wprost niemiłosiernie przypuszczenia!.. Mów prędzej, bętagam – cóż z Olą – się stało?.. - wybuchnął Gowartowski, ostatnie słowa jego drgały wymówkami – i prosił –

Wyraz współczucia przemknął po twarzy matrony siwej, i objęwszy rękami głowę brata, ucałowała ją – czule.

- Ola... już po prostu... - rzekła równocześnie szeptem.

Gowartowski, jak podrzucony, zerwał się z fotelu, i wzrokiem błędnym na marszałkow – spojrzął. - Kiedy? jak? co? gdzie? - wykrzyknął w pierwszej chwili. - To by nie może!... - dorzucił i urwał... Wpatrzywszy się bowiem uważnie w twarz siostry, poznał, iż ona mówi prawdę, po chwili jęknął więc tylko cicho:

- Z kim?... i cała, zdawała się, zawisła na ustach pani Melanii... Głós zadrżał marszałkowej, gdy, jak mogła najspokojniej, panując nad własnym wzruszeniem, odpowiedziała wolno:

- Z Romanem Dzierżyńskim...

- Z Dzierżyńskim... z tym hołdyszem... synem tej... tej Włoszki, śpiewaczki!... - głos zataił się panu Januaremu, i schwycił się on obiema rękami za głowę. - I bez... bez... - tu głos Gowartowskiego przeszedł w chrypkę, snać – strząsał – ca nowina zatamowała mu dech w piersiach - bez mego... pozwolenia... błogosławieństwa!... - wykrztusił; dokończył nareszcie, z bdem i gniewem... Twarz przytem zniekanego otrzyman – wiadomości – ojca, dotąd biała bardzo, zakwitła nagle ceglastym rumieńcem, nogi zaś widocznie zachwiały się pod nim, gdy, ciężko, bezsilnie, upadł na pobliski głębokiel fotel.

Powtórnie, z macierzyńsk – iście troskliwości – objęła głowę stroskanego brata marszałkowa Warnicka, jakby ta czuła pieszczota siostrzana ukojała pragnęła, choć chwilowo, cios, przed chwil – słowami przez nią – zadany.

Lecz Gowartowski odrzucił ją – prawie że brutalnie, niepomyślnie, a chwyciwszy w dłoń rękę siostry, przemówił zapalczywie, urywanym głosem.

- Jak to? I ty, Melanio, pozwoliłaś na to? ty, na opiece której, niby matki rodzonej, zostawię moje dzieci? Ty dałaś zezwolenie, nie zawiadomiwszy mnie o niczym?

I pan January ponownie z miejsca swego się zerwał, i wykrzyknął

wzburzony:

- Wiedz-c, że temu młokosowi, awanturnikowi odmówiłem dawniej, naumyślnie usypialiście czujność moją-, by mnie podejrzyszukał mieliście może, iż ja to przyjmę post factum, "tak sobie!"

- Ale zmiłuj się, uspokój! - pospiesznie przerwała marszałkowa. - Nic jeszcze nie wiesz dokładnie, a już obwiniasz innych na chybił-trafił. Proszę cię, bardzo proszę, cierpliwoci trochę, spokoju, a ż opowiem ci wszystko, - dodała błagalnie.

Pan January mimo woli ucichł i spojrzął pytająco na siostrę.

- Serce-ż ty moje, posłuchaj, a nie martw się tak okrutnie - drż-cym od wzruszenia głosem, ze współczuciem, przemówiła znowu pani Melania, w nagłym rozczeniu zatr-cając przytem wyra...nie rodzonym ukraińskim akcentem, od którego odzwyczała się była sw- ci-gł- bytnoci- w mieście. - Posłuchaj, jak się rzecz miała - zaczęła marszałkowa, i ci-gnęła tak dalej: - Przede wszystkim, kiedy już tak boleńnie dotkn-łe mi przypuszczeniem, że byłam w zмовie przeciwko tobie, wytłumaczyś mi winam... Tak nie było wcale, jak s-dzisz; przeciwnie do ostatniej chwili ja o niczym zgoła nie wiedziałam...

Jak to? - przerwał siostrze zdumiony Gowartowski.

- Tak, serce, tak, Januarku, ja nic zupełnie nie wiedziałam - powtórzyła marszałkowa, z widocznym żalem w głosie - a dlaczego? Dlatego, że oni poradzili sobie bez nas... Roman porwał Ojca i natychmiast wyjechali razem za granicę.

I pani Melania umilkła, wszystko najgorsze już było bratu wiadomem. Pod nowym ciosem pochyliła się głowa młodziżny, i odbiło się na niej jeszcze boleńniejsze cierpienie.

- Olu!... Olu!... dziecko moje!.. Jakże zawiodłem się na, tobie! - z ciężkim westchnieniem wymknęło się z ust biednego ojca.

Marszałkowa spogl-dała wzruszona na brata. Gniewu jego nie bała się ona; uniesienie przechodzi. Lecz czego lękała się dot-d najbardziej, to tej rany wstępnie, zadanej kochaj-cemu sercu ojcowskiemu przez córkę, depcz-c- przywi-zanie do niej silne i bez upamiętania - dla ułudnej fatamorgany zmysłowych rozkoszy, dla miłości kwiatów i ponęt...

Pan January, z głow- na piersi schylon-, milczał teraz, ukrywając twarz w dłoni. Ze wzrastaj-cem coraz bardziej współczuciem patrzyła wci-ż pani Melania na brata i myślała:

- O, dzieci, dzieci, pokolenia młode, jakże wy często i okrutnie raniacie serca starych! Przywi-zuje się ich jesie smutna do waszych wiosen, pełnych wesela, a wy, jak te ptaki, szukaj-ce wci-ż ciepła i słońca, lekkomyślnie rzućcie te serca, traktujecie miłość zaparciem siebie pełn-, a pogardzaj-c dogasaj-cemi, popielej-cemi iskrami - szukacie, garniecie się do ognia, do młodych!..

Przecież i dla mnie pieśczołka Ola była dotąd wszystkim, lube dziecię!

Tak, lecz od genezy uczucia jej i brata nie było słońce miłości młodej, ptaszyna zerwała jedwabne pęta przywiłaz domowych, bo w mroki cichych, dotychczasowych jej uczuć serduszka dziewczęcego, wdarł się promienisty blask potężniejszy, silniejszy! Zwyła kolej rzeczy tego świata...

Chc-c przerwał milczenie, pełne dla obojga rozmyślań przykrych, pani Melania poczęła mówić znowu przyciszonym głosem:

- Podziękujmy Bogu jeszcze, mój drogi January, że byłem skończył się to wszystko. Teraz z wolą Bożą - pogodź się należ, i z przeznaczeniem, to trudno... - cięgnę dalej, widz-c, że na jej słowa wyrwany z głębokiej zadumy brat podniósł głowę i sęucha - Nie uwierzysz, ile ja przecierpiałam, nim doniesiono mi o tem, że oni gdzieś w pobliżu austriackiej granicy, w jakiejś tam wioszczynie był wzięli.

- Zk-dże masz tę wiadomość - zżamanym i cichym głosem spytał Gowartowski.

- Marszałkowa ze smutkiem spojrzała na brata. Serce zabiło jej, jakże bowiem innym, odmiennym całkiem, stał się on nagle teraz, po odebraniu wiadomości, tak dlań wszechstronnie bolesnej. Powoli, miękko, opowiadała mu ona poczęła stopniowo wszystko.

A więc, o ucieczce Oli, o własnych cierpieniach, o tem, że z tak licznych znajomych prawdy nie domyła się dotąd nikt jeszcze, o Ładyżyńskim...

Pan January, przybity, sęuchał teraz słów siostry pokornie, jak dziecko, nie odzywał się już wcale, trudno zań było zaręczyć w myślach bezustannie zatopiony - sęyszał.

Skończywszy sw- opowieść marszałkowa rzekła:

- Bóg mi świadkiem, iż nic winę nie jestem... Po wyje...dzie twoim i odmowie, którą dał mi Dzierżymirskiemu, gdy oświadczył się o Ojce przed paru tygodniami, nie przyjmowałam go wcale. Gdzie widywał się z Oj- jak i kiedy użożyli ze sobą wszystko? Dotychczas żadnego o tem nie mam pojęcia. Cóż robię wola Boska!..

Gdy marszałkowa wymawiała te ostatnie wyrazy, instynktownie przysunęła się do brata, chc-c pocieszyć go zapewne, lecz w tej samej chwili spojrzenie jej padło na drzwi od salonu, i drgnęła nerwowo. Zdało jej się, że ktoś dotyka wężnie klamki...

Rzeczywiście, w sekundę później rozległo się trzykrotne pukanie, w ślad za tem zań sęu-cy zawiadomił, że podano kolację i herbatę.

- Czy masz ochotę jeść teraz? - spytała żagodnie brata pani Melania.

Pan January, machn-wszy poprzednio rCEk-, zrobił głow- ruch negatywy,
pełny obojętności i zniechęcenia.

Marszałkowa westchnęła cicho.

-Będziemy jedli pó..niej! - rzuciła głownie.

Po drugiej stronie drzwi buduaru zaintrygowany lokaj schylił się i
spojrzył przez dziurkę od klucza, poczem jeszcze bardziej zaciekawiony
przyciszon- rozmow-, której w-łka schwycenie mógł, postawszy chwilę,
oddalił się na palcach by zakomunikować wiadomość pozostającej służbie.

Z dobr- godzinę, a może i więcej jeszcze, minęło nim roztworzyły się owe
drzwi buduaru, i wyszło z niego rodzeństwo. Jakież jednak było zdumienie
domowników, gdy zamiast spożywać wieczerzę, oboje rozeszli się do swoich
komnat, nie tkn-wszy jej wcale.

I pó..no potem w apartamentach marszałkowej Warnickiej paliły się dwa
światła.

Długo, bardzo długo, na klęczkach przed zapalon- lampk- i wizerunkiem
Matki Bożej modliła się gor-co polska matrona, zanosz-c prośby do nieba.
Ukrywszy głowę w dłonie, rozmyślała ona o ulubienicy swej, Oli, modliła
się za ni-, za brata wreszcie, by mu los przyszłoprosządził. W końcu
światło u niej zgasło. Zmęczona wrażeniami ciężkich trzech dni
ostatnich, staruszka zasnęła twardo, pojednana z przeznaczeniem -
wzmocniona modlitw-...

Inaczej się działo w komnacie Gowartowskiego. I on po jakimś czasie,
zmęczony jednostaj- po pokoju wędrownk-, zgasił lampę, ułożywszy się do
snu.

Lecz sen - ukoiciel daleko odleciał od zniekanego starca.

Przez wielkie okno wkradało się półświatło usianej gwiazdami nocy
letniej, sennej i cichej; mrugaj-ce na niebie gwiazdy zagł-dały do
wnętrza - komnaty, położonej na dole i zwróconej ku ogrodowi, a
zawisłszy nad łóżem, wpatrywały się błyszcz-ce, pytając niedyskretnych
pełne, w pobladłe lica bolejęcego tu człowieka.

O! jakże noc ta polska, swobodna, zadumana i jasna była inn- dla
zapomnianego ojca, a jak inna, chociaż sama, rozpięta na włoskim
niebie, dla dwojga młodych w Wenecji!...

Tam, w upojeniu, w miłosnej ekstazie, dwie dusze, dwa młode istnienia
zlewały się w jedno!... Na zegarach ich przeznaczenie teraz wstałnie biła
może zgodnie aksamitnymi cichymi tony, ziemską ułudną szczelnicia
godzina...

A tu?...

Z cierpieniem i bdem sam na sam borykał się starzec, tłumi-c ży,
cisn-ce mu się gwałtem do oczu...

Bo czyż, zaiste, to dziecię własne, drogie, nie sponiewierało go bezlitośnie? Czyż za tyle lat ojcowskich trudów, miłości i zaparcia się siebie, on, rodzic kochający, jak rzadko który może, zasłuzył tego ostatecznego, pogardliwego zdeptania?

Więc on wobec córki własnej nic nie znaczył? Bógosławieństwo jego jest niczem, pozwolenie - zerem! On sam zał, jego własne "ja," którego odzwierciedlenie niezatartem, zdawało mu się piętnem, odbite było na duszy Oli, także okazało się tak słabem tylko? O! do jakiego stopnia słabem nawet, kiedy nie potrafiło oprzeć się nowemu uczuciu - intruzowi!...

Uśmiech gorzki, boleści pełny, przemknął się po ustach Gowartowskiego.

- Więc nic trwałego na tym padole! - myślał - wszystko marności... rozwiewającym puchem!... Więc drogie kamienie, perły uczucia, powstałe w ojcowskiej duszy z tysiącnych życia szczegółów, cicho wyrosłe tam kwiaty trwałego rodzicielskiego przywiązania, z góry już skazane być musz- niemiłosiernie, by zwiędł- aapoznane...

Ach, jakże on, naiwny, dalekim był myśl- od tego! Jakiemże przykrem rozczarowaniem była dlań ta naga rzeczywistość brutalna, bez zaston, choćby konwencyonalnych tylko!

Gowartowski ścisnął głowę rękami, zdawało mu się bowiem, iż ona pęknie od myśli, cisnących się, jak nieproszone tłumy... Subtelny umysł jego giął się pod ich naporem, szumiał, niby rój brzęczących, dokuczliwych owadów.

Nagle, jakby dziwnym wpływem reakcji, w głowie leżącego zapanowała próżnia...

Gowartowski na małą sekundę tylko przestał myśleć.

I natychmiast zrócznie z chwili tej skorzystała samowiedza.

- Przypomnij sobie własną przeszłość szepnęła - b-d... wyrozumiąym!... Poszukaj dobrze, a niew- tliwie znajdziesz tam moment, analogiczny z chwil- obecn-!...

Wszak młodociana swoje silne prawa, każdy w tym czasie korzysta z nich, a staro- ubrana w po- kł- le- ce liście jesieni życia, sw- głowę srebr- pochyla- zawsze musi przed jej o- lepiającym blaskiem, pomna, że i ona kiedyś taka sama była.

I pan January wysiłkiem woli uprzytomnił sobie nagle minione lata swoje, wpatrzył się w nie na chwilę...

- Nie, nie!... - wołał poczęto we wzburzeniu całe jego jestestwo.

Tego, co go dzisiaj spotykało, nie było tam zgoła. On szanował sędziwy wiek, przywiązania starych nie traktował; choć kochał i szalał, jednak

zawsze godził jedno z drugim.

Tu zaś obecnie działo się zupełnie co innego. I Gowartowski w tej samej chwili odwrócił się do Alicji, a przymknął wszy machinalnie powieki, i jakby chroniąc się od jakichś odgłosów, jak dzieci wcisnął w poduszki głowę swą i rękę. Bo nagle zdało mu się wyraźnie, że czyn Oli przyoblekł się w słowa i w pustych, cichych ścianach pokoju krzyczy wielkim głosem:

- Idź... w kąt, stary niedośćego! Czyż ja potrzebuję ciebie? pytam. Ja chcę tylko kochać. Pragnę za mój i twoje życie, czynny drogiego sercu, a ty ty myślisz mi przeszkadzać...

W ciszy pokoju, w uśpieniu letniej nocy, rozległo się bolesne, stłumione płkanie - starzec płakał...

Dawno niezmocone były śnieżne męskie powieki, zaszkliły się rosy - - stroskanego ojca uniósł ból - poczęła rozsadać piersi.

A jednocześnie przywidziało mu się, jakby w halucynacji nagłej, że oto skądś nagle, do ciasnych ram sypialni wpada, jak huragan, dziwny rydwan złoty... Przytuleni, zrośli jakoby ze sobą, siedzą na nim Roman i Ola, zapatrzeni w siebie, nie widząc nic dokoła.

Rydwan zaś wspaniałą zbliża się coraz bardziej...

Ciągną go ogniste piękne rumaki białe, a po jego stopniach, ozdobach i kobiercach, wszędzie sypią się kwiaty; zasypują go, pochłaniają...

Muzyka wesoła, skoczna, zagłusza tymczasem tętent koni - nad zakochanymi młodymi roje cherubów unoszą się w górę, skrzydełka ich szumi radośnie, a czarowna miłośniczka łączy im drogę!...

I Gowartowskiemu zdaje się równocześnie, że pojazd ten wprost na niego wpada.

Tak jest, wyraźnie, wyraźnie!...

Czuje bo oto na piersiach swych bolesne grubiańskie uderzenia kopyt kołowych...

Ach!...

To koń rydwanu przemknął po nim zwiędł!...

Zaszumiało... Posypały się znowu wonnym deszczem kwiaty, muzyka głębszej zabrzmiała.

Minęła chwila...

Ucichło wszystko, znikło i tylko jeszcze w milczeniu echem ostatnim zadrżała miłośniczka pocątku szmer...

Pojechali.

Zimny pot zaperlił się na czole Gowartowskiego. - Przez myśl przemknęło mu słowo: Waryjacje?...

Lecz niebawem znowu powróciła myśl zbłąkana.

I cierpienie natychmiast ukłuciami drobnymi ranią go ponownie zaczęło.

Powtórnie, umilkł na drobną chwilę, jak przypływ morza, niepowstrzymany, powrotny, rozległo się w cichym spokoju komnaty zduszone płkanie...

Szerokim korytem rozlewała się boleśnie upokorzonego, zranionego ojcowskiego serca, i przez otwarte okno cicho płynęła eterami, w dal...

Na dworze ściemniło się tymczasem; gdzieś na czystym niebie pojawiły się małe chmurki, przesłoniły zglądające ciekawie do pokoju gwiazdy...

Cienie rozkładały się obecnie w sypialni, a z nimi powoli, zmęczeniem snawczych żań i wyczerpaniem, milkło bolesne płkanie starca, przechodząc stopniowo w płacz cichy. Cóż stało się powodem tego ukojenia, działającego łagodnie, jak balsam, na znękanym cierpieniami duszy stroskanego ojca?

Może to było przywidzeniem tylko, jednak w majaczących, coraz więcej zasiedlających pokój półcieniach, na ich tle widoczna zarysowała się niewyraźna jakaś postać nachylona ze współczuciem...

Któż to był tak niepochwytny, z eterów zaledwie złożony cały? Mara, czy złudzenie?

Jednocześnie jakiś dziwny szelest jakby rozległ się również po pokoju... Z przytęumionym szelestem, jednostajnie, kropla po kropelce spadało coś w pewnych od siebie odstępach, za spadnięciem za każdą kropli rozlegał się w cichej komnacie jakiś pełny, oddzielny, harmonijny ton stęumiony - grała jednolita, oderwana, melodyjna nuta.

Cichą - i znów to samo czyniła druga, trzecia, czwarta...

Cóż to było na Boga? Czary, czy też tylko igraszka cieni i szeptu?.. Nie. To niewidzialny dla ludzkiego oka, przywołany ze sfer niebieskich prawdziwym cierpieniem, spłynął był Anioł pocieszenia, a siadłszy cicho przy łóżku szarpącego się z hydrbóu starca, niósł mu ukojenie - od Boga!...

fiany pokoju tymczasem coraz ciszej grały swym muzyką dziwną...

To ostatnie, do czary konchowej w dłoniach Pocieszyciela, zmieniając się tam w piękne drogocenne perły, spadały z oczu człowieka-ojca - ży...

Nad lekko zmarszczon-, a mieni-c- siCE jeszcze w zielonkawę blaski powierzchnia Adryatyckiego morza, daleko na widnokrCEgu, żagodniała coraz bardziej czerwona wstCEga zachodu, a ż znikła, speżżła zupełnie, wyparta mrokiem id-cego wieczoru.

W zakładzie k-pielowym, na Lido, zapó..nieni, w rozmaitych kostyumach gońcie, powoli, stopniowo, zd-żali do kabin swych, a ż objCEta palami i sznurem ogromna przestrzeæ morza, przeznaczona na k-piel, zupełnie opustoszała niebawem.

Natomiast na werandzie pońrodku zakładu, na rubieży k-pieli, zaroiło siCE od gońci, spragnionych wypoczynku.

Odcinaj-c siCE od innych wysok-, smukł-sw- postaw- i dystynkcy-, zmierzaj-cy do wolnego miejsca tuż pod balustrad-, nad morzem, przeciskał siCE pomiCEdzy licznymi zajętymi już stolikami, Roman Dzierzymirski, w ubraniu całem białem, licuj-cem bardzo korzystnie z piCEkn- Ńniad- twarz- jego i czarnym zarostem. Znalazłszy w korku wolne miejsce, usiadł i kazał podać sobie napó odńwieżaj-cy, a zdj-wszy zarazem biały kapelusz - z tegoż materiału, co odzienie zrobiony - spojrzął wokoło...

Przytłumionym szmerem rozmów, prowadzonych w przerónych jCEzykach, brzCEczał w jego uszach, jak rój owadów, zebrany tłum; na piCEknego, a samotnego cudzoziemca spogl-dało ciekawie i zalotnie kilka sied-cych opodal, przystojnych Włoszek o grubych zmysłowych wargach i dużych, błyszcz-cych, czarnych, jak wCEgiel, oczach.

Dzierzymirski przetarł czoło rCEk-, i popatrzył z kolei przed siebie. Otulone już mgłami zmierzchu morze marzyło jakby zadumane. Przyciszonym łaskotem uderzało o brzeg fal-, mówiło coś, szeptało...

Na pokarbowanej, coraz bardziej ciemniej-cej jego fali Ńcigały siCE teraz mroki, jakień cienie tajemniczo pływają po nim, gwarzyły ze sob- gdzień w oddali, a tłumione ich głośy niósł echem żagodny szmer fali...

TCEsknym wzrokiem wpatrzył siCE Dzierzymirski w bezmiar wód Adryatyku, zdało mu siCE bowiem, że wńród tych otaczaj-cych go, obcych ludzi, ono jedno brata siCE z nim obecnie, i przyjacielskiem uchem myńli jego słucha.

A Roman całkiem swobodnie poddałsiCE im mógl po raz pierwszy od bardzo dawna; nie oczekiwał bowiem na nikogo, był sam zupełnie; żonCE, cierpi-c- na migrenCE, pozostawił w hotelu na własne jej ż-danie.

Dot-d zań po prostu nie miał czasu pomyńleæwnikn-æw siebie.

Od chwili przyjazdu Romana do Wenecyi mijało dwa tygodnie, a w całym tym

okresie, upojony haszyszem miłości dzielonej, przykuty do Oli złotymi
taecuchy uczucia, wprzgnięty w oształtamięce, ułudne jarzmo chwil
miodowych - ni on, spał, życie- c życiem nie rzeczywistem, ale jakim
innem, oderwanem, ni- cem się li tylko jasności-, promieniami i
blaskiem.

Prócz tego, jednocześnie doznawał on i wrażeń innych, subtelniejszych.
Był za nimi: po pierwsze, wrażenia czysto zewnętrzne, a więc cięte,
bezustanne pobudzenie poczucia piękna, wywołane zetknięciem się z sztuk-
tego zakłkami pamiętki Italii; - wewnętrzne, a tym razem również w
cięższej pozostać- czności z osi- wszystkiego dla teraz - z O-.

Dzierżymirski z licznych dotąd miostek obeznany był dobrze z kobietami,
po raz jednak pierwszy odczuwał to, co dził...

Bo dotąd tak zwykle zdarzało się zazwyczaj; że on był w miłości zawsze
prawie nastrojonym na silniejszy diapazon, a kobieta bierniej- była -
poddawała się tylko sile jego uczucia.

Teraz zał działało się wręcz przeciwnie: to on czuł się więcej pragnionym
i kochanym - to on poddawał się sile szafów, po- dał...

Po stronie kobiety była widoczna przewaga, Roman zał nurzał się w tej
czystej toni niepokalanego dotąd niczem uczucia, jak w ...rdle wiewięciem,
krytycznym nowego złotego życia, odmładzał się w niem, orze...wiał, i
upojony, odurzony - zasypiał życie, marzył i nił, wchłaniać- c w siebie
cał- moc i potęgę skierowanej ku niemu miłości.

A jednak, wszak i on kochał O: Ktż by w- pił o tem, gdyby tylko mógł
spojrzeana ukryt-, starannie od ludzkiego oka, a zapisan- kartę jego
tak niedawnej jeszcze przeszłości.

W tej chwili Roman, przeżywaj- c jakby w myłach swych, poza
tera...niejszości- i lata minione, wzdrygn-ł się, brwi zmarszczył, i
machinalnie spojrzął przed siebie.

Zupełnie spowił już morze mrok ciemny. Hen, daleko, bęczały wiatła,
pozapalane na niewidzialnych prawie gołem okiem parowcach. Trzy z nich
mruęły już na kołysz- cym się wodnym obszarze, po chwili zabęcło
czwarte, pi-te...

Lekki wietrzyk wion-ł po fali, poruszył się zadumany wól olbrzym,
zakłysał, zaszumiał tajemniczo głęńszym, niż dotąd, chęm
podszepców, szelestów i szmerów - melodyjnie zagrał...

U stóp Romana silniej zapluskały fale.

W uderzeniach zał ich, teraz już zupełnie bliskich, wyra...nych,
powtarzaj- cych się co chwila, jakił ukryty, szyderczy, szemr- cy jakby
głos wołał, zda się, gdzieł z gębini dalekich:

- No, i cż, przywłaszczycielu cudzego złota, dobrze ci z niem, co,
nieprawdaż? Ubóstwiaj- cię, grasz rolę milionera!

Ha-ha!-ha-ha!.. z kolei załłmiały siCE nagle wody.

- Myłłlisz moze, ze teraz, dotykaj-c siCE już pieniCEdzy innych, wytłumaczonym przez to jestełł? fle zapomniano, zagrzebano tw- tajemnicCE?

- Ha-ha!-ha-ha!.. - łłmiało siCE morze ironicznie, i dalej znowu szydziło:

- A widzisz - zbladłł! Ty dotychczas pewnym byłł, ze nikt nic nie wie o tem!..

- A ja wiem, dobrze wiem!... - szyderczo załłmiało siCE morze, a łłmiech ten wól ogromy coraz głłniej przedrze...niaapoczłłty.

Teraz już całe morze bezlitołłnie drwiło.

Naraz głłos Adryatyku ustał i cichym szeptem zaszemrała fala:

- Nie bój siCE! ja złartujCE tylko... nie trwól siCE, ja ciCE nie zdradzCE...

- Patrz, jakie głłcie kryj- siCE w mem łłonie jak wielkiem jestem ja!..

- TajemnicCE tw- zachowam, zginie ona w obszarach, w bezdnach utonie...

- Nie powiem, ci... cho bCEdCE... ci... cho... - zaszepała znów fala, i szept ten powtórzyły fal miliony...

I jak łłmiech szyderczy, tak i teraz ten pólłszep cichy, stłłumiony, drłł-cy, szedł znowu po łłuskach fal, tajemniczy, straszny...

Nie... po... wiem!.. ci-cho bCEdCE, ccci-cho...

Nerwy Romana zadrgały; podrażniły go te dziwne głłosy Adryatyku, odsun-ł krzesło na drugi koniec stolika, podparł rCEkami głłowCE, a zatkawszy uszy przed pomrukiem wól, wzburzony jeszcze, blady, zadumał siCE głłEboko.

Przeszłłłławywołana chwil- samotnołłci, i dziwnymi morza pogwary, łłwiezła i zływa, niby wczorajsza, stanłłła mu przed oczyma, jak widmo.

Na ubogiem poddaszu, ujrzał zatem siebie budz-cym siCE po łłnie straszny!

Dwa już lata od tej chwili mijały. A co on od owego czasu przecierpiał, przeżył, przewalczył! - nie zliczyłł.

Dłługo nie tkn-ł wówczas cudzych pieniCEdzy; tajemniczy portfel leżał pod kluczem, pozornie zapomniany.

A on ci-gle walczyłł ze sob-!..

Nie zanosił jednak zguby do biura policyjnego, sam osobiłłcie włłłciciela nie szukał. Czekał...

Pod tym wzglłłedem niepokoj-ca, tłłocz-ca sw- zagadk-, głłucha panowała

cisza.

W ładu nie było wzmianki o zgubionym pugilaresie - nikt o tem władzom nie doniósł...

A on wci-ż szalał.

Wreszcie wyczerpały się wszystkie jego własne fundusze, parę ostatnich lekcji stracił bezpowrotnie; gwałt zajął do jego izdebki... Nie było rady, napoczął wówczas cudzego złota.

Jakby to było wczoraj, dzień zaledwie, pamięta wyra...nie te tygodnie męczarni, boja...ni, wyrzutów, gdy się- okoliczności zmuszonym został "z yżn mienia przywłaszczonego... Pamięta sw- trwogę dziecin- przy zmianie pierwszej sztuki znalezionych pieniędzy, i innych, następnych... Widzi siebie, jak naumyślnie zmieniał je na drugim końcu miasta, jak bał się wtedy własnego cienia, i tak dalej, tak dalej!..

Każda drobnostka żywo, jawnie staje mu przed wzrokiem.

A pó...niej znowu w murach rodzinnego miasta wytrzymał i nie mógł!..

Wyjechał. Bł-kał się za granic- długo, bezmyślnie, aż dotarł do Monte-Carlo.

Tam, opanowany gor-czk- złota, widząc, jak strumienie jego, rzeki całe, płyn- hojnie wokoło - do gry w ruletę rzucił się z zapałem.

Początkowo miał szczęście szalone. Cudzy pieni-dz dwoił się, troił cudownie, pewnego poranku jednak przegrał wszystko co do grosza. Nie stracił jednak odwagi. Dawszy się już poznać domu gry, jako człowiek bogaty i nierachujący się wcale z groszem, oraz rozpowszechniwszy fałszyw- pogłosek o olbrzymich swych jakoby dobrach, pożyty u poznane go amerykańskiego miliardera trzykrosto tysięcy franków.

Poręczył za niego pewien lord angielski, z którym się on, Roman, poprzyja...nił bardzo. Począł grać. Pieni-dze Amerykanina, (który, mówi- nawiasem, wygrywał w tym sezonie sumy olbrzymie), przyniósł mu szczęście.

Dziękami parokrotnym, a nader rzadkim i nieprawdopodobnej długości seryom "rouge", oraz kilku wygranym "en plein", pewnego dnia ujrzał się panem miliona franków. Uśmiech fortuny oszołomił go na razie. Począł grać z dwójon- energią i ryzykiem.

Znowu wygrał kilkakrotnie, lecz z kolei niebawem począł znowu przegrywać przerażaj- szybko. Opamiętał się. Przyszła chwila rozważli; oddał dług milionerowi z za oceanu i wyjechał. Względnie był jeszcze wygranym, i to dostatecznie. Przywoził z sob- do kraju blisko sześćdziesiąt tysięcy, a wyjeżdżaj- miał tylko dwadzieścia kilka.

Wówczas rozpoczął się dla nowego życie...

Przede wszystkim wracał spokojny. Niezrozumiały na razie, subtelny bardzo, posiadający jednak pewną podstawę filologiczną, owładnięty nim wtedy w duszy proces dedukcyjny, i zwyciężył.

Roman Dzierżymirski, cały pogrążony w swych wspomnieniach, odsłonił twarz, machinalnie powstał, i oparłszy się o balustradę, wpatrzył w bezmiar morza, coraz ciemniejszy i cichszy.

- Tak, zwyciężył! - myślał Roman dalej. Zdawało mu się bowiem wówczas, że nie jest tak bardzo winnym.

- Te pieniądze są teraz moje, "prawdziwie" moje - powiedział sobie wtedy, doszedłszy do tej pewności całym poprzednim skojarzeniem wywodzącym. A mianowicie: Złoto znalezione wszak przegrał; stopił się ono, znikło, zlało w całość z morzem przegrywanych w jaskini gry pieniędzy. Mienie zaś jego obecne - to była tylko wygrana z pożyczki Amerykanina, a zatem suma grosza, niemająca już bezpośredniego, dotykającego związku ze znalezionym portfelem.

Jemu, Dzierżymirskiemu, w dziedzinie sumienia wyrzutów, dociekał, zwłókniał, ubywał jeden szkopuł poważny - nie dotykał się on już wyjątkowo z "cudzego" pugilaresu grosza. Niezaprzeczenie przytem należał do niego ten pieniądź, nielegalny - losu nabyty; podwalin - zaś, przeszłości - tylko fortunki tej było przywłaszczenie.

Pozostawał fakt, wprawdzie już daleki, znalezienia i nieoddania - pozostawało niezmiennie przekroczenie etyki ludzkiej, i uczciwości ze strony jego, jako jednostki społecznej - niczem niestarta, wieczna tego plama, ale w ówczesnym przynajmniej przekonaniu jego, to wszystko znośniejszym, nie tak piekącym, lżejszym bez porównania było od odległego straszego wczoraj.

Z głową podniesioną - zatem do góry, pokrzepiony powiększonymi w swoim rodzaju sofizmatami, rozejrzał się wówczas po świecie i poczynił działania. Rozpowszechniwszy, za pomocą ponownie odnalezionego przyjaciela i dawnego kolegi - wiatowca, pogłaskał o dziedzictwie niespodzianem, a doświadczył pokaźnym, po stryju, zmarłym w Stanach Zjednoczonych, rzucił się w wir zabaw eleganckiego świata, w celu zbliżenia się do Oli. Dopieroż tego, zawładniętym sercem potrafił, oświadczył się o jej rękę, odrzuconym został, i...

Powierzchnia morza spokojna - już była. Obojętna całym równomiernie i łagodnie uderzała fala o podłogę werandy - milczała cicha...

Dzierżymirski obudził się ze swych myśli, zanurzył rękę w bujnej czuprynie, głowę wstrząsnął, jakby pragnąc odprężyć swoje wspomnienie, i odwrócił się od wodnej toni.

Publiczności nie było już prawie, po platformie kawiarni, ziewając, przechadzała się służba. Zawoławszy kelnera, Roman rzucił mu dużą srebrną monetę, i odprowadzony głębokim jego ukłonem, opuścił zakłopotany kielonem.

Niebawem znalazł się na drodze szerokiej, ocienionej drzewami, z szerokimi po bokach alejami dla pieszych.

W umyśle jego cichy szept przeszłoci, niepostrzeżenie, stopniowo, obrazy jej niktę - tera...niezszo...wracała... Przed wzrokiem męczyzny mignęła naraz rozkosznie sylwetka Oli; pragnienie miłości, życia, silnie nim owładnęło.

f pieszy się.

Odpędził natrętnego wyrostka, zachwalając mu wieże ostrygi i jakieś limaczkę nadzwyczajną; niebawem ucałował się znowu niecierpliwie, ujrawszy zastój - cego mu drogę rozczochranego starego Włocha, z małżonkami, pełnymi pieczonych homarów i drobnych raczków.

Po bokach drogi, w licznie rozsypanych restauracjach, roiło się od spożywających i zapijających wino ludzi, z oddali dolatywało echo muzyki. Roman, przyśpieszając bezustannie kroku, wyrzucił teraz poczęt siebie, że zostawił on sam -; niepokoiła go myśl uporczywa, iż nie cierpi ona może na migrenę, lecz, że to poczętek zapewne słabości zupełnie innej; wszak wszystkie choroby zazwyczaj rozpoczynają się będem głowy.

Po co tu przyszedł?... By bezużytecznie odgrzebywać minione chwile? Ale to nonsens zupełnie. A tam ona, Ola, sama zupełnie - niewiżliwie chora!..

Miłość, z całym bogactwem bezpodstawnych swych wzruszeń i niepokojów, zawładnęła niepodzielnie Dzierżymirskim.

Spojrzał na zegarek - dochodziła dziewięć. Przed nim już bardzo blisko widniały dwie małe platformy przystani; pełne były ludzi, przed jednymi stał parowiec, gotowy do odejścia. Dzierżymirski w obawie, że się pó...ni, puścił się pędem, i spotniały dobiegł do przystani w tej samej wspaniale chwili, gdy na pokład odrzucano już sznur gruby, przytrzymujący parowiec. Wskoczywszy na szybko, Roman znalazł się pomiędzy natłoczonymi ludźmi, jak głośny róg pszczał gwarzący pomiędzy sobą, że imiechem i giestykulacy.

Otarłszy pot z czoła, Dzierżymirski wsparł się o poręcz balustrady pokładu. Boki statku łagodnie pruły fale; oddzielona ciemnymi, w bliskiej już odległości mrugała kręgiem światła rzucona na wód obszary Wenecya.

Podniósłszy do oczu dalekonożną lunetę, wpatrzył się Roman w rzędy domów, położonych nad brzegiem, ku któremu szybko płynący parowiec zbliżał się coraz bardziej. Szukał hotelu swego, i okna pokoju, gdzie pozostawił OICE.

Okno komnaty tej wspaniale otwartem było szeroko. W ramie za jego stała kobieta, szatynka, smukła, o jasnym, habrowym spojrzeniu podługnych, mieniących się oczu, o piersiach wypukłych, wznoszących się jak fala, a kształtach ponętnych, pełnych, jakby pragnących gwałtem wyostać się z ciasnych ram opiętej, białej, pikowej sukni. Małe wkleśnięcia po obu

stronach w-zkich usteczek zdradzały przy uśmiechu rozkoszne dołeczki, r-czka maleńka i dystygowana cała postać mówiły wyra...nie o rasie młodej osóki.

Ola, wypocz-wszy w łóku godzin kilka, wstała wstała przed chwil-, czuj-c, że nerwowy, spowodowany upałem i zmęczeniem bóg głowy ustaje. Pragnęła po za tem rozerwa-rochCE myśli, z wyjciem bowiem Romana zasnęła i ni jej siCE rodzinny Gowartów i ojciec, jak żywy, tylko jaki smutny i zbolały.

I po przebudzeniu myśli Oli pobiegła st-d daleko... Mimo woli sama uleciała do ojczystych obszarów i jarów. Powonienie jej podrażniło wyra...ny zapach polnego kwiecia, ziół i bodjaków, w uszach zabrzmiała melodia cicha szumi-cych borów, kożysz-cego siCE miarowo stepu - smętna rodzinna Ukraina, z poza setek mil, ogarnęła ją tu, pod wąskiem niebem, poczuła, zda siCE, powiew jej, tęsknoty pełny, do uszu za doleciało jakby gin-ce echo żałosnej dumki, śpiewanej nieuczonym głosem młodocy...

I smutek ogarnęła OI... Czy wróci tam kiedy, czy wróci?

Wszak podeptała wszystko - jednym szarpnięciem siCE zerwała wszelkie więzy - sama otworzyła sobie przemoc- bramę do wymarzonego szczęcia. Tak jest. Bo Ola czuła siCE przecież rzeczywiście szczęliw-.

- Biedny ten ojciec jednak, który po swojemu, jak umiał, tak ją kochał - myślała dalej. - A droga ciotka Melania i przyjaciel ich, Ładyński? Gdzie Gowartów, z którym zrosła siCE jej dusza cała? Co siCE tam dzieje? Gdzie oni teraz, ci wszyscy, tak dotychczas sercu drodzy?..

Rozpamiętaj-c w ten sposób przeszłość przepędziła Ola z godzinCE.

Moc upajaj-cej rzeczywistości tak siln- była, jednak, że stopniowo ściera-poczęła wrazenie snu i ożyte chwilowo wspomnienia. Obecnie stoj-ca w oknie młoda kobieta myśli- dalek- już była od tego wszystkiego. Obejmuj-c wzrokiem panoramCE portu i morza - oświetlon- WenecyCE, wysepki z kołciołem S-to Giorgio Maggiore, oraz kanały z mkn-cemi cicho po nich licznymi gondolami, - Ola z niecierpliwości- wypatrywała Romana.

Pragnęła już bowiem widoku mCEła. Przedtę ona nieobecność Dzierżymirskiego i w jej duszy zasiała ziarnka niepokoju; tęskniła już za jego pieśczęt-, zapagnęła czućoci i pocałunków...

Wzi-wszy lornetkę, przytożyła ją Ola do swych oczu, ścigaj-c po chwili widokr-g spojrzeniem. Pier jej przytem unosił poczęła miarowo, usteczka za zdawały siCE całowaa-przestrze, rozchylone, pros-ce...

ZniechCEcona, odjęła niebawem lornetkę od oczu. Jaki statek w kierunku Lido zbliżał siCE wprawdzie, lecz znajdował siCE jeszcze tak daleko...

Ola odst-piła od okna, i szeleszcz-c jedwabiami swych spódniczek, poczęła niecierpliwie przechadza-siCE po pokoju, pytaj-c sama siebie:

- Któż widział spódnicę tak dalece? Widocznie zobojętniała już ona Romanowi, czyż to jednak możliwe? Wszak tak niedługo trwa ich szczęście...

Myśli ostatnie i w-tępliwościami mieszcznymi widocznie zdały się młodej kobiecie, bo po zastanowieniu się twarz jej poweselała, a w ciszy pokoju rozległ się śmiech srebrzysty. W ślad za tym zapaliła dwie świece i przystąpiła do dużego lustra. Długo, z lubością, wpatrywała się w nadobne własne oblicze. Przymknęła lekko powieki, lecz tak, by mogła widzieć siebie, przegięła swą ładną głowę i kibla nieco w tył, oraz rozchyliła usteczka...

Kształty postaci jej całej uwypukliły się ponownie; w pozycji tej zatrzymała się chwile... Uśmiech zwycięski przewinął się niebawem po drobnych wargach pięknej kobiety; podniosła do góry głowę, zaś co, jak kocię, wyprężyła naprzód swe ciało, i uczyniwszy gest, podobny do przeci-gaj-cego się po śnie człowieka, wymówiła głośnie: Aaaa...

Po chwili zaś, poprawiwszy poprzednio zalotnie toaletę swą i włosy, stanęła znowu w pierwotnej pozycji u okna, w ciemnym tak samo i tym razem pokoju, z lornetką przy oczach.

Zbliżający się tymczasem od strony morza parowiec stawał widać już w przystani. Po drewnianych pomostach wysypał się na ulicę tłum różnolity i barwny; światła, pozapalane w pobliżu padały na skosy, oświetlając wyraźnie ruszających się ludzi. Ola wśród nich starała się odnaleźć sylwetkę męża, niebawem dojrzała go rzeczywiście i z radością wykrzyknęła do siebie:

- Jest! jest!..

W oka mgnieniu odskoczyła od okna, zapaliła świecę, odnalazła szybko kapelusz i parasolkę, i wybiegła z hotelu. Zdała na spotkanie Romana, śmiejąc się z góry na myśli, jak on się zdziwi, ujrzawszy ją na nogach.

Na Riva degli Schiavoni, spacerowym miejscu Wenecji, roiło się od publiczności. W pobliżu hotelu, zamieszkiwanego przez Dzierżymirskich, muzyka grająca zazwyczaj na placu fawietego Marka, rozbrzmiewała kaskadnych ochoczych tonów przed kawiarnią, przepętnioną ludźmi, snującymi się równie wszędzie, gdzie tylko było rzucaniem. Oła, zdając ku przystani, wymijała ich szybko, w oddali widziała już wśród idących sylwetkę Romana, cała białą, górującą wzrostem nad innymi.

Dzierżymirski, niespokojny snając jeszcze, szedł krokiem raunym, z cygarem zapalonem w ustach, a kroczył tak zamyślony, że byłby nie widząc wyminął Olę niewtępliwie, gdyby ta, ubawiona, nie rozśmiała się wesoło i nie pochwyciła go za ramię. Na dźwięk znajomego srebrnego śmiechu podniósł Roman głowę i twarz, chmurna dotychczas nieco, rozpoznała mu się natychmiast.

- Ty tu, filutko?.. - wykrzyknęła radośnie, i ujęwszy obie ręczki Oli w swe dłonie, obsypywała ją zaczął pocałunkami, a następnie pocięgnęła ją ku sobie, i nie zwracając zgoła uwagi na kilka mijających ich osób,

ucałował w twarz serdecznie.

- A tak, Romeczku! - odparła żywo Ola - wybiegam, bo zobaczyłam przez lornetkę, jak wysiadał! Fe! ktoś widział siedzieć tak długo, gdy się ma tak ładnie, jak ja łoneczko... - dorzuciła, przymilając się, z lekkim wymówką - w głosie, i dodała jeszcze:

- Myślałam już, że ci się co złego stało!

Promień przebiegł po twarzy mężczyzny, ujął ramię Oli, i odparł:

- A wiesz, moje życie, że i ja miałem co do ciebie myśli podobne?... - uśmiechnął się i dodał - ale z mej strony to usprawiedliwione, zostawiłem cię przecie bowiem w łódce...

Idąc wcięż szybko przed siebie, zamilkli oboje. Miłośniczka, taka sama, drobna - swobodnie - oznakami zamknęła im usta na chwilę.

- Skądś od Wielkiego Kanału, w pewnych od siebie, odstępach, dolatywało wciąż echo silnego męskiego głosu, przy akompaniamencie chóru innych.

- Pojedziemy może gondolą, jak myślisz? - zapytała Ola - słyszysz jak ładnie śpiewają?..

- Dobrze, moje życie, jedziemy!.. - odparł wesoło Roman.

Jak na zawołanie, w tej samej chwili Dzierżymirscy usłyszeli za sobą kilka okrzyków, silnie akcentowanych na pierwszej sylabie: "Gón-dola,, gón-dola signore... gón-dola!.."

Na lewo, obok idących, znajdowała się "Piazzeta", a naprzeciw wznoszącego się majestatycznie pałacu Dołów, największa przystań gondolierów.

Dzierżymirski, wybrawszy jednego z licznych "napraszających się przewoźników, podszedł ku przystani, gdzie wspód z Olą usadowił się niebawem w gondoli.

- Serenada, Canale Grande! - rzucił ubranemu biało Włochowi.

"Rematore" uderzył w wiosła, i gondola z wolna, cicha, wysunęła się z pomiędzy dziesiątek innych, a kołysząc się na czarnej fali kanału, pomknęła we wskazanym kierunku. Roman objął kibięony i poczęł muskać delikatnie ustami jej oczy, czoło, szyję i usta. Ona zaś uchylała się wcięż figlarnie, szepcząc:

[*] Wioślarz.]

- Wstyd... się... gondolier patrzy...

Lecz mężczyzna nie przestawał. Kilkakrotnie usta ich zczyły się w pocałunku gorącym, długim, od którego zadrżeli oboje, z ust Romana sypały się ciche i urywane, dyszące uczuciem i namiętnością,

pieszczotliwe wyrazy...

A wkořo nich, szeleszcz-c uderzeniami wiosł, sun-c równieł, jak i oni cicho, mkn-cy, migocz-c kolorowymi łwiatkami, gondole, zmierzaj-c wszystkie w jednym kierunku - ku Wielkiemu Kanałowi, całemu rozbrzmiewaj-cemu w tej chwili, jak harfa ruszona łpiewem i muzyk-. Ołwielone, ubrane kolorowymi, papierowymi latarniami, migały w oddali wielkie gondole, a raczej statki małe, tak zwane "serenady", na których orkiestry całe grajków i łpiewaków-samouków popisywały siCe ze swym wrodzonym, a rzetelnym nawet czCestokroaartyzmem.

Kilka podobnych serenad, rozrzuconych po kanale; wabiło łwiatkami i stłumionym łpiewu odłosem, koło nich zał, w pobliu, grupowały siCe krCEgiem dziesi-łki czarnych gondoli, z rozpostartymi w nich niedbale i wygodnie słuchaczami. Niektóre z rozbrzmiewaj-cych łpiewem i muzyk- bark podjełdłały pod okna dawnych dworców, a dzisiejszych pierwszorCednych hoteli i koncertuj-c tam wył-cznie dla hotelowych gołci, zbierali od nich dla siebie datki, sun-c różnobarwnymi łwiatkami i gorej-cym kadłubem stateczku zwolna u marmurowych stopni pałacowych balkonów.

Naprzeciwno dwóch podobnych serenad, łpiewaj-cych wprost kołcioła S-ta Maria della Salute, pod oknami pałaców Ferro i Zucchelli, (dzisiejsze Grand-Hotel i hotel Britania) dalej nieco, poza kołciołem, zabrzmiała włalnie nagle piełæ solowa ..

Zagłuszaj-c inne głosy łpiewaków bliłszych i dalszych, zadrgała ona uczuciem, i zrCecznie modulowana przyjemnie piełciła słuch, coraz doniołlejsza, bliłsza...

- Pojedziemy tam! dobrze, Romciu?.. - zaproponowała Ola, ułCeta głosem łpiewaka.

- Bene, carissima! - odparł Roman, i skin-ł na wiosłuj-cego. Gondola ich, kierowana umiejCetn- rCEk-, wymijałaczCeta łodzie, coraz liczniejsze.

Roman i Ola, widz-c siCe coraz bardziej otoczonymi, przestali pocałunków i pieszczot, chwilowo poddawszy siCe zupełnie czarowi piełni, płyn-cej ku nim w ciszy wieczoru.

Oboje milczeli...

Gondola tymczasem skrCEciła powoli w lewo, ku rozłpiewanej barce, i włlizn-wszy siCe swym wysokim przednim dziobem, jak w-ł, pomiCedzy kołysz-ce siCe dziesi-łki innych gondol - stanCeta wreszcie, zatrzymana zrCecznie. Gondolier przymocował sznurem swój pojazd do s-siednich i założywszy na krzył rCEce, w skupieniu współ z innymi zasłuchał w piełæ...

Szerokiem płkolem, ciche, kołysały siCe wszCEdy inne gondole; wsparci w nich słuchacze poddawali siCe niewytłumaczonemu czarowi tej weneckiej, cichej nocy, tej piełni szczerzej, niewykwintnej, chwytaj-cej jednak mimo woli niejednego za serce, zapadaj-cej w duszCE głCeboko.

Po smętnych pieśniach następowwały skoczne, i tak dalej, bez zmiany. Co kilka "numerów" z barki "serenady" schodził wóch, rozczochrany, od śpiewu wzruszony jeszcze, i z czapki w ręku zbierał "co taska", przestępując ostrożnie z jednej gondoli na drugą.

W ciszy zaś względnej, a spowodowanej tym swego rodzaju antraktem, ruszały się z miejsc swoich niektóre łodzie, wracając, lub zdając dalej do innych serenad; na puste miejsce wsuwała się milcząco nowoprzybyła gondola, a publiczność zebrana w tych zaimprovizowanych wodnych łóżach, natychmiast spoglądała ciekawie na swego siedzącego, półgłosem komunikowała sobie uwagi, w rozmaitych językach.

I w cichoci powoli milkły, to znów z kolei rozbrzmiewały dalsze i bliższe rozśpiewane barki, wreszcie anakt się kończył, po wodach kanału mknęła znów ze "sceny" serenady pieśń namiętna...

Słuchały jej echa zdawało się, pobłażliwie i ciekawie gwiazdki, licznie rozsiadane po gwiaździstym niebie południa - słuchały krzywe, i wieżące licznych ławic, i zadumane marmury wiekopomnych dworców.

Od czasu do czasu komunikując sobie przyciszony uwagą, Roman i Ola słuchali również uważnie włoskich pieśni, nastrój zaś dzisiejszego wieczora rozmarzająco działał na nich. Myśli ich daleko ulatywały, pod wpływem tej nocy, tego krajobrazu niezwykłego, a pełnego czaru, i tej niewymuszonej, tchnącej uczuciem pieśni, wyrzucanej z ust ludzi prostych, dziwnie jednak atoli przejmujących się melodyjów swoich, kochających tak wyraźnie pieśni owe, narodowe - własne!

Wywołana zatem wiewiemi, tak niedawnymi wspomnieniami dzisiejszego popołudnia, myśli Oli biegła nieprzeparcie do stron ojczystych - przymrużała oczy, i widziała ogród Gowartowski... wyniosłe oblicze ojca...

Romana zaś trapiły z kolei te same, co i nad morzem myśli... Fałsz obecnego położenia, przyszłość niejasna, zakryta, ciemna, z tajemnic na dnie duszy ukrywa się zmuszoną, przed okiem najdroższej nawet teraz dlań na świecie istoty, zaciemniały chmur troski czoło Dzierżymirskiego, mgła smutku matowały spojrzenie czarnych, rozumnych oczu.

I żal jakiś niezmierny, żal do życia, rozpierał mu piersi, do losu, że, postawił go na tak śliskim i kołyszającym się gruncie, że tylko za cenę tego fałszu i wyrzutów sumienia, pozwolił mu zdobyć jego dzisiejsze nieograniczone szczęście!

Zatopiony w swym skrytym cierpieniu, Roman od czasu do czasu spoglądał na Olicę. Ta, ze spuszczonej oczami, oparta niedbale na skórzanych poduszkach gondoli, zadumana, również marzyła cicho... Cienie przechodziły, przemykały się po jej wdzięcznym, zamkniętym obliczu, czasem na usteczkach zagaszczając białymi siateczkami.

Roman wtedy z miłością bezgraniczną zatrzymywał dłużej chwilę

spojrzenie na ukochanych rysach, i znowu popadał w zadumę, lub słówkiem pieszczoty, albo spostrzeżeniem jakim przerywał milczenie. Ola odpowiadała mu skinieniem głowy - zamieniali pomiędzy sobą - zdawało się urywanych kilkanaście, i znowu milki, poddając się nastrojowi zewnętrznemu otoczenia i wewnętrznemu duszy własnych. W ten sposób czas mijał.

Powoli, stopniowo rozluźniło się napięcie gondol pękło... Z cichym wiosem szelestem i pluskiem ruszonej wody odpływały one jedne po drugich - duże barki sędzich serenad ginęły również w oddali, śpiewy ich cichły...

Kilka tylko z nich jeszcze rozbrzmiewało po kanale ostatnimi tony, a między innymi i barka, która której kołysała się gondola Dzierżymirskich. Z okien i balkonów hoteli poznikały już także liczne sylwetki i twarze gości, w pobliżu, na wieży kościelnej, wybiła rytmicznie godzina jedenasta...

Roman odwrócił się pierwszy, dotknął delikatnie dłoni - ręki Oli i rzekł:

- Pora już nam, kochanie... prawda?..

- Która? - zapytała Ola, zbudzona.

- Jedenasta, moje życie - odparł Roman.

- Już?.. - zdziwiła się Ola, westchnęła. To jed...my, nie sędziłam nigdy, by już tyle czasu minęło...

- O czymże tak dumasz moja pani? - zapytał Roman, z uśmiechem.

- A ty? - odpowiedziała pytaniem Ola.

- O... ja?.. nic ciekawego - odparł pośpiesznie Roman, i jakby pragnąc, by powtórnie nie pytano go o to samo, odwrócił się szybko do gondoliera, informując go, dokąd ma ich zawieść...

Gondola, wycofana z łatwością - z przeczłonego już kręgu, zawróciła i pomknęła ku oświetlonemu niebieskawym światłem latarni elektrycznych placowi San Marco. Na wieżach odległych kościołów, układającej się do snu Wenecji, w milczeniu, różnymi tonami dzwoniła godzina jedenasta, zdała dochodzić jeszcze przyciszony odgłos muzyki...

Wyciągnęła się wygodnie w gondoli, Roman ujął znów kibiżony, i pieszcząc wargami jej szyję, począł mówić, dając, cięgle.

Czuł potrzebę mówienia; chciał zagłuszyć podświadome natrętnie myśli, wspomnienia, przechodził z tematu na temat, śmiał się, dowcipkował, całowal Ołę co chwila. A ona szczebiotała również...

Pełne wesela głosy dwojga młodych złączonym akordem przerywały co chwila milczenie i spokój "Canale Grande", padały i ślizgały się echem po ciemnej tafli jego wód, w których z kolei pławiły się cienie pałaców,

złotym deszczem igrały gwiazdy i swawolił powiew wietrzyka, idącego z morza, pokrytego ciemnościami, śniącego w oddali...

Dostawszy się na pełnię wód kanału św. Marka gondola pomknęła chyżo, a niebawem po falistej tafli włoskiej laguny rozległa się śpiewana zgodnym liśm męskiego barytonu i kobiecego sopranu pieśń polska: "Szumi-jodły"...

- A co, nie mówię, że to nasi, chociaż taki czarny, jak Włoch - odezwał się po polsku, z gondoli, który mijali Dzierżymirscy, rubaszny trochę głośno mówiący.

- No, tak dzioba się, jak gołębki, to i inni potrafią... odpowiedział ironicznie ktoś drugi.

- Ba, ale, panie dobrodzieju, z takim humorem - to nie!... z przekonaniem, stanowczo, rozległa się odpowiedź... szlagona.

Tymczasem gondola Dzierżymirskich malała już coraz bardziej, na tle nocy tylko czerwonawym światłem migocząc z oddali. Wkrótce, zaleciała jeszcze ostatnia zwrotka, znanej Moniuszkowskiej melodyi: Oj, Halino, oj, je - dy - no, dzie - wcy - no mooo - ja!...

- Moo - ja!... oddało echo lagun morza i zmilkło, całe za chwilę czarnej gondoli znikł gdzieś niebawem, ustępując miejsca innym, nadciągającym coraz głośniejszemu od strony Wielkiego Kanału, coraz cichszemu, coraz bardziej pograżonego się w czerni bezbarwnym, gęstym, zapadającego tam uśpienia - Nocy!

* *
*

- Patrz, patrz! jakież to piękne!..

Słowa te, półgłosem, z akcentem zachwytu, wymówiła Ola, i oboje wraz z Romanem stanęli na miejscu, jak przykuci. Nad ich głowami wznosiła swe dumne gotyckie arkady jedna z najpiękniejszych, po bazylice San Marco, świątyń w Wenecji, Santa Maria Gloriosa dei Frari - stali zaś przed mauzoleum Canovy.

- Prawda! - szepnęła w odpowiedzi żonie Dzierżymirski. - Zdawałoby się, iż ten oto anioł, czy geniusz uśpiony, żyje, oddycha, stróż czujny... urwał, studując dalej pomnik z uwagą.

- A te postacie, nieprawdą, iż rzeczywiście idą, ruszają się wolno, pograżone w cichej boleści i smutku! - podchwyciła żywo Ola, podniecona widokiem, oraz wyrazem zakutego w marmurze piękna.

Oboje umilkli, z niekłamnym zachwytem wpatrując się w rzeźbę.

Od grobowca bowiem, przez samego Canovę modelowanego nigdy na pomnik dla Tycjana, było rzeczywiste, szczere piękno i chwyciło za serce -

mówiło...

Przyparty do ściany, cały z białego marmuru, a trójkątnym kształtem w minjaturze przypominający, piramidy Egiptu, stał sarkofag otworem...

Na lewo, jakby strzegąc doś wchodu, olbrzymi lew marmurowy leżał, z obwisłymi łapami, potężny, srogi, i jakby smętnie zadumany, a na nim, z rozpostartymi skrzydłami, opierał się wielki Anioł ułpiony...

I tchnąc łagodnie, cudne oblicze Anioła zda się być zeczywiście nie z tego nędz padołu!..

Z ludzką twarzą, to prawda, spoglądając zdaje na widza, lecz oczy jego przymknięte nieco, skupienia i zadumane - znieruchomione w nadziemskim spokoju, cisza - światów, wieczności milczeniem i bytu zagadką, nęcą - oto wyrażenie, wzrok cięgnię - za sobą, unoszą - duszą, myśli... gdzieś w strefy nadziemskie do nieba!...

A z prawej znów strony grobowca, jakby z ziemi, ze świata, wolno sunące postaci, zmierzają do otwartych na świat wrót sarkofagu...

Pierwsza z nich, proporcjonalnie do innych, większa, kobieta młoda, jest już tuż blisko, u grobu prawie, w ślad za nią, z girlandami kwiatów, postępują - postaci mniejsze - to dzieci.

Idą... Krocą, z pochyloną głową, przygnębieni, smutni, niebawem już cisi przestąpią oni próg grobowca...

- Chod...my! - szepnęła Ola pociągając lekko Romana za rękę.

Z widoczną niechęcią, jakby nie mogąc oderwać wzroku od pięknego pomnika, poruszył się Dzierżymirski, i wyrzekł półgłosem:

- Czy już obejrzelimy tutaj wszystko?

- Zdaje mi się, że wszystko - odpowiedziała Ola.

W pustej i cichej świątyni rozlegały się wyrażenie ich kroki, prócz nich bowiem obecnie nie było tu nikogo.

Dzierżymirski wyjął zegarek.

- Szóstka! Wracajmy, musimy pojechać jeszcze Wenecję z Campanili - rzucił żywo, i ująwszy ramię żony, skierował się ku wyjściu z kościoła.

Na progu Dzierżymirscy stanęli, obrzucając ostatniem spojrzeniem kościół; wzrok ich przesunął się raz jeszcze po wspaniałych grobowcach dołów, Tycjana i wyszli.

Upalny spokój włoskiego popołudnia objął ich natychmiast. Słonece paliło jeszcze, na uliczkach Wenecji było pusto.

Dzierżymirscy szli przyśpieszonym krokiem, zmierzając ku mostowi "di Rialto." Był to ostatni już dzień pobytu ich w Wenecji, wyjeżdżali nazajutrz, żegnając dzień po raz ostatni urocze miasto pamiętek.

A żegnali je sumiennie. Zwiedziwszy bowiem kilka nieznanym sobie jeszcze kącików, po raz wtóry obeszlili wszystkie miejsca, dokąd zachęcało ich do powrotu wspomnienie zoczonego tam pićka.

A więc pałac Dogów, jego archeologiczne muzeum i liczne przepiękne sale i ponure wieżenie, pałac królewski, bazylikę, a także zarówno arcydzieła pędzla Tycjana, Tintoretta, Pawła Veronese, Belliniego, i innych, w Akademii "delle belle Arti."

- Wiesz, kochanie? musimy spieszyć się porzucić, gdy o siódmej podobno zamykają już Campanillę*)-odezwał się Roman po dłuższym milczeniu idąc z Olą - bezustannie tak sarno szybko i sęuchając zarazem szczebiotu jej, wcięż jeszcze znajdując się pod wrażeniem pysznego dzieła Canovy. [*]Znana powszechnie pod tym nazwą - dzwonnica fawietego Marka w Wenecji, siegająca budową i stylem X wieku, dzień, jak wiadomo, już nie istnieje. Runęła dnia 14-go Lipca 1902 roku.]

- Co za świetna - doprawdy miła myśl, Romciu, zestawiając obejrzenie Wenecji z wyzłyną na zakończenie! - rzekła Ola, i dorzuciła z ożywieniem: - Bo ostateczne owe wrażenie nie zużyte dotąd jeszcze, nowe, idealnie zamknie nasz pobyt tutaj...

- A widzisz, me życie, że nie tylko moja pani miewa genialne koncepty - z uśmiechem odparł Roman, miłując mu bowiem była myśl, że ich wzajemne zapatrywania estetyczne zgadzają się tak dobrze.

W tym bo ostatnim los rzeczywiście nie był poskibić zadowolenia Romanowi. Ola, była to dusza obdarzona zarówno, jak i on, wykwintnym poczuciem pićka i niezmiernym wrażliwością - na dzieła sztuki, zgrzytów pod tym względem pomiędzy nimi nie było wcale - dopełniali się wzajemnie.

- Poczekaj, kochanie - odezwał się znów Roman - spożyjemy sobie parę brzoskwię... Mam ogromne pragnienie, a ty?...

- O! ja także!.. wykrzyknęła potwierdzając - co i wesoła Ola, poczem oboje zbliżyli się do charakterystycznego, szerokiego, pod płóciennym okryciem od słońca, weneckiego straganu, przepięknie różnymi owocami i jarzynami.

Minęli już byli właśnie "ponte di Rialto", znajdując się obecnie w okolicy i punkcie targu, oraz ożywionego ruchu. Wokoło nich szwendali się liczni przechodnie, przekupnie wychwalali głośno swój towar, t. j. drobiazgi, owoce, lub rzadkość Wenecji - zimną wodę do picia, mówiąc nawiasem, nadzwyczajnie zdrową.

Wybrawszy kilka przepysznych, wielkich brzoskwię, i spożywając je, Dzierżymirscy puścili się znowu w dalszą drogę. Szli obecnie najbardziej ożywioną i handlową ulicą w Wenecji, tak zwaną "la Merceria", wijąc się

w kształcie szerokiego trotuaru pomiędzy domami i szeregiem ciasno jeden przy drugim połączonych sklepów, a wiodąc zygżakiem od mostu di Rialto do wieży zegarowej na placu San Marco.

Zaczepiani co chwila przez natrętnych właścicieli magazynów, przekupniów mozaiki i małych bosonogich chłopaków, narzucających się im co chwila, z pytaniem słowem i spojrzeniem ładnych, czarnych oczu: "Accompagnare, signore?...", Dzierżymirscy szli szybko, wygodnie, chociaż ulic, rozmawiając wciąż ze sobą.

Niedostępsane wzajemnie często w gwarliwym hałasie "Mercerii" słowa ich ginęły bez echa, gdy naraz i tym razem zupełnie głośno, po niewiele znaczących uwagach, odezwał się pierwszy Dzierżymirski.

-Czy wiesz, moje życie, ile to już trzy tygodnie blisko, jak wyjechaliśmy z kraju? Czas leci, kto by pomyślał, że niebawem już minie miesiąc, jak porwałem cię, szczęście moje, z tą rodziną?..

Choć w ostatnich słowach brzmiał ton żartobliwo-dobroduszny, jednak Roman niespokojnie spojrzał na niego, pierwszy to bowiem raz tak wyraźnie czynił aluzję do niedawnej, a przełomowej chwili ich życia; dorzucił zaraz:

- Ciekawy jestem, co o tym wszystkim myśli i co czyni w tej chwili twój ojciec... przytem wahaj-co spojrzał z pod oka na Ojca, uważnie, jakby zbadał pragnąc, do jakiego stopnia odczuwa ona to wspomnienie.

Lekka mgła jakby przemknęła po twarzy młodej kobiety, a brewki jej zmarszczyły się przelotnie, jednakże odpowiedziała natychmiast.

- Wiesz co, mój drogi? ja... - i tu spuściła oczy, zarumieniwszy się lekko - bardzo często... podkreśliła akcentem te słowa, - myśli o tem...

I Ola z kolei podniosła swe przymglone oczy na Dzierżymirskiego, a jemu zdało się jednocześnie, że wilgotnymi były one...

W tej samej chwili młoda kobieta ruchem łagodnym, a wdzięku pełnym, położyła swą rękę drobną na rękę męża.

- Nie gniewaj się, mój drogi, że ci to mówię - rzekła miękko - ale... ale wierz mi, że ja nieraz lękam się jakby po prostu, by ta przeszłość nasza, a w szczególności gwałtowna chwila ucieczki mojej, nie przyniosła nam nieszczęścia... Biedny ojciec! - cicho westchnęła Ola i umilkła, spuściwszy niechętnie wzrok ku ziemi, jak gdyby przestraszywszy się słów ostatnich.

Teraz Roman z kolei pochwycił rękę żony i uściskał ją serdecznie kilka razy, wzruszony, poczęst pocieszał się z cicha, w kołcu zmieniając zupełnie temat rozmowy, przeszedłszy pośpiesznie na przyszłe zamiary wspólnej podróży. Równocześnie jednak spocpniał, i, chociaż drobna, mała chmurka, co niby cieżka, wyliznęła się pomiędzy ich dusze - wględnie rozwiązała się do przodu, zostawiła jednak w umyśle Dzierżymirskiego

Plan trwały. Teraz zatem, gdy znowu zamieniał z Olą banalne nieco frazesy, myślał jego pracowała uparcie w dalszym ciągu.

Wiem on nie mylił się, bo przecież jest spokojnym, gdy widział przychodzić na coś nagłe zadumany, na pozór niewytłumaczony zgoła niczem.

Wiem w głowie tej, w której, prócz miłości dla niego, długo nie przypuszczała innego uczucia - tkwiła jednak w swoim rodzaju wyrzut sumienia?.. Odmiennymi zatem kroczyła drogami, dusze ich - ze... rwała tylko innego całkiem płynnie - obie jednocześnie miały swoje skryte zgrzyoty i cierpienia. Zarówno, jak i on, tylko inaczej, Ola więc tak też cierpiała...

- Dziwne, to życie, dziwne! - omalże nie gośno wymówił Roman.

- O! patrz, już plac św. Marka - wesoło wykrzyknęła Ola w tej samej chwili, i wydobywszy miniaturowy zegarek, jednocześnie dodała:

- Wróć do siódmej! - Zdłżymy!..

Dzierżymirski nie podniósł uwagi żony, przelotnie spojrzawszy tylko w jej twarz, a widząc oświecony, poweselał sam również.

Wydostawszy się z wskiej szyi ruchliwej ulicy, znajdowali się już oni na kwadratowym placu, obszernym, z trzech stron ramowanym wokół kolumnami pałacu królewskiego. Pod temi kolumnami, w pierwszorzędnych kawiarniach Wenecji, roiło się od ludzi; na mozaikach, krzyżach, brązowych koniach i kopułach bazyliki św. Marka grały promienie słońca, u stóp zaś Campanili, dokąd mierzali Dzierżymirscy, i przed kościołem, pośrodku placu, gruchały i latały setki gołębi, karmionych publicznie. Zapłaciwszy za wejście, Roman i Ola powoli zaczęli wstępować górze.

Na szczyt dzwonnicy San Marco, oddzielonej od katedry, a strzelającej w górę wysoko i samotnie, szło się nie po schodach, lecz po lekko pochylonej platformie...nie spiralnej, nader wygodnej, chociaż, wchodzić wcale nie męczące.

Co kilka minut postępującym na szczyt dzwonnicy Dzierżymirskim migały z prawej strony małe okienka, pozwalające im pochwycić obraz, ściany zaś wieży przepełnione były licznymi podpisami turystów.

Względnie do tego, bo powoli, zmęczeni poprzednim pościęciem, szli pod górę Roman i Ola, zanim dostali się wreszcie na obszerną szczytową platformę dzwonnicy. Prócz sprzedającego w zaimprovizowanym sklepie fotografie i albumiki: "ricordo di Venetia," kilka zaledwie osób znajdowało się tutaj. Dzierżymirscy zbliżyli się do balustrady, obrzuciwszy spojrzeniem cały widok, u stóp ich i henhen, daleko!...

- fliczne, prześliczne! - rzekła po chwili Ola półgłosem, z przejściem, Roman zaś, potakując żonie, wyjął noszone stale ze sobą lunetki i regulował poczę.

Słonece wfałnie zniżać się ku zachodowi. Z jednej strony krajobrazu, na prawo, tarcza jego, ziej-c purpur-, k-pała się promienistymi blaskami w morzu, rozświetlała jego tajemnic- gębi, rozżarzała, na kształt główni, czerwonym ogniem zmarszczone grzbiety fal, złotym prostokątnym gołciacem zanurzaj-c się stopniowo coraz bardziej w iskr-c- się światłami to. I zielonkawę, łagodną Adryatyku fale, rozchylały się przyjacielsko i gołcinnie - rozwierzały swe nurty do id-cego na spoczynek słoneca, wó szmerem kołysa się je zdaj-c do snu cichego...

Po bokach fal tymczasem coraz dalej i dalej biegły ostatnie promienie jego; rozlewały się wkoło pożegnany odbłaskiem - piełciły już morze całe, zapalały na niem miliony barw i odcieni, skołne leciały w lewo ku Lido, "giardini publici," stały się krwawicę na dachach i wieżach leż-cej w dole Wenecji - i ginęły nareszcie w zamglonej gdzieś dali, tu-c się do majac-cych hen, hen, w perspektywie górskich alpejskich szczytów...

Roman i Ola, zapatrzeni, stali nieruchomo, w milczeniu.

Otulony cisz- bezmiarów, tchn-cy spokojem id-cego wieczora, zachwycał ich ten krajobraz.

- Spójrz-no, jak smacznie zajadaj- sobie nasi brudni włosi swoje "pranzo" - rzekła nagle do młoda Ola, wskazuj-c ręk- spierzon- u stóp ich, wórd w-skich kanałów, Wenecji, i łcienione dachy jej domów, gdzie na werandach spożywano wfałnie posiłek.

- A, prawda! - potwierdził Roman.

- Zabawnie wygl-daj- na swoich daszkach, jak liliputy... - zauważył jeszcze i uj-wszy ramie żony, zbliżył się znów ku balustradzie od strony morza.

- Patrz! - rzekł przyciszonym głosem, wskazuj-c na prawo l-d stały - widzisz te otulone mgłami sylwety miast i gór?..

- Widz- potwierdziła Ola.

- Oto Fusina - objałnia-pocz-ż żonie Roman - tam znów gębiej, to Padwa i Treviso...

Tu, na zachodzie - to otaczaj-ce Weron- szczyty górskie, a tam - wskazuj-c ruchem ręki kolistym krajobraz, mówił dalej Dzierżymirski - to Monte Baldo, i u stóp jego jezioro Garda.

I Roman manewruj-c równocześnie lunet- odkrywał coraz to inne odległe góry i miasta, a użyczaj-c lornety swej żonie, objałniał j-, tłumaczył.

Tymczasem zał platforma dzwonnicy opustoszała stopniowo. Prócz przekupniów, zalecaj-cych swe "ricorda," i miejscowych ludzi, nie było tu już prócz Dzierżymirskich, nikogo. Roman i Ola gotowali się do odejłcia, gdy oto nagle przystanęli znowu, zasłuchani.

Z weneckiego starego grodu szła muzyka dziwna... Jak orkiestra – dobrana – grana, wędrowała przez otulone milczeniem przestworza melodia kościelnych dzwonów...

Rozpoczęły się, na wprost Campanili dzwony kościołów: Redentore, na wysepce Giudecca, i Santo Giorgio Maggiore, opodal, a w ślad za nimi powtórzyły inne świątynie. Z Santa Maria della Salute na czele rozbrzmiały kolejno po całej Wenecji, wstrząsnęły cisz – "królowej Adryatyku" – tu donośnie bij – c basem, tam znów skarż – c się żagodnie, kwil – c – wspólnie zagrały chórem sw – piełæ wieczorn –...

Dobranymi jakby akordy popłynęły d...wicznie tony poprzez laguny i kanały, morzem, po grzbietach fal, uleciały w dal sin – , zda się, nios – c swe echa aż do podnóży gór.

Roman, nachyliwszy się ku żonie, rzucił półgłosem:

- Co za wspaniałe i silne wrażenie, nieprawdaż?...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej samej chwili instynktownie urwał...

Dzierżymirscy zadrżeli oboje. Kobieta przytuliła się, jak powód, do męża, czyny, on zaś objął opiekunym ruchem jej kibiak silnym ramieniem przycisnął wyłoknął – do siebie.

To z dzwonnicy św. Marka, tu, na szczycie jej, o parę za ledwie kroków od nich, zagrzmiął w ślad nie do wtóru innym, zadudnił, gęsz – c wszystko sw – sił – , dzwon olbrzymi i potężny – "San Marco."

Głos jego tubalny, hucz – cy, zmieszał się z ogóln – ary – dzwonów, napełniając echemi grzmotów, trzes – c platform – wieżycy.

A jednocześnie Roman i Ola dziwnego doznawali wrażenia. Zdało się im bowiem, jakby ich tutaj nie było już zupełnie.

Nie, oni stanowczo znikli, a znajdował się tu jeno jeden jedyny olbrzymi d...wiek, z którym istnienia wspólne zlały się, z – czyły. Głos dzwonu przenikał ich do głębi, szedł aż do dna dusz, grał na fibrach nerwów; tr – s – nimi, potężny w swej mocy – wielki...

Ola jeszcze bardziej przytuliła się do męża, jakby szukając obrony przed czymś, czy przed kimś, Dzierżymirski silniej przygarnął – do siebie. Równocześnie, jakby kierowane wzajemnym odruchem jedynym i uczuciem wzajemnym, twarze ich zbliżyły się i z – czyły usta!...

Ostatni z ostatnich promień zachodu zapalił na sekundę jedn – gwiazdę na czołach męża i kobiety, skojarzył się z ich pieszczot – i znikł. Słowo zgasło... Roman i Ola jednak nie odrywali ust od pocałunku, a trwali w nim jeszcze...

Jakaś bowiem niewytłumaczona niczem chęć przedłużenia jakby tej chwili

ogarnęła Dzierżymirskich.

W zapomnieniu pieśnicy jestestwa ich drgały uczuciem, a huczcy głos dzwonu zdawał się bardziej jeszcze kojarzyć z sobą... Łczył się sam niby z ekstazą ich pocałunku, a usuwając z niego zarazem pierwiastek zmysłów poziomy - wznosił dusze Romana i Oli w nadziemskie gdzieś strefy, uszlachetniał, budził w nich jakieś chęci i pragnienia i przypinał skrzydła do lotu i rozszerzał piersi i kazał się modlić pokornie...

Z ekstazy pierwsza zbudziła się kobieta.

Przybladła nieco, oderwała drobne wargi od ust Romana i szepnęła cichutko: - Chod...my już!..

- Dobrze, z tą moją, kochanie najmiłszą! - odparł pieśnicy Dzierżymirski, i oboje w ślad za nim skierowali się ku wyjściu.

Nic nie mówili teraz do siebie. Zamyśleni, pogrążeni w swój dziwny stan duchowy, zapatrzeni w swe dusze, schodzili powoli, schodzili w dół cięgle.

I stopniowo, nieznacznie, reakcja nastroju w ślizgiwa się poczęła w ich dusze, mózgi i serca...

Przy dźwiękach bo oto grającego obecnie nad nimi dzwonu-olbrzymia, jakieś zwłóknienia obsiadły nagle ich dusze, a czar, tam, na górze, odczuty - niknął, wewnętrzne zadowolenie i napięcie duchowe słało!..

Lecz czyż to złudzenie? Wszak głos tegoż samego dzwonu jest teraz jakimś ciałkiem innym, odrębnym; to nie ten na górze, wysoko!

Tamten, pełen otuchy, dodawał odwagi, wzmacniał. A ten, wstrząsający murami wyniosłej wieżycy, błąkał się gdzieś tylko po jej zakamarkach, szczelinach, taki odmienny, ponury, smutny...

I pod jego wpływem, jakby pod działaniem czarodziejskiej siły, w myślach Dzierżymirskich, każdemu z osobna, zaszumiały znowu wyrzuty sumienia.

Jej, Oli, stanęła przed oczami, jak żywa, marsowa twarz ojca, i jego spojrzenie smutne, wyrzutów pełne. «renice rodzica wyraźnie przytem zdawały się skazywać: Ja cię kochałem, drogie dziecię, a ty tak pogardziłaś mną, zraniłaś tak dotkliwie i boleśnie!

Romanowi zaś tak żywo przypomniła się z przed laty chwila pewna, i zdziwił się sam niepomnie. Swobodny - ubogi - izdebnik - z przed laty, straszną noc walki ze sobą samym, i zwycięstwo z tą ujrzał tu w Campanili-wszystko!..

A dzwon tymczasem huczał coraz bardziej, i przytem coraz jakby sroższy i bezwzględniejszy, surowszy... Dzierżymirscy bezwiednie, w mimowolnej po prostu obawie przed tym głosem karcącym z wysoka, pospieszniej w dół schodzili.

Cienie wieczorne kładły się już po pustych zakłaskach starej, jak świat, wieżycy, mroki tajemnicze pełzały tu swobodnie. Przy d...wióckach dzwonu, który wciąż trzęsł jej ścianami, wśród ciemniejszej stopniowo, a zamkniętej w nich pustki, schodziła, spuszczała się coraz szybciej, zniżając się para młodych.

Wreszcie zmierzchny szary pochłonął zgrabne postacie, i zapanował bezpodzielnie w Campanili. Jednocześnie o jej mury odbiło się echo ostatniego uderzenia dzwonu, niby ostatnie dla Dzierżymirskich przypomnienie przeszłości...

Wład za tem uspokoił się wkrótce wszystko.

Wiekopomna wieżycyca, zasłuchana jakby jeszcze w kołcowy zamierający d...wióck dzwonu, przycichła; szarośmutek i gęszcza rozsiadły się tu wokoło... W milczącym sennym zadumaniu, we wspomnienia przebrzmiały, zapadała powoli Campanile.

- Rojno i gwaro było dziś u marszałkowej nieprawdaż? Ha-ha-ha, wiedziałem doskonale, że się stawi- wszyscy... Poczciwa jednak ta nasza światowa menażerya.... No, i cóż? Uwierzyli?

Pytanie to, zwrócone do pani Melanii Warnickiej w jej dużym, pięknym salonie, wygłosił, sadowiąc się wygodnie na fotelu, Emil Ładyżewski. Był to mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, wysoki, szczupły, od stóp do głów drobniawo wytworny, o wyrazie twarzy szyderczym, przyrośniętym jakby do rysów jego, włosy i żywe jeszcze, oraz pięknych oczu podługich, zielonkawych, z pod pincenez patrzących rozumnie.

- Uwierzyli. To jest, może udali tylko, że wierzą... odpowiedziała marszałkowa rozpartemu z gracy- w krześle gościami swemu.

- No, c'est tout ce qu'il faut, na razie; teraz damy sobie wielkiego i dystyngowanego nura n'est ce pas?.. A niech tam wszyscy myślnie- sobie, co im się żywnie podoba!- zawyrokował tenże głośnie stanowczym.

- C'est ce qui me tranquillise, i zamknęłam zupełnie dziś już rachunki z towarzystwem tutejszym - odparła z westchnieniem ulgi pani Melania.

Rozmowa potoczyła się dalej; treści- jej był przebieg dzisiejszego, a ostatniego czwartkowego przyjęcia u Marszałkowej.

Zniknięcie Oli, chociaż pilnie w tajemnicy, jak to zwykle bywa w takich razach, nagle, pewnego poranku przedostało się niewiadomo przez kogo, jak i kiedy, do miasta, a wieść, podawana z początku ostrożnie, cicho i pod wielkim sekretem, wkrótce była już na wszystkich ustach,

komentowana, przeinaczona, a plotk- i skrzydlatym ptakiem obmowy obleciała niebawem wszystkie niemal salony towarzyskiego świata w mieście. Pomimo to, nikt nie wiedział nic jeszcze dokładnie. Zaalarmowany pierwszy Ładyżyński, który, jako przyjaciel domu Gowartowskich, a zarazem bywał-cy wszędzie światowiec, osaczonym był ci-gle pytaniami, odbył dni temu parę istn- sesyjn- konferencyj z marszałkow-: Co czyniąby ocalić pozory?.. I wówczas to postanowiono, co następuje:

Puścianach miast w świat niejasn- pogłosk o lubie Oli z Dzierżymirskim, i opowiedziały wyjazd marszałkowej, która, postanowiwszy już poprzednio przenieść całe na wieś, teraz, po radzie z Ładyżyńskim, zgadzała się na chwilę odjazdu swego przy- pieszy- Za parę dni w- nie przypadał czwartek, jour fixe pani Melanii; łatwo było przewidzieć i towarzystwo całe, wobec rozsiewanych r- cnie p-ówek o wielkiej powyższej nowinie, nie omieszka, przywiezione ciekawo- i ch- po-egnania czcigodnej matrony, zawitała jej salony...

- Wówczas to wszystkim i każdemu z osobna dany do spo-ycia następuje- pigu-! - zdecydował wesoło na owej konferencji pan Emil:

- Powiemy, że Ola i Dzierżymirski s- już po lubie, uznanym przez rodzin- najbliższ- i przez ni- urz- dzonym, lecz cichym i bez rozg- osu, a to na własne i wyra-...ne - danie pa-stwa m-odych...

- Co się za- tyczy dotychczasowej o tem wszystkim tajemnicy, wyt- umaczymy j- tem, iż dzisiejsi pa-stwo Dzierżymirscy kochali się w sobie na zab- od dawna, od lat, przypu- any, o- miu... że ojciec srogi nie chciał o zwi- zku tym s- sze- awet, iż zmi- kczony wreszcie zgodził się na-... Pani marszałkowa nie była na lubie, no... bo jest s- abego zdrowia, January za- , w ostatniej chwili, gdy jechał na kolej, zachorował... Pa-stwo m-odzi obecnie bawi- zagranic-. Gdzie? - nie wiemy. Pour d- router - powiemy na przykład, że w Szwecji... Ca- t- historyk- , pani marszałkowa na przy- cciu u siebie, a ja u innych, tego samego dnia i w tych- e godzinach ukolorujemy jeszcze nale- ycie kilkoma pseudo-autentycznymi szczeg- ami, no... et il faut esp- rer, że nam chyba uwierz-!..

Tak ostatecznie uradził Ładyżyński, a do ultimatum owego, uznawszy jego s- uszno- marszałkowa Warnicka zastosowała się - ci- le przez cały dzie- dzisiejszego czwartkowego u siebie przy- ccia. Obecnie za- w dalszym ci- gu informowała przy- tego swego w- nika o wywi- zaniu się z zadania i roli własnych, opowiadaj- c mu zarazem, jak wiele dnia tego odwiedzi- j- os- ze świata, do tego stopnia licznych, iż chwilami w ogromnym jej salonie brakło po prostu dla nich miejsca.

- Każdy niemal po banalnym wst- pie grzecznostek, pytał mnie o O- , nie przeoczył tego nikt - mówi- pani Melania, ko- c- c opowiadanie swoje - a- w duchu sama - mia- tam się z tego...

- Wi- ec któ- by- ? któ- by- ? - pytał ciekawie Ładyżyński.

- Wszyscy, powiadam panu, towarzystwo całe, nie zawi- nikt -

opowiadała dalej marszałkowa - szli wielcy i mali, sympatyczni i niemili, oraz nawet, którym się zdaje, że obecności- swoj- czyni- mi taskę najwyższ-, raz na rok zaledwie bywaj-c u mnie... i lekcewa- co na pozór przy tych wyrazach pani Melania machnęła ręk-...

Pan Emil zaś słuchoł i nieznacznie uśmiechał się pod w-sem, znał bowiem dobrze słab- stronę staruszki, która- gniewała zawsze, gdy ktoś ze "wławiata," mieszkał- cy stale w mieście, omijał jej dom w wizytach.

- Par exemple... - odezwał się - ręk- bym, że księżna Marya i hrabiowie Doliwscy...

- Oh! pas seulement, oni naturalnie, ale i księż Jerzy, hrabia Alfred, księstwo Staniccy, hrabina Manfredowa z cór- i jej narzeczonym... Vous savez, ona wychodzi za tego księcia Ryszarda S. z Poznańskiego... A także Otoccy, Daworowscy, Igelhausenowie... już nie pamiętam wszystkich nawet... kończyła pani Melania, zadowolona w duszy z szumnej nomenklatury.

- Oh! mais, sapristi, c'est la fine fleur, uśmieteczka ze uśmietanki naszej... Powinszowa- marszałkowej, powinszowa- . - rzekł z lekka drwi- co pan Emil. - L'essentiel - ci- gn- t dalej, - że wszyscy, jak przewidywałem, potknęli przygotowan- przez nas wiadomości.

- Wszyscy, bez wyjątku; robiłam przecie, co tylko mogłam - potwierdziła pani Melania.

- A więc n... i-ni-c'est fini; nie pokażemy się my im tu tak przedko na oczy; by sprawdzili, co postyszeli, Dzierżymirskich również mie- b- , a zreszt- - pan Emil niedbale poruszył ręk- - tout passe, tout casse, tout lasse... Niebawem wszyscy zawiesz- sobie nowe sitko na kołek i... zapomn-. Ainsi va le monde - dokończył, i wyjmuj-c srebrn- z monogramem papieronice, ują- w palce delikatnej swej ręki cienki papieros, uprzejmie pytał- zarazem pani domu: - Vous permettez?..

Marszałkowa, z uśmiechem, przyzwalaj-co kiwnęła głow-. Łady- yski zapalił, i wypuściwszy z ust mały obłoczek dymu, pogładził wytwornym ruchem ręki swe siwiej- ce już nieco, a starannie wyczesane, bokobrody.

- Ja także, według programu, nie pr- nowałem, - odezwał się po chwili swobodnym tonem. - Wszedłszy st- d temu godzin parę, byłem na jour fixe u Leliwów, hr. Dezydery Otockiej, u księstwa Pilanich... Zastałem tam wiele bardzo osób i wszędzie opowiadałem, naturalnie en long et en large la nouvelle du jour, co nale- y, o Romanie i Oli - bref, Janurek powinien być kontent ze mnie: wykryłem, jak, co i dok- d wyfrunęła mu jedynaczka, teraz znów my z pani- marszałkow- tuszujemy za m- od- par- l- lady, z kunsztem prawdziwie artystycznym...

- fle te- pan wszystko z wesołej tylko strony bierze - nieco smutnie i poba- liwie jakby uśmiechnęła się pani Melania.

- Que voulez vous, pani marszałkowo, wiat pe- en dramatów i tragedj w teatrze i w - yciu, że có- by wartem było ono, gdybyśmy się czasem starali

przynajmniej komizmu choærochœ zeæ wycisnæ odparł pan Emil, poczem zał dodał: - Wiœc pani marszałkowa jutro na Podole, do Ulanówki?

- Tak - potwierdziła pani Melania - do siebie jadœ na dni kilka, potem zał natychmiast do Januarego, a pan wyjeżdża?.. Il faudrait.

- Comme de raison, prawdopodobnie do Szwajcaryi, na szeŹtygodni... Ale, a propos, cœ January?..

- Niespokojn- jestem o niego - odpowiedziała marszałkowa - jak panu wiadomo, bawił tu u mnie tylko dzieæ jeden; nazajutrz po otrzymaniu smutnej wiadomoŹci odjechał, poŹegnawszy siœ ze mn-, notabene, bardzo chłodno, i odt- d Źadnej odeæ z Gowartowa nie mam wiadomoŹci. MoŹe chory...

- Eee! cœ znowu!.. - okrzyczał siœ ŹadyŹyæski - pani marszałkowa niech bœdzie spokojn-, poluje sobie na kaczkę, i jedynaczkœ sw- wydziedzicza. Dobrze robi zreszt-, bardzo dobrze... Wydziedziczaæmłodych! Niech nie lekcewaŹ- woli starszego pokolenia!.. Wydziedziczaæ. dokoæczył pan Emil z patosem, i powstawszy z fotelu, jednoczeŹnie z pani- Melani- Źegnaæsiœ pocz-ł.

- Uciekam juŹ, bo mam jeszcze parœ wizyt, ale... ŹadyŹyæski urwał - Wszak pani marszałkowa jedzie jutro dopiero o 3-iej, nieprawdaŹ? - mówił, całuj-c z wdziœkiem rœkœ staruszki - nie Źegnam siœ wiœc, bœdœ na dworcu, moŹe wypadnie coŹ uŹatwiædopomœc...

- Dziœkujœ panu, dziœkujœ bardzo - odparła z uŹmiechem pani Warnicka - do miłego zobaczenia siœ. .

Pan Emil, z cylindrem w rœku, ukłonił siœ u drzwi raz jeszcze, poczem jego elegancka, opiœta w tuŹurek, zgrabna sylweta zniknœła za portyer-salonu.

Znalazłszy siœ zał przed domem, na ulicy, ŹadyŹyæski wskoczył poŹpiesznie do oczekuj-cej naæ doroŹki na gumach, i rzuciwszy niedbale adres, kazał siœ wie...ædalej.

JuŹ na ulicach i w magazynach jaŹniały rœsiœcie Źwiatła, gdy w dwie godziny pó..niej wysiadał z tegoŹ pojazdu przed piœkn- kamienic- w ŹródmieŹciu, a odprawwszy swœ kawalerski ekwipaŹ, skierował siœ w bramœ czteropiœtrowego domu, gdzie na pierwszym piœtrze zajmował eleganckie, z trzech pokoi, mieszkanie.

Mały, zwiny chłopczyzna, ubrany w liberyjn-, ze złotymi guziczkami, granatow- kurtkœ, przekomarzał siœ wŹaŹnie na dziedziæcu, z któ-Ź chichocz-c- młods-, gdy pan jego zjawił siœ nagle w bramie, a ujrawszy Źmie- siœ dwórkœ, pogroził jej lask-, z uŹmiechem. Słuz-ca zaŹmiała siœ zalotnie i gŹoŹno, lokajczyk zał pœdem porwał siœ z miejsca i poleciał na gœ, w parœ minut pó..niej, z pokorn- min-, otwieraj-c drzwi ŹadyŹyæskiemu.

- Ej, malutki!.. pogroził mu znów palcem pan Emil, poczem, zdj-wszy

paltot, zapytał: - Był tu kto?

- Owszem, proszę jaśnie pana, oto bilety odparę chłopak pośpiesznie, podaję ci małą tackę ze stołu.

Pan Emil obojętnie przerzucił kilka biletów.

- Aaa!.. zadziwił się głośno przy jednym z nich, poczem odłożył wszystko na bok.

- Frak od krawca przynieśli? - zapytał jeszcze - wyprasowany?

- W sypialni u jaśnie pana powiesiłem - objaśnił mały lokajczyk.

- Dobrze. Sied... tu, smyku, i nie łobuzuj się!.. rzekł Ładyżyański, a minęszy przedpokój, zatrzasnął za sobą drzwi od gabinetu, prowadzącego do sypialni i ubieralni, gwiżdżąc jednocześnie pod nosem aryę z modnej podówczas operetkowej premiery.

Jako szanujący się kawaler, pan Emil, stale każdego wieczoru nie przepędzał u siebie w domu. Dzielił zatem również wybierał się na raut artystyczno-wokalno-literacki, punktualnie rozpoczynający się już o dziesiątej.

Dziwiła ją widać na kilku zegarach w mieszkaniu, pan Emil więc, znalazłszy się w gustownie umeblowanej sypialni, przystąpił natychmiast do toalety swej wieczorowej.

W tym celu wygodnie zasiadł na foteliku przed małą gotownią, przepełnioną wytwornymi, w srebrnych pudełkach i przykrywkach, przyborami toaletowymi.

Gdy tak stoliczny bywalec drobiazgowo i systematycznie stroił się na raut, marszałkowska, po wyjściu ostatnich, zapó...nionych, gości, przykazawszy pogasić światła, odpoczywała na kanapie znużona, po dniu tak pełnym dla niej zmęczenia i wysiłków. Oparłszy głowę o poduszkę mebla, pani Melania, położyła się, i wyciągnęszy wygodnie swe członki, przymknęła powieki, stan zaflęgi nie krępowanego niczem spoczynku owładnął ją bezpodzielnie.

Jak szum niktący, daleki, w uszach jej tylko brzmiał jeszcze gwar prowadzonych do niedawna rozmów, dolatywały urywki z dali, a przed oczyma majaczyły, zmieniając się kolejno, postacie, zaludniające w ciągu kilku godzin jej salony...

Ponownie zatem widziała przed sobą staruszkę w siednim pokoju tłum elegancki, rozbawiony...

Mile pieścił on wzrok wytwornym wdziękiem kobiecych toalet, szeleszczących łagodnie, a zgoła nie krzyczących barw i gustownych - nęcił powabem na jedną modną elegancko skrojonych ubiorów męskich, pisał się cała w estetyce ogólnej manier, ukłonów, w szablonie światowej salonowej komedii, a poprawny - nie raził niczem harmonii, w

całoci swej nie wywołuj—c równie i wcale fałszywo brzmi—cych zgrzytów. I uśmiech pół gorzki, pół smutny, w zamknięciu okoliż w—skie usta marszałkowej Warnickiej.

Jak nicoci pełnem bowiem wydało jej się teraz, w oświetleniu dzisiejszej żłoliwej ciekawoci, to całe towarzyskie stado, kryj—ce sw—przewrotno pod blichtrzem i szychem zewn—etrznych pozorów, jak mało godnem i alu i marnem!

Ach, bo ile i schowanej r—ecznie żłoci, tłumionych ch—eci sponiewierania rodziny jej i Oli, jej samej, ile wreszcie jadowitego fałszu kryło się w duszach tych wszystkich oto dzisiejszych jej światowych pseudo-przyjaciół i gości!..

Marszałkowa czyniła dalej w myśli przegląd galeryi osobników, widzianych na dzisiejszem przyjęciu; we wspomnieniu ich słów, wyrazów twarzy i gestów powtórnie czytała, zda się, ukryte myśli przybyłych; moralnie obnażała ich wszystkich, staraj—c się zarazem znale... przypomniecho jeden kwiatek prawdziwie przyjaznego uczucia, wykwitły wśród tych chwastów obłądy!..

Nie znalazła nic podobnego jednak. Były tam tylko same śmiecie.

Pani Melania, dumaj—c w ten sposób, miała oczy wci—i przymknięte, niebawem znużenie wzięło górę nad jej myśłami, głowa staruszki pochyliła się na piersi, cichy mrok wieczoru otulił postać marszałkowej. Zdrzemnęła się.

W kwadrans może pó...niej, w milczeniu wypoczywaj—cych po najściu gości apartamentów, rozległ się; silny odgłos dzwonka... Staruszka rzuciła się z lekka na kanapie, a otworzywszy swe rozumne szare oczy, poczęła wsłuchiwać się w m—cy cisz—e odgłos.

W drzwiach buduaru po chwili stan—ł lokaj i zaanonsował:

- Pan plenipotent z Gowartowa; mówi, że chciałby koniecznie widzieć się z ja—nie pani—.

- Proś, proś natychmiast tutaj! - rzekła żywa marszałkowa i równocześnie powstała z kanapki. Lokaj wyszedł.

Zadowolone, po—czone z ciekawoci— osiadło na twarzy staruszki.

Bolesław Krasnostawski, syn szkolnego kolegi nieboszczyka marszałka, a zaprotegowany ongi przez ni— sam— na zajmowan— dot—d posiad—e ogólnego i głównego zar—dcy dóbr pana Januarego, nareszcie wi—ec przynosił jej wiadomości bracie!..

Młodzieniec, lat dwudziestu ośmiu, ciemny brunet, ogorzały i przystojny, z dziarsko do góry podkr—conym w—sem, stan—ł na progu.

- Sługa pani marszałkowej, moje uszanowanie - przemówił swobodnie, i podbiegłszy, ucałował z szacunkiem r—k—e staruszki.

Ubrany był niewykwintnie, ale starannie i czysto, ruchy zań jego, oraz sposób mówienia, zdradzały człowieka, chociażnie obytego może zupełnie z wytworniejszym towarzystwem, lecz dobrze wychowanego.

- Kochany mój panie Bolesławie, - zaczęła staruszka, zwracając się do-
dobrotliwie ku przybytemu - siadaj, proszę, i mów, mów jak najprędzej,
co się stało.

Młody człowiek, widząc zaniepokojenie w oczach matrony, wyrzekł
pośpiesznie:

- O, nic złego... zupełnie nic złego, pani marszałkowno, ale... i nic
również dobrego - dokończył wahając się i ostrożnie.

- Jak to?... -- zapytała pani Melania. Krasnostawski oczy spuścił, i
ukrywszy je po za swemi, jak u kobiety, długimi rzęsami, mówił
z wolna:

- Pani marszałkowno wiadomo, zarówno jak i mnie, co za cios dotknął pana
Gowartowskiego, z powodu panny Oli...

- Więc pan już wiesz?... Skąd? - z okrzykiem niepohamowanego zdziwienia,
wyrwał się staruszce, pytanie.

Coś niemiłego snała ucha młodzieńca zabrzmiało nagle w tych kilku
słowach, bo nie podnosił oczu, jakby nie chcąc nie mieć z marszałkownej
swym wzrokiem, spokojnie i poważnie odrzekł:

- Wiem wszystko, bo mi pan January, nie mając nikogo, zwierzył się z
troski własnej, naturalnie pod słowem honoru z mojej strony, że słowem
nawet o tem nikomu nie wspomnę...

Krasnostawski zatrzymał się chwilę, i ciągnął dalej:

- Obowiązeki, jakie mam dla całej rodziny państwa, szacunek i poważanie
me osobiste względem pana Gowartowskiego, stanowi, chyba doświadczeń-
rękojmi, i że słowa dotrzymam... I... o tem... nikt z państwa,
przypuszczam, nie wątpi... - dokończył młody człowiek, podnosząc tym
razem wzrok, jasny i pytający na marszałkow-

- Ależ naturalnie, panie Bolesławie, naturalnie! - skwapliwie
pośpieszyła z odpowiedzi staruszka. - Lecz mów mi pan, co się tam w
Gowartowie tak niedobrego dzieje? - zapytała niespokojnie.

- To, pani marszałkowno, że z panem Gowartowskim jest ...le... - i
Krasnostawski, spuściwszy znów wzrok, ciągnął dalej:

- Pani Ojciec, jak pani marszałkowno wiadomo, ojciec kochał bardzo,
prawie, że bałwochwalczo; otóż skutki wypadków ostatnich bardzo, bardzo
silnie odbiły się na nim. Nic go już prawie teraz nie zajmuje, ani
gospodarstwo, ni wień, ni inne zajęcia, do siedzeń nie je...dzi, u siebie
nikogo nie przyjmuje - słowem obecnie z niego zupełnie inny człowiek...

Krasnostawski przerwał opowiadanie, jakby namyślał się, co mówić dalej. Staruszka, w zadumie, ze wzrokiem na dół spuszczone, milczała.

Po chwili wahaj się dalej:

- Wobec tego samotność pana Gowartowskiego jest wprost zabójcza, koniecznie potrzebuje on nieustającego towarzystwa, jednym słowem - potrzebuje obok siebie przyjaciela.

Krasnostawski ponownie zatrzymał się na sekundę.

- Moja osoba nie wystarczy - mówi dalej - zajęcia liczne, mieszkanie nie w samym Gowartowie, lecz gdzie indziej, stanowisko wreszcie moje... tu po twarzy młodego człowieka przemknął lekki cień - wszystko składa się na to, iż pan Gowartowski, chociaż dla mnie tak samo żaskaw, jest obecnie moralnie bezustannie - sam...

Z pod oka, przelotnie, spojrzawszy Krasnostawski na marszałkow. Z misy nader delikatnie i przykrze przybył on tutaj; w kieszeni surduta palił go własnoręczny list pana Januarego, w którym ten ostatni, żywił jeszcze do siostry bardzo głęboko urazę za spełnione wypadki, pomimo wszystko, w głębi duszy posiadający nawet staruszkę, iż była, może w tajnej zмовie z jego córką - delikatnie, lecz stanowczo, odmawiał jej gościnnie u siebie, wobec zapowiedzianego przez nią przyjazdu do Gowartowa.

Krasnostawski o zawartości listu wiedział, w chwili żalu bowiem Gowartowski wypowiedział mu wszystko, ba, polecił jemu nawet, jako protegowanemu i lubianemu przez marszałkow, napomknąć o tem przed wręczeniem listu.

Przerwawszy na chwilę opowiadanie, Krasnostawski ostatecznie zastanawiał się wątpliwie, czy poruszy w rozmowie, lub nie, temat drażliwy. Postanowił jednak nie czynić tego wcale, a natomiast, czując, że na ustach domyślał się już czegoś: marszałkowej, zawisa jakby jakieś pytanie, by powstrzymać się, odezwał się pośpiesznie:

- I dlatego, pani marszałkowo, polecił mi pan January, łącznie z innymi interesami, powoływującymi mnie tutaj, zaprosił Gowartowa na czas dłuższy pana Łady Łyńskiego, jego bowiem obecności tylko pragnie, jako prawdziwego swego przyjaciela... Muszę zatem być z nim u niego w tej sprawie, nie wiem jednak, gdzie mieszka... Adres pana Łady Łyńskiego niewątpliwie znanym jest pani marszałkowej?..

Słowa powyższe i pytanie ostatnie zabrzmiały w ustach młodzieńca pomimo woli zimniej nieco. Nerwami uczuł chłód jakby w zachowaniu się staruszki, milczącej wciąż od chwili, gdy jej powiedziała, iż: wie o wszystkim. Gniewało go to spostrzeżenie i raniło dotkliwie dumę jego.

Wypowiedziana głosem miarowym, a wskazując ulicę i numer domu, zamieszkałego przez pana Emila, zabrzmiała odpowiedź... marszałkowej.

Krasnostawski zerwał się natychmiast i rzekł szybko:

- Dziękuję stokrotnie pani marszałkowej...

Z udaną za wolność, powodowany silnym życzeniem wycofania się stąd co prędzej, cięgnę żywo dalej:

- Nie zajmuję już więcej czasu pani marszałkowej, zapomniałem zupełnie, wszak to dzisiaj czwartek, dzieło przyjechać uciekam...

- Ach, tak... - z umiarem protekcyjnym nieco rzekła sędziwa matrona. - Ale już po wszystkim, wszak wieczór nadchodzi...

- Tak... tak, prawda, zapomniałem - brat Krasnostawski, sięgając jednocześnie do kieszeni. - Przepraszam najmocniej pani marszałkowej - dobrodziejko, cóż za roztrzęsienie ze mnie, doprawdy! Byłbym zapomniał... Mam list od pana Gowartowskiego, służy pani marszałkowej.

Pani Warnicka schwyciła list, Krasnostawski jednak równocześnie pochylił się do ręki jej, w ukłonie.

- Do widzenia, mój panie Bolesławie, do widzenia! - z roztargnieniem położyła go staruszka, podając mu rękę do ucałowania, poczem zagorączkowo rozerwała kopertę.

Młody człowiek już był na progu, ale, spojrzawszy z pod oka na marszałkową, zdążył być jeszcze dojrzała jej twarzy rumieniec oburzenia, zakwitł tam, po przeczytaniu pierwszych kilku wierszy. Dostrzegłszy to, młody plenipotent, jak szczupak w wodzie, rzucił się całym ciałem w ciemności sieniowego salonu, pobiegłszy za nią na palcach do przedpokoju, chwycił paltot swój i umknął z mieszkania. Na schodach dopiero odetchnął.

- Uf! wyrwałem się wreszcie... - szepnął. - Ładniebym się ubrał, gdyby tak przy mnie list czytała!..

W ślad zatem wypadł na miasto, a mijając ulice jednocześnie pogryzął się w myślach.

Wywołana wspomnieniem apartamentów marszałkowej, stanęła mu nagle przed oczyma powabna sylwetka Oli, zamajaczyło jej głębokim i zalotnym spojrzeniem, którym, jak wielu innych zresztą, witała i jego, gdy przypadek trafił ich kiedy na chwilę.

Krasnostawski od kilku już lat znał córkę pana Januarego; etykietalne utrzymując stosunki z pałacem Gowartowskim na wsi, widywał ją - rzadko, najczęściej z daleka, na spacerze, w kościele, lub przelotnie w powozie - kilka razy u marszałkowej w mieście. Podobała mu się piękna panna, bo komuż zresztą nie potrafiła ona się przypodobać wdziękami, uprzejmą i zalotną?.. Przedstawiała poza tym typ kobiecy Krasnostawskiego... Nie kochał się w niej jednak bynajmniej, za trzecim wym był na to; choć upokorzeniem dumy własnej, stanowisko swe podrzucił, a jednak...

dziwiony analizę duszy własnej, przyznał się sam przed sobą, że wie, że ucieczce i lubie Oli zabrała go, a raczej, bezpodstawnie na pozór, po prostu rozgniewała.

Rozmyślając w ten sposób, Krasnostawski wszedł do kamienicy, wskazanej przez marszałków. Za parę chwil znalazł się już na pierwszym piętrze, ledwie jednak zadzwonił u drzwi apartamentów Ładyżyńskiego, w ramie ich, natychmiast prawie, w cylindrze i paltocie, ukazał się pan Emil, jak zwykle uśmiechnięty ironicznie i z pogodą na czole.

- A!.. pan Bolesław, herbu Rawita, powitał prawico Januarego de Gowartów-Gowartowskiego, powitał. - i uśmiechnął serdecznie wychodził rękę młodziaka.

- Przepraszam, że nie proszę pana kochanego do siebie, lecz postaci swojej do odejścia gotów wypędzam go raczej, lecz powody ważne... - tu pan Emil uczynił obydwoma rękami ruch pokręty, - skłaniając mnie do tego! - dokończył, i mówił to, elegancko zamknął drzwi przed nosem Krasnostawskiemu, a uśmiechnął się pod włos cięgnął dalej wesoło, poufale wsunął zarazem rękę pod ramię Krasnostawskiego.

- Nie gniewasz się na mnie, kochany panie Bolesławie, wszak prawda?.. Spiesz się na raut; no, mówże tam, co słychać.. Kochany Januarek cóż tam porabia, poluje; weseli się, czy smuci?

Krasnostawski już chciał wypowiedzieć czem przyszedł, gdy Ładyżyński znowu odezwał się żartobliwie:

- Ale, zaiste, pysznie pan wyglądasz, jak rydz w maśle, powinszować Nadobne grodu naszego mieszkanki Ignacowi do pana, jak pszczołki do miodu! Słyszysz o pańskich sprawkach za studenckich czasów, za młodu! - tu poklepał z lekka młodziaka poufale po plecach - słyszałem - powtórz - nie bój się wzajemnie nudzić pana swoją osobą, opowiesz mi pan en ręką, lecz szybko, co cię do mnie sprowadza, a posiedzenie to odbędziemy w drodze. Podwiozł pana... Zgoda?

- Ależ i owszem, dziękuję bardzo! - odparł Krasnostawski, z pośpiechem.

Znajdowali się już na ulicy, pan Emil skinął na stangreta parokonnej drożki, rzucił adres, i pojechali.

Ruchem codziennym wrażliwość nich strojne wesołe miasto:

- Słucham pana - rzekł Ładyżyński.

Młody człowiek w krótkich słowach opowiedział mu o niepomyślnym stanie zdrowia i moralnego usposobienia pana Januarego, zamilczawszy zaś tylko o liście do marszałkowej, zakomunikował zaproszenie do Gowartowa.

Skrzywił się lekko przy ostatnich słowach pan Emil i odrzekł:

- Zapewne, zapewne, bardzo bym rad pocieszył Januarkę, ale wątpię wyjechać za granicę i przyznać, że na razie wybrał on się

z zaproszeniem wcale nie na czasie! No, zobaczymy zreszt... Co pan wie, - tu spojrzę uważnie na Krasnostawskiego - o pani Oli i Dzierżymirskim?..

Zapytanie to postawionem było bardzo zręcznie mówiło nic, a pytało wiele. Krasnostawski natychmiast poinformował krótko i zwięźle pana Emila, iż wiadomem mu jest wszystko.

- Aaa!.. - wyrwało się tylko z ust Ładyżyńskiego, i dodał ironicznie:

- No, to w takim razie wie pan nie tylko o piaszczu gronostajowym przywileżania dziecinnego, szalonej miłości młodzieńczej, weselu pod niebem Italii, et caetera i t. d. ale i o odzieży codziennej, ukrytej przez nas starannie przed plotką, jedną - purpur - drugiej; zatem wobec tego, możemy mówić szczerze...

- Widzi pan - tu Ładyżyński spojrzę znów na Krasnostawskiego, jakby pragnął się przekonać czy warto wywnętrzyć przed nim - ta cała rozpacz "górną chmurna" Januarka, ta dobrowolna wiewiórka przywileżania do córki i ów od poczętku do końca poemat "zbołałego ojcowskiego serca" - bref ten wielki w duszy jego ostatnimi czasy fajerwerk romantyzmu... entre nous soit dit - jest tylko od poczętku do końca jednym nonsensem. Czy nie miała racji?

Krasnostawski milczał.

- Pieścił dziewczynę - cięgnął w tym samym tonie Ładyżyński - upodobała sobie Dzierżymirskiego - wara! Tego, owego - odmówili... To trudno, panie, kobiety tak i mają serca i temperament... Zachciało się Oli żadnego chłopca - nie dali jej go - wzięła go sobie sama, a raczej wzięła się pozwoliła... Niech Januarek lepiej dziękuje i śpiewa Hosannę na wysokościach, że bez plebana się nie obeszło! Lub niech i nawet gniewa się, i wydziedziczy córni, lecz nie lamentuje, bo to i nie po męsku, i wcale nie ma sensu! Dixi. To moje zdanie. Cóż na to pan, panie Bolesławie, herbu Rawita?..

Krasnostawski zżymnął się niecierpliwie; denerwował go zwykle ton rozmowy Ładyżyńskiego, dziś jeszcze bardziej rozgniewał go przycinek "herbu Rawita", bledy widoczny - aluzja - do używanych niegdyś przez niego biletów wizytowych: Rawita-Krasnowstawski. .

Podrażniony zatem, sięgnął na spokój, odparł zimno:

- Przepraszam, ale całkiem inaczej i zupełnie przeciwnie zapatruję się na tę sprawę, oraz rozumiem doskonale pana Januarego.

- Ha-ha-ha! nie masz pan za co przepraszać wiedziałem tylko, że i z kochanego pana tak i romantyk; w takim razie w korcu maku dobraliście się razem z Januarem... Wobec tego, ja w Gowartowie zgoda potrzebny nie jestem, doskonale się tam obadwa rozumiecie...

- Ale, cóż znowu! - przerwał żywo Krasnostawski, bojąc się, czy czasem mimo woli nieostrożnym słowem nie zepsuł danego sobie polecenia. - Mogę

byłych samych zapatrywaæ na te sprawe, co i pan Gowartowski i odczuwaæ jego charakter, lecz przecie w adnym razie nie potrafie zastpiæ szanownego pana, ktry jest tak dobrym jego przyjacielem...

- No tak, tak..., - urwa z kolei pan Emil - "Wszystko ginie bez litoci, nic staego na tej ziemi, oprcz przyja...ni i mioci;" to wszystko nader pieknie brzmi i wyglda, lecz mego zdania, ja osobicie nawet dla przyja...ni zmienianiestety, nie uwazam za stosowne. Czy zaono Januarciovi sie spodoba - grubo wpie..

Doroka w tej samej chwili zatrzymaa sie.

- No, kochany m panie Bolesawie, addio!.. - odezwa sie protekcyjnym nieco tonem £adyyski podajc Krasnostawskiemu reke.

- Zakomunikuj pan z aski swojej m sposb widzenia rzeczy panu na Gowartowie, a jeli potem jeszcze znamnie bedzie chcia - nieche mi napisze, a moe przyjade...

Wysiedli obaj. Pan Emil uchyli cylindra i skierowa sie ku bramie, na progu za jej rzuci jeszcze mtodemu czowiekowi, tym razem jednak przyja...niej nieco:

- A trzymaj sie tam pan dzielnie, ba penadobna ma tu na wieniakw wilczy apetyt!.. Au revoir...

£adyyski znik, Krasnostawski pozosta sam ulicy. Rozejrza sie...

By w jednym z najruchliwszych punktw miasta; wieczr ju rozpoczyna swe panowanie, nadchodzia noc, wielki grd arzy sie setkami ¶wiat; ¶rodkiem ulicy pedziy pojazdy, po chodnikach szerokich zwart gromadwymija go po¶piesznie tum ludzi.

Piekne, zgrabne mieszczanki prawie e ocieray sie o niego, rzucajc co chwila zalotne spojrzenia na adnego chopca. Niewiele jednak z nich so samych, wiekszomiaa ju przy sobie czulcych sie towarzyszy, szepczcych im z u¶miechem sodkie swka.

Pod wpywem ostatniej uwagi pana Emila, Krasnostawski mimo woli przejrza sie uwaniej w witrynie jednego z okazalszych magazynw, a zadowolony z przegldu wasnej osoby, spojrze wesoo przed siebie. Jakie puste pragnienie zabawienia sie, oszoomienia, podobnie tym wszystkim, snujcym sie parom, owadno nim.

Przeksztacony okolicznociami ycia w wieniaka mieszczuch przypomnia sobie naraz lata dawne, studenckie, pene niefrasobliwego jutra i wesoych kawaw, a cho przeplatane czesto bied i godem, bogate jednak w mio swobode!

Bawic przelotnie w murach miasta, ktrego kady zauek zna na pamiea a mijajcych go mieszkacw, szczegdniej kobiety, jednym rzutem oka nieomylnie segregowa, jak znawca, - zapagn nagle Krasnostawski napi sie koniecznie z musujcego uciech miosnych kielicha.

I mimo woli młody człowiek począł uważnie przyglądać się kobietom. Ubrane "szykownie", cienkie w talii, wysmukłe i zgrabne, mijały go one, śmiejące się i wesołe, uprawiając z zamiłowaniem flirt uliczny, skrzyśniętym miejscowym brukowym dowcipem, czujne jednak poza nim na każde spojrzenie przystojniejszego mężczyzny, odwzajemniając mu się zalotnym uśmiechem - "oczeki" i obiecującym nieraz wiele uśmiechem.

A rozmaite dzisiaj była wielka. Wieczór przedświąteczny, pogodny, łiczący się z nadobnych twarzących wywabił na pierwszorzędne ulice - na wspólnej arenie letniego jakby "demisalonu" pewnych, a szerokich warstw miasta. Brunetki zatem, śniade, czarnobrewne, blondynki, powiewne - białe, szatynki, o ruchach omdlewających, a wszystkie prawie ubrane elegancko i z pewnym, właściwym tylko Polsce naszej, gustem, wystrojone, i wesołe - sunęły przed zachwyconym wzrokiem wieśniaka.

I od tego rozpedzonego, barwnego, poruszanego jakby tajemniczym sprężynowaniem, bił na Krasnostawskiego śmiejący, bo odzwyczajeniem dźwiękiem starty, urok; nozdrza grał poczęty, wchłaniał w siebie niewyraźny, niepochwytany powiew, sunący jakby ponad głowami publiczności, gorczącym okiem patrzył w twarz kobietom, swawolnie i niechętnie, na pozór, zaglądał im prosto w oczy...

Co za przejaw nie czytał w owych czarnych, szarawych, fioletowych i modrych oczach, z natury już swej, zalotnych, bynajmniej nie zrażało go do tej; czynności.

- Pójd... pójd..., nie zrażaj się pozornie skromnym, blednym, śmiałym, a może... może... - szeptały, zda się, cicho wejrzenia nieśmiałe, gorące ogniem, nieprzepracowane cięgnące ku sobie; daleko więcej jeszcze mówiły spojrzenia inne, a wszystkie razem, wyzywające śmiałym wzrokiem mężczyzny, całowano go jakby się zdawały, obiecując miłość i szczęście!...

Ruchliwie - fal - w pewnych godzinach przelewały się przez ulice miasta, a obejmując sobą - oddzielnie - warstwy wracających z zajęć pracowników różnej kategorii, na wylot znany Krasnostawskiemu, roił się dalej przed oczyma jego kobieco-dziewczęcy śmiech, i coraz bardziej liczny, barwniejszy - obejmował go swym ruchomym uśmiechem. I młody człowiek, ulegając stopniowo nastrojowi chwili, wspomnieniom dawnym, a związany śmiechem z tymże samym śmiechem, zapomniał o wszystkim.

Znikły mu z pamięci Gowartów, pan January, marszałkowa, Ładyżyski, Ola, a odżył w nim tylko dawny żobuz i bałamut, i dny swawoli i użycia.

Z szelestem spódniczek, zgrabnie ujętych rękawów, a odkrywających modelowane - licznie, zgrabnie obute, w aksamitnej pończosze, nóg, otarła się prawie o Krasnostawskiego wysoka dziewczyna, smukła, jak gazella, czarnowłosa, i rzuciła młodzieńcowi przelotne spojrzenie. Spotkawszy wzrok jego, palący, śmiały, rzuciła mu takie same drugie, uważniejsze jednak, gorczące. Z dwojga par młodych oczu posypały się iskry, a panu Bolesławowi stanęło w tej chwili w mózgu, nieodwołalne ultimatum: Ta, lub żadna!

Puścił się w pogonę za piękną dziewczyną. Dogał ją niebawem, zajął w oczy raz, drugi, trzeci, i poczył się w jej ślad za nią. Przy zbiegu jednak ulic kilku, dziewczyna skręciła nagle w bok i zniknęła w bramie domu.

Zawiedziony i zły, Krasnostawski obrócił się na pięcie, a włożywszy rękę w kieszenie od palta, z humorem przystanął. W oddali zachęcając go zielenią ogród rólmijski, jakby zapraszając go cinnie.

Młodzieniec skierował się w tę stronę, i w dziesięć minut potem wchodził już w bramę ogrodu.

O tej wieczornej i spójniejszej już porze cienie jago, tajemnicze i ciche, pochłonęły Krasnostawskiego natychmiast, a do uszu jego doleciały jednocześnie, z pogwarem drzew szumiących splecione, jakieś szelesty, i szepty, i przyciszone gwary...

To przytulone do siebie, tam i ówdzie po ławkach siedzących samotnych, gruchające przeróżne "pary" fabrykowały najczściej uduł, rzadko szczermię. Miejscami nieestetyczny, czasami wprost brutalny, tam znów, w kontraście subtelniejszy, miękki, ten sam flirt brukowy, rdzenie miejscowy, musował, kipiał po kątach ogrodu, przyczajony do tego stopnia, iż w niektórych alejach dla uwagi słuchacza grała po prostu, zda się, powszechna jakby i wspólnie harmonijna nuta, złożona ze szmeru pocałunków, głośniejszych pęknięć, namiętych protestów, zgody cichej, lub srebrzystego śmiechu...

Odgłosy te, drgając w powietrzu, leciały cicho ku wierzchołkom drzew, z których co chwila gdzieś spadał wolno położyły liściawej jesieni, - jakby pragnąc przypomnieć bawącym się tu ludziom, o kołcu wszystkiego na świecie.

Przeszedłszy po ogrodzie, Krasnostawski usiadł na jednej z ławek. Zmęczone był nieco... Przyjechał kilka godzin temu zaledwie. Marszałkowa, Ładyżyński, piękna nieznajoma, gwar miasta - wszystko to znudziło młodzieńca, przywykłego od lat paru do ciszy i regularnego wiejskiego życia.

Wyjąwszy papierosa, zapalił papierosa, ziewnął, a spojrzawszy obojętnie na siedzących obok na ławce siedzących, wpadł w mimowolny zadumę.

W myślach stanęła mu nagle własna przeszłość z tym samym miastem i przed oczyma migające przeróżne minionych lat obrazy.

Ujrzał zatem siebie małym, u rodziców jeszcze, chłopcem, potem gimnazystą, a następnie akademikiem. Oblicza rozpiętych gdzieś po świecie, a dawno niewidzianych kolegów zamajaczyły mu żywo, wspominał ich przywary, zalety charakteru i serca...

W kalejdoskopie wspomnień odbiło się, przesunęło również, kilka twarzą kobiecych, parę szatów, niepomyślnych jutra, gorczkowych, pieniących się wówczas rozkosz, płomieniem uczucia, a dziś spopielałych

już i zagasłych zupełnie.

A wszystko w tym momencie, z którego murami złyła się, zrosła jego dusza.
Dla chleba porzucił kolebkę dzieciństwa - młodości...

- Cha!... - westchnął głośno młody plenipotent gowartowski, poczem instynktownie obejrzał się wokoło, i jakby nieco zawstydzony swym westchnieniem, z pod oka uważnie popatrzył na swoich siadów.

Obok niego, w wytartej czapce, z daszkiem, nasuniętym na oczy, w wyszarzałej kapocie i z rękami w kieszeniach, drzemała jakaś młoda figura, z głową, wciśniętą w ramiona, zgarbiona, o niedznej powierzchowności; był to zapewne pijak jaki ululany, lub może biedak bezdomny; z przeciwległego zaś krańca ławki jakiś staruszek zbierał się do odejścia...

- Przepraszam pana, która godzina? - zapytał go Krasnostawski, pamiętaj-c, iż zegarek zostawił przez roztargnienie w hotelu.

Staruszek malutki, siwiutek, o jowialnym wyrazie twarzy, zerknął przyjaźnie na młodego człowieka, oczy przymrużył i rozemniał się głośno i dobrotliwie.

- Ha-ha ha..., a widzisz... - dorzucił w ślad za tem - nie przyszła...
Ba!... la donna Ł mobile... - szczerze zasmiał się jeszcze do siebie i podreptał dalej, nie odpowiadaj-c na pytanie młodzieńca.

- A to ci manta jak! - uśmiechnął się Krasnostawski i wzruszył ramionami, a zapaliwszy papierosa, instynktownie zamysłił się znowu.

Tymczasem w tej samej właśnie chwili siadała obok niego wysoka, zgrabna, przystojna brunetka. Gdy odchodzący staruszek wygłaszał swą sentencję, pośpiesznie przechodziła ona drogą, a usłyszawszy głośno wyrzeczone słowa, zwróciła uwagę na siedzącego młodzieńca i uważnie spojrzała nań; poczem zwołała kroku, a po przelotnej wahania chwilce usiadła na ławce. Teraz zaś, uparczywie z pod oka, patrzyła na Krasnostawskiego.

Ten zaś poczuł na swojej twarzy magnetyczny wzrok kobiety, bo po chwili machinalnie obrócił głowę w jej stronę.

Na widok nowej siadki, wyraz przyjemnego zdziwienia odbił się na jego twarzy, w towarzystwie obecnej bowiem poznawał się zdawał pięknie- nieznajom- sprzed pół godziny. Spojrzenia młodych skrzyżowały się. Z czarnych...renic ładnej dziewczyny posypały się iskry, poczem opuściła na oczy powieki, z rękami dłońmi.

Krasnostawski jednak milczał w niepewności.

- Nie, to nie ona - myślał - tamta, smukła gazella, piękniejsza- była, lecz ta znów... tu spojrzał przeci-gle na dziewczynę - kto wie, czy nie ponowniejsza, miłsza?... Bez wątpienia... co za oczy!... - dopowiedział sobie w duchu.

Nie ruszał się jednak z miejsca, nieznajoma bowiem wydała mu się dziwnie nieprzystępna - przynajmniej z powierzchowności. Ubrana była z miejskim szykiem, przeciwnym wprawdzie, ale nie rażąco bynajmniej, ciemno, z pewnym gustem, ba... nawet jakby nieudolnie - jakby dystyngcyjnie.

Tak się zdało Krasnostawskiemu.

W tej samej chwili nieznajoma podniosła na niego znów oczy. Powoli zdjęła woalkę, wciętą palcami spojrzeniem pięknych, dużych ...renic i westchnęła cicho...

Krasnostawski instynktownie przysunął się do dziewczęcia bliżej. W parę sekund później, raz jeszcze przyjrawszy się delikatnemu profilowi nieznajomej i przywoławszy w pamięci całe swe znanstwo dawnego "don-juana", zawyrokował w myśli: - "szyk facetka, ale szkoda czasu," i obojętnie zgaszonego zapalił papierosa.

Poza tym, przed godzinami pełen werwy i animuszu, teraz czuł się zmęczonym i spałemu się po prostu chciało, rękę myśli załamywał, poruszonych niedawno, bezustannie mścił mu się w głowie. Ziewnął więc przeciągle i zamierzał już powstać gdy oto nagle, prosząc, postępszała wyrzeczona głosiłkiem d...wyciecznym swej siostrzyczki:

- Przepraszam pana... ale... nie mogę dać sobie sama rady... Czy... nie byłby pan tak uprzejmym i grzecznym zwinąć parasolkę?...

Słowom tym towarzyszył wyraz twarzy, pełny milutkiego wdzięku i przybranej okolicznościowo zaambarasowanej niby nieśmiałości; zatrzymała się pytając...

Widząc jednak na obliczu młodego człowieka uśmiech i wyciągnięty już rękę po parasolkę, dokończyła zalotnie, podając mu ją:

- Tylko... tak ładnie... cieniutko...

- Pan się dziwi, zapewne - dygnęła już śmiało, lecz z tym samym nieokreślonym nieco twarzą wyrazem, - że ja, nie znając pana, ośmielam się, pomimo to, trudzić... ale...

- Boli ręczka? - podchwycił Krasnostawski uśmiechem i pochylił się ku dziewczęciu, z uśmiechem.

W oczach dziewczyny zapaliły się skry, nerwowo zadrżały jej wargi i usta i rozchyliły się kusząco... Zaśmiała się...

- Tak, mam reumatyzm w prawej dłoni... - odparła z powściązłym spojrzeniem.

I rozmowa w ślad zatem potoczyła się gładko... Krasnostawski poczuł się w swoim żywiole, wpadł w zapał, dowcipkował, śmiał się, opowiadał. Towarzyszka zaimprovizowanego flirtu odcinała mu się dowcipnie, podtrzymywała rozmowę...

Gwar dwojga młodych odbijał się echem po coraz to pustszym ogrodzie; wpi-cy dot-d spokojnie na ławce s-siad ich, bezdomny biedak, zbudzony, zakl-ż z cicha i bez ceremonii położył się na ławce, jak dęgi.

Współ z towarzyszem rozemniało się piśkne dziewczę. Powstali.

Pob-żdziwszy zał samotnie po alejach ogrodu, w pół godziny pó..niej wychodzili z niego, ochoczo i łwawo, na pust- ulicę, trzymaj-c się pod rękę, po przyjacielsku już zupełnie. Młody pan plenipotent gowartowski skin-ż na stoj-ce opodal "gumy", kazał stangretowi podniełbudę, wsiadł do powozu razem z piśkn- now- znajom-, rzucił adres - i pojechali...

Gdy w ten sposób odżyły w wieńniaku łobuz zabawiał się swobodnie w wesołym grodzie - na Ukrainie, w pałacu gowartowskim, który zaledwie opuścił był dwa dni temu, w t- sam- noc wrzeńniow-, pomimo spó..nionej już wielce pory, paliły się, jeszcze wiatła.

Po obszernych komnatach dużego piśtrowego domu, otoczonego cienistym parkiem, przechadzał się, zamyłony, pan January Gowartowski, z rękami założonemi na piersiach. Kłasić na spoczynek wcale nie miał ochoty, od czasu bowiem powrotu z miasta i otrzymania wiadomości o wliwie Oli, sen, wypłoszony cierpieniem i myłami, bezpowrotnie, zda się, uleciał od powiek starca.

Pan January już od kilku tygodni, ku wielkiemu zdziwieniu domowników, nie sypiał wcale. Chodził po pustych komnatach, myłła, czytał, czasami wychodził na przechadzkę, b-kał się po polach, z rzadka bardzo poluj-c do wita na kaczkę - ulubionej tej swej rozrywce, oddaj-c się teraz tylko odruchowo, machinalnie, nawet z pewnym jakby zniechęceniem.

By sobie zał te nudne bezsenne noce czemkolwiek urozmaiciæpan January wzi-ł się do pisania własnych pamiętników, a sun-c piśem po papierze i godzinami zapełniaj-c go swem drobnem pismem, nieraz potem, znużony, zasypiał przy biurku, i tak go nazajutrz nad ranem zastawał lokaj. W ci-gu dnia zał wyra...nie nudził się coraz bardziej; czasami odwetował sobie dęgie białe noce ciękim snem po obiedzie; poza tem nie wyjeżdżał nigdzie, ani do s-siadów, ani nawet do kołcioła, nikogo również nie przyjmuj-c.

W pałacu wszyscy po cichu niepomnie ubolewali nad panem, dziwi-c się stanowi jego, kontrast bowiem dzisiejszego pana na Gowartowie był iłcie raż-cym. Poprzednio, wesoły, ułmiechnięty, rze...ki, nad wiek swó żywy, bior-cy udział we wszystkich sprawach wiejskich, interesuj-cy się najdrobniejszym niemal szczegółem, obecnie zmienił się rzeczywiłcie do niepoznania.

Wróciwszy do Gowartowa, po kilku dniach popadł pan January w trwaj-cy dot-d stan apatii, zniechęcenia i nudy, a powiększaj-cy się ci-gle i coraz bardziej. Z małżęstwem Oli pogodził się, bo zgodził się na nie musiał, rana jednak, zadana nieopatrznie lekkomyłn- ręk- córki, w ojcowskim sercu, nie zagoiła się bynajmniej. Pan January zamkn-ł się w sobie i przeł uwał cierpienie własne, nie mog-c o niem zapomnieæ

I czyż nawet można było dziwić się temu? Każdego dnia, każda chwila i sprawa w pałacu nasuwały biednemu ojcu na pamięć jego żonę, martwota za nią i cisza komnat, oraz ich głucha pustka przypominały stale nieobecność jej bezpowrotnie.

Gdy Krasnostawski, zamieszkały w pobliskim folwarku, Tomaszówce, wpadał tu czasem w interesach i sprawach majątkowych, - ożywiało nieco obecność - swobodne mury, teraz jednak, od czasu jego wyjazdu, dnie jeszcze bardziej dźwięczały się panu Januaremu.

Na stole w jadalni gowartowskiego pałacu leżało kilka księzek, obok w salonie i buduarze widniały porzucone pisma i wiewiórki - na biurku w gabinecie przyległym białe rozłożone arkusze, zabezpieczone pismem papieru. Pan January przed chwilą przestał być czytać i teraz zamierzał, a przechadzał się tymczasem poprzez szereg czterech leżących obok siebie, otwartych, poświetlanych pokoi, myślał.

W ciszy upionego już od dawna domu wybiła godzina druga...

Monotonny odgłos zegara zbudził Gowartowskiego z zadumy. Poruszył się szybko, sam pogasił światła w czterech sąsiednich komnatach, poczem, westchnął cicho, przetańczył czoło i usiadł przy biurku przed rozłożonymi arkuszkami papieru.

Nie wziął jednak pióra do ręki... Myślał leniwa odbiec na rozkaz nie chciała, podparł więc pan January głowę i zamknął się znowu.

Wokoło, z umiarkowanym echem jego miarowych kroków, zapanowała niezamierzona niczem cisza, i trwale dobiegła, nie przerywana zgoła niczem.

Wreszcie, zbudzony z swej zadumy, podniósł głowę dziedzic Gowartowa, sięgnął po pióro i zaczął pisać szybko. Jedne po drugich wypełniały się jego drobnym pismem arkusiki papieru, rozrzucone na biurku, zgrzyt za stółki w milczeniu głuchym donośnie rozbrzmiewały po pokoju. W ten sposób minęła godzina, a może i więcej...

Przestał wreszcie pisać ojciec Oli, odłożył pióro i schowawszy starannie papiery do szuflady biurka - powstał.

Wywołany zazwyczaj umysłowym zmęczeniem, sen nie kleił jednak dzisiaj powiek jego.

Przeciwnie. Zmuszony przed chwilą jeszcze, oderwawszy się od teraźniejszości, zanurzył w przeszłość swojego życia, którą opisywał - pan January orzeł wionym był jakby, a wyraz melancholii smutnej znikł z oblicza jego, oczy patrzyły jaśniej jakby, zapatrzona, zda się, w odległe dawne wspomnienia...

I wyparte chwilę obecne, cierpienie pierzchnęło na chwilę, ojciec Oli załapał, spragniony świeżym powietrzem, otworzył okno, wychodząc na ogród.

Dotykając szybko, zaszeleściły cicho gałęzie pnącego się wysoko po murze winogrodu, i powiew balsamiczny, wiejący, wpłynął do pokoju.

Pałac gowartowski górował nad okolicą. Do stóp jego, poza parkiem i stawem, w półkole, tuliła się wioska, a dalej widniały uprawne pola, odcinał się na widnokręgu sinawy pas lasów, wśród rozległych zał, jak okiem sięgnę-łaskich obszarów - majaczyło kilka dalekich sió i futorów...

W chwili, gdy pan January stanął w oknie gabinetu, z którego krajobraz ten cały, jak na dłoni, można było objąć - nad otaczającymi Gowartów wokoło równinami, pełnymi nieujętego jakby smutku i niewystowionej dziwnej tęsknoty - nad zadumanymi jarami, sennymi łanami i bielejącymi szerokimi traktami - z wolną gasła wstąpiła jesienna noc, pogodna, a z nieba, stopniowo niknęła, pierzchały ostatnie gwiazdy... Jeszcze tylko mgły przedporanne błąkały się tam i ówdzie, półmrok zał szarawy przedświt, walczył z cieniami nocy, coraz bardziej zwycięski, hardy, panoszył się już dokoła.

Gowartowski stał nieruchomo w oknie, a odczuwał głęboko nieujęty czar, płynący ku niemu senną - z ziemi rodzinnej, jednocześnie uczuwał duszy chęć wyrwania się, chociaż krótko z tych ciasnych ram pokoju.

W tej samej chwili cisza drzemiła - przerwał nagle pojedynczy dźwięk, rytmiczny i daleki. Wplątał się melodyjnym akordem w ogólne milczenie, szedł coraz doniolejszy... bliższy...

Przez perłce się jeszcze noc - rosły łany zboża i łki, zagony buraków i jary, leciało monotonne echo dzwonka, żałosne sobi - jakby smętne, błąkał się po ułpionych jeszcze obszarach, budził drzemiące ptactwo, leniwo i niechętnie zrywające się gdziegdzie do lotu.

- Telegram! Może do mnie, pódce i zobaczcie... mruknął do siebie półgłosem pan January, i odstąpiwszy od okna, sięgnął kapelusza.

W tej samej chwili wzrok jego przesunął się po łcianie, na której wisiała strzelba i przybory myśliwskie. Gowartowski spojrzął mimo woli na swój ubiór.

Był w butach wysokich z cholewami, których dobre całe - nie zmienił, pełen apatyj.

Po przelotnej chwili wahania, pan January wziął strzelbę, torbę, naboje i wyszedł przez balkon do ogrodu. Czuł potrzebę ruchu, powietrza i postanowił zapolować na dzikie kaczki. Drzemiła żółka myśliwska przebudziła się w Gowartowskim, a odnalazłszy ulubieńca swego, legawca, łpiącego w ładnej budce, wyruszył przez park na pola.

Myśl jego była jakby wolniejsza, wzrok zał uporczywie łcigał krajobraz, niejako wsłuchując się w bliski już teraz zupełnie odgłos dzwonka. Nadzieja zwodnicza podsunęła mu bezpodstawne przypuszczenie, iż może ten oto znajomy dźwięk, zwiastujący telegraficznego posłańca, przyniesie mu jak-ł dobrą, a niespodzianą - od Oli wiadomości

Rzeczywiście jak zwykle, rozwiązała chwilowe złudzenie. Spokojnie i równomiernie, u rozstajnych dróg, przy krzyżu drewnianym, przesunęła się sennie, w jednego konia, dwukołowa bida, z siedzącą na niej skuloną postacią, i brzęcząc dzwonkiem, zginęła w mgłach porannych.

Dziedzic Gowartowa westchnął, i minął park oraz wioskę, bocznicę skierował się ku polom. Poprzedzany kręcącym się wesoło, całym czarnym, z białymi łapami, legawcem, w pół godziny potem spuszczał się w jar gęboki.

Otulony ciszą przed świtem, drzemał tu staw obszerny, cały zarosły sitowiem - siedziba kaczek dzikich; mały młynek drewniany, cichutko szmerząc przelewając się wodą, odpoczywał, przyparty do wzdłużnej grobelki; w jej pobliżu maleńka, garbata chatynka młynarza dopełniała krajobrazu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna podał się pan January obecnej chwili tylko, zapomniawszy momentalnie o dręcącym go cierpieniu. Stając ostrożnie i cicho po zroszonej trawie, siedział wzdłuż stawu, nad jego brzegiem, rozglądając się szybko dokoła.

Milczenie i spokój panowały niepodzielnie w tym zakątku. Czasem tylko załopotało coś w sitowiach i zaraz zcichło; tuż ponad senną taflą wód przeleciał wolno ktoś idącego myśliwca jastrzęb wodny, kulik, zniknąwszy niebawem z oczu...

I melancholijna szarość jeszcze na wpół pogroźona we śnie, cicha, królowała dalej znowu, skupiona w sobie, niezamężna niczem, chyba tylko szelestem kroków ludzkich i biegiem legawca.

Nagle pan January przystanął:

- Wara! do nogi! - syknął cicho na psa. Legawiec, podniósłszy lewą łapę i wyprostowawszy ogon sprężył się, znieruchomił.

Na czystą taflę wód stawu, rzecz rzadka, wypływały poważnie dwie kaczki dzikie i kołysząc się niedostrzegalnie, zbliżyły się, ufne, z wolną płynąc, na odległość strzału. Myśliwiec odwiął kurka u strzelby, jak mógł najciszej, i przyłożył broń do ramienia.

Przeczekął chwilę jeszcze, i pociągnął za cyngiel...

Odbity w milczeniu dziesięciokrotnym echem huknął w ciszy pierwszy strzał!... Dosięgnął on jednocześnie obie kaczki, położył je trupem, i zbudził zarazem śpiącą w sitowiach zwierzynę.

Zagotowała się tam teraz wszędzie; tłumione szelesty rozległy się na wsze strony; kurki wodne, kaczki, kaczki nawoływały się wzajemnie, kilka z tych ostatnich poderwało się nawet hen, w perspektywie, na drugim krańcu stawu... daleko. Jedna zaś, wynurzywszy skądś, z charakterystycznym powłokowym skrzydeł, przeleciała: wysoko prostopadle ponad głową myśliwego.

Posłuszny legawiec jednocześnie przynosił panu w zębach zabity zwierzynę; Gowartowski, odebrawszy psu kaczki, zawiesił je u torby i poszedł dalej.

Powoli, stopniowo, rozjaśniało się tymczasem.. Na wschodzie, gdzie w oddali, widnokrąg zaróżawiał się, niedostrzegalnie, leciutko...

Ojciec Oli Dzierżymirskiej, ze spuszczonego głowa, postępował wciśniętym brzegiem stawu. Kilka kaczek po drodze jego zerwało się trwożliwie, myśliwiec jednak nie zadawał sobie trudu strzelać do nich, bo oto znowu, wywołane na pozór drobnostką, pochłonięty bezpodzielnie pana Januarego wspomnienia smutne.

Rok temu, podobnie jak dzisiaj, polował on tutaj.

Razem z Olą wyjechali o drugiej, noc, i przybyli nad staw przy księżycu jeszcze. Tak samo cisza ułpiania panowała dokoła, tak samo, jak przed chwilą, na toż czysto, lśniące się tylko w dogorywających, drżących promieniach miesiąca - wypłynęła zwierzyna...

Pamięta, jak dzisiaj, ową chwilę, radość z tej przejażdżki i jej ciekawość obserwowania przy polowaniu. Stoi mu żywo przed oczyma twarzyczka jej zarumieniona, żadnutka, wzruszona, ciekawie śledząca wzrokiem kaczki, płynące po wodach...

Pamięta doskonale, jak w ostatniej chwili, gdy już cyngla dotykał, szczebiot jej wesoły spłoszył zwierzynę, i jak wówczas Ola tego sobie darować mogła...

Westchnienie ciche podniosło pierś Gowartowskiego, brwi zmarszczył i zatopił się w myślach niepomny zupełnie otoczenia swego.

Tymczasem zwierzyna co chwila podrywała się tam i ówdzie, przelatując blisko idącego machinalnie naprzód myśliwego.

Legawiec, kręcąc ogonem, wiercił się na wszystkie strony, skamlał nieśmiało, z cicha, gonił uciekające kaczki i powracał, podnosząc rozumny swój wzrok na zamkniętego pana, z wyrazem zdziwienia, iż nie słyszy już strzałów - wyraźnie zgorzonym postępowaniem jego.

Staw tymczasem już się kończył..

W pobliżu, nieco dalej, oddzielony od pierwszego stawu pasmem błotnistych moczarów, widniał taki sam prawie drugi, mniejszy tylko i sitowiem zaróżawiony cały.

Znajdźcie drogę ku niemu, pan January nie zatrzyma się, a tylko cięgle tak samo zadumany, ruszył w drogę dalej, prosto przez bagno, stawiając powoli stopy na trzęsących się kępach zielonych.

Pod ciężarem ciągał idącego myśliwca grunt uginał się, kołysał niedostrzegalnie, a pod nim chlupotała woda i poruszała się kręgiem cały wodnistej ziemi.

Pan January nie zwracał jednak na to żadnej uwagi; w myślach rozpamiętywał co ci-gle, w oczach zaś uporczywie majaczyła mu wywołana przypomnieniem twarz i postać Oli, przesłaniając sylwetki sw- wzrok jego zamglony.

Roztargniony jakby, tu, gdzie się znajdował, zgoła nieobecny, Gowartowski szedł przez moczary, coraz dalej, a raz nawet noga niespodzianie obsunęła mu się na małej kępcie, i mało, mało, że nie stracił równowagi...

Tymczasem poza nim, w dal rozkwierały się niby widnokręgu podwoje...

Stopniowo, wskie pasmo skrytego jeszcze słonecznego światła, rosło na niebiosach. Z pod białych puchów postania i spuszczonej dyskretnie jakby gazowych ułoża zasłon - zarumieniona, wstydliva wychylała się poczęta jutrzienka różana, przeci-gając się lubieżnie jeszcze poza przejrzysto-opon-obłoków białych...

Ponad stawem latały teraz ci-gle kuliki; w dali na horyzoncie, z innego snadlegowiska, wysoko na pogodnym niebie, ciągnęło tutaj całe stado dzikich kaczek - prostopadle pod nimi ogromny jastrząb krzyż majestatycznie nad łanem zboża...

Ostatnie wreszcie cienie przedświt pierzchy nagle... Pierwszy promień słońca wyrzał nieśmiało, błąsnał po białych ścianach chatynki i blaszanym dachu starego młyna, dotknął się tafli stawu, zamigotał w mętnych błotach moczarów i musnął pieszczotliwie odwrócon- sylwetkę idącego męczczyzny.

Na błąszcz-cej lufie przełożonej przez plecy strzelby zapalił się blaskiem. Minęła chwila... i już tryumfalnie zajął on, obj-wszy płomieniem światła liście kilkunastu drzew, rosn-cych wśród bagien. Postać kroc-cego miarowo po moczarach człowieka na zakręcie, czy też w drzew cieniu, znikła nagle w mgnieniu oka...

Po chwili w dali rozległo się tylko głuche szczekanie psa.

Umilkło...

Nad ziemi- w tej samej chwili wstał dzieł nowy, pełen nadziei, z radości- na promienistym czole.

Na platformie kawiarni, położonej na szczycie góry "Götsch," wznoszącej swój cypel wyniosły ponad wdziecznie rozrzucon- u jej stóp Lucern-, roiło się od turystów, siedzących przy stolikach.

Szmerzy prowadzonych rozmów były w akord wspólny z grając- smętnie i cicho orkiestr-, wzrok zaś wypoczywających gości piękny widok cudny i wspaniały na miasto, tuł-ce się zacisznie do brzegów jeziora, zapatrzone

w jego ciemnoszafirowe głębokie, w których lustranej toni milcząco przyglądały się również zadumane wierzchołki gór.

Zamykały one łacuchem swym całą widokrog naprzeciw miasta, po drugiej stronie jeziora, i ramowały na prawo kręte szyje wód jego, płynących cicho w dal...

Ozłociwszy purpur i złotem niebieskie szczyty górskich we mgle Alp, zamigotawszy krwawo na białych frontach nadbrzeżnych hoteli, spiczastych wieżach "Hofkirche" i szybach pomniejszych domostw, wstała przed chwilą ostatni promyk słońca...

Natomiast zmierzch szary już obecnie wychylał się skądś nieśmiało, przylizgał się po gładkiej tafli jeziora, przechadzał po dwóch, krytych daszkiem, drewnianych mostach, starożytnych i wskich, a omraczając sześciokrotny czubek, położył onej tu przy jednym z nich, oryginalnej wodnej wieży, swawolnie zdawał się zatapiać, jedynaczką, stercząc zabawnie pośród wód szafiru.

A tymczasem, pod wpływem idącego wieczora, cichło jakby jeszcze bardziej wszystko dokoła... Senny spokój płynący zdawał od Lucerny, która, choć przepełniona gołębiami z całego świata, tętniącą poczynającą wstała nie o tej porze muzyki i gwarem - obserwowana jednak stąd, z "Götsch" wierzchołka, wydawała się tak spokojna - tak cicha, jakby nie była zgoła punktem zbornym kosmopolitycznej towarzystwomietanki, ale tylko - oazą wytchnienia i swobody.

W jednym z najlepszych punktów obserwacyjnych kawiarnianej platformy, przy stoliku, siedziało pięć osób.

Towarzystwo to składała: starsza wiekiem osoba, Polka, z córką i poważnym jegomościami, ojcem zapewne rodziny - młodą, żwawą, przystojną Francuzką i Dzierżymirskimi.

Ożywiona, niemiłą rozmowa, podtrzymywana głównie przez Oicę i młodą Francuzkę, panowała przy tym, odosobniona od innych, stoliku. Stary jegomość miał się co chwila serdecznie i jowialnie z dowcipów młodzieńca, panią również rozmawiała wesoło i jeden tylko Dzierżymirski stanowił w tym akordzie dobranym kontrastem aże nadto wyraźny, zachowanie się za jego milczące i bierny, li tylko konieczny, udział w rozmowie, świadczący dobitnie, że to wszystko nudzi go nad wyraz.

Oczy Dzierżymirskiego, pełne zamyślenia, prawie bezustannie spoczywały na krajobrazie u podnóża gór, z rzadką przenosząc się, obojętne, na towarzystwo. Wzrok jego wtedy zatrzymywał się głównie na Oli. Zadumała smętna, od otoczenia daleka, znikająca wówczas na chwilę z jego oblicza, ...renice za czarne Romana, ciemniejszymi stawały się, badawcze... Nader korzystnie za dnia tego wyglądała pani Ola. Ubrana w zgrabną suknię, z jasnej materii, czyniła wrażenie wytworne i eleganckie; obnażone za dołęboko, z okazji niby gorąca, pierś, szyja i ramiona, przykryte tylko aże urowną koronką, stanowiła całość sukni - podnosiły jeszcze wdzięk jej postaci. Siedząc obok młodego Francuza, rozmawiali z nim

przeważnie, śmiejąc się, dowcipkując, i bezwiednie zapewne tylko, rzucając mu od czasu do czasu rozbawione, zalotne jakby spojrzenia.

Trwał tak dosyć długo. Po jakimś czasie jednak Ola zauważyła dość dziwne trochę zachowanie się męża, bo, skorzystawszy z ogólnego powstania, spowodowanego czyjś uwagą o krajobrazie, zbliżyła się do Dzierżymirskiego, i przytuliwszy go, otarła, jak kocię, swą rozkwitła kibicą o niego, miękko i czule zapytała:

- Coś taki smutny, Romciu, co ci?

-Nic, kochanie! - odparł krótko Dzierżymirski i dorzucił po chwili:

- Ale, a propos, ja cię tu zostawię, bo sam wpałam jeszcze muszę na pocztę, tam, na dole...

- Koniecznie chcesz tam iść? To może jedziemy już razem?..

Dzierżymirski odczuł niechęć w głosie żony; cię ledwie dostrzegalnego niezadowolenia, przemknął mu po twarzy, odezwał się jednak szybko:

- Nie, nie, zostaw, ma chłre, proszę cię... Spotkamy się później w alei nadbrzeżnej, będzie czekał na ciebie... au revoir...

Dzierżymirski cisnął zlekka rączką żony i zdecydowanie wycofał się z platformy, zjechał po schodkach na dół, do stacji kolejki zębatej, zwanej "funiculaire," a za chwilę w pięciu minutach czasu górę z miastem.

Zajęte lornetowaniem krajobrazu - którego wdzięk teraz dopiero, po chwilowym wyczerpaniu tematu rozmowy, zdążył przemówić do ich poczucia piękna. Towarzystwo nie zauważyło nawet odejścia Romana. Ten ostatni spuszczał się powoli po schodkach i zasiadł niebawem w wagoniku kolejki, wkrótce ruszając do Lucerny.

- A to mnie znudzili - mruknął - zakazane towarzystwo...

W tej samej chwili rozległ się sygnał odjazdowy, wagoniki poruszyły się z chrzęstem, i hamowane, powoli w dół spuszczały się zaczęły.

Roman obejrzał się; w wagonie, dziwnym zbiegiem okoliczności, znajdował się zupełnie sam.

Wygodnie wyciągnął nogi, rozparł się i patrzył w dół.

Przed nim czerniała stromo idąca para szyn kolei, z położonym pośrodku trzecim, dziurkowanym resem; w dole, otulone mrokiem, drzemało jezioro - wierzchołki gór stopiły się w zmierzchu, złąły jakby z chmurami niebios, w ciemnościach zaś, coraz to większych, występowały teraz szaro domy miasta, w których, jak ogniki błędne, zapalały się co chwila tu i tam światła.

Roman nagle przysunął oczy.

Bo oto jemu - wpatrzonemu ci-gle w dół, w strom- pochylony powietrzn-
próchniCE, dziel-ć jeszcze kolejkCE od jeziora i, miasta - zakręciło siCE w
głowie, w wirze za tym wyłoniła nagle siCE jedyna szalona myśl,
spowodowana jakimś jednoczesnym, nic nie znaczącym wagonów hałasem.
Mianowicie zdało mu siCE po prostu, że oberwany pociąg leci w dół, coraz
szybciej, i... że już... już oto w katastrofie, chaosie impetycznym -
dotknie siCE on niebawem szklistej toni wód...

Po krótkiej atoli chwilce Dzierżymirski otworzył oczy i rozemiał siCE
głównie.

Nic wokoło nie zmieniło poprzedniego wyglądu. Wolno i ostrożnie staczała
siCE kolejka dalej, jezioro było już tylko znacznie bliżej, u brzegu jego
mrukała, iskrząca siCE dziesiątkami światłek, Lucerna; wagony, brzęcząc,
spuszczają siCE ci-gle, zawieszane nad miastem.

Roman wzruszył ramionami.

- Co mi dziś jest! sarnie nie wiem! - mruknął.

W istocie był nie swój od samego rana. W silnej mierze niewłaściwie
przyczynił siCE do tego postępowania żony.

Zapoznawszy siCE sama z kilkoma osobami, o natrętej manji zaznajamiania
siCE, zanudzała go od kilku dni pobytu w Lucernie ich obecności-
bezustannie, bawąc siCE wszakże sama znakomicie. I to właśnie ostatnie
najbardziej irytowało Romana. Tak unikał dotąd ludzi, tak uciekał od
nich, by być samym tylko z Oł-ą, by bez zamęcenia niczem piaseczkami
chwili i t- miłoścy- w sobie wszystko zagłuszył.

Ominął jednak nawet dobrowolnie Medyolan, rodzinne miasto swej matki,
gdzie pochowana była na miejscowym "Cimitero Monumentale," gdzie poza
tem posiadał jeszcze krewnych nieboszczki - uczyniłszy to w jedynym celu
uniknięcia musu obcowania z ludźmi, innymi, prócz niej, Oli...

A tu tymczasem ona sama wyszukiwała sobie jakieś zakazane figury!..

Roman przy tej ostatniej myśli, wyrzuciwszy z ust dogasającego
papierosa, zaczął siCE niecierpliwie.

Bo na przykład ten Francuz, czyż nie wzbudzał w nim słusznego gniewu?
Młodziak nieznośny, z beznadziejnym, banalnym wiecznym na ustach uśmiechem,
z którego jednak Ola bezustannie tak szczerze siCE śmiała...

- Albo ta jej toaleta dzisiejsza, - mówił sobie dalej Roman, - w Wenecji
przecież było daleko gorzej, nie ubierała ona jednak gorsu swego tak
przejrzysto, a tu chwał w porównaniu...

- Dla tego osłucha Paryża niewłaściwie, by mógł cynicznie i lubieżnie
napawać siCE kształtem i ciętym jej kibici! - półgłosem dopowiedział
podrażniony Dzierżymirski.

- fle też te kobiety bez wabienia mCEłczyzny po prostu żyć nie mog-!.. - wyrwało mu, siCE jeszcze.

Spostrzeżenie powyższe, a tyż-ce siCE w danym wypadku własnej żony, gniewało go niepomiernie.. Od pewnego czasu bowiem, obserwuj-c OICE, dostrzegł cechCE w charakterze jej, nieznan- mu dot-d: chCEazalotn-przypodobania siCE innemu mCEłczy...nie - nie jemu... J-trzyło go to bardzo, choapragn-ł pozornie traktował fakt ów lekko.

Wagoniki stanCEły wstałnie. Roman wyskoczył szybko i skierował siCE ku gmachowi poczty, położonemu koło głównego mostu, tuż przy dworcu kolejowym. Przed paru dniami wysłał list do kraju, do jednego ze swych dobrych znajomych. Powiadamiał go o swoim ślubie i zarazem prosił usilnie o napisanie mu, co w rodzinnym mieście mówi- o jego małżeństwie i co porabia January Gowartowski.

Dzierżymirski najbardziej był ciekawym tej ostatniej wiadomości, ze wzglCEdu na OICE i smutek, od niedawna, stopniowo żłobi-cy, coraz częściej jej twarzyczkCE.

Podał adres: "Poste-restante, Lucerna," teraz zatem, wyskoczywszy ra...no z wagonu kolejki, w kilka sekund znalazł siCE już przy wstałciwem okienku, w obszernej sali gmachu szwajcarskiej poczty. śpiesznie powiedział urzCEdnikowi swe imię i nazwisko.

Grymas pocieszny wykrzywił twarz tego ostatniego, i wykrztusił z trudnościami:

- Dziez-Dzier... Comment? "crivez, monsieur, sil vous plait! - podał kartkCE Dzierżymirskiemu.

Roman postęsusnie napisał swe nazwisko.

UrzCEdnik wzi-ł papier do rCEki, skrzywił siCE raz jeszcze, poczem wrzucił wymownie ramionami, a po chwili dopiero podał cudzoziemcowi list.

Roman chwycił go śpiesznie i wybiegł na ulicCE.

Przy świetle latarni rozerwał kopertCE i czytaapocz-ł zapełnion- bitem pismem kartkCE. Twarz jego wyrażała niepokój i zaciekawienie widoczne, które po chwili dopiero ust-piły wrażeńiom, otrzymanym bezpośrednio z lektury pisma.

List ten, donosz-cy o towarzyskim życiu w rodzinnym mieście, o ostatnim przyCEciu u marszałkowej, i pogłóskach o stanie Gowartowskiego, nic w sobie zatrważaj-cego nie miał.

"Znam pana Krasnostawskiego, plenipotentą gowartowskiego; jeśli chcesz koniecznie miećłokładne wiadomości o wszystkim, tyż-cem siCE Gowartowa, napisz mi i podaj adres, a doniosCE ci szczegółowo.." opiewał koniec listu szkolnego kolegi Romana, w postscriptum...

Uspokojony, Dzierżymirski złożył list i schował go do kieszeni; pod

wpływowem jednak ostatnich słów pisma, zawrócił, przestąpił raz jeszcze próg gmachu poczty, i kupiwszy pocztówkę z widokiem, napisał szybko, odręcznie, przyjacielowi swemu kilka słów szczerego podziękowania, z prośbą o dalsze wiadomości, podawszy adres "Vevey", dokąd zamierzał z Olinda udać się nazajutrz. Poczem wyszedł śpiesznie i wrzuciwszy kartkę, skierował się przez szeroki most ku nadbrzeżnej, ocienionej drzewami, szerokiej alei, spacerowemu miejscu Lucerny, pełnemu w obecnej chwili publiczności, rozbrzmiewającemu muzyką, wesołocią i gwązdem.

Minąłszy most, Roman wkrótce znalazł się w cieniu drzew i uszedłszy paręset kroków, siadł na samotnej ławeczce, kapelusz zdjął i położył obok siebie.

Wpółobróciwszy się jednocześnie, ujrzał stragan z owocami. Poczł nagle pragnienie, i skinął, kazawszy sobie przynieść parę gruszek i brzoskwię.

Gdy usłuchany szwajcar podawał mu je, z ugrzecznieniem, Dzierżymirski sięgnął do kieszeni, a wyjęta ruchem szybkim sakiewka jego roztworzyła się, i zawartość jej cała wysypała się szeroko i z brzękiem na ziemię.

Roman, widząc to, machinalnie schylał się już, by zebrać je na ławirze alei kilkaset może franków, w złocie i srebrze, gdy oto jakaś refleksja nagła powstrzymała go w pół ruchu. Wyprostował się.

Rzuciwszy za siebie oczekującemu na zapłatę przekupniowi po francusku, niedbale: "Ramassez ça!" - odwrócił się obojętnie na pozór w drugą stronę, i utkwiał wzrok w jezioro.

Po chwili, w półobrocie głowy, z pod oka, spojrzawszy raz jeszcze na zoran-bruzdami, opaloną twarz szwajcara, zbierającego już rozsypany pieniądz - zamyślił się...

O, jakże on pragnął w tej chwili, by z garści tych oto pieniędzy, które mu wręczonemi bled- za parę minut, zabrakło pięćciofrankówki choć jednej!...

Podarowałby on ją miłośnikowi temu, a biedakowi zapewne, z pewnością!... Bo czyż?... Czyż godziłoby się "jemu" rzucać na niego kamieniem?...

Roman, wpatrzony bezustannie w zadumie przed siebie, gorczkowo, niecierpliwie oczekiwał rezultatu swej próby.

- We...mie, z pewnością! - mówił sobie równocześnie w duszy i głośno jakiś cyniczny, drwiący - co wołał w nim szyderski.

- "Uczciwość!... ha... ha... ha!.. Frazesy, frazesy!.. malowana, wzorzysta zewnętrznie kraszanka, wewnętrznie skrycie cuchnąca!..."

Przed Dzierżymirskim roztaczał się tymczasem krajobraz wdzięczny nad wyraz. W dręczących widok oto gębiach jeziora, na prawo, przegłądało się tysiącem światła miasto... płynące wody, o kilka kroków od alei, skręcały w bok, toczyły swe ciemne fale, jak rozpięta nad niemi wręczniowa noc cicha, hen! daleko, ku górą; po powierzchni jeziora

bł-kały siŁe żółki i małe stateczki, przy każdym zał bŁyszczła czerwona, duŹa, okr-gła latarka, krwawym łladem, łcieŹyn- purpury znac-c gŁEboko swe przejłcie w przezroczej toni.

I ogniki owe, ł-cnie ze swem odbiciem, drŹały tak bezustannie po jeziorze, sunŁeły z wolna, zmieniały miejsce - wreszcie malały, utoŹsamiaj-c siŁe jakby w dali lataj-cym gdzieł łwiŁetojaeskim robaczkom...

Na lewo zał, tuŹ przy brzegu, u przystani statków parowych, inne znów ognie dotrzymywały tamtym towarzystwa. Ku ucieŹe zapewne spaceruj-cych gołci puszczano tam fajerwerki; krŁeciły siŁe zatem mŁyæce, pŁekały rzymskie łwiece, strzelały wysoko barwne rakiety - spadały snopami iskier, ginŁeły w ciemnych falach jeziora.

DzierŹymirski, wpatrzony pocz-tkowo bezmyłnie, pocz-ł siŁe teraz wŁałnie przygl-daæwaŹniej, uŁEty wdziŁkiem widoku, gdy nagle postŹyszał gŁołno wyrzeczony kołto siebie Źłowa:

- S'il vous plait, monsieur!

Roman odwrócił siŁe szybko. Szwajcar, pozbierawszy pieni-dze, oddawał mu sakiewkŁe.

- To dobrze, macie za owoce i fatygŁe! - połpiesznie odparł DzierŹymirski i wrŁeczył przekupniowi dwa franki, w srebrze.

- Merci, monsieur! - akcentuj-c przeci-gle ostatni- sylabŁe u wyrazu: pan, odparł zadowolony Szwajcar, skŁonił siŁe, bez uniŹonołci jednak, i odszedł.

DzierŹymirski wstał i skierował siŁe ku innej, odleglejszej, skrytej cieniem drzew, a pustej równieŹ ławce. Wychodz-c z domu, dziwnym trafem okolicznołci, przerachował wŁałnie pieni-dze i wiedział co do grosza, ile ich znajdowało siŁe w portmonetce. Odr-ciwszy w myłli wydanych kilkanałcie franków, pocz-ł gor-czkowo liczyæłoto i srebro.

Nie brakowało ani jednego centa.

Widoczne rozczarowanie odbiło siŁe na twarzy DzierŹymirskiego. Pochylił siŁe na siedzeniu, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dŁonie.

- WiŁec ludzi uczciwych na łwiecie nie brak... Uczciwym byæłpotrafi nawet człtek prosty, wiŁec tylko ty... ty!.. - huczało mu bezlitołnie w gŁowie, i rumieniec wstydu palił policzki.

Nie mog-c usiedzieæRoman zerwał siŁe po chwili z ławki i skierował przed siebie nadbrzeŹn- alej-.

Min-ł niebawem jeden z pierwszorŁednych hoteli, przed którym co wieczó stale grywała orkiestra, dotarł aŹ do połżonego na koæcu "quai" - kursalu, - zawrócił, wci-Ź opanowany jedn- i t- sam- myłł-.

zał zarumieniła się nieco i odparła:

- A tak. Pożyczyłam okrycia u panny K... po zachodzie słońca tak chłodno...

- Można się było z góry tego spodziewać...le zrobiła, wyletniając się, a z odsypaniem znów owych zarzutek kłopot tylko będzie!
- rzucił Roman opryskliwie.

- Wiesz przecie, że jutro raniutko jedziemy! A te panie gdzie?...

Dwa ostatnie zdania wymówił Dzierżymirski po polsku tym samym, niezadowolonym wci-ż głosem.

- Wstąpiły po drodze do znajomych - odparła Ola, onieśmielona nieco tonem mężczyzny.

- A... tak. No, to wracamy do domu! - zdecydował Dzierżymirski w tymże, co poprzednio języku, i odwrócił się szybko, pragnąc w duszy co prędzej pozbyć się towarzysza żony.

- Przecie już Ola nigdy tego cymbała nie ujrzy! - dodał w myśli zarazem.

- Państwo jadą jutro? O której? - pytał tymczasem wstał nie młodzieniec.

Widząc, iż Ola pragnie poinformować Francuza, Roman rzekł śpiesznie.

- O, panie!... nie wiemy jeszcze!... Au plaisir - i wyciągnął rękę...

- Ach, więc już może nie będzie miał szczęścia oglądać państwa? Doprawdy, jakże mi przykro! - rzekł młody Francuzik, ścisnąc podaną dłoń; nie odchodząc jednak, wci-ż siedział obok Oli.

- Państwo w którą stronę? - zagadnął uprzejmie. - Tak mało miałem sposobności rozmawiać z panem... - sędziutko ciągnął dalej, zwracając się do Dzierżymirskiego - umknął nam pan tak prędko...

Bawidamek z nad Sekwany umilkł nagle pod drwi-ćm spojrzeniem Romana.

- Państwo... w roku przyszłym zapewne przyjadą tu również? - jęknął jeszcze, podtrzymując rozmowę.

- A pan?... - sędzko i uprzejmie zapytał Dzierżymirski.

- O, naturalnie, iż będzie! - pośpieszył z odpowiedzi- młodzieniec.

- No, to my - nie! - odparł z przyciskiem, całkiem seryo Roman, lodowatym głosem, i uchyliwszy ledwo kapelusza, skinął na tramwaj elektryczny, by stanął.

- Wsiadamy! - rzucił krótko żonie.

- Przecież ten tramwaj do naszego hotelu nie idzie, a tylko w przeciwnym kierunku?! - zauważyła zdziwiona Ola.

- Nic nie szkodzi. Pozbierzemy się tego kulfona! - odrzekł po polsku Roman. - No, wsiadaj!... - rzucił gniewnie do ociągającej się kobiety, i pchnął ją z lekka do czekającego na nich tramwaju.

W sekundę później Dzierżymirscy ruszyli; wehikuł elektryczny pomknął i znikł, odprowadzony osłupiałym wzrokiem Francuza, który, postawszy na chodniku chwilę, cały, jak burak, czerwony, ruszył w drogę, i zginął niebawem w różnobarwnym tłumie.

Gdy w Lucernie odbywał się ten drobny epizod, jednocześnie prawie, szerokim ukraińskim traktem, w bezgwiazdnej i ciemnej noc wrzeźniowej, pędził konno na oklep wyrostek, w burej szwajcarskiej, trzymając w ręku smolne płuczywo, tak zwany kaganiec.

Krwawy blask jego rozświetlał panujące wokół nieprzejrzaną ciemność, torując w ten sposób w ślad za je...d...cem drogi małemu koczykowi, zaprzężonemu w cztery bułane ławy koniki. W powoziku siedział Bolesław Krasnostawski, otulony burką i obłożony pakunkami. Jechał wąskimi od koleji, a powracał z podróży swej do miasta.

Zabawiwszy tam, zamiast trzech dni, jak mu polecono, - dziesięć dni dopiero pośpieszał do swoich obowiązków, przez całą drogę trzymał sobie wąskimi głowami, jak upozorowaną przed starym Gowartowskim swobodę przytuloną trochę nieobecnością.

Bo zgoła nie interesowałyby przytrzymały pana Bolesława w wielkim mieście; o, bynajmniej! Młody pan plenipotent wracał gości, jak świety turecki. Całkowicie, naturalnie i tylko własnym, zarobionym gotowizną przejechał bowiem tam doszczętnie.

A teraz na ostatek, jadąc w swoim kocyku, rozpamiętywał on jeszcze miłość, na odległość nawet nocne chwile, w wesołym grodzie spędzone... Myślał o całej jednocześnie o swym chlebodawcy, jedna szczególnie rzecz dziwiła go niepomnie; mianowicie, dlaczego z Gowartowa nie otrzymał on dotąd wcale żadnej, nagłej do powrotu, depeszy, lub przynajmniej choćby jakiego listu?... Bo że on nie dawał znaku życia - nie było w tym nic dziwnego - ale Gowartowski?... To zaiste, było całkiem niezrozumiałym...

I analizując fakt ten, po raz nie wiadomo już który, Krasnostawski ziewnął przeciągle i roztworzył oczy, przymknął dotąd, usiłował bowiem zdrzemnąć się w powozie.

Patrzył teraz wokół siebie nieco bezmyślnie, dośpieszywszy wkrótce wkrótce wkrótce wkrótce ciemności jadąc swym powozikiem. Na tle czarnej nocnej opony czerwony od blasku kaganiec przelizał się szerokim kołem po obu stronach drogi i zapalał się kolejno na zielonych rżyskach, zaoranych polach, lub mającym po grzędach zielonych plantacji buraczanych, ugorach, stepowych bodjakach - kwiatach i trawach. Czasem zajrzał do rowu, musnął kurhan, z pochylonym krzyżem, oświetlił przydrożne samotne drzewo...

- fleby siŃe tylko stary na mnie nie zaci-Ń i za nieposłuszeŃstwo nie wymówiŃ miejsca, hm... hm!.. - chrz-kaj-c niespokojnie, wymówiŃ do siebie pan plenipotent, pŃgŃosem. - E, chyba Ńe nie... zanadto mnie potrzebuje! - uspokoiony zakonkludowaŃ gŃoŃno.

Nagle wytŃeŃyŃ wzrok, bo oto zdaŃo mu siŃe, Ńe w ciemnoŃciach, w oddali, na prawo, rysuj- siŃe jakieŃ cienie, a tu Ń, niedaleko, Ńrodkiem pola, jak gdyby drog-, posuwaj- siŃe z wolna, zbliŃaj-, dwa inne migoc-ce maŃe ŃwiatŃka, eskortowane z przodu krŃEgiem, czerwon- plam- ŃwiatŃa.

- Hej, Stepan, czujesz *) ? ha?... - krzykn-Ń na furmana.

[*) SŃyszysz.]

CzŃowiek, siedz-cy na ko...le, w burce i ceratowej czapce, odwróciŃ siŃe leniwie. Krasnostawski wskazaŃ rŃEk- na prawo.

- Co to takiego? - zapytaŃ.

- KtoŃ z kahaŃcem jide od Howartowa, - taj hodi **) - zawyrokowaŃ stanowczo wo...nica.

[**)KtoŃ z kagaŃcem jedzie od Gowartowa - i juŃ.]

- To juŃ Gowartów? - zdziwiŃ siŃe Krasnostawski.

Jad-c do folwarku Tomaszówki, rezydencyi pana plenipotenta, przejeŃdŃaŃo siŃe pod sam Gowartów, oddalony ledwo od traktu o pŃ wiorsty.

Kocz Krasnostawskiego, podniszczony nieco i roztrzŃsiony, klekotaŃ po drodze, konie szŃy ra...no, wyci-gniŃetym kŃusem, czuj-c snaŃw poblŃu juŃ domow- stajniŃe. Krasnostawski zapaliŃ zapaŃkŃe i spojrzeŃ na zegarek: dochodziŃa druga po pŃnocy.

- Hm... hm!.. Stary znów nie Ńpi, bo widocznie to we dworze siŃe pali - ponownie mrukn-Ń, wpatrzony w gorej-ce w oddali podŃuŃne wstŃEgi ŃwiatŃ.

- KoŃo hresta - stanesz! - rozkazaŃ, zwracaj-c siŃe do furmana, zaciekawiony naraz, kto moŃe jechaŃ Gowartowa o tak pó...nej porze?

Furman hukniŃciem donoŃnem zakomunikowaŃ rozkaz wyrostkowi z kagaŃcem.

Na rozdroŃu stanŃeli. Ramiona stoj-cego tu, omszaŃego starego krzyŃa, zabarwiŃy siŃe od Ńuczyna purpur-. Czekali.

W nocnej ciszy dochodziŃ juŃ turkot powozu, tŃtent Ńoni i d...wiŃek jazd zbliŃaŃ siŃe szybko.

- Semen - Howartowskije koni! - nachyliwszy siŃe ku Krasnostawskiemu z kozŃa, furman pospieszyŃ z informacy-.

Pierwszy pod krzyŃem zjawiŃ siŃe na roŃym stajennym kasztanie parobek, z kagaŃcem, a poznawszy gowartowskiego plenipotenta, uchyliŃ pokornie czapki.

- Kto to jide? - rzucił pytanie Krasnostawski.

- Pan dochtór! - brzmiała odpowiedź....

Pod krzyż nadjeżdżała zaprzęcona w parze rasowych gnadoszów nejtyczanka, powożona przez wosatego i porządnie ubranego stangreta.

Krasnostawski wychylił się ze swego koczka, poczęp machając kapeluszem i krzyknął donośnie:

- A!... pan konsyliarz kochany!... Powitał witając Stół, Semeniel!...

Nejtyczanka zatrzymała się posłusznie i w podwójnym migoczącym świetle kagałków u rozstajnego drzewa zaczęła, zeszło się dwóch mężczyzn.

- To pan? - Nie poznałem... - odezwał się nazwany przez Krasnostawskiego konsyliarzem.

- Dobry wieczór, a raczej dzień dobry! - pozdrowił młody człowiek przybyłego - bo to już dobrze po północy - dorzucił. - Czy szanowny pan z Gowartowa? Cóż to tak późno, ktoś chory, broń Boże, a może tylko z wincika?...

Z pod czapki spojrzała uważnie na Krasnostawskiego zdziwiona twarz doktora, okolona długim brodem.

- Jak to? To pan nic nie wiesz? - zapytał.

- Wracam z podróży... - objaśnił Krasnostawski.

- Aaa! nic nie wiedziałem... Pan January, chory od tygodnia, rozwinął się tyfus, o przebiegu silnym bardzo i niebezpiecznym... Poza tym komplikacje inne, nerwy et caetera... Teraz zresztą już lepiej... może Bóg da... doktor zatrzymał się.

- Ale, nie mówię panu, od czego się to wszystko zaczęło - dorzucił informując - Już był pono niezdrów, moralnie przynajmniej; wpadł, połaj-c na moczarach, w wodę po szyję i zaziębił się...

- Nikt mi nie powiedział, mów Boże! - szczerze zasmucił się Krasnostawski.

- Więc pan mówi, że dzieł lepiej?...

- O tyle, o ile!.. teraz napi po lekarstwie, gorączka spadła nieco, lecz wczoraj było...le bardzo; notabene, przez klucznicy - staruszki, w całym domu nikogo nie ma przy sobie...

- Możebym ja pojechał tam teraz, do pana Januarego, na noc, co? - rzekł Krasnostawski, na dobre zmartwiony.

Doktor przyjął...nie spojrzawszy na młodzieńca, uśmiechnął się z dobrocią i rzekł:

- No, zmęczone jesteście, kochany panie, podróż, moście dobrodzieju, wspomnienia po niej miłe zapewne, panie tego - tu poklepał Krasnostawskiego po plecach. - Nie, nie potrzeba - cięgnę dalej seryo - wyłupij się pan i jutro tam pojedziesz, bo zresztą, mówię ci między nami, przeskadzają tam tylko będziesz... Niech się sobie, nieborak, klucznicą i sęba przypilnuj - go. Ba! żeby to tylko zawsze tak było, jak dziś....

- Jak to? więc obawa jest jeszcze? - zaniepokojonym znów głosem zapytał Krasnostawski.

- Obawa jest, jeszcze! - przedrzeźnił szorstko doktor i widocznie nadrabiał - minę, dorzucił. - Wam wszystkim się zdaje, że doktor to prorok!... Naturalnie, że jest!... Czy ja wiem zresztą - wszystko w ręku Najwyższego - zobaczymy... No, tymczasem dobranoc! - doktor wycięgnął rękę na pożegnanie.

Krasnostawskiemu twarz spochmurniała, i niepokój wyraźny odbił się na niej; odczuł nerwami, czego nie było w słowach doktora i co on usiłował widocznie pokryć przed nim na razie, i posmutniał jeszcze bardziej.

Jednocześnie jakiś jakby wyrzut sumienia wezbrał mimo woli w jego duszy, i że on tak długo pozostawił starca w samotności, bez opieki, sam bawił się wesoło. Pożegnawszy lekarza, pomógł mu wsiąść do bryczki.

- Jakże tam zdrowie wszystkich u szanownego doktora, żony, dzieci?... - bknęła, aby coś powiedzieć

- Dobrze, dobrze, serdecznie, dziękuję, dobranoc!

- Dobranoc! - powtórzył, jak echo, Krasnostawski, i ruszył do swego pojazdu.

- Czohośmeni ne skazał, szczo pan słabujut - rzucił wymówkę furmanowi.

Tenże odparł lakonicznie:

- Zabuł, pane!

- Do Tomaszówki! - rozkazał Krasnostawski.

Powozik ruszył w dalszą drogę. Turkot jego w milczeniu nocy pończył się z cichym coraz bardziej odgłosem kół i dzwonek nejtyczanki lekarza, a dwa kagańce, w dwie przeciwne strony, rzuciły znowu ruchome swe kręgi krwawe w pasmo ułpionych, kirem nocy pokrytych, obszarów. Oddalając się od siebie, długo tak na horyzoncie, malejąc coraz bardziej, wleciły ich łuczywa, aż wreszcie, zamigotawszy czas jeszcze jakiś purpurowymi punkcikami na niezmiernych płaszczyznach - spełzły całkiem na widnokręgu, znikły, zlawszy się z ciemnością, która wchłonęła je w siebie.

Turkot na trakcie ucichł. Szeroka tafla ukraińskiego szlaku, rozjaśniona na chwilę, znikła i czarna jeszcze większa zawisła nad polami, stepami

i krzyżami kurhanów.

W milczeniu nocy, pełnem zagadek i szeptów tajemniczych, wszystko dokoła zapadło w sen twardy i cichy.

- Bo ty nie wiesz, nie czujesz może i nie przypuszczasz nawet, jak ja cię kocham, jak bardzo ubóstwiam, ty skarbie mój najdroższy, ty moje życie, me wszystko!... - szeptał gorąco Dzierżymirski, nachyliwszy się ku Oli i tulił ją do siebie.

- Ty zdasz sobie sprawy nie potrafisz - cięgnął dalej, zapalając się coraz bardziej do słów własnych - ile ja gotów jestem rzeczy najdroższych nawet - poświęcić dla ciebie, co dla cię zdolnym stumię przecierpieć. Ja gdybym był cię nie posiadał - podeptałbym bez namysłu wszelkie prawa ludzkie, jeźliby one stanęły mi w drodze do zdobycia ciebie!... Ty nie wiesz... nie wiesz!...

Roman, poblądźszy, umilkł. Chmura osiadła mu na czole, skrzywienie bolesne zadrgało w ustach. Pochylił na moment głowę.

Och, czemuż nie mówię, czemuż, powiedz jej Oli, wszystkiego?.. Na ustach mu drżało, przemoc - prawie wyrwało się z nich wyznanie przeszłości, zdusił je jednak, wtłumił w siebie, z obawy, by te piękne lica ukochane nie odwróciły się odeń z pogardą. Po chwili znów mówił:

- Tak, ty obszarę, ty głębi uczucia, które wre we mnie, które dla ciebie niejednemu tamże zerwało, nie oceniasz, nie rozumiesz...

Dzierżymirski silniej przycisnął do siebie kibic, a pochwyciwszy jej rękę, przywarł do nich ustami, i pocałunkami okrywał ją.

- Ty... moja... moja! - szeptał w kątko namiętnie, coraz czulej... ciszej...

- Ty moja!... Ja za nic w świecie nikomu cię nie oddam, wydrzeć się nie pozwolę!...

A uspokoiwszy się stopniowo, cięgnął:

- I czyż wobec tego zatem dziwi cię nawet możesz z tego humorowi memu, owego wieczora, pamiętasz, w Lucernie!... To nie był gniew, opryskliwość jak to nazwał ją, dziwactwo! O, wierz mi - nie!... To była, wywołana cierpieniem tylko - zazdrość i ból duszy, że komu innemu pozwalasz chociażby wdzierać twych się napawać i na nie patrzy, rościsz sobie może i jakieś urojone, chociażby imaginacyjne do nich prawa - może czyżna inny - ni...li... ja...

Roman mówiąc przestał wzburzony i wzruszony.

- Rozumiesz więc teraz, kochanie ty moje? rzekł znowu po chwili miękko, łagodnie, i spojrzawszy prosząc w oczy słuchającej go w milczeniu Oli, rzucił pytając: -Przebaczasz?..

- Ależ przebaczam... przebaczam!... - rzekła, uśmiechem, pieszczotliwie Ola, a że nikogo podówczas wstała nie w pobliżu nie było - siedzieli w cieniu alei nadbrzeżnej nad Lemanem - zarzuciła na szyję Romana swe długie białe rękawy, i przytuliwszy się do niego, poczęła mu z kolei szeptać

- Ty mój drogi, jedyny!... Od kwadransa patrzę na ciebie i rosnę w duszy, taki szlachetny, rozumny, piękny... Piękny!... - powtórzyła z załotnością, namiętnie i przytulając się do niego musnęła wargami ślad twarz Dzierżymirskiego.

- Nie taki, jak wówczas, zazdrosny, zły, brzydki!...- przekomarzała się z wdziękiem - ale taki zakochany... wielki!...

I Ola czulej jeszcze przycisnęła się do Romana, zbliżyła swe wargi śmiejąc do jego ust zmysłowych, i mówiła poczęła głuchym szeptem, urywanym od uczucia nadmiaru - przeplatany pieszczotami, pełnym tętniących w nim młodych pragnień:

- Kocham cię!... kocham... kocham!... Jak nikogo dotąd... nigdy, nigdy!... - szeptała przy tym młodej kobiecie zadręczała namiętniej jeszcze. - Nie ja - to ty przeciwnie nie rozumiesz, nie czujesz, jak cię kocham, uwielbiam !...

- Wszak dla ciebie porzuciłam ojca, Gowartów, rodzinę! Stłumiłam, zgłotnęłam uczucia inne!... Połknęłam na twe wołanie, pobiegłam za tobą, w twe objęcia, podeptałam wszystko... wszystko!.. O!... Ja bym sobie zarówno wydrzeć cię nie dała - tyś tak i mój!... mój!...

I szept młodej kobiety łaszcył się, palący, zawrotny - skonał...

Zbliżone usta młodych silnie zwarły się w pocałunku. Na chwilę, minut parę, znikło im z oczu wszystko, przesłonięte mgłą - jakby, z której jedna jedyna wyłoniła się tylko - miłość

Wokoło zaś wciśnięte nie było nikogo. W cieniu drzew tonące w mroku tajemniczym, ciszy zadumanych pełnym "quai Perdonnet," nadbrzeżna aleja w Vevey, wycięta się brzegiem Lemanu, u stóp rozrzuconego w górę szwajcarskiego miasta.

Nad "Lac Leman" drękał księżyc w pełni; przegłądał się w głębokich jego toniach, z pieszczotami przylizując swe promienie po ciemno-modrych falach...

I w blasku miesiecznego światła tchnące krajobraz cały jakimś czarem dziwnym...

A więc, poza jeziorem, hen, gdzieś, w perspektywie, niewyraźnie srebrzył się mglisto Alpejski szczyt wyniosły - w tafli Lemanu, ogromnej, szklistej, niby morze, odbijały się gwiazdy, topiły w nich swe

wierzchołki wieniec pobliskich gór. Masy ich kadłubów miejscami zaciemniały jezioro, a w ciemniach tych, odbijających raźco na obszarach wód od fali, tych oświetlonych tałm jasnych, białkały - siłce jakieł mary i cienie, ze łniełnym łaglem sunłłta cicho zgrabna, wysmukłta barka...

Ksiłłyc tymczasem wzbijał siłce coraz bardziej i wyłej, malał, stawał siłce jałniejszym, przezroczym - milczenie wzrastało... Fala u stłł Dzierłymirskich szemrałta teraz cichutko, a tam, z mrokłw, od głł podnłł, na przestrzenie włł Lemanu, skrłłce siłce pyłłem srebrzystych promieni, marłłco, niepokalana, białta, spokojnie wypłływałta z wolna ta sama łłł... łaglista...

Oderwawszy usta od gorłłcych pocałunkłw, Roman i Ola patrzyli w zachwycie.

Do dusz ich, na piłłkno czułłych, włłlizgiwał siłce czar tej szwajcarskiej, boskiej nocy, studził krew rozigranłł swym bezmiernym, majestatycznym spokojem, poniłł, równał z zerem ich troski ziemskie ogromem i potłłłłł przyrody - podnosił, wzmacniał ducha, dodawał mu skrzydełł, lecłłcych w załłwiaty...

Pierwszy z nastroju tego ocknłłł siłce Dzierłymirski i spojrzełł na zegarek. - O, jułł mija dwunasta! Chodłłmy, moje łycie! - odezwał siłce do Oli.

Powstali.

- Ach, jakłł noc dzisiejsza jest piłłknłł - jak piłłknłł!.. - z zachwytem szepnłłłta Ola - nie zapomnłł jej chyba nigdy.

- Ani ja równiełł! - potwierdziłł Roman w zadumie.

Wziłłł pod ramiłł łonłł i ruszyli z miejsca, kierujłł siłce pod głłł, ku rozsiałnym willom miasta.

Milczeli. W głłowie Romana huczałł chaos rłłnorodnych myłłli. Z nich załł jedna, najuporczywsza, wyłłoniłłta siłce zwyciłłska.

- Miłłłłłmiłłłłłaz jeszcze, i miłłłłłłł, jedyna, wielka! - krzyczałł w nim głłos podnieconego mółłgu - ocaliłłł jest w stanie! W niej tylko znajdziesz zapomnienie, niłł siłce upijesz, przy jej pomocy zmatujesz bolesnłł ranłł przeszłłłci, zdusisz sumienia wyrzuty !..

- Bo miłłłłłłł haszysz - wołłł ten sam głłos dalej - bo miłłłłłłł szcłłłłłcie na ziemi - to raj, to jedna rzecz z tych, tak rzadkich na łłłwiecie, dla ktłłrej warto mołłł walczyłłł trudziłłł, by jłł zdobyłłł. Ona cłłłłłcierpieniem i rozczarowaniem tylko, lecz ilełł razy bđłł łycia nagrodłł - jego zapomnieniem!..

Dzierłymirski zdjłłł kapelusza z głłowy, pod wpłłływem załł myłłli ostatnich, opiekułłczo i czule objłłł silnem ramieniem kibiałłony.

Postłłpowali krokiem rałłłnym, idłłc pustemi, cichemi uliczkami bezustannie

pod górę. Roman odezwał się po chwili:

- Zostaniemy dłużej w Vevey; tu tak cicho, samotnie, tak z dala od ludzi, od wiatu i jego pogwarów - zostaniemy, Oluniu, cóż ty na to? - pyta - co nachylił się ku młodej kobiecie.

- Ależ i owszem, mój ty samotniku - odparła z uśmiechem Ola - a zresztą, wszak nie zwiedziliśmy jeszcze wszystkiego...

- Ach tak, prawda... moje życie, prawda... Koniecznie zobaczymy wszystko! - mówił Roman. Umilkli znowu, zatopieni w myślach.

Od parodniowego pobytu swego w małym nadlemańskim miasteczku, Dzierżymirscy prowadzili żywot pracowity. Wstawali raniutko, odbywali wycieczki i spacerowały po okolicy; nie dalej, jak dzień, zwiedzili pobliskie Montreux i sławny "Chateau Chillon;" obejrzawszy go wewnątrz dokładnie, jego starożytną salę i wieżycę, miejsca kałani - ponure więzienia, z zachowaniem dotąd tak zwanym "oubliette," nad trzystumetrowym zbiornikiem - Lemanu.

Wśród narodowych pieśni szwajcarskiego ludu, towarzyszącego im w kolejce, zwiedzili oni również przed paru godzinami górę "Soim-Pellerin," mając nadzieję jeszcze w pamięci cudny z wierzchołka jej widok na szafiry jeziora i miasto Vevey, zaciszne, pogodne, rzucone niby na ekran zielonego podnóża gór - zadumane, pełne melancholy i cichego smutku...

- Wiesz, Oluniu, co ci powiem? - odezwał się nagle do żony Roman, gdy mijając wąską nie wysokie, gotyckie wieżycę piętrowego kościoła katolickiego, zagłębiali się w aleję, poprzez drzew liście, rozjaśnione tajemniczo cieniami księżycowego światła...

- Oj - cięgnę po przelotnej chwili wahania - że napisałem do jednego z dawnych znajomych, by donosił mi, co się dzieje z ojcem twoim w Gowartowie...

- Ty zrobiłeś to? O, mój drogi, najdroższy, jakiś ty dobry, pocziwy, żęty! - wykrzyknęła szczerze uradowana Ola i przytuliwszy się do Romana, uściskała go serdecznie.

- A tak, ja, we własnej osobie, tak często bowiem smutno bywała... - potwierdził Dzierżymirski, i urwał nagle.

Przyjemnego a jednocześnie i przykrego doznał on wrażenia. Mię - była mu myśl, że odgadłszy utrapienie żony, ulżył jej. Smutno nieco, widząc bowiem na twarzy żony tak pogodną radość, i o odebranych już liście wspomnienie mówić. Ten, chociaż wesoły, nie wiódł jednak jeszcze ze sobą tych wiadomości, gdy natomiast następane - kto wie?

- Ha, trudno, - powiedział sobie w duszy Dzierżymirski - niech cieszy się! Nie zatruję ja jej tej chwili zadowolenia.

- I dotąd niema żadnej odpowiedzi? - skwapliwie pytała tymczasem Ola.

- Nie, kochanie - skłamał gładko Roman - ale nadejdzie niebawem, podałem

adres Vevey...

- Podałaś? - ucieszyła się znów Ola - no, to dobrze, bo ja mimo woli biję się z przypuszczeniami nieraz, co tam oni wszyscy myślą - o mnie, czy potrzebują - bardzo, czy gniewają się, czy smucą?..

Ola ucichła i ciężki smutek przemknął po jej twarzy.

- No, no, cóż to znów za niepokoję? - podchwycił Roman, korzystając z chwili, iż na ulicy nikogo nie było, pośpieszył z pocieszeniem, pieszcząc czule młode kobiety.

I znowu zagrała w nim nienasycona miłość, ogarnęła, zdeptała wspomnienia - zakręciła sama!..

Niebawem Dzierżymirscy odszukali swój will, już ciemną całkiem i ułpioną, a błądząc chwilę po pustych korytarzach, dotarli nareszcie do dużego pokoju z balkonem, który zajmowali tu na pierwszym piętrze.

Kroki zapó...nionych przybyszów zmściły ciszą Willi, skrzyp drzwi zgrzytnęły fałszywym dźwiękiem w ogólnej harmonii powszechnego milczenia.

W pokoju okna były otwarte, i panowało w nim powietrze rześkie, świeże, od gór płynące. Wchłaniając je z lubością, Dzierżymirscy poczęli gospodarzyć sobie. Roman po chwili wziął się do zamykania okien, Ola zaś, zapaliwszy światło, zdjęła kapelusz i wolno poczęła się rozbierać.

Lecz oto nagle podskoczyli oboje. W zupełnej bowiem ciszy ułpionego domu, tuż po zamknięciu sieniowego pokoju, rozległy się silne uderzenia. Ktoś bez ceremonii walił w mur pięściami, chcąc widocznie zmanifestować swój - tam obecność zarówno i fakt, że, hałasując, spałmu przeszkadzano.

Wkrótce jednak rozstrzone uderzenia ustały i posypała się garść nieestetycznych, wyrażonych głośno i ze złością - epitetów.

Tyle było bezwiednego komizmu w stukaniu tym i w poirytowanym głoście, zaspanym jeszcze, że Dzierżymirscy rozśmiali się wspólnie i szczerze.

- To ta słodziutko-grzeczna rozwódka, podstarzała, pseudo - wielka pani, elegantka, wiesz .. co to przy obiedzie, siedzi koło nas - objaśniała półgłosem Ola - (w szwajcarskich hotelach-willach, zwanych "pensions," obiadały - wszyscy razem).

- Tak?.. - zdziwił się Roman - nie wiedziałem... A to oryginał baba, naturalnie, nie przypuszcza zapewne, iż my tu mieszkamy... Złapała się... Jak to jednak i pozory fałszywej układności zdradzają - czestokroć to zwierzę, ukryte w człowieku - filozoficznie dorzucił. - Ale, ale... - ciągnął dalej, z uśmiechem - wyobra... sobie, Oluniu... Zapomniałem ci powiedzieć, na górze nad nami - wskazał sufit palcem i rozśmiała się - mieszka drugie dziwadło: Pamiętasz... ta mała, nasze vis-a-vis, ładna stara panna... Otóż wynajmuje ona aż pięć pokoi przyległych naokoło siebie, a wiesz dlaczego? - Tu Roman po raz drugi głośniej jeszcze parsknął

Wymiechem. - fleby jej w nocy nie hałasowano! Młodsza od naszej
siadki, co?...

Ola zamiała się z kolei srebrzyście. Słuchajcie, zdjęła wąż przed
przed chwilą suknię, i siadała obecnie przed lustrem, z obnażonymi
ramionami. Pragnęła rozczesać włosy, przechyliła się w tył i poczęła
rozwizywać leniwym ruchem ręk.

- Poczekaj - rzucił żywo Dzierżymirski - damy tej babie odpowied... muzyk-
całusów!.. Przypomni sobie może luba rozwałka małżonka!.. Ha-haha, a to
się wciąkał dopiero będzie!..

I swobodnie, ze wymiechem, Roman przyłgnął wargami do ramion Oli, i
począł całować ją głośno, cmokając z lubości.

- Ohe!.. la - bas!.. On dort ici!.. - rozległ się po chwili za ścian-
gardłowy, wyszczęcył głos, pełen nienawiści i jadu.

- Buch! buch! buch! - rozległy się znów w pasy uderzenia o mur
wciąkał.

Ola zamiała się serdecznie, Roman nie przestawał całować waszyście.

- Dosyć, dosyć - szepnęła młoda kobieta, z trudnościami hamując
wesołość - proszę mi wynosić teraz - szepnęła w ślad za tem, z
pieszczotą w głosie. - Id... na balkon! - dodała, i przechyliwszy wysoko
głęboko - swobodnie na poręcz krzesła, podała Romanowi do pocałunku
rozchylone swe wargi zalotnie patrząc na z pod długich rzęs...

Cudnie i wdzięcznie - swych linii harmonii, biust kobiecy przemknął ponownie
w tym ruchu falistym przed rozkochanym wzrokiem mężczyzny.

Dotknął ustami ust i z wezbranymi siłami - w sercu wyszedł na balkon.

Tu zapalił cygaru i znowu wchłonął w siebie pełnym, szerokim oddechem,
orze... wiać - atmosferę cichej szwajcarskiej nocy. Spojrzył w dół. U stóp
jego szli się w dali tam i ówdzie srebrem rozświetlone jezioro. Do
powierzchni jego piaseczotliwie tuliły się jeszcze gdzieś gdzie
ostatnie mgiełki, błąkające się zazwyczaj dzieła całej, od rana, po
Lemanie, i współ z białymi mewami muskające stale grzbiety jego fal.

Księżyc już był bardzo wysoko. Snopami światła dotykał teraz grzbietów
gó, mienił się fosforycznie na wierzchołkach dalekich śnieżnych
szczytów.

A tam, w dole, zadumane, ciche usypiało miasto... Jedne po drugich, jak
iskry dopalającego się płomienia, ogniki - gasły w domostwach Vevey
świąteczka, kolejno - stopniowo nikły...

Dzierżymirski, z zadowoleniem, wciągnął w piersi zdrowy powiew,
płynący z dali, wypuszczając zarazem z ust małe obłoczki niebieskawego
dymu.

Obecnie - chwilowo, był on zupełnie szczęśliwym! Tu, w zacisznym górnym pokoju, czuł on podwójnie, jako swój własny, wspaniały świat kobiet, kochał je z dwójnym siłą żywotnych zapasem, a czując równocześnie wzajemnie przyciąganie ku sobie niekłamanie, nurzał się w uczuciu tem, z rozkosz-pływaką, że...ko w rękach rozstępcznionych wód wesołych płynącego w dal radosnego jutra! Wizje przykre zniknęły zupełnie, robak wewnętrzny, toczył ducha Romana, przestał go dręczyć na chwilę... Dawkami ukołyszane sumienie - spało.

- Romciu!.. Romeczku!.. - usłyszał naraz Dzierżymirski pieszczot obietnic pełny, wołający go głos kobiety.

- Idę... idę! - odparł po śpiesznie i rzuciwszy cygaro, przestąpił próg balkonu.

Światło w pokoju zgaszonym już było. Tajemnicze natomiast błękitno-srebrne księżycowe fale zalewały komnatę, a w półświatle tem majaczyła postać Oli i białe alabastrowe jej ramiona.

Dzierżymirski, wchodził, chciał przymknąć za sobą obite szarem sukniem balkonowe okiennice.

- O, nie... nie zamykaj!.. Tak ładnie księżycy świeci, tak ślicznie!.. - postępszał w tej samej chwili prosił Oli. Roman usłuchał, a zamknął tylko szczelnie okienne ramy balkonu, skierował się szybko w górę pokoju.

Jeszcze we mgłach wczesnego poranku drzemały góry, jezioro i niezbudzone, senne miasto Vevey, gdy do drzwi pokoju Dzierżymirskich zapukał ktoś dyskretnie.

Roman, który obserwował właśnie przez okna mglisty krajobraz, na ten odgłos zerwał się po śpiesznie. Odziawszy się szybko, nie pytając przez drzwi głownie, kto zech, by nie zbudził Oli, skierował się ku wyjściu z komnaty... Otworzył drzwi cicho...

- Bonjour, monsieur! - pozdrowiła go, przeci-gając śpiesznie, wpuł ubrana, uśmiechnięta wstydliwie, młoda Szwajcarka, i podała jakiś papier.

- Co to jest? - z cicha pytał co rzucił po francusku.

- Telegram! - brzmiała odpowied....

- A... dziękuję - odparł Roman i zamknął drzwi. Niepokój wyraźny odbił się na wyrazistym obliczu jego; cichutko podbiegł na palcach do okna i gorczkowo rozwinął kawałek papieru.

Stłumiony gwałtem okrzyk zabrzmiał w pokoju przyciszonym echem, i telegram z ręki Romana upadł mu na posadzkę. Poprzez szyby balkonu Dzierżymirski spojrzął błędnym wzrokiem przed siebie.

Tam, gdzie w oddali, poza wierzchołkami gór, zarórowiało się coś niewyra...nie, p...niło... W mgłach tajemniczych zniknęły całe wczorajszy krajobraz, a poza niewidzialnymi tylko szczytami Alp, pokrytymi jakby woalem, gdzie, daleko, - zakryta wstydliwie, wschodziła snaz jutrenka...

Roman, blady jak p...no, przeniósł wzrok swój w przeciwną stronę komnaty. Uśmiechnęła, cicha spała tam Ola... Z pod lekkiej kołdry wysunęła się jej główka urocza, rzęsy długie kładły swe cienie na rumianą twarzyczkę, usteczka ponętne z koralu marzącym, od rzeczywistości dalekim, rozchylały się uśmiechem...

Dzierżymirski patrzył wciąż na nią, z czułością współczuciem, b...em...

- Biedna!.. biedna!.. - wyszeptał - Biedna!.. powtóżył ciszej jeszcze. Bolesne skrzywienie przemknęło mu po ustach, i odwróciwszy twarz, - nieruchomy, oparł się w zadumie o szyby okien balkonu.

Babie lato sнуło sw...edz... Czepiało się na zagonach poruszanej wie...o czarnoziemnej gleby; łaskotało nozdrza siwych wołów, w trzy pary leniwie sunących w pługów, obmotywało się swawolnie wokoło ich przepysznie rozrostłych rogów i biegło dalej, unoszone wietrzykiem, by przytulić się do rozgorzałej w słońcu czerwieni - i złotem ściany borów, do samotnych grusz polowych i zgarbionych strzech ukraińskich chat, a zaglądając po drodze w ukołysane jesienną ciszą - jary - ginęło gdzieś w stepie dalekim, splatając tam ze sobą - uściskiem trawy, bodjaki i polne kwiecie - pracowicie przędząc - wszędzie ustawiczną - niaw - biały.

Drogę do Gowartowa, galopem, co koń wyskoczy, p...dziła czwórka koni, unosząc w tumanie iskrzącej się od słońca kurzawy powóz, a w nim dwie osoby. Pierwszą z nich był ksiądz proboszcz, z pobliskiego miasteczka, drugi - Krasnostawski.

Jak huragan, minęszy pochyłymi garstkami ludzi, kopiących w pobliżu łąk buraków, oraz cmentarzyk wiejski, cichy, pełen uroku - pojazd wpadł do sioła. Z zagród chłopskich wyskoczyły psy i szczekały poczęty zajadły; wystraszone dzieciaki, o p...owych, prawie białych, włosach, rzuciły się, uciekając w popłochu, a przędząc konopie wieśniaczki, w barwnych swych strojach, chustkach i wyszywanych koszulach, stawały zdziwione, przeprowadzając migający p...dem pojazd niespokojnym okiem.

Zzianą, okryta potem czwórka koni, zwolniła wreszcie biegu, i stopa, wolniutko, ostrożnie spuszczała się z pagórka na wiejską groblę.

- Czy ksiądz dobrodzieja nie znużyła nasza tak p...edka jazda?.. Cóż robię jednak, kiedy inaczej nie zdzielibyśmy może... - odezwał się Krasnostawski, korzystając z mniejszego p...du powietrza.

Barczysty ksiądz, o inteligentnym wejrzeniu dużych czarnych oczu i

brwiach kruczych, odbijaj-cych wyraziłcie od białych wąsów,
wymykaj-cych mu się spod kapelusza, obruszył się na to pytanie.

- Ale, cóż znowu!.. - odparł. - Oby tylko ten zacny pan January dożył
błogosławionej chwili i mógł pojednać się z Bogiem!..

Umilkł ksiądz, i niebawem z pobożnym westchnieniem, dorzucił:

- O to ostatnie wątplenie od czasu, gdy jedziemy, myśli mój ku Najwyższemu
wznoszę... Może jej usłuchasz?

- Doktor mówił, że z godzin trzy pozycje - odparł Krasnostawski, a
wyjmując zegarek, rzekł jeszcze: - Od chwili tej minęło dwie godziny...

- Ach, ci lekarze! - machnął ręką ksiądz stary - cóż tam ostatecznie
wiedzą oni mogą - wszak wszystko w ręku Stwórcy-Pana! Ja, na przykład,
pewnego razu byłem już konającym, a jednak, po przyjęciu
Przenajświętszego Sakramentu i Olejów świętych - wyzdrowiałem...

Umilkli. Ksiądz zaś po chwili, widząc, że furman wciąży jedzie stępem,
zauważył:

- Ale może byśmy znów pojechali nieco przódziej, nieprawdaż?

- Naturalnie, niech minie tylko most i groble - odrzekł Krasnostawski.

U stóp ich szumiało w tej chwili koło u młyna, pryskająca woda
piana szeroko rozlewała się na senniej tafli dużego stawu, w której
przełdały się po ciętych szczyty górnego parku.

Za groblą znowu ruszyli galopem, i niebawem, wymińwszy jeszcze cztery
wsi, zajęli przed ganek pałacu. Na spotkanie wybiegł stary lokaj,
klucznica i kilku domowników.

W ciszy, przerywanej tylko parsaniem i sapaniem spienionej ziajanej
czwórki koni, z ICEm, na stopniach kocza, Krasnostawski zapytał
głównym szeptem:

- flyje?..

- flyje !.. flyje !.. - odparli wszyscy chórem, lokaj zaś natychmiast
dorzucił:

- Chwała Bogu na wysokościach... Pan doktor powiedział, że może i do
jutra rana...

- A gdzie pan doktor? - pytał dalej Krasnostawski.

- A ot, tylko co patrząc odjechał.. Pono do Karolówki, bo tam
młodsza jałnie pani niezdrowa...

- Niezdrowa!.. - obruszył się plenipotent. - Tu przecież konający w
domu, mógł chyba zostać jeszcze! - dorzucił gniewnie, zły na widoczn-

obojętność wiejskiego eskulapa. Obejrzał się.

Ksiądz z nim przybyły wysiadał wspaniale z powozu, poprzedzany towarzyszącym mu chłopaczkiem... Rozległ się wkrótce dźwięk uroczysty kościelnego dzwonka - w progi pałacu wstępował Syn Boży, utajony w Przenajświętszym Sakramencie...

W parę minut później, do pokoju chorego już wchodził ksiądz; idący w ślad za nim Krasnostawski został na progu i spojrzał w górę sypialni chorego.

Na ścianie zamajaczyła mu blada, już nie z tego prawie świata, ściana twarz pana Januarego. Drzwi zamknięte jednak w tej chwili - Krasnostawski cofnął się dyskretnie i poczynił przechadzać się wielkimi krokami po pokoju.

Od czasu powrotu z podróży swej do miasta, na nim jednym prawie spoczywało wszystko. Przepędzał noce całe u chorego, doglądał go osobiście, wzywał lekarzy, konsylia.

Dziś, widzisz, już koniec nieodwołalny się zbliża, a śmierci widmo błąka u progów pałacu, zagnany, pojechał po księdza, dnia poprzedniego już, cięty przecuciem, zatelegrafowawszy o nieszczęściu do marszałkowej, Ładyżewskiej oraz do dawnego kolegi swego, Tarnopolskiego.

Od tego ostatniego bowiem odebrał list iście enigmatyczny, w którym proszono go usilnie, by doniósł szczegółowo o wszystkim, co się dzieje w Gowartowie.

Zanadto przyrodzonego sprytu posiadał w sobie Krasnostawski, by nie odgadnąć go poza kolegę jego, Tarnopolskim, ukrywa się ktoś inny, zainteresowany bardzo. Domyślił się, iż był nim prawdopodobnie dobry znajomy tegoż, Dzierżymirski, i dlatego nie ominął wyżej wzmiankowanego Tarnopolskiego, również donosząc mu, że Gowartowski umiera.

Smutny i blady, w przechadzce swej po pokoju, przystanął nagle Krasnostawski, postępszał bowiem w tej wspaniale chwili głosy i szepty w przyległej komnacie chorego.

- Spowiada się... - rzekł do siebie, i zbliżywszy się do okna, spojrzał w zadumie.

Tak samo, jak codziennie, podlewano dzisiaj pod zbliżający się wieczór klomby kwiatów, tak samo zniżające się już słoneczne stało cienie na aleje parku, na staw, porozrzucane w ogrodzie ławki, na chaty sioła, i step w perspektywie.

- I tak samo będzie jutro, pojutrze - zawsze! Tak samo słoneczko i wszystko weseli się będzie, nic porządku swego nie zmieni, chociaż tego zakłócenia uleci w światy!.. - szeptał Krasnostawski, i rzuciwszy się na fotel, podparł rękami głowę, a myśli goniły się przelatując mu po głowie.

- O, jakże okrutny jest mój los! - Jak pełna zagadki niezwalczona potęga, przed którą tylko w pokorze chylić musimy milcząco czoła!

I nic kamiennego jej serca nie wzruszy, nic nie zatrzyma - ona w swej nieubłaganej godzinie przyjdzie musi !..

- Straszne, straszne!.. - szepnął znów do siebie pochylony mężczyzna. - Tem straszniejsze, iż niezrozumiałe, nieujęte rozumem ludzkim, zawsze, zda się, nowe, choć prawiczone w sobie; zawsze tak samo niedościgłe, niezmiennie na wszelkie pytania odpowiadające sfinksa zagadki...

- I mnie to kiedyś przecie spotka, wszak i ja umrę!.. - rzekł głośno do siebie Krasnostawski. - A potem ?.. - szepnął z trwogą.

I z pytaniem tem na ustach utkwiał wzrok błędny we drzwi sąsiedniego pokoju...

Drzwi te tymczasem roztwały się cicho i na progu ukazała się, natchniona w tej chwili jakby twarz księdza i postać jego wyniosła. Krasnostawski, zbudzony ze swych myśli ponurych, żywo podbiegł ku niemu.

- Cóż, księżce proboszczu? - zapytał.

- Wszystko dobrze... Zbratała się dusza jego z Panem... - odparł tenże z powagą.

- Ale? ale, czy ksiądz dobrodziej nie uważa przypadkiem ?... To jest...
- pisał się Krasnostawski - powiedz mi, czy choremu przypadkiem nie lepiej?...

- Ha, Bóg wie, jak... Nam pozostaje pogodzić się tylko z Jego Najwyższym - Wolą!.. - tym samym tonem odrzekł sługa Pański.

- Zapewne!.. - błąknął Krasnostawski. Zapanowało chwilę ciszenie, otóżwane milczeniem. - Ach, ale przepraszam najmocniej księdza dobrodzieja - uprzejmie przerwał pierwszy człowiek - w tej chwili podwieczorek podał, ksiądz dobrodziej utrudzony drogą, głośno zapewne!.. - i Krasnostawski ku drzwiom się skierował po śpiesznie.

- Nie, dziękuję ci, panie Bolesławie! Jechać muszę...

- Już? - zdziwił się młody plenipotent.

- A tak, serce, jutro odpust u mnie, roboty huk!.. Każę zaprzęgać konie, a ja tymczasem w ogrodzie poczekam i modlitwy swe przedwieczorne odmówię.

- W tej chwili szła księdzu dobrodziejowi... - rzucił w półukłonnie Krasnostawski i znikł za drzwiami.

Ksiądz zajrzał jeszcze do chorego; pozostawiony na opiece

staruszki-klucznicy, z pogod- na obliczu swem dziwn- leżą on spokojnie.

Widz-c to, proboszcz wyszedł.

Z dobry kwadrans migała wysoka, czarna sylwetka jego na tle zieleni, po wygracowanych starannie alejach parku, poczem w pobliżu modl-cego siCE w skupieniu ksiCEdza pojawił siCE Krasnostawski.

Zaturkotało jednoczełnie... Z uszanowaniem przez wszystkich odprowadzony, proboszcz wsiadł niebawem do powozu. W parCE minut pó..niej pojazd, unosz-cy go, znikł za wjazdow- bram- pałacu...

Stoj-cy na ganku Krasnostawski poruszył siCE machinalnie i przez milcz-ce pałacowe komnaty skierował do pokoju pana Januarego.

- Cóż? jakże?.. - zapytał zapłakanej staruszki, siedz-cej koło łóżka chorego.

- Teraz... leży niby spokojnie - wyjąkała cicho.

- No, to proszę ił odpocz-ają zostaną i dam znaędy zajdzie tego potrzeba - stanowczo odezwał siCE Krasnostawski.

Po opieraniu siCE dłuższem, staruszka, znużona i senna wysunCEła siCE z pokoju, Krasnostawski zał, podszedłszy do fotelu, stoj-cego przy łóku, usiadł ciCEżko.

Cisza martwa zagołciła w komnacie... Gowartowski, oddychaj-c niepostrzeżenie lekko, spokojny, leżał wci-ż nieruchomo; znużeni domownicy rozpierzchli siCE, każdy do swego zak-tka i odgłos żadny nie dochodził tutaj, tylko poprzez zapuszczone firanki oraz stopy rzucało swe jaskrawe blaski zniżaj-ce siCE już sfoæce...

Krasnostawski, zmCEczony życiem ostatnich dni kilku, zamysłił siCE głCEboko, fizycznie wypoczywaj-c zarazem.

Od czasu do czasu spojrzenie przenosił na starca, poczem zapadał znów w zadumCE, poł-czon- z nieokrełlon- apaty-, gniot-c- go swym ciCEżarem, z poczuciem bezradnołci, w obliczu zbliżaj-cej siCE nie odwołalnie, krocz-cej łmiało łmierci!

MinCEło w ten sposób dwie godziny.

Na ciemne żaluzje u okien padały teraz prostopadle dogasaj-c- czerw-łun- ostatnie zachodu promienie, majaczyły ognikami krwawymi po posadzce i łcianach, a spoza parku, z oddali, niewyra...nie jakieł dla ucha dochodziły odgłosy...

To pracowity, znojny koæczył siCE gdzieł tam, po polach i siołach pogodny dzieæ jesieni; to, łpiewaj-c chłem smCEtn- ukraiæsk- dumCE - wracały po pracy dziewczCEta i mołodycy, z buraczanych łanów, gromad-...

Nagle Krasnostawski, z przymkniCEtymi oczyma w fotelu swym zagłCEbiony,

ocknął się, drgnął na całym ciele nerwowo. Spojrzył na chorego...

Usta pana Januarego szeptały coś niewyraźnie, poruszały się szybko - wreszcie uniósł się on na poduszkach i wzrokiem błędnym spojrzał wokoło.

Krasnostawski już był się zerwał i stał teraz koło łóżka blisko.

- Kto to jest?... Kto to?... - wyszeptał chory, z trudnościami.

- To ja, Krasnostawski, Kra-sno-staw-ski - powtórzył dobitnie.

- A, a... to dobrze... dobrze... - pan January zaczerpnął płucami powietrza i po chwili zupełnie już przytomnie przemówił łamanym, cichym głosem:

- Mój panie Bolesławie, odsłoń, proszę cię, okno, chociaż jedno... Tak tu ciemno...

Krasnostawski, usłuchawszy natychmiast zlecenia, podniósł rolety.

Stoące już było zaszło. W pierwszych ułciskach nadchodzącego zmierzchu stały cicho półobnażone drzewa parku, przeplatane gdzieś w czerwieni, stały się aleje żółtawym od opadłych liści kobiercem - białały niewyraźnie w dali zagrody sioła, ciemniały jego osady, senna i mroczna świeciła tafla stawu.

Krasnostawski, odwróciwszy się od okna, spotkał smutny, pełen tęsknoty wzrok starca, utkwiony w roztaczający się poza oknem krajobraz.

Do łóżka zbliżył się po śpiesznie.

- Dziękuję ci... mój kochany... pani Bolesławie... dziękuję - odetchnął Gowartowski i dokończył ciszej:

- Ostatni to raz... ostatni widzę to wszystko! - uczynił rękę - ruch słaby, a wskazujący widok otulonego mrokiem sioła i półszerokich.

- Dlaczego? - podchwycił szybko Krasnostawski, - uważam właśnie, że głos pański ma dziwnie zdrowe brzmienie - da Bóg, będzie lepiej...

- Och... nie! Nie będzie lepiej - westchnął pan January - nie będzie... to tylko na chwilę...

Znów przestał, i zaczerpnął powietrza, ciągnął dalej, uczyniwszy jednocześnie prawą rękę - ruch zniechęcenia pełny.

- Ja czuję, widzę, że koniec, więc się zbliżam... Nic mi już nie pomoże - wola Boska!.. - znów przerwał... w minutę zaczął mówić:

- Właśnie... właśnie powiedziałem ci chciałem ci powiedzieć... kochany panie Bolesławie... usi-d..... - i pan January wskazał swą - żółtą - rękę - taborecik.

Krasnostawski usłuchał.

- Poczekaj chwilę... odpocz... - wyszeptał osłabiony bardzo. Oparł głowę o poduszki i oddychał pocóż cięko, na bladej twarzy jego zakwitł i zgasł niebawem rumieniec niki.

Krasnostawski wyczekiwał, milcząc.

- Może podać panu co do picia? - zapytał po chwili.

Przecy ruch ręki był całą odpowiedzią pana Januarego. W dziesięć minut może minut później głosem słabym, przerywanym co chwila ciężkim oddechem, przemówił cicho :

- Ty dobry... ty jeden... tak, jeden, jedyny, który mnie nie opuścił... Uczynili to wszyscy: siostra, Ładyżyski, córka... - spuścił głowę i umilkł, a dwie łzy duże, perliste zabłysły w jego niebieskich, przybladłych ...renicach i stoczyły się z wolna po wychudłej twarzy. Po chwili cięgnął znowu:

- «le uczyniła Ola, ...le bardzo... Nie poniewiera się tak rodzicem, nie depce się tak przywiżania ojca... nie, nie, po stokrązy nie!... - powtórzył z mocą w osłabłym głosie, i z tęsknotą na ustach przeciw dziecku ostatni, upadł na poduszki w znużeniu, jak ściana błąd.

Krasnostawski, ze współczuciem, ujął rękę starca w dłoń prawą, a gdy Gowartowski ponownie uniósł się na postaniu, opiekuńczo i silnie podparł, podtrzymał swym lewym ramieniem jego ciało wychudłe.

- Dziękuję ci, bardzo dziękuję!.. - wyszeptał pan January i mówił dalej, głosem niewyraźnym, lecz ochrypłym już od zmęczenia i wysiłku głosem :

- Ale nie o tem mówić chciałem, nie o tem! Przeciwnie... - znów zamilkł sekund kilka.

- Przeciwnie - powtórzył - ja Oli przebaczam, majątek cały zapisałem jej wyjącznie, tylko... tu zatrzymał się starzec dłużej nieco, jakby w ostatnim wysiłku trudno mu było jasno wyrazić swój - tylko - cięgnął - że testamentów jest dwa: jeden u notariusza, złożony dawno, na korzyść Oli... drugi... na jej niekorzyść.

Umilkł znów Gowartowski błąd i zmęczony, a po chwili kończył:

- Ten ostatni, późniejszy, napisałem w chwili nierozumnego gniewu... Jest w moim biurku, szuflada lewa, na wierzchu... Podrój go!..

Tu pan January, oswobodziwszy się od podtrzymującego go ramienia Krasnostawskiego, opadł na poduszki wycieńczony.

- Czy przynieś mi ten testament? - poddał Krasnostawski.

Ojciec Oli Dzierżymirskiej przyzwałajco skinął głową i słabym ruchem

ręki poruszył kluczyk od szufladki stojącego obok łóżka stoliczka.

Krasnostawski zrozumiał. Wsunął szybko szufladkę, wziął stamtąd pięć kluczy i oddał im cicho.

Blady, oddychając ciężko, w oczekiwaniu młodego człowieka, odpoczywał Gowartowski... W ciszy głuchej minęło z dziesięć minut. Na progu wreszcie ukazał się Krasnostawski, trzymając w ręku duży kopertę.

Na jego widok pan January gorczkowo, o własnych siłach, uniósł się na postaniu i wychynął rękę po testament.

- Dziękuję... - wyszeptał.

Odebrawszy zaflak od Krasnostawskiego kopertę, otworzył ją drżąc ręką, wyjął arkusz papieru, znajdujący się tam i rozerwał z wolna na cztery części. Potem włożył na powrót do koperty zniszczony test, a zwróciwszy się do Krasnostawskiego, głosem dziwnie dźwięcznym, stanowczym, wymówił:

- Oddasz to jej... Oli - i umilkł, opadłszy znowu na poduszki.

Młody plenipotent machinalnie wziął kopertę schował ją do kieszeni surduta. Wpatrzony w starca, na którego twarzy igrał w tej chwili jakiś pełny dobroci uśmiech, blady, tkliwy - milczał wzruszony, a dwie łzy nieposłuszne zakręciły mu się w oczach.

Głosem cichym, jakby dogasającym, mówił tymczasem jeszcze pan January:

- Nie zapomnij oddać. Pamiętaj!.. - urwał, a po chwili:

- Powiedz... także Oli... że przebaczam... jej... i... jemu!..- dokończył z trudnościami, w wysiłku ostatnim i z wypiekami na twarzy, trupio blady, umilkł...

Pałała się u obrazu Matki Boskiej nad łóżkiem, z czerwonego szkła, lampka rzuciła w tej chwili promień jasny na oblicze starca...

W zmierzchu idącego wieczora twarz Gowartowskiego zajął jakimś nadziejskim jakby wyrazem szlachetnej dobroci... Krasnostawski jednocześnie poprawił poduszki u łóżka i pochylił się nad chorym, zdał mu się bowiem, iż tenże porusza ustami.

Rzeczywiście. Niedosłyszalnym, urywanym szeptem młody człowiek postępszał jeszcze:

- Dziękuję... tyś dobry!.. Mówią że... więcej... nie... mogą...

Poruszony słowami chorego starca, zdenerwowany, wzruszony odstąpił od łóżka Krasnostawski i przygnębiająco, usiadł w fotelu.

Minęło z dziesięć minut.

Widząc, że chory leży teraz zupełnie już cicho, młody człowiek po chwili

powstał, posłuchał oddechu jego, poczem wysunął się cichutko z pokoju.
Dusiło go coś w gardle...

W sąsiednich komnatach pusto było całkiem i szaro już zupełnie. Mrok
wieczora wciskał się do pałacu coraz natarczywszy, wszędzie, samotny,
cichy, smutny. Krasnostawski bez hałasu otworzył podwoje balkonu i
wyszedł na werandę, spragniony odetchnąć świeżym powietrzem...

Oparł się o balustradę, chłodziąc rozpalone czoło zimnym powiewem
jesiennego wieczora i stał tak nieruchomy do czasu, ogłupiały jakby na
razie, bezmyślny...

Nagle milczenie pograczającego się coraz bardziej w mroki domu i parku,
przerwał jednostajny donośny, odgłos dzwonu w pobliżu. To codziennym,
panującym w Gowartowie, zwyczajem, zwoływana służba na wieczorną
kolację.

Krasnostawski się ocknął, a jednocześnie poczuł pragnienie i głód.

Wrócił do komnaty, zamknął drzwi oszklone od werandy, a napotkawszy po
drodze jakiegoś pozostawionego wieca, zapalił je po pieśni i na palcach
skierował się poprzez kilka komnat do jadalnej sali. Dobrze całą
Krasnostawski nic, prócz kilku szklanek herbaty, w ustach nie miał -
młody organizm dopominał się o swoje prawa.

W kredensie znalazł pochowane zimne mięsiwa i chleb razowy; posilił się,
popił wodę i przez puste komnaty znowu skierował się do pokoju
Gowartowskiego.

Tu już zupełnie panowały ciemności. Krasnostawski zapalił lampkę,
przykrył ją abażurem i spojrzał na chorego.

Leżał w tej samej pozycji, tak samo spokojny, oddychając lekko, cicho,
bledszy tylko, cięższy jakby... I w jednym również zaszła, zmiana nagła.

Oto ręce pana Januarego wykonywały po kądźle jakieś niewyraźne i dziwne
ruchy, jakby szukały czegoś, szczypały powierzchnię sukna, zatrzymywały
się chwilę, i znów rytmiczne poruszały się zwolna, jednostajnie...

Krasnostawski, postawszy czas jakiś, zbliżył się do stolika, wziwszy do
ręki machinalnie stojące tam lekarstwo. Spojrzał na receptę.
Przeczytał ją, westchnął.

Były to leki zwykle, przepisywane dogorywającym...

- Czyżby naprawdę tak... le już było? - szepnął do siebie młodzieniec -
tak przytomnym był jednak przed chwilą!.. E!.. może Bóg da...
pocieszaj się - dokończysz go!

Tymczasem zmęczenie fizyczne i moralne waliło wprost z nóg
Krasnostawskiego.

Zbliżył się chwiejny do fotelu. Usiadł i po kilkakrotnie ziewnął mimo

woli nerwowo. Po chwili jednak energicznie wstrząsnął się...

- Ooo... jakże mi się spało!.. - mruknął i ponownie ziewnął przeciwnie z cicha.

- Ale nie można... nie można!.. - szepnął znów do siebie przekonywając i sięgnął po stojący opodal flaszki kolońskiej wody.

Przetarł sobie skronie, powciągnął, poczem napił się zimnej wody ze szklanki, i jak mu się zdawało, zupełnie obecnie rze...ki, zagłębił się w fotelu.

Tymczasem minęło minut dziesięć, a ledwie, gdy młody pan plenipotent spał już na dobre, pochrapując nawet z lekka czasami.

Sen zwyciężył... Milczenie i spokój jakiegoś złowrogi zapanowały w komnacie.

A zewnątrz pałacu tymczasem noc z wolna i stopniowo królowa zaczęła.

Na ciemnym tle nieba zamrugały wkrótce gwiazdy, od pół wionął wietrzyk i cichym świszczącym liści pogwarem zaszumił nad domem park stary.

Wewnątrz zał dworu usnęli wszyscy... Milczały tu wszystkie kąty, a w oddzielonej kilkoma komnatami jadalnej sali dochodził tylko regularny odgłos starożywnieckiego zegara, który brzdąkał i tykał i bił przeciwnie godziny jedna za drugą.

Nagle w głuchoj ciszy sypialni pana Januarego rozległo się pocztkowo szeptabsze, niebawem coraz silniejsze charczenie. To chory starzec już konał...

Za żółciem, w półświetle komnaty, niewidzialna dla oka ludzkiego, stanęła śmierzalepu swego chciwa - jęki zgłuszone umierającego dziesięciokrotnym echem wstrząsnęły ciszą domu...

Coś zbudziło Krasnostawskiego. Co? - sam nie wiedział na razie. Zerwał się z fotelu, oczy przetarł i spojrzał na pogrzone w cieniu żółce. Zdrętwiał nagle i włosy dębem stanęły mu na głowie.

Z oczyma, wyrwonemi po białka ...renic, postawionemi w stęp, nieprzytomny, z ustami otworzonymi, z dętką, zzieleniał - straszny, jęczał starzec, tupał powietrze, stękał i ałotnie - charczał złowrogo...

Krasnostawski zrozumiał, lecz znieruchomiał na razie do tego stopnia, że nie był w stanie poruszyć się z miejsca.. Po raz pierwszy w życiu znajdował się wobec konającego człowieka, patrzył więc bezprzytomny prawie i bledny nieustannie na Gowartowskiego... Drżał przy tym na całym ciele, chwycił go coś za gardło, przykuwał do miejsca, do ziemi.

Równocześnie przynębiała cisza gniotła mu piersi ciężarem, konające drgnienia i jęki umierającego, niby ostrzem ze stali krajały niemiłosiernie wyprężone nerwy, a zarazem lęk niewytłumaczony, dziwny,

zatrzą nim.

Więc to śmierć. Śmierć dzie już, przybliża się, okropna, bezczelna, oto jej szkielet sunie obok, mija go!.. Zbliża się teraz obojętna do żółta... nachyla nad konaj-cym...

- Ha-ha-ha!.. ha-ha-ha!.. ha-ha-ha!.. - wstrząsa ścianami pokoju - oto śmiech jej straszny!.. Rzucenie konaj-cego odpowiada mu echem coraz przera...liwiej, głębiej... Ponuro jęczy on, skarży się, miota !..

- Boże!.. Boże!.. Co... to? Co... to? - krzyknął Krasnostawski, schwycił się za głowę, zadygotał raz jeszcze i porwawszy ze stołu dzwonek - wybiegł.

W milczeniu powszechnego upienia rozległ się niebawem rozpaczliwy d...więk pokojowego dzwonka, wstrząsnął murami !..

Gowartowski tymczasem czyniącz teraz rękami jakieś szalone ruchy, gwałtownie odpędza coś, bronił się przed kimś, jęczał jeszcze donośniej, chwycił powietrze, bezustannie charczał..

Bieganie napełniło niebawem dom całą. Garstka domowników i służby w kilka chwil później napełniła pokój dogorywaj-cego człowieka. Ostatnia przysła staruszka, klucznica, z gromnic- w ręku.

flakob- świecę zapalono pośpiesznie i uklękli wszyscy. Krasnostawski przy samym żółtu, trzymaj-c w dłoni ręce pana Januarego.

Chłodziła mu ona w palcach coraz bardziej; stopniowo, powoli, charczenie, jęki, również ustawały, ucichły wreszcie...

Skupione milczenie komnaty, zamagnetyzowane wyczekiwaniem, trwog-, przerwał szelest, dla ucha prawie niedostępszalny. Ostatnie w tej chwili ziemskie westchnienie człowieka ulatywało z piersi starca - mknęło w załwiaty...

- Skończył... - szepnął Krasnostawski. Wśród klęcz-cych rozległ się płacz... Gdzieś gdzieś pomyk zapalanej gromnicy oświetlił ponuro żółtaw- płam- ściany, sprząty i szyby komnaty, drgaacz- błyskotliwy po twarzach klęcz-cych ludzi.

Poczęło się żegnająpobieżnie...

Wspólna, cicha, a pełna głębokiej wiary prostych dusz modlitwa, z wol- Najwyższego god-ca się, pokorna, napełniła mury pokoju, i aż do stóp Stwórcy-Pana uleciała skrzydlata - wzniosła się tam, gdzieś wysoko, w ślad za zagadkow- drog- duszy zmarłego, jakby mu niebo otworzyæ pragnęła.

Pokrańnięta, czerwono-złote dzikiego wina liście, pnie się po białych
ścianach gowartowskiego dworu, zaglądaj przez otwarte okno do małego
gabinetu, obitego kirem, a ruszane z lekka wietrzykiem, kołysz się w
promieniach jesiennego słońca, powiew za wiew zefiru delikatnym dreszczem
przebiega również po rzędzie żółtych u wiew pomyków, palących się
wokoło katafalku, ginącego w zieleni cieplarnianych kwiatów.

Obcownicy w ubranie czarne, wytworny - pan, nawet tu, za życia progiem,
na podwyższeniu leży January Gowartowski...

Zesztywniały palce jego trzymają kurczowo w dłoni krucyfiks, zaczesany
starannie w s mlecznosiwy, sumiasty, polski, odbija pięknie na białym,
jak marmur, obliczu starca, a twarz ta, zadum pełna, pogrzon- było
się zdaje w gębokim, cichym śnie.

Kamienny to sen!.. Sen za wiatów, wieczności, zagadki bytu i wiadomości
prawdopodobnie tego, o co w dumie swej pokorny, rozbił się musi rozum
ludzki; sen straszny - obojętny na wszystko dokoła!..

I niczem już s- dla niego sprawy tego padołu; niczem troski, cierpienia
ziemskie i niepokoje, niczem radośnie igrające po pokoju słońce - niczem
wreszcie boleśny smutek klęcz-cej u stóp katafalku, sędziwej
kobiety-siostry!..

Przybyła w przeddzień marszałkowa Warnicka, drżącymi, zbieletemi usty
szepcze teraz modlitwy, z óz jej zmęczonych co minut parę upada za
cicha, a wzrok z boleści- tłumion- wpatruje się w rysy ukochane.

I modli się znów pokorna!..

Lica Gowartowskiego bowiem nic nie mówi- zupełnie !.. Spokój i martwota
nieziemską wyrte s- na nich, a pogoda tylko jakaś nieuchwytna, cicha,
świadczą się zdaje, że nie czuje on już nic, a w każdym razie, iż
docześni na pewno nie cierpi już wcale.

- Mówcie się, płaczcie... przyjd...cie - odejd...cie... zakopcie w
ziemię... Róćcie, co chcecie - wszystko mi jedno!.. - mówi- sob-
wyr...nie zesztywniały członki zmarłego.

A tymczasem przez otwarte okno do ciasnego narożnego pokoju wpadają,
igraj- coraz radośnie promienie słońca, płyn- jakieś dalekie z pół
pieśni, pogwary - oddalone życiowe echa...

Babiego lata nie wpada tu z wietrzykiem i osiada cicho na bujnej siwej
czuprynie zmarłego... W tej samej chwili drzwi od komnatki odmykają się
ostrożnie i do pokoju wsuwa się rosły, siwej-cy już męczycyna...

To Ładyżyski. I on, przygnany strasz- wieści- choroby gro...nej, pod-żył
do przyjaciela lat młodych, przybywszy jednak - za późno.

Twarz jego, zazwyczaj pogodna, ironiczna, wyraża w tej chwili ból
niekłamany. Zbliża się milcząco, opatruje pomyki wiew, przedstawia

kwiaty, a poprawiwszy poduszkę - zrzuci z głowy Gowartowskiego swawolnie
nieśpionego, i uklękłszy, głowę opiera o katafalk, w bolesnej zadumie.

Mija tak długa chwila.

Poczem drzwi skrzypi - znowu, na progu ukazuje się dorodna
Krasnostawskiego postać - widać wzrokiem pokój i znajdując się w nim
osoby, wzdycha ciężko, następnie zaś zbliża się do Ładyżyńskiego i
opiera lekko swą rękę na jego ramieniu. Potrzeba mu delikatnie raz,
drugi...

Za trzecim dopiero dotknieniem budzi się Ładyżyński z bolesnego
zamyślenia i unosi głowę.

- A, to pan? - pyta cicho - cóż to?...

Jakby w odpowiedzi jednocześnie do pokoju wpada wyraźnie oddalony
jeszcze nieco dźwięk dzwonek, i zgłuszony gdzieś po stronie drogi,
daleki szum i turkot kół powozu.

I w ślad za tym szeptem na pytanie pana Emila odpowiada Krasnostawski.

- Ze stacyi konie wracają... O ile wzrok mnie nie myli, ktoś jest w
faetonie... Zdaje mi się, że to - oni...

Ładyżyński, słuchając go uważnie, już powoli powstał by z klęczek.

- Może szanowny pan dobrodzie tak żaskaw wyjechał na ganek -
ciężko dalej Krasnostawski. - Pani - marszałkowie - tu zniża głos jeszcze
bardziej - fatygownie wypada... Ja zaś pana Dzierżyńskiego nie
znam... A tu, do wiadomości zgonu...

- Tak, tak! - przerywa pan Emil, - dobrze, mój panie, idź... Ale prawda
- zatrzymuje się - trzeba uprzedzić marszałkowie, bo się biedaczka
wystraszy.

Ładyżyński pochyla się ku klęczącej pani Melanji i szeptem coś jej
przekłada.

Wprężywszy się słucha go marszałkowa Warnicka, po chwili zaś wstaje i ze
smutkiem bezbrzeżnym, wzdycha kilkakrotnie...

Jednocześnie dwaj mężczyźni wychodzą szybko, oddalony bowiem przed
chwilą - jeszcze turkot pojazdu wstrząsa już oto murami domu i powóz sną
zajął się śpiesznie na dziedziniec. Odgłos dzwonek donośnie przerywa
martwą ciszę... Powóz staje.

A następnie, aż tu, popod stopy umarłego człowieka niewyraźnie jakieś
zgłuszone dochodzą głosy i szmery...

Nagle, o milczące ściany pałacu objęła się krzyk kobiety bolesny,
straszny, oraz stłumiony jeszcze oddaleniem jęk rozpaczliwy. W ślad za
tem rozlegają się kroki, coraz szybsze, bliższe, a pótniej już całym

donoŹnie tym razem, szelest sukni i Źkanie.

Jeszcze chwila...

I cisza pokrytego kirem, ton-cego w sŹoæcu i gromnic Źwietle, zak-tka, sfinksowy, dumny majestat Źmierci brutalnie przerywanym zostaje.

Drzwi roztwieraj-siŹ nerwowo, ruchem gwaŹtownym, od silniejszego pr-du powietrza gaŹnie przy katafalku Źwiec kilka, i do pokoju wbiega ubrana w podrŹne szaty, pŹacz-ca Ola...

Za ni-, ukazuje siŹ Źniade spokojne oblicze DzierŹymirskiego i wytworna sylwetka jego.

JednoczeŹnie murami komnaty wstrz-sa krzyk bŹu, rozpaczy, a zarazem haŹas drugorzŹedny jakiŹ, inny...

To Ola juŹ na kolanach... Obejmuje ona ramionami zimne, martwe ciaŹo rodzica, odr-ciwszy równoczeŹnie niebacznie przeszkadzaj-ce jej wysokie srebrne lichtarze, z chrŹestem padaj-ce w tej samej chwili na ziemiŹe...

KtoŹ schyla siŹe poŹpiesznie i opodal ustawia je ponownie...

Tymczasem krzyk beznadziejnego cierpienia wydiera siŹe z ust Oli.

- Tato !... tatusiu !.. przebacz!.. - woŹa mŹoda kobieta, pŹacz-c, wij-c siŹe z rozpaczy. - Ojczel!.. ojczulku!.. przebacz!.. - koæczy w Źkaniu, szlochaj-c.

Na d...wiŹek sŹŹw ostatnich chmura osiada na wyniosŹem czole Romana.

- TyŹ winien takŹe!.. ty równieŹ!.. To dzieŹo takŹe twoje! - szepce mu coŹ w duszy w tej chwili i instynktownie blednie, pochyla siŹe i klŹeka po drugiej stronie katafalku.

A Ola Źciska, caŹuje teraz rŹece, twarz i zimne czoŹo starca, oblewa je Źzami, wŹosy ojcowskie pieŹci i tuli sw- gŹowŹe do serca, co biaŹuŹ na zawsze przestaŹo!..

- Ty nie umarŹeŹ! - szepce - ty Źpisz tylko!.. ty nie umarŹeŹ!.. - powtarza uparcie. - To byænie moŹe - nie moŹe!..

PowstaŹa z klŹeczek marszaŹkowa Warnicka podtrzymuje wij-c siŹe w bŹu kobietŹe z jednej strony - z drugiej opiekuæczo podpira j- £adyŹyæski.

Wszystkim Źzy krŹec- siŹe w oczach, jeden Roman tylko nieczuŹym byæsiŹe zdaje pozornie, ale twarz jego kredowo - bŹada i brwi Źci-gniŹete Źwiadcz-, i Ź i on, w tej chwili przynajmniej - cierpi. KlŹeczy wci-Ź nieruchomo, myŹli...

Poza nim, Źwiadek niemy tej sceny, stoi Krasnostawski, wzruszony, bezradny. Opodal stary lokaj domowy patrzy osowiaŹy.

- Złoty tatuniu !!.. złoty !!.. - woła znów Ola, prosz-co, błagalnie; z przerwami matkami, jęki, przeplatany płakaniem, odzywa się bezustannie głos córki-sieroty, a echo jego płynie przez okno w dal, do parku, na step i pola!..

I za głosem zrozpaczonej jedynaczki, hejnałem wspólnym płakał płakał to zdaje się stare drzewa parku; szumem swych liści drobnych brzoza nad wodę wieje dalej, płacz-c sama, a jęk boleści, podchwycony akordami przyrody, płynie, płynie w dal...

I wszystko, zda się teraz, za panem swym boleje !..

A więc i staw, fali swej szmerem, i łany, i polne kwiecie, i step, strząsający z traw swych niby łzy i alu - drobne kropelki rosy...

Jeden tylko umarły, jak gładz nieczułym jest na jęk, ból swego dziecka.

Lecz czy to złudzenie?..

Pod pocałunkami przed chwilą - i już - jedynaczki, zdawało się, że oto znika z alabastrowego czoła starca głębia, zastęga tam zmarszczka, i całkiem już teraz pogodnie, obojętne, fali ono dalej bez końca...

Może dusza z poza stref światła niewidzialna zabłąkała się jeszcze tutaj przed dalszą - w wieczną zagadkę - wędrowanie?.. A może trup sypsał jeszcze ?

Któż wie? któż zgadnie?

- Ojciec!.. ty żyjesz!!.. tato... tatusiu!.. Biedna ja... biedna... nieszczęśliwa... - bezzmiennie; tylko coraz ciszej i ciszej, rozlega się dalej u stóp starca wołanie Oli, w spazmach płaka bolesnych, bezsilne, straszne w swej grozie, bólu - coraz beznadziejniejsze.

- Tatuniu!!.. Ta... tu... niu!.. - kona wreszcie krzyk młodej kokiety... Milknie, oddany echem parku, pogwarami sioła i pół szerokich... półomla - i słab - on więc wynosi po śpiesznie na rękach Dzierżymirski z powleczonej kirem komnaty.

Wystraszeni podają - za nim wszyscy...

To życie już ze śmierci walczyć zaczynało. Przepotężne w swej sile, nie lubi-ce, by zapomniano o niem, odrywało w tej chwili despotycznie od nieboszczyka, w skupieniu otaczających go dotąd ludzi. Troska o żywym wzięła górę!..

W promieniach radosnych jesienno-łotego, w ciszy, grającej tylko powolnym szumem drzew ogrodu - w chwilowym nieładzie wpatrzonych w wiec i podsuwanych kwiatów, niewzruszony w swym majestacie śmierci - umarły pozostał sam.

Od pogrzebu Januarego Gowartowskiego minęło dni kilka.

W pogrzebnym już we śnie pałacu w Gowartowie paliło się jeszcze światło w jednym pokoju, rzucając w noc ciemną promień jaskrawy przez okienne szyby.

W kancelaryjnym gabinecie dawnego pana, a dziś sypialni nowego dziedzica, Dzierżymirskiego, on sam, znużony dniem minionym, a nader dla obfitym w niezwykle zdarzenia, kładł się do snu i z wolna rozbierał leniwie.

Na stoliku obok stojąca stała odkorkowana butelka szampana i kieliszek wysoki, z kryształu, oraz odemknięte pudełko cygar.

Roman po chwili zapalił jedno z nich, nalał sobie wina i wypił haustem jeden kielich, potem zmęczony, wsunął się pod kołdrę, zgasił światło.

Odetchnął parę razy głęboko, z ulgą, przeciągnął się, a zatrzeszczało starożytnie żółte, ziewnął smakowicie, zaciągnął się za wyborowym cygarem, myślał o ukończonym dniu dzisiejszym, a przedmowym w dotychczasowym życiu jego.

Dziś to bowiem odbyło się otwarcie testamentu nieboszczyka.

Stosownie do woli zmarłego, córka jego stawała się jedyną spadkobierczynią kilkakroć tysięcy majątku...

Dzierżymirski powtórnie wyciągnął się z łóżka w szerokim, szeleszczącym pościel- żółtu.

- Tak, kilkakroć tysięcy... - szepnął do siebie z zadowoleniem. Uśmiechnął się... Dwa dni temu jeszcze, jadł tu, a przeczuwał zgon ojca Oli, - był pewnym niemal, iż on córkę za nieposłuszeństwo wydziedziczył.

Już dnia następnego po przybyciu do Gowartowa przyjemnie bardzo rozwiązywał się jego twój; wzruszonej opowiadaniem o ostatnich chwilach pana Januarego córce, w obecności Romana, wręczył był Krasnostawski podarty własnoręcznie przez umierającego ojca testament.

On zaś, pomimo to, wstał jeszcze... Bał się otwarcia ostatniej woli nieboszczyka, żółtej oficjalnie u notariusza; i tutaj zdawał się przeczuwał jakiegoś może i przykre niespodziankę.

Dziś wreszcie pierzchnął bezpowrotnie niepokoję ostatnie. Z niego uciekał również strach bliskiego bezpieczeństwa jutra, które czekało na niego, czyhało z wydaniem ostatnich paru tysięcy, pozostałych z poprzedniej fortunki, życiem nad stan przez lat trzy lekkomyślnie wydanej.

Tu Dzierżymirski uśmiechnął się szydersko.

Nie, stanowczo, pieni-dz do niego siCE garnie!.. Ten, który posiadał dot-d, choawnygrany, palił go czCEstokroapomimo wszystko, przypomnieniem przesztoŃci. Sofizmatami wtumiał w siebie wspomnienia gry-ce, lecz jednoczeŃnie i instynktownie jakby rozrzucał, pozbawiał siCE grosza, tam, gdzieŃ na dnie duszy wŃasnej, choanie przyznawał siCE pozornie do tego, rad nawet bCEd-c, iŃ zŃoto w-tpliwie szto - nikto...

Jakby otr-saj-c siCE z tego samopoczucia, Dzierzymirski poruszył siCE niespokojnie i powrócił myŃl- do tera...niejszoŃci miŃej.

On i Ola - wszak to jedno. DziŃ zatem, pomimo praw miejscowych, de facto, stawał siCE panem okazałej i paeskiej, wŃasnej fortuny.

I pokryta, stumiona waŃnoŃci- chwili, smutkiem Oli, oraz całego domu - przez dzieæ caŃy - teraz dopiero, w ciszy uŃpienia paŃacu, w czterech Ńcianach sypialni, rozsadzapoczCEto Dzierzymirskiemu piersi egoistyczne zadowolenie wewnCEtrne.

Szczerze Ńatowaazmarłego Roman w istocie nie mógł. Poza innemi cechami charakteru dodatniemu i miŃemi, arystokrata z przekonaa, nieprzystCEpny i dumny wzglCEdem tych, których pragn-Ń trzymaad siebie z daleka, takim tylko, a nie innym, okazał siCE nieŃyj-cy pan January, w stosunku do dzisiejszego swego ziCEcia.

Dzierzymirski nie bolał wiCEc wcale nad strat- teŃcia swego... Teraz zaŃ, powoli pal-c cygaro, myŃl jego, przesun-wszy siCE obojCEtnie po wypadkach Ńmierci pana Januarego i jego pogrzebu, zatrzymuj-c siCE przy tych zdarzeniach tylko ze wzglCEdu na boleŃadrogiej mu Oli - swobodna, pomykała obecnie chyŃo w przysztoŃæ

Od jutra staje siCE panem!.. BCEdzie administrował dobra, zbierał dochody...

I Romana upajało to jutro!..

Lat temu parCE skromny student, korepetytor bez grosza przy duszy, ...le odziany, odŃywiany - biedny... Pó..niej zrz-dzeniem losu Ńlepego wŃaŃciciel sumki poka...nej grosza... DziŃ dziedzic, pan caŃ-, gCEb-!..

- Do dyaska !.. - mrukn-Ń Dzierzymirski i uŃmiechn-wszy siCE z zadowoleniem, musiał przyznaæ jednak, Ńe Ńwiat nie tak zŃy i nic nie wart, jak nazywał go ongi, w pesymizmu chwilach, i Ńe Ńycie czasami bywa wcale miŃem.

- I cŃ, mog- o mnie zŃego powiedziaæ ludzie, Ńwiat caŃy? - rezonował dalej w myŃlach swych Roman.

- Nic zupeŃnie. O zgubie niezwróconej wszak nikt nic nie wie, kaŃdy zaŃ znaj-cy mnie przedtem, gdy dziŃ mnie spotka, powie tylko z przekonaniem: Zuch, poradził sobie w Ńyciu!..

- A jak? któŃ o to pytaabCEdzie...

Dzierżymirski, poczuwszy znów pragnienie, w półświatle pokoju odnalazł kieliszek i butelkę szampana, który, powodowany jakimś dziecinny wprost kaprysem, przyniósł sam sobie wieczorem z "własnej" piwnicy; nalawszy wina, napił się chciwie.

Radość jego wewnętrzna, poza egoistycznym samowiedzą przyszłego bytu, miała również na jego obronę, przyznał się, i szlachetniejszą podstawę.

- Teraz będzie miał na to, by oddać, co znalazłem - mówił sobie w tej chwili, trzymając machinalnie w ręku wysoki kryształowy kielich od wina, a w myślach bezwiednie i niejasno zarazem układał już względem tego plany na przyszłość.

- Ukrytym celem życia mego będzie znaleźć... poszukiwać koniecznie zagadkowego właściciela zgubionych dwudziestu siedmiu tysięcy - szeptał cicho Roman do siebie, - a oddawszy mu jego pieniądze, oczywiście w ten sposób z plamy przeszłości!

- Muszę je zmyć czystym byciem!.. - z siebie powtórzył głośnie. - Chocym miał świat z posad poruszyć - dokończył z mocą i umilkł, a równocześnie w piersiach jego zapalała się teraz jakaś gorączka czynu.

Zdawszy za siebie natychmiast sprawę z tego stanu swego, Dzierżymirski poruszył się w pośpiechu swej niespokojnie.

- Tak, ja go znajdę! - mówił sobie w myślach dalej. - Znajdę, dla tego chociaż, i nie unikam boja...liwie, jak dotąd, ale miałem szukać go będzie. Ale... - tu Roman zatrzymał się w myślach, - ale, by dopiąć tego - powtórzył - wszak muszę wypłynąć na arenę szerszą światła!.. Bo przecież tu, chociaż będzie panem Gowartowa, nic przecie w tym względnie uczynić nie zdąży!

- A więc - gdzie?.. - dręczył go, męczył go pytanie. Dzierżymirski brwi zmarszczył.

Powtórnie, znowu poczuł w sobie jakby nieprzepracowany czynu, a równocześnie zrozumiał nagle, że radość jego chwilowa, przelotna z odziedziczenia majątku była stłomianym tylko ogniem!

Bo, rzeczywiście...

Ambicya bowiem, czasem...le umieszczona - pojęta, lecz jedna i ta sama zawsze, która dotąd pchała go nagle, i teraz, chociaż stał panem i zdobył, czego pragnął, ukaże mu niewątpliwie inne znów braki obecnego położenia, "i" napróżno każe, wynieść się ponad drugich zachęcać będzie - nurtująca, despotyczna - nie pozostawi go w spokoju!

Wziwszy za siebie jeszcze pod uwagę upiorny wyrzut sumienia i chęć zmycia plamy z własnej uczciwości - przyszłość, przed chwilą jeszcze wymarzona, idealna... już teraz przed wzrokiem Romana pokrywała się cieniem.

Samowiedza powyższa pokryta chmurą na chwilę piękne rysy
Dzierżymirskiego.

- Ha!.. zobaczmy!.. - rzekł zupełnie głośno, a wypiszy do końca
szampańskie wino, postawił kielich na stole tak silnie, że lejkowaty,
delikatny, przysnął i szczytki kryształu upadły z brzękiem na ziemię.

Pierwszym ruchem pana na Gowartowie było sięgnięcie po zapalniczki, myśli zaś
zapalenia świecy, by zebrać szkło stłuczone, przemknęła mu przez głowę.

Powstrzymał się jednak i mruknął z cicha:

- Po co? Mam przecie na zawołanie kamerdyra i dwóch lokai... Sprzecz-
jutro...

Poczem, znużony myślami, przytulił głowę do poduszki, usiłując zasnąć

CZĘŚĆ DRUGA

Była wiosna...

Od opisanych zdarzeń piąta już z kolei tak samo urocza zawsze,
uśmiechnięta i wesoła - nowa wiecznie, w zieleni i blaskach wschodząca
ona znowu nad światem. Pełna w przyszłość wiary i nadziei krzepiła
serca, rozjaśniała umysły, śmiała po twarzach ludzkich uśmiechy radosne,
a rozogniając wyobraźnię, zmysły - upajając swym tchnieniem, majowem,
świeżym - szła zwycięska, królewska, wspaniała...

Przez wprawy przymknięte okno powiew jej, łagodnie z gładkim gwarem ulic
wielkiego miasta, wdzierał się do umeblowanego powąznie, obszernego
gabinetu, gdzie przy biurku okazałym, a zarzuconym papierami, listami,
księgami i pismami, siedział Roman Dzierżymirski i słuchał mówiącego do
niego młodego mężczyzny.

Po chwili tenże umilkł, w pokoju zapanowała cisza, zamykająca śnie
powąznie - i czas dłuży się tocząc się rozmową.

Roman zamyślony, ująwszy w dwa palce jakiś papier, złożyłony we czworo,
postukiwał nim machinalnie o amarantowe sukno biurka, przybysz zaś
milczał, wpatrzony w niego - na odpowiedź... czekał cierpliwie, bawiąc się
tymczasowo trzymanem w ręku nożem do rozcinania.

Gościem znajomy był niskiego wzrostu; twarz miał myłą, ruchliwą i
zmienną, cała zaś jego powierzchowność wyrażała...nie zdradzała się zdawała,
kogoś ze sfer finansów, lub przemysłu.

Przeniósłszy niebawem wzrok z twarzy Dzierżymirskiego na otaczające go

sprząty w gabinecie, pobieżnie przyglądając się zaczął.

Rzucił więc okiem na stojący opodal stół duży, przykryty zielonym sukniem, a przeznaczony zapewne do sesji i narad, na otaczające go fotele, skóry kryte, na dwie, szafy książek, zegar - cacko starożytny; spojrzawszy na parę konsol, stolików, i innych zbytkownych gracyków - wreszcie, zniecierpliwiony dużym milczeniem gospodarza, zagadnął:

- Zatem... panie prezesie?

Dzierżymirski ocknął się, i już otwierał wspaniale usta, by coś odrzec, lecz zatrzymał się nagle, drzwi bowiem skrzyknięty, i wszedł lokaj, trzymając duży list na tacy.

- Jakiś pan to przyniósł, czekał bardzo długo, - objaśnił, - w końcu kazał mi list oddać panu, a sam poszedł...

- Przepraszam pana!.. - rzucił Roman gołciowi swemu - pan pozwoli, nieprawdaż? - i rozerwał kopertę przyniesionego pisma.

Spojrząwszy na arkusze papieru formatu handlowego, z kilkunastoma tylko wierszami, pisanymi czytelnie na maszynie, i kilkoma hieroglifami podpisów.

Lokaj znikł tymczasem, a, jednocześnie Dzierżymirski, skończywszy czytanie, ponownie zwrócił się do gościa swego, lecz i tym razem znowu przeszkodzono mu.

Ktoś pukał do drzwi dyskretnie.

- Proszę!.. - rzekł Roman głownie.

Drzwi rozwarły się szybko. Do gabinetu wszedł młodzieniec bardzo wysoki, ubrany modnie, o powierzchowności wytwornej i pańskiej, oraz ruchach naturalnych, swobodnych, nerwowych nieco tylko i zbyt przedkich.

Przepraszając pośpiesznie siedzącego przemysłowca, Dzierżymirski zerwał się na widok wchodzącego.

- Pardon... mille fois... pardon!.. Kochany prezesie, słówko tylko jedno - mówi już tymczasem przybyły, a ujrawszy powstającego instynktownie gościa, dołżącownie rzucił w jego stronę.

- Przepraszam bardzo, stokrotnie... pana... sekundę tylko!.. - ująwszy za ramię Dzierżymirskiego, nachylił się ku niemu, odprowadził dalej nieco i półgłosem mówiąc coś, z żywością i gestykulacją, stojąc z nim razem pośrodku gabinetu.

Po chwili, odprowadzony aż do drzwi, z atencją wyrażoną, połączył się serdecznie z Romanem i zniknął za portierą i drzwiami.

Dzierżymirski tymczasem powracał już do gościa swego, a przepraszając go raz jeszcze, dodał na pozór niedbale:

- To wstał nie ksiądz ordynat B... nie zna pan?... Miał do mnie interes bardzo pilny... Tu znów - wskazał na otrzymane przed chwilą korespondencje, - zaproszenie na ogólne zebranie akcjonariuszów jednej z naszych kolei. Dziś mam piasek... - ciągnął dalej w tym samym tonie, - tam - uczynił gwałtowny ruch ku drzwiom, - czeka masa interesantów... Wszystkie godziny dnia policzone...

- Wobec tego - zatrzymał się znowu Roman - nie wiem doprawdy - mówił zwolna - czy przyjął tak szacowny wybór panów... Po prostu nie mam w ogóle czasu... Nie, nie mogę!

Ciekaw przeszedł po obliczu nieznanego, chciał coś zaprotestować, lecz Dzierżyński już mówił:

- Przykro mi tylko, iż panowie z tego powodu ambaras prawdopodobnie miałeś... - zatrzymał się chwilę i wskazał na trzymany do niedawna, w ręku odezwę jednego z pierwszorzędnych akcyjnych towarzystw węgelskich, w której donoszono mu wstał nie o wyborze go podczas ostatniego zebrania akcjonariuszów na przewodniczącego w komisji rewizyjnej.

- Lecz wyznał... - ciągnął dalej i uśmiechnął się przy tym z lekka, - że nawet czynność proponowana mi przez panów, zastaje mnie całkiem nie przygotowanym. Po prostu - tu po wargach Romana przemknął powtórnie uśmiech - dziedzina to rzeczy, dla mnie nie tak dokładnie i zupełnie znanych... Terra incognita... - skłonił głowę ruchem lekkim - stanowiska podobnego nie miałem jeszcze dotąd...

I Dzierżyński zamilkł na chwilę poczem swobodnie dorzucił:

- Ale! prawda... Zapomniałem jeszcze powiedzieć szanownemu panu... Za parę dni wyjeżdżam na czas dłuższy za granicę, dla wypoczynku.

Roman zatrzymał się i pytał - co spojrzawszy na gościa swego.

- O!.. to najmniejsza... - odparł szybko przemysłowiec - czynność komisji w roku bieżącym wypada dopiero za miesiąc kilka, a odbywa się w ogóle nieczęsto... Co za do pierwszego punktu... rzecz to równie ważnej wagi...

- Nie chodzi nam bynajmniej o jednostkę tak dalece rutynowaną, - przepraszam za wyrażenie i młody człowiek uśmiechnął się lekko - lecz o człowieka tych wpływów i stanowiska, oraz zaufania szerokich kręgów naszego miasta, jakie pan prezes po paru latach zaledwie zdobył sobie potrafił, i które niewątpliwie, rzecz można, posiada obecnie już w zupełności...

Dzierżyński teraz z kolei uśmiechnął się na tak jasne postawienie kwestii.

Rzeczywiście, lat temu kilka, gdy nieznanemu tu zgoła jeszcze przybył osiedlił się w mieście, czyżby udało się nawet komu przyjąć z tego rodzaju propozycję. Błądsk zadowolenia miłośnicy własnej przemknął w tej chwili po licach Dzierżyńskiego.

- Nie tracię czasu daremnie - mówię mu wewnętrzną gęstość i uczucie pychy rozpięta piersi.

Milczeniu zalegę przerwa tymczasem gęstość przemysłowca.

- Zatem - rzecz załatwiona nieprawda? Pan prezes - przyjmuje?...

Dzierżymirski zawahał się sekundę jeszcze, pochlebstwo jednak, podane rzęcznie, działają poczytało. Zdecydował się dać odpowiedź... przychylny.

- No... trudno!.. - wycodził z wolna, obojętnie i z pozornym przymusem. Pomimo obowiązków i odpowiedzialności, które wkładają na mnie czynności i stanowisko przewodniczącego w komisji, przyjmuję, chyba muszę!..

- Wybór panów akcjonariuszów zresztą takiego związku, jakim jest Towarzystwo panów - tu Roman skłonił się grzecznie w stronę gościa swego, a będnącego - cięgnię dalej - bez pochwały i przesady, w rozkwicie obecnym jednym z pierwszorzędnym w kraju - zaszczyt mi tylko przynosi - i Dzierżymirski w tym miejscu przemówienia swego pochylił z lekka głowę. - Co za do czynności rewizyjnych, mam nadzieję równie - kończy - i chyba im podołam, tym bardziej - uśmiechnę się tym razem nieco dumnie - że zajęte bardzo podobnych, chociaż różnorodnych, piastuję od pewnego czasu moc niezliczon...

- O, naturalnie! - przywodził go skwapliwie, - zresztą przyjemność miałem powiedzieć panu prezesowi w toku rozmowy dzisiejszej, że zdaniem jest jednogłosem akcjonariuszów naszego Towarzystwa, iż w całym mieście nie ma formalnie nikogo, kto by lepiej od pana prezesa czynności wzmiankowan - objędołał.

Dzierżymirski na to znowu pochlebstwo nowe w milczeniu nisko pochylił tylko głowę i powstał z siedzenia.

Gość odroczył nie z kręta zerwał się szybko.

- Dziękuję i uciekam, panie prezesie, czas - to pieniądz, a przystawie to nigdzie chyba lepiej, niż tutaj, zastosowaniem by nie może.

- Proszę wyrazić tymczasowo moje podziękowanie panom z Rady Zarządzącej, - odparł uprzejmie Dzierżymirski. - W sprawie tej zresztą wpadnę osobiście do biur Towarzystwa, przed moim wyjazdem.

- Sługa pański!.. - rzucił jeszcze przybyły w ukłonie i w ślad za nim znikł za drzwiami. Dzierżymirski krokiem miarowym przechadzał się poczę po pokoju.

- Więc i ta akcyjna spółka węgłowa - myślał - obracająca kapitałami, najpotężniejszymi może w kraju, ceniona, znana, wybrała go równie! Więc i oni do przyszli! Wpół siebie nie znale...li nikogo, godniejszego, by piastować, tak pełen zaufania!.. - w umyśle Romana bezustannie nad innymi górowało wrażenie wizyty ostatniej.

Duma wci-ł rozsadała mu piersi, ułmiech zadowolenia b-kał sił po ustach; Roman, zamyłony, przebiegał ci-łe sw-ł gabinet wielkimi krokami.

Nagle rozmyłanie to, tak wielce dlał mił, przerwane został wejłciem lokaja.

- Jakał nieznajoma pani w łałobie chce widzielł z jałnie panem - zaanonsował.

- Jak sił nazywa?

- Oto bilet, jałnie panie...

Dzierłymirski wzi-ł z r-k sługi kartkł brystolu i przeczytał wylitografowane na niej nazwisko; nic jednak nie powiedział mu ono.

- Proł! - rzekł krłko.

Lokaj wyszedł, a Dzierłymirski zbliłył sił z wolna do swego biurka i usiadł przed niem, spojrzawszy przy tem mimo woli na leł-ce tam porzrucane papiery.

- A... prawda!.. - mruł-ł p-łgłosem do siebie i siłgn-ł jednoczełnie po papier listowy, oraz kopertł.

Przed nim, jako wice - prezesem zakładów dobroczynnych, leł list znanego w miłcie i wpływowego ksiłcia S., z prołb- o umieszczenie w jednym z przytułk-łw jakiegoł schorzałego biedaka.

Odpowiedzi przychyłnej w tej sprawie - kł-ł dnia poprzedniego sam juł załatwił osobiłcie - nie dał jeszcze ksiłciu; umoczywszy wiłc piłro, Roman pocz-ł pisałzamaszyłcie.

W tej samej chwili do komnaty wsunłł sił przysadzista, krłpa postał czarno ubranej kobiety. Małymi kroczkami podeszł natychmiast do biurka i przem-łwił głłno:

- Przepraszam bardzo, łe tak natarczywie...

Dzierłymirski, niezadowolony nieco, łe mu tak z nagł przerwano w-tek listu, spojrzł niechłtnie z pod oka na nowo przybył-.

Przed nim stał kobieta lat piłdziesiłciu mołe, o znłkanych rysach, ubrana nieco z starołwiecka, dołzreszt- poza tem układnej powierzchownołci.

- Niech pani spocznie, prosł... za chwilł sł-ł! - rzekł uprzejmie i pocz-ł pisałznowu.

- Doprawdy nie rozumiem sama, jak ołmieliłam sił przyłł tutaj, ale szlachetnołzacznołzaczanownego prezesa... - usłyszał znowu Roman.

Niecierpliwie tym razem wzniosł na przybył – spojrzenie i przerwał jej grzecznie, lecz sucho:

- Przepraszam. Jak widzi szanowna pani, chwilowo zajęty jestem... Wszak pani nie pilno?..

- O, nie... przeciwnie... Tylko...

Roman spuścił oczy i myśli – ce czołto, oraz poczył pisać dalej, najspokojniej w świecie. W pokoju zaległo milczenie, przerywane li tylko zgrzytem pióra po papierze.

Gdy Dzierżymirski list skończył, podniósł machinalnie oczy na nieznaną –

Uśmiechnął się mimo woli; spotkał się bowiem z dziwnie zabawnym i uszczypliwym wyrazem jej twarzy, oraz wejrzeniem ztęm i jakby obrażeniem, które pod niespodzianym wzrokiem jego złągodniało jednak natychmiast, przeistoczyło się w słodkie i potulne, jak u baranka.

Zaadresowawszy list, Dzierżymirski zadzwonił na lokaja. Gdy ten się zjawił, polecił mu odesłać pismo natychmiast.

- Czy jest kto? - zapytał.

- Pan hrabia z Melsztyna... Czeka w salonie - brzmiała odpowiedź....

- Powiedz, że przepraszam, i za chwilę go proszę! - rozkazał Roman, gdy załokaj znikł za drzwiami, uprzejmie z kolei zwrócił się do nieznanym.

- Słucham pani... Czem służę?

Przybyła poprawiła się na krześle, zrobiła minę słodszą – jeszcze, i zmieszana nieco przemówiła:

- Mój mój, znaj – c tak dobrze szanownego pana prezesa, tak często wspominał mi o jego szlachetności, zacności, dobrem sercu, że... - tu przerwała na chwilę, widząc zdumioną minę Dzierżymirskiego, poczem ciągnęła znów dalej, straciwszy widocznie w – tek poprzednich myśli, bo nie dokończyła już poprzedniego zdania:

- Mój mój, Nepomucyn, zawsze mawiał mi takich ludzi potrzeba nam więcej, jak prezes Dzierżymirski; ludzi hartu, żelaznej woli, inteligencji rzutkiej, prawości charakteru... O, mój mój bardzo, bardzo cenił pana prezesa... - i zawikławszy się ponownie w wygłaszane przez się pochwały, nieznaną zatrzymała się chwilę.

Dzierżymirski, zniecierpliwiony nieco, skorzystał skwapliwie z przerwy.

- Przepraszam pani – - spytał grzecznie - jak godności imię mój a pani? Czy żyje?...

- Nepomucyn Wygrzywalski - odparła zapytana - zmarł rok temu... fwież
Panie, nad jego dusz-! - westchnęła.

Dzierżymirski zmarszczył brwi i zamysłił sobie chwilę.

- Nie przypominam sobie, bym miał przyjemność znać osobę tego
nazwiska... - wycedził z wolna.

Z pod uśmiechniętych sędkawo i mile, sił- woli ułożonych rysów
przybyłej, błysło ku Romanowi urażone i gro...ne spojrzenie.

- Jak to ? - odezwała się obrażonym nieco i kwaskowatym jakby tonem. -
Być może ?.. Pan prezes chyba przypomnieć sobie tylko nie raczy...

- A jak dawno? - żagodniej nieco przemówił Dzierżymirski. - I ile razy -
słowa ostatnie podkreślił, uśmiechn-wszy się ironicznie - widział mnie
m-ż pani?

- O! kilka razy zaledwie miał sposobność. - pośpieszyła z odpowiedzi-
przybyła. - Dwa, trzy może... Ale widzenie się to było dla przyjemnem
nad wyraz - utkwiło mu w pamięci...

- Ach, m-ż mówił mi tyle razy - ciągnęła dalej sędkawo, z wymuszonym
okolicznościowym uśmiechem, - że, naturalnie, poza zasługami
społecznymi, tak przyjemnego, sympatycznego, miłego człowieka, jak pan,
nie znał być dot- d, i dla tego też myślałam, że i pan prezes... - tu
urwała swe przemówienie pani Wygrzywalska, śledz- c na twarzy Romana
wrażenie słów swoich.

Ten jednakże, zrażony nieco rzucanymi mu w twarz ni przypię- t, ni
przytętań, pochlebstwami już powtórnie, i całkiem notabene, niezdecnie,
odrzekł zimno:

- O, proszę pani... Ja widuję po trzydzieści, czterdzieści interesantów
dziennie... Połowa z nich nieznan- mi bywa zazwyczaj - liczbie tych więc
znajdował się zapewne m-ż pani... Dlatego też nie przypominam go sobie.

Jak pocisk zjadliwe tym razem i całkiem już obrażone uderzyło w lica
Dzierżymirskiego spojrzenie pani Wygrzywalskiej.

- Dziwi mnie to niewymownie, że tak uporczywie pan prezes przypomnieć
sobie mego m-ża nie raczy... - odezwała się uszczypliwie, a w głosie jej
czu- było śmiertel- obrazę.

- Przecież ostatecznie - mówiła w tym samym tonie dalej - jak i mnie,
tak i jego, tu w mieście znało dużo osób... Nie dalej, jak hrabiowie
Olscy, zacności i poczciwości ludzie, z którymi mnie - czy nawet
stosunek przyja...ni... Wyjechali za granicę wczoraj wtańnie... Następnie
również i nieodżałowanej pamięci ksi-żę Topó-Toporski Alfred tak żaskaw
był za życia opiekowa- się nami... - kończyła przybyła z godnością-

- Chce zaimponowa- mi znajomości- z ksi-żętami, a to oryginał baba, -
przemknęło przez myśl Dzierżymirskiemu i uśmiechn-ł się jednocześnie,

zrobił bowiem i inni – w tej chwili uwagę, a mianowicie, że jakoś za wiele było nieboszczyków w gronie ludzi, na których powoływała się siedząca przed nim jejmość

Chcąc przytem przeciwarazem zapowiadając się prawdopodobnie znów na długo tyradę słów, pozbawionych, jak i poprzednie, ścisłej logiki, rzekł szybko:

- Przepraszam bardzo: Nie mogła by mnie szanowna pani powiadomić jednak, czemu wtaściwie zawdzięczam jej wizytę?

Na tak jasno postawione ultimatum zmieszała się przybyła i wykąta:

- Nie wiem doprawdy, jak ja, wdowa nieszczęśliwa, zdobyłam się na tak śmiałość. Ale, przynaglona materialnym potrzebami bez wyjścia, ufając w przyjaźń, którą żywił mój nieboszczyk do pana prezesa, chciałam prosić drobnopieczkę... - urwała na chwilę, poczem głosem śmiałym już teraz i godności pełnym, dodała:

- Co do oddania - nie może być sprawy żadnej, ponieważ ludzie mnie znają... A resztę - tu uśmiechnęła się z dumnie - pochodzi sama z arystokracji, więc...

To "więc" było wypowiedziane takim tonem, iż rozwiewa się zdawało wszelkie co do zwrócenia kwoty wątpliwości; jejmość nie dokończyła zdania, a spojrzała tylko przenikliwie na słuchacza swego, jakby pragnąc odgadnąć jakie wrażenie nań uczyniło powiedzenie jej ostatnie.

Dzierżymirski zaś tymczasem, zdziwiony nieco tym epilogiem, uśmiechnął się pod włos nieznacznie.

- Czy wolno wiedzieć z której? - z kurtuazy zapytał.

- Rodzi się z domu kniazówna Rórowska - z godności i namaszczeniem odparła dumnie wdowa.

Dzierżymirski ponownie uśmiechnął się z ironią. Rodzina ta prawie, że już całkiem wygasła, aczkolwiek dawna bardzo, według heraldycznych i historycznych danych, nigdy nie miała praw do żadnych w ogóle tytułów, prócz kopertowych chyba.

Słyszając zatem wypowiedziane tak czelne kłamstwo, Roman nie odpowiedział nic, a tylko wpatrzył się badawczo, z uwagą, w twarz siedzącej przed nim kobiety.

Od początku już samego dziwiły go jej rozmowa i zachowanie całe, teraz więc, gdy wiedział cel wizyty, bystrym wzrokiem rozumnych oczu wpatrywał się wciś w rysy przybyłej. Trwało tak minut parę.

I pod spojrzeniem tem nagle spuściła wzrok kobieta...

Po raz pierwszy od kwadransu spadała z twarzy jej obłudna, fałszywa i układna, a przyodziana li tylko w imię pozorów, maska. Zorane policzki

wdowy okraślił lekki rumieniec, a pod wpływem jakiejś myśli zapewne, wyraz jej oblicza, prawdziwy i szczerzy, mignął na chwilę przed oczyma obserwującego młodego człowieka.

I to ocaliło nieboraczkę. Zniecierpliwiony bowiem dotąd obecności jej Roman, i zdecydowany już prawie wyprosił z drzwi kniazia "de domo", zamysłił sobie nagle.

Po chwili zaś, jakby wynik przelotnego egzaminu fizjonomii przybyłej, był dlań wystarczającym zupełnie, spuścił wzrok.

I snawiele niekłamanego, a tajonego białego, oraz nieszczęścia prawdziwego może wyczytał był na tej twarzy gościa swego; bo po minutach jeszcze paru zastanowienia i wahania, milcząc, sięgnął ręką klamki drzwiczek białej w ścianie ogniotrwałej kasy, i - wyszedł stamtąd paperek dziesięciorublowy, położył go na stole.

Posunął się za banknot ten z lekka ku siedzącej, rzekł tylko:

- Słuchaj pani!

Poczem, gdy pieniądze ów schowała, obsypując ofiarodawcę swego potokiem sędziwych komuniów, zadzwonił na lokaja:

Posłuszny, zjawił się sługa za chwilę.

- Proszę pana hrabiego! - rozkazał Dzierżymirski.

- Już wyszedł. Mówi, że wpadnie kiedy indziej, bo czeka więcej miał czasu... Kazał przeprosić pana, bardzo i zostawił tu bilet swój, na którym coś napisał, - i przy tych słowach lokaj podał bilet.

Roman rzucił na okiem...

Pani Wygrzywalska jednak przerwała mu czytanie. Do swej roli wracała powtórnie.

- Przepraszam bardzo szanownego pana prezesa - poczęła mówić swym poprzednim tonikiem - ale wiedzieć chciałam właśnie, jak adresować nam przy zwrocie tej kwoty, tak wspaniałomyślnie, szlachetnie, mi udzielonej... Pan prezes podobno na długo wyjeżdża?..

Roman na te słowa uśmiechnął się złośliwie i odparł:

- O, kłaska pani! Adresem zupełnie dostatecznym będą dwa słowa: "R. Dzierżymirski." flegnam pani... - tu powstał z siedzenia i skłonił się z daleka.

Pożegnany z kolei ukłonem sztywnym nieco odchodzącej "pseudo-arystokratki", Dzierżymirski zwrócił się do lokaja:

- Jest kto? - zapytał.

- Jakiś pan powiada, że ja nie pana zna dawno, chce się widzieć koniecznie.

- Jak wygląda?

- Taki sobie... nie bardzo poka...ny...

Codziennie, od dziewiętej do dwunastej z rana, każdy miał wstęp wolny do "pana prezesa". Dzierżymirski nie odstępował nigdy od powziętej raz reguły, tym razem więc zarówno rzucił obojętnie:

- Proszę!..

Sam zaś do biurka zasiadł, by skończyć czytanie biletu hrabiego z Melsztyna.

Minęło parę minut.

Zaczytany, nie spostrzegł był Roman, że na środku pokoju od pewnego już czasu stał młody człowiek, lat około trzydziestu pięciu, i patrzył nań uporczywie.

Pod siłą tego wzroku podniósł oczy Dzierżymirski, a ujrawszy przybysza zbladł; poznał go bowiem od razu, nie dał jednak poznać tego po sobie, nie podniósł się z miejsca nawet, a tylko ruchem ręki obojętnym wskazał krzesło.

- Proszę pana... Przepraszam... za chwilę... Nieznajomy zarumienił się, nie rzekłszy nic jednak, usiadł pokornie na koniuszczku stołka, Dzierżymirski zaś po jakimś czasie, leżąc - opodal i zagłębili się w nich, ze skupieniem.

Ale tylko na pozór... W rzeczywistości zaś potrzebował czasu, by ochłonąć doznanego przed chwilą wrażeń.

Przed nim znajdował się towarzysz, niewidziany już od lat siedmiu - jeden z dwóch pierwszych ludzi, z którymi się był zbratał, przyjechawszy nigdy do kraju sam, nieznanym i biednym!..

I nagle, wywołane przypomnieniem, stanęły mu w myśli jasno te chwile dawne!.. Ukazała mu się żywo w wyobraźni straszna noc moralnego przeżycia jego życia, noc udręczenia w izdebce na poddaszu - noc walki z uczciwością - z jednej strony, a niedźwiedzi, ułudą - miłośnicy, pragnieniem życia - z drugiej!..

Wszak siedzący oto teraz przed nim młody człowiek był jednym z tych dwóch wspaniałych, którzy, gdy on nurzał ręce w kuszycielstwo - potęgą - złości, stukaniem nagłębem we drzwi izdebki wstrząsnęli nim tak silnie...

I Roman, przebiegając spojrzeniem w duchu to wszystko, mówił do siebie jednocześnie:

- Dziwnym jednak jest to życie nasze... O, jakże dziwnym!.. Gdyby nie

to złoto, a pó...niej Monte Carlo, Ola i...mierzej ojca, oraz dziedzictwo po nim, nie byłbym przecie nigdy tem, czem dziś jestem!..

Przepastna ironia - koło bez wyjścia!..

Dzierżymirski, pochylony nad grub...księgi, której cyfr i kolumn ich nie widział zgoła - pogr...żonym się ci...gle by...zdawał całkowicie, w rachunku i pracy.

Milczenie zupełne - panowało w pokoju, w ciszy zegar wydzwonił niebawem godzinę w... do dwunastej. Roman się ockn...; zostawało mu już tylko pół godziny czasu. Uczynił nad sobą wysiłek i głosem spokojnym zupełnie przemówił obojętnie:

- Z kim mam przyjemność...czem s...życ...og...?..

- Herman Zieliński. Czy pan... prezes naprawdę mnie sobie nie przypomina?
- odparł metody człowiek dobitnie.

Dzierżymirski zawahał się chwilę.

- Zielińskich znam wielu - rzekł z wolna - nazwisko pańskie ma przedstawicieli tak licznych... Zreszt... może... Przykro mi bardzo, lecz doprawdy nie przypominam sobie...

- Ja za to - odpowiedział młodzieniec, akcentując silnie słowa - przypominam sobie a... nadto dobrze... Poznaliśmy się przed laty siedmiu; ja, pan i Jasio Zboński stanowiliśmy przez czas jakiś nierozdzielnie - nawet trójce. Potem... pan przestał stopniowo nas poznawać. Kolej to zwykła rzeczy świata tego, prawo ludzkie - by...no... Pan wznosił się po drabinie społecznej wysoko, my gineliśmy w cieniu... Pan dosięgł jej szczytów obecnie, my, to jest ja, zostałem u jej podnóża...

Zatrzymał się w przemówieniu swym metody człowiek, po chwili zaś dodał; z goryczą:

- Jednak... myślałem, że pan... prezes, pomimo to, raczy mnie sobie przypomnieć... robię omyłkiem... - młodzieniec powstał, gotów do wyjścia.

- Ale cóż znowu !.. - wykrzyknął słuchający go dotąd w milczeniu wahającym się Dzierżymirski, a zarazem, powstawszy śpiesznie z miejsca, przyjął...nie wychodząc... ku przybytemu.

- Witam i przepraszam... Pamiętam te czasy doskonałe, tylko pan zmienił się do niepoznania. Cóż Zboński, cóż pan - porabiacie teraz?... Niechże pan spocznie, proszę bardzo... - dorzucił Roman łaskawie i swobodnie, teraz bowiem panował już całkiem nad sobą.

Zieliński, poznany, usiadł i ośmielony odparł:

- Ciesz się niewymownie, że pan przypominasz sobie lata owe... Dla mnie, wyzna...muszę, okres ten całego życia mego stanowi przyjemne nader

wspomnienie - urwał, i uśmiechnęwszy się ironicznie, zachowując jeszcze swój ton sprzed chwili, dorzucił dobitnie:

- Ba, dawniej przecie my ze Zboińskim, we trójkę, mówiliśmy sobie "ty" nawet!

- Cóż pana obecnie do mnie sprowadza? - przerwał Dzierżymirski pośpiesznie, niechcąc jakby, puszczając mimo uszu ostatni- uwagę.

- Rad jestem niezmiernie z widzenia się naszego, z przyjemnością usłuchać, jeżeli będzie mógł to uczynić. - dodał jeszcze, jak mógł najprzychylniej.

Choćmroźony nieco początkiem zdania, Zieliński spojrzał przyjaźnie na Romana, poczem odezwał się:

- Dziękuję, i zobowiązany jestem panu bardzo, bardzo, panie... przesiel., - uśmiechnął się znowu, z goryczą - początkowo jednak winienem w krótkich słowach objaśnić nieco o położeniu mem obecnem.

- Słucham - przerwał szybko Dzierżymirski i spojrzał na wiszący mały zegarek, wskazujący w tej chwili trzy kwadransy na dwunast-

Zieliński dostrzegł ruch jego.

- O! to niedługo potrwa! - pośpieszył z zapewnieniem.

- Nic nie szkodzi, proszę bardzo... - odparł Roman. - O pierwszej mam ważną sesję, a że wyjeżdżam już za dni parę, obecność moja jest tam bezopóźnienia konieczna. Ale... słucham pana... - powtórzył znowu uprzejmie.

- Otóż więc, streszczam - rzekł Zieliński.

- flicie moje odmiennem potoczyło się korytem od życia pańskiego, a nawet Zboińskiego Jana. Pan - nie ma co mówić o tem ; całe miasto godzi się jednogłośnie, że o zdolniejszego i bardziej wpływowego zarazem człowieka u nas trudno... Zboiński jest lekarzem na prowincyi i wie mu się niegorzej, a ja... - tu Zieliński zatrzymał się chwilę - zostałem za wami, panowie, w tyle, o, bardzo w tyle nawet!... Dlaczego? ktoś odgadnie ?.. Zdawałoby się, że los nie poskąpił mi zdolności; szkołę ukończyłem, z medalem, prawo, z odznaczeniem, ale, niestety, los nie obdarzył mnie szczęściem do życia! - Młody człowiek znowu, wzruszony jakby mimowolnie, mówił przestał.

- Trzy lata temu - ciągnął dalej niebawem - ożeniłem się z miłośnicą, bez grosza... - rysy, do regularne Zielińskiego ożywiły się promieniem wewnętrznym - kochałem ją, to mój Maniutę, tak, jak kocham ją do dzisiaj jeszcze, chociaż nie miała, tak i nie ma ani szelęga posagu!.. Obecnie mam troje drobiazgu... - tu z kolei twarz gościa Romana zasępiała się smutnie, zatrzymał się, jakby trudno mu było wykrztusić resztę, czoło zaś białe pociemniało mu od rumieńca - jednym słowem - dokończył - w domu u mnie - nęcza!..

Umilkł, nie podnosił oczu. Po dłuższej chwili, cisnął:

- Pomny naszej dawnej znajomości, przyszedłem tu, do pana prezesa, z pokorną prośbą o posadzenie, o pracę, chociażby jakąś, ale - płatną, o zarobek, bo jałmużny nie zwykłem przyjmować. Byle z głodu nie umrzeć. Byle oszczędziacie tej kobiecie, która mnie kocha, a której doli dotąd w jakadym sposobie ulżenie mogło!.. - wyrzucił z siebie z mocą.

Zamilkł i wstydził się jakby słów własnych, nie podnosił już wcale oczu na Romana.

Dzierżymirski zaś z kolei przez czas ten cały śledził słowa i grę fizjonomii Zielińskiego, a w myślach jego równocześnie stała się wyraźna kontrast między ironią, między życiem jego, a życiem tego oto Hermana, znanego mu dobrze, jako najzdolniejszego studenta uniwersytetu - z przed laty... Stanowczo nie popłacałby idealist!

Ożenił się bez majątku... No, a gdyby tak on, Roman Dzierżymirski, zgrzeszył był idealizmem, i biedak, ale nieposzlakowany, uczciwy, pozbył się przed laty nietkniętych banknotów i ożenił się następnie z jakąś dziewczyną - zupełnie biedną?..

- No, w każdym razie... razie, jakoś dałbym tam sobie radę! - odpowiedziało dość butnie w duchu Roman natychmiast. - Posiadam hart, wolę, rozum, rzutkoś się odorientowania się trafnego, i spryt - to wiele; a on? Szlachetny, zdolny, lecz jednak trochę... głupi!

- Ale czysty! - ukłonił się, jakby żegnając Romana. Spuścił głowę i szuchnął dalej losów kolegi Zielińskiego, mówił sobie zarazem:

- Jednak pomóc trzeba... należy. Dla wspomnienia, no, i dla zasady.

Gdy zaś dawny towarzysz mówiący przestał, odezwał się z kolei:

- Więcej życzyłby pan sobie otrzymać pewne miejsce na kolei, gdzie jestem prezesem... Niestety, nie mogłem, postanowiłem bowiem podczas całego trwania tam moich rządów, od siebie nie narzucać nikogo... Ale mógłbym pomieścić pana gdzie indziej. W Banku Handlowo-Przemysłowym, na przykład, należałoby do zarządu... Czy znane są panu: rachunkowość kupiecka, buchalteria i języki obce biegle, jak francuski, niemiecki, a może i angielski?..

- Niestety, nie! - odparł Zieliński. - Fachowego wykształcenia nie posiadam, gimnazyum klasyczne zaś i wydział prawny uniwersytetu nie wyszkoliły mnie dostatecznie w żadnym z nowożytnych języków europejskich... Co innego grecki i łacina... Co się zaś tyczy rachunkowości, poza arytmetyką i matematyką wyższą, t. j. algebrą, geometrią, trygonometrią, innymi słowami nie mogłem...

I machnąwszy przy tych słowach ręką, w zniechęceniu, młodzieniec, westchnął smutnie, dodał.

- Zresztą, panie prezesie, mówię szczerze całkiem, przekonywam się

teraz coraz bardziej, i że szkoły nie dały mi zgoła żadnej nauki życiowej i praktycznej.

- Ma pan słuszność zapewne... - potwierdził Roman. - Niedaleko, szczególnie przy obecnej nadprodukcji w naszym mieście ludzi fachowych, zajęchałby pan ze swym dyplomem, ale nie martw się pan... Spotkałem mnie na swej drodze. Ja zaproteguję pana po pierwsze w imię lat dawnych, po drugie, że należy pan, jak widzę, do prawdziwie potrzebujących pracy! - ostatnie słowa silnie zaakcentował Dzierżymirski. - Czy ładny i czytelny masz pan charakter pisma?

- Owszem, staranny i czytelny w zupełności! - pośpieszył z odpowiedzi Herman.

- No, to dobrze - odparł Roman, i przy tych słowach sięgnął do stojącego na biurku pudełeczka po bilet wizytowy. - Napisz mi słówko do Dyrekcji Towarzystwa Ogniwego "Esperanza"... Z dyrektorem jestem w najlepszych bardzo stosunkach, w tych dniach oprócz tego sam z nim pomówię - odmówię mi nie może... Od pierwszego przyszłego miesiąca dadzę panu posadę. Przypuszczam, iż... na początek z jakieś 500 rubli... Będziesz pan obrachowywał, sprawdzał, a potem przepisywał zapewne ubezpieczeniowe polisy... Jak się pan załóż wprawisz w owym przepisywaniu, wyrobię, i dadzę panu polisy do kopjowania w domu, w ten sposób zarobisz pan więcej. Zgoda?...

- Ależ naturalnie - dziękuję stokrotnie, dziękuję po tysiąc razy! Wdzięczność moja, panie prezesie, nie ma granic!... - i zerwawszy się z krzesła, Zielieński, wzruszony i uradowany, uścisknął z przejęciem dłoń Romana.

Ten ostatni, napisawszy słów kilka, zapieczętował list i powstał, a podając go młodemu człowiekowi, rzekł:

- fylec szczęścia i powodzenia!.. Bardzo kontent również jestem, że pan zwrócił się bezpośrednio do mnie, i że znajomość naszą odnowiliśmy znowu... Doktorowi Zbojarskiemu moje ukłony, gdy go pan zobaczysz!..

I Roman Zielieńskiemu podał rękę.

- Dziękuję... Nie zapomnę tego panu nigdy!.. - z serdecznym ciepłem w głosie odparł młodzieniec, ciskając dłoń dawnego swego towarzysza.

Dzierżymirski odprowadził go uprzejmie do drzwi, a gdy z Zielieńskim znikło mu z przed oczu przeszło ci widmo, odetchnął swobodniej, i zadzwonił na lokaja.

Ten zjawił się natychmiast, niosąc w ręku tacę z kilkoma biletami.

- Czekaj jeszcze? - zapytał Roman, i spojrzał pobieżnie na bilety, a równocześnie wyjął z kieszeni zegarek, wskazujący już parę minut po dwunastej.

- Przepraszam tych panów i powiedz, że dziękuję za pó...no!.. - rzucił

czekaj-cemu sędze.

Lokaj wyszedł, a Dzierżymirski przechadza się poczęz wolna po pokoju i cygaro zapalił, wypuszczając od niechcenia z ust małe kłębeczka dymu.

Cały był jeszcze pod wrażeniem ostatniej wizyty, oraz tej odżytej z niego tak nagle "więź o minionej przeszłości".

I Dzierżymirskiemu czołó porało się w drobne bruzdy, zamknięty wcięż tak samo, nerwowym krokiem przebiegał komnatę.

Od lat kilku, gdy ożenił się był z Olą, nie zmienił się Roman prawie że wcale. Ta sama inteligentna i piękna twarz połodniowca, ta sama młodzieńcza szybkość ruchów, oraz niezmienna wytworność sylwetki całej - cechowały go obecnie tak, jak i przed paru laty.

A ileż, ileż zdarzeń przewinęło się doń w życiu jego!

Po odbyciu ślubu na wsi, w Gowartowie, przyjechał z Olą do miasta. Tu, dzięki dziedzictwu pana Januarego, połodzeniu towarzyskiemu żony i, odnowionym własnym stosunkom, zdobył Roman to, co do dziś dnia posiadał.

Energiczny, rzutki, giętki, sprytny i pełen ambicji zaszedł wysoko. Ola kochała go doń niezmiennie, ludzie korzystali z niego przed jego rozumem, stosunkami, wpływami, a jednak nie był on zgoła szczęśliwym!..

I teraz po twarzy jego odgadnąć to równie łatwe było. Cierpiął...

Rozpamiętując w myślach przeszłość własną, zapomniał widzieć zupełnie o tera...niejszości. Niby wczorajsze "więźe, we wspomnieniach żyły znów te lata minione, dawne... Jak fata morgana ułudna mamiły wzrok duszy jego niedoścignę, bo bezpowrotno już dał, rozpierzchały się, nieuchwytnie, to znów wracały jawne - żywe!

Widział się wóec Roman w połodnym roku miłości wzajemnej, haszysów i upoję, z dysonansem "miłości" swego na kościu i widział siebie potem lata całe w ciągłych zabiegach, trudach, w prawdziwej, namiętnej energii czynu, w bezustannej gonitwie za popularnością, wielkością - znaczeniem.

Wznieśli!.. wznieśli!.. ponad drugich, ponad tłumy - to stało się życia jego celem!.. Widział kornymi te ludzkie masy u stóp swoich - marzeniem - pomimo samopoznania w głębi duszy, że na to wszystko nie zasługuje się zgoła, pomimo gryz-cej go, jak jad, tocz-cej go, jak robak, samowiedzy, że on moralnie nie godzien może żadnego z tych, którzy go ponad siebie wynoszą!..

Bo rzecz zaiste dziwna... Setki zdarzeń, tysi-će ludzi przemknęły, jak w kalejdoskopie, w życiu Romana, a tajemnica jego odległego "wczoraj", pozostała nadal - tajemnic... Nikt jej nie odkrył, nikt nie przypomniał. O wścibicieli dwudziestu siedmiu tysięcy gęcho i cicho było, jakby fakt ten cały był li tylko snem strasznym, zakłęt- bajk- z tysi-ća i jednej nocy!

A tymczasem życie, toczy się wartkim kołem, pochłaniało sobę Romana, pochłaniało go tak dalece, że bywały chwile, iż zapominał. Ale, niestety, były to tylko... chwile.

Sumienie uparcie czuwało bezustannie. Nie było dnia jednego, by Dzierżymirski w chłopców ducha nie uchylił głowy przed przypomnieniem strasznym; nie mijał miesiąc, by godzin kilka, z dala od ludzi, nie był zmuszonym przepędzić sam na sam ze sobą i z wyrzutami sumienia.

O! jakże pragnął on nieraz oddać to złoto cudze, jak pragnął!..

Oddać? Ale komu?.. Zwrócić? Ale jak, nawet gdyby się i znalazł w tajemniczym zagadkowym, by nie splamił nieskazitelnego potysku czci własnej, honoru i opinii człowieka, przodującego społeczeństwu całemu?..

W tym samym, ozdobionym granacikow- koron- hrabiowsk-, puglaresie, leżały odłożone przezeń na miejsce, owe dwadzieścia siedem tysięcy, w banknotach i rulonach złota, schowane w tajemnej i nikomu nie znanej skrytce. Przeznaczone dla zagadkowego właściciela - czekały one na tam daremnie.

Bo gdybyż przynajmniej, choć promykiem małym, rozdarła się ta tajemnicza ciemność - kryjąca dotąd w swych czeluściach bezustannej zagadki prawego pieniądza tych pana!

Och, wtedy, choć trochę przygotowanym, niewątpliwie dałby on jakoś sobie radę! Wolałby bowiem zobaczyć nawet rozwierając się przed nim przepaść bez wyjścia, gdyż ufny w swój rozum, znalazłby je na pewno, niż widzieć - gdzie przed sobą ten pełny milczenia sfinksowy spokój, idącego przed nim ciemnego, nieodwołalnego jutra!.. Przestraszał go on - przejmował zgroz...

Bo Dzierżymirski poza licznymi zajęciami swemi społecznej natury, czynił dotąd niemal bez skutku wszystko, aby zrzucić siebie, już raz na dobre, gniot-cy go skrycie ciężar wspomnienia!..

Podawał więc kilkakrotnie nad wyraz przebiegle i sprytnie ogłoszenia w pismach, nie tylko w kraju, ale i za granicą, w nadziei, iż wpadnie na trop właściciwy.

Sam pozatem odbył kilka tajnych wycieczek do ludzi, o których wiedział, że zgubili niegdyś, bez znalezienia, sumy większe...

Zbadawszy ich jednak podstępnie, z ostrożnością, wracał zawsze z niczem. Zagadka trwała.

Teraz wreszcie również, nie dalej, jak za dni już kilka, postanowił Roman raz jeszcze uczynić próbę w tym względzie i wyjazd za granicę, zapowiadany przezeń, dla wypoczynku, "de facto" był zwi-zanym ciężarem z - tylko sam-, wiecznie jedn-, spraw-.

Przechadzając się więc szybko po gabinecie Dzierżymirski, w chaosie

j-trz-cych go myśli i wspomnieæ, schwyci siê nagle za głowê i szepn-
do siebie przejmuj-co:

- Och, czemu¿, czemu¿, na Boga, natura obdarzyła mnie sumieniem tak
czujnym, wrażliwym, czemu?.. Byłbym pofożenie moje brał filozoficznie,
proficiej... Wszak z pieniędzy znalezionych w rzeczy samej korzystałem
tak mało! Przegrałem je przecie wszystkie w Monaco, do ostatniego
grosza, a wygrałem z pieniędzy zupełnie innych! - sofizmat, niezmiennie
ten sam, powracał w umyśle Romana.

O ile jednak dawniej pocieszał on go chwilami, teraz, dziś - nie działał
już bynajmniej.

Dojrzały obecnie, w niejednym jeszcze przekształcony życia szkoł-
patrz-cy z odległoci lat kilku zimniej daleko na uczynek swój własny
"przywłaszczenia", Dzierżymirski, nie wyzbywszy siê dot-d wcale
wszczepionych silnie w dzieciństwie zasad uczciwości, nieprzejednanej,
prawej, czystej, - rozumiał, i, pomimo pochłonięcia cudzego złota przez
jaskinię gry i dotychczasowej bezkarności - zb-dził, i e wina jego
zgoła nie była mniejsz-. Czuł, e życie moralne wykoleiło go
niemiłosiernie, i cierpił...

Roman przetarł ręk- rozpalon- głowê; atak apatii nerwowej pesymizmu,
alu i goryczy, szerok- fal- napływał znowu do duszy jego.

W tej samej chwili na ściennym zegarze wybiło wpół do pierwszej. Roman
siê wstrz-sn-ł.

Sesya, obowi-zki, przodownictwo społeczne - trzeba bysilnym!..
Odpocznie pó..niej, gdy wyjedzie - za dni parê, teraz odwagi!..
spokoju!..

I uczyniwszy nad nerwami swymi i myśli- wysięk, Dzierżymirski
wprostował siê. Rzuciwszy opodal do popłowy spopielałe, cygaro, pocz-ł
porz-dkowaćpiesznie porozrzucane na biurku papiery.

W tej samej chwili do drzwi zapukano trzykrotnie. Roman drgn-ł i
odwrócił siê. Poznał sposób stukania żony, co dzieæ bowiem, o tej porze,
Ola zwykła była odwiedzaæ go po pracy.

- Entrez!.. - rzucił donośnie i czoło jego wypogodziło siê natychmiast.

Ma j- przecie¿, najdroższ- żonê, podporê-kochankê i przyjaciela ! Wszak
wzajemnie nie posiadaj- przed sob- żadnych tajemnic, prócz jednej -
jedynej!

Przez próg komnaty do gabinetu wchodziła już Ola, ubrana do wyjścia, w
kapeluszu i sukni, skrojonej elegancko i szeleszcz-cej jedwabiami
spódnic.

I ona od lat tych piêciu nie zmieniła siê prawie. Wypiekniała tylko
jeszcze bardziej, bujniejszymi stały siê kształty i linie jej ciała,
poniższymi, w całym swym czerwcowym rozkwicie, lat już niespełna

trzydziestu.

Z uśmiechem, przywitali się małżonkowie; Roman ucałował żonę w czoło i zapytał:

- Dokądże to tak moja pani?

- Na ogólne zebranie państwa Opieki f-go Franciszka z Assyżu; a ty wychodzisz także?..

- A jakże. Na sesję Związku Kredytowego.

- Na którą godzinę?

- O pierwszej się rozpoczyna...

- Pysznie!.. - zawołała uradowana Ola. - Kazałam wstać do powozu zaprzędy, podwiozłam cię... A wiadanie drugie już jadę?

- Nie, kochanie, czasu mi nie starczyło. Przeszłam coś nie coś na mieście...

- Mój ty biedaku !.. - i pogłaskawszy pieszczotliwie męża po twarzy, uściskała go Ola serdecznie, - taki zajęty zawsze, że nawet prawie nie możesz na nigdy pomówić tobie swobodnie...

- A czyja wina? - przekomarzał się wesoło Dzierżymirski. - Gdy ja do domu wpadłem, nigdy pani mej nie ma... To zebranie f-go Antoniego, Kalsantego, Ambrożego, - wszystkich świętych jednym słowem... To znów z kolei opatrywaniu chorych, wenta na przytułki, obrady na zabawy filantropijne, rozdawnictwa, gwiazdki dla dzieci, rozbieranie ich, ubieranie... Czy ja w końcu wiem i pamiętam, wszystkie owe tam wasze damskie pseudo-prace?..

- No, no... Bardzo proszę, nie wymiawajcie się z nas... Niby to wy, panowie, robicie co na owych sesjach. A jakże! Rozmawiacie zgoła o czym innym, papierosy palicie, kłócicie się i rozchodzicie. Ho-ho, już ja wiem dobrze, co mówicie!.. - odparła z przekonaniem obrażona niby Ola.

I w ten sam sposób dłużej jeszcze przekomarzaliby się żartobliwie małżonkowie, gdyby nie wejście lokaja, który zaanonsował:

- Proszę jaśnie państwa, powóz już czeka...

- Aaa... to dobrze! - rzekł Roman żwawo, daleki już myśl od dręczących go do niedawna wspomnień.

- Nie przebierzesz się Romciu? - zapytała Ola.

- Ani myśleć, nie mam czasu! Patrz, dochodzi już pierwsza... Cóż to, moje życie, uważasz może, że nie po delikatniejsku wyglądam?... - zapytał lekko.

- Ale gdzie tam... Cóż znowu?.. Tego myśleć nie ośmielałam -

rozełmiała się Ola. - tylko tak trochę... nie wiem... Czekaj, przeczesz cię, poprawimy krawat i oczyszcz...

Dzierżymirski poddał się pokornie wymaganiom estetycznym żony.

- No, fertig! Wyglądasz znownie!.. - zdecydowała Ola po chwili.

- Phi... tylko? To niezbyt pocieszające, - odparł, śmiejąc się, Roman - i wyszedł z Olą do przedpokoju.

W bramie domu czekał już powóz odkryty; Dzierżymirscy wsiedli do powozu, lokaj wskoczył na kozły i ruszyli. Znany w całym mieście pojazd "prezesowstwa", zaprzężony w dwa rosłe mieszane, krwi anglo-arabskiej, wytoczył się na ulicę i pomknął chyżo.

Co chwila z powrotem idącej po szerokich chodnikach publiczności, lub z wymijanych powozów, kłaniał się ktoś uprzejmie Dzierżymirskim, a oni, uśmiechnięci, weseli, tak samo grzecznie oddawali wszystkim ukłony. Po dłuższej chwili milczenia, odezwał się Roman:

- Ale, a propos, musisz się tym zająć, bo ja, doprawdy, czasu nie mam. Dziś, lub najdalej jutro, wysyłamy zaproszenia do wszystkich naszych znajomych... W sobotę damy raut po równo... J'espere, że nie masz przeciwko temu, moje życie ?..

- Ależ, naturalnie!.. - pośpieszyła z zapewnieniem Ola, - lecz musimy przecież złożyć wizyty...

- Nie ja, nie ja, chérie!.. To ty za mnie nieodzwonnie zrobisz kochanie... Kto nie przyjdzie - pal go licha!.. A zresztą, pas de crainte, stawi się wszyscy...

- Dlaczego nie chcesz jechać ze mną?

- Nie nie chcę, lecz nie mogę. Mam przed wyjazdem jeszcze zajęcie huk! Nie możesz mieć nawet wyobrażenia, moja droga, co to znaczy wyrwać się na miesiąc kilka, jak tego pragnę, z tego kołomych rozlicznych obowiązków - c'est un vrai tour de force!.. - Dzierżymirski zamknął na chwilę, poczem kończył:

- Bo pomyśl tylko... Tu znaleźliśmy ten cały zastępek, tam znów wycofać się zresztą, by nie obrazić nikogo i zatwierdzić wszystkie czynności już z góry... Więc chyba rozumiesz teraz, iż w wizyty światowe bawić się nie mogę, najwyżej do kilkunastu wybitniejszych osobistości, i koniec.

- Ależ dobrze, już dobrze, nie tłumacz się, nie broń - zrobię wszystko, mój władco i panie! - z uśmiechem, pocieszyła go Ola. - Pytałam się tak tylko... Czy wracasz dziś na obiad ?..

- Pas possible! - odparł Dzierżymirski stanowczo. - Akurat o szóstej zebranie nadzwyczajne akcyonaryuszów i komitetu nowego przedsiębiorstwa, wiesz, Komercyjno-Agronomiczny Związek krajowy... Zjem na mieście.

- A wieczorem? - pytała dalej Ola.

- Muszę być koniecznie u księcia Artura, w sprawie budowy nowego kościoła św. Jana Chrzciciela; zebranie prywatne w jego mieszkaniu - obiecałem.

- Niemożliwym jesteś człowiekiem!.. - rozemniała się Ola, - ja już o czwartej wracam do domu.

Umilkli. Wkoło nich śmiało się w słońcu miasto; wiosna czarodziejka nawet tu, w ciasne ogrodu mury, swój powiew balsamiczny technopotrąfiła - oddychało się swobodniej, szerzej, wiezionajowa pieściła twarze śpieszących zewsząd tłumów, śmiejących się i wesołych.

- Sta! - rzucił nagle i rozkaz Dzierżymirski, dotykając z lekka łaski liberyjnych pleców stangreta. Dojeżdżali do wspaniałego gmachu Związku Kredytowego.

Powóz zatrzymał się posłusznie.

- A ce soir! - rzekł Roman, i lekkim uśmiechem ręki pośpieszawszy się, wyskoczył z ekipażu. Po kamiennych stopniach krąganka skierował się ku olbrzymim kutym drzwiom, które, w powitalnym, niskim ułonie, otwierał już usłużnie szwajcar miejscowy.

Na progu gmachu Dzierżymirski obejrzał się i spotkał ze wzrokiem Oli. Spojrzeniami wzajemnie pośpieszali się jeszcze piśszczotliwie, poczem Ola odwróciła się pierwsza, Roman zaś, ścigając ją - oczyma, zatrzymał się i uśmiechnął...

W oddalającym się powozie, młoda kobieta po chwili, instynktownie jakby, raz drugi spojrzała za siebie. Dzierżymirski jednocześnie skinął głową i znikł za drzwiami, Ola zaś odwróciła się i niedbale rozpięła białe, koronkami obszyte, parasolki. Promienie i blaski majowe załśniły się jeszcze na jej postaci chwilę, i powóz znikł, pochłonięty wielkomięskim wirem.

Kaskad światła i blasków płon - rzęsiście apartamenty Romanowstwa Dzierżymirskich...

Z pół otwartych lilii z kryształu, zdobionych gazowe po bocznych ścianach kinkiety, z żyrandoli i lamp - tu jaskrawo, tam znów łagodniej, drżące w dusznej atmosferze salonów poki promieni, spadające deszczem na tłum wesołych, elegancki i strojny, grają, załamują się w klejnotach kobiet - piśszczące ich nagie gorsy i ramiona, głaszczące je swym niewidzialnym dotykiem.

Gwar tłumiony prowadzonych z ożywieniem rozmów, oraz tłok i ciasnota panuje w kilku obszernych salonach; czynie tylko gości siedzi, większość

wahadłowym ruchem pływającej fali, przechadza się bezustannie, a raczej dyskretnie przeciska.

Nie omylił się bowiem w przewidzeniach swych Dzierżymirski. Całe towarzystwo i wszystkie jego sfery stawiły się na raut po równy prezesa, wice prezesa, dyrektora i członka licznych instytucji - rade i poczuwają się do obowiązku obecności - swobodnie i grzecznie w sprawie światowej temu, kto trzyma obecnie w silnej dłoni wótek ich spraw i interesów - natury społecznej, przemysłowej, filantropijnej, a także esto i osobistej nawet.

Pełni uprzejmości, dystynkcji i gościnnieści szczerzej, wśród tłumowi swych gości, uwijali się Dzierżymirscy, zmieniając się kolejno w pobliżu wejścia pierwszego salonu, dla witania wchodzących co chwila nowych przybyszów. W końcu jednak i ten czasowy posterunek ich okazał się wprost niemożliwym...

Roman i Ola zmuszeni zostali zmieszani z tłumem rautujących gości, ustępując sami naporowi nacisku.

A kwadrans tymczasem mijał szybko. Liczba napływających osób powiększała się coraz bardziej, wśród szeleszczącej załogi, barwnej fali gości, w liberyi i poczekalnicach, ukazywały się poczołgi, posuwające się z trudem, lokaje, z wielkimi srebrnymi tacami... U wejścia załogi salonów, wyparta zwiększając się fala ludzi, stanęła zwarta gromada męczyczyzn, tamując w ten sposób po prostu komunikację do przepiętnych nadmiarów apartamentów.

Młodzieniec, ciemny szatyn, nieposzlakowane elegancki, o impertynenckiej nieco, choć wielkoświatowej powierzchowności, wchodził w tej chwili do mieszkania prezesostwa Dzierżymirskich.

Znalazłszy się niebawem poza zbitą u drzwi garstką panów, na razie nie mógł postąpić kroku naprzód. Widząc to, skrzywił swe wściekłe usta, i wspiął się dyskretnie na palce.

Ponad zbliżonymi, wypomadowanymi głowami stojących męczyczyzn, ujrzał dokładnie kołyszące się morze kobiecych biustów, główek czarownic, pięknych, różnobarwnych tualet, gorsów i fraków i mruknął do siebie:

- Ho-ho!.. pas mal...

Spojrzał następnie na stojących opodal rautowiczów. Nie znał żadnego z nich. flachnął się niecierpliwie i szepnął znów z cicha do siebie, po francuzku:

- Que diable, je ne suis pas venu ici pour garder l'antichambre...

I jednocześnie posunął się zdecydowanie naprzód, potrącając lekko po drodze swej paru siadów, rzucił, z wytwornym ukłonem, kilka: "Pardon", w rezultacie jednak znalazł się zaledwie o parę kroków naprzód.

Popatrzył znowu przed siebie, wspiął się na palce.

- Ach, przecież choæde!.. - szepn-ł z ulg-, tym razem już po polsku, dojrzał bowiem wtałnie poznanego w przeddzieæ Emila Ładyżyæskiego.

Rzuciwszy po francusku parœ ugrzeczionych przeproszeæ, młodzienc post-pił znów kroków kilka, aż stopniowo, przepraszał-c dalej bezustannie, zdołał dotrzeæ do Ładyżyæskiego.

Ten już go był zoczył. Podali sobie rœce, witaj-c siœe uprzejmie.

- Eh bien, chłr comte - zagadn-ł, z ułmiechem pierwszy pan Emil - jakież wrażenie z rautu "koroniarzy?.." Trudno siœe dostaæco? Et, ce qui touche, gospodarza, prezesa, vous ne le verrez probablement pas, bo jest akurat pod przeciwnym biegunem.

- A ja wtałnie muszœ, bo go nie znam. Pani Dzierżymirska była tak bardzo uprzejm- zaprosiæmie, bo ztożyłem jej wizytœ, lecz prezesa, jako nader zwykle zajœtego podobno, nie widziałem...

- Ba... ba... c'est simple - potwierdził Ładyżyæski - nasz prezesunio jest to człowiek, który jest wszœdzie, ale nigdy u siebie w domu... Voulez - vous, przedstawiœ pana. W drogœ zatem... Płyæmy, płyæmy, pđki czas!.. - zanuciwszy półgłosem wyrazy ostatnie, rzekł starzej-cy siœe kawaler, i prowadz-c za sob- przybysza, pułcił siœe naprzód.

Ostrożnie, z wolna, dwaj panowie posuwaæsiœe zacœli. Czynnoł zał niełatw- była. Prócz obawy niezrœcznego potr-cenia kogoł z wytwornego, a łciełnionego grona - musieli oni pozatem lawirowaæ jeszcze bardzo zrœcznie pomiœdzy długimi trenami paæ... Ładyżyæski jednak radził sobie wybornie. Co chwila kłaniał siœe komuł uprzejmie z daleka, lub witał z bliska, przystawał, rzucał dowcipnych słów parœ - rozstœpowano siœe przed nim. Szedł dalej.

- Uf, nous y voilà!.. - rzucił po jakim czasie towarzyszeni swemu.

- Widzœ Romana, jak peroruje, cava sans dire, o społecznych sprawach...

- Och, i pani Ola jest również niedaleko!.. Quelle chance...

I pan Emil, odwróciwszy siœe, skorzystał z wolniejszej nieco okoł siebie przestrzeni, wzi-ł pod ramiœ młodego człowieka i zbliżæsiœe pocz-ł wolno, ku otoczonemu kilkoma rozmawiał-cymi żywo panami, Dzierżymirskiemu. Id-c zał, podrwiwał z cicha, cytuj-c dolatuj-ce głołniejsze wyrazy i zdania.

- A co? nie miałem racji ? słyszysz pan ? Cel społeczny, - potœga działalnoci, - punkt kulminacyjny, - przesilenie finansowe - etc. i tak dalej. Jak dowodzi, co? Prawdziwa dystygowana wieża Babel szumnych frazesów!

Młody człowiek słuchał uważnie, ułmiechaj-c siœe z lekka, tymczasem zał jednak znale...li siœe obaj tuż koł grupy rozprawiał-cych zapalczywie mœczyzn.

- Stój, panie hrabio, skromnie, aż ja zatamuję, przerwę ten oto rwący potok dyskusyj!.. - odezwał się znów Ładyżyński.

Nie okazało się to jednak potrzebem. Dzierżymirski, bierniej od innych biorący udział w rozmowie, dojrzał już widać nie zbliżającego się pana Emila. Wyciągnął przyjaźnie rękę ku niemu, z serdecznością, przemówił:

- Emilu? Jak się masz? cóż, tak pó...no?

Romana z Ładyżyńskim przyłączyły obecnie stosunki przyjaźni szczerzej. Dzierżymirski polubił szczerze tego wesołego zawsze, patrzącego na życie trzeźwo bywalca, a przyjaciela rodziny - żony, nie mającego mu przytem za złe - jak wiadomo - postępków ongi z Ol-

- Bynajmniej nie za pó...no - odrzekł swobodnie zapytany, - od godziny dzień tak rojno, niby u ministra... Dojrzęło Jego Ekszelencyi nie mogłem... - z ukłonem, dokończył ironicznie.

- A... tak. Rzeczywiście. flegmą mnie czule, - w tym samym tonie odparł z uśmiechem Dzierżymirski.

- Czy widzisz, Romanie, - ciągnął Ładyżyński - tego młodzieńca w monoklu, z takim znawstwem dyskretnem oglądającego w tej chwili tors hrabiny P ?

- Widzę i nie znam!.. - zadziwił się Dzierżymirski.

- Co? pas possible!., - zadrwił pan Emil. - Nie znasz swoich gości? O, panie prezesie, wstyd i hańba!.. No, ale nic, wybawię cię z kłopotu i przedstawię ci go. Ja go znam!..

- Jak się nazywa? Il a l'air assez bien!..

- Parbleu, ça va sans dire. Potomek znakomitego rodu: hrabia Topola-Topolski - objaśnił Ładyżyński, z ironią.

- No, już "Topola", to pewnie dodatek twój, Emilu - zażądał się Roman - ale skądże go wyrwałe?...?

- Przybył z Galicyi, rodem z Księstwa Poznańskiego - zaprosił go twoja żona. Strzeż się, prezesie, pani prezesowa ma swoich protegowanych!..

- No, nie gawęd... , przedstaw mi go, bo biedak się zanudzi, tak czekaj - rzekł Roman, i ujęwszy ramię przyjaciela, skierował się ku Topolskiemu, idąc za nim, nachylony dyskretnie, szepnął:

- Tylko nie przedstawiaj mi go comte Topolski, bo ja zmuszonym będę wobec drugich uczyniało samo... Przecież to nonsens wierutny tytułowa jakiegoś tam Topolskiego hrabi - tu u nas, gdzie roi się od autentycznych, historycznych rodów...

- E !.. daj pokój, obrazi się, zresztą bogaty i epuzer... - odrzekł z niechęcią Ładyżyński - in faut lui laisser son illustre illusion.

- Ależ włąŃnie, przeciwnie! - przerwał DzierŃymirski. - "Bez zŃudzeæ", to najlepsza reguła. Et je t'en prie, zróŃ, jak ciŃe proszŃe...

- No, dobrze, dobrze... Uspokó siŃe zreszt... PoŃknŃe "comte", ale jeŃli mnie ten dudek wyzwie na pojedynek, to musisz byæsekundantem! - zawyrokował, po swojemu, ŃadyŃyæski.

- Monsieur Topolski... - szybko wyrzucił po chwili, gdy znale...li siŃe koŃo czekaj-cego na nich mŃodzieæca.

- DzierŃymirski...

PoŃpieszył osobiŃcie przedstawiaŃiŃe Roman uprzejmie i natychmiast zagał rozmowŃe.

- Bardzo mi miło widzieæu siebie goŃcia z za Kordonu... Wszak pan przybywa z Galicyi?..

- Tak jest. Wczoraj włąŃnie miałem zaszczyt przedstawiaŃiŃe... i tam dalej - recytował poŃpiesznie Topolski banaln- Ńwiatow- odpowied..., wyjaŃniaj-c- jego tutaj obecnoŃæ dotychczasow- znajom-æ gospodarzem.

- Nie zna pan zatem pewnie wiele osŃ - wysłuchawszy go cierpliwie do koæca, przemówił DzierŃymirski - tymczasem przedstawiŃe pana par ci, par là zgoda?.. Venons! - dorzucił przyja...nie.

- Bonsoir, monsieur le comte! - w tej samej chwili tuŃ obok nich rozległ siŃe powitanie zwrócone do mŃodzieæca, i przed trzema panami stanŃła Ola, w przeŃlicznej jasnozielonej sukni balowej, mieni-cej siŃe, przetykanej srebrem, wdziŃecznie ubranej kwieciem wodnych nenufarów.

Topolski skłonił siŃe wytwornie i przywitał z gospodyni- domu, oraz, z wpraw- obytego Ńwiatowca, rozpoc-ł natychmiast rozmowŃe.

Po twarzy DzierŃymirskiego tymczasem na słowa powitalne Ńony przemknŃło niezadowolone widoczne i skrzywił siŃe nieznacznie. Postał chwilŃe w niepewnoŃci, poczem, zrezygnowany, rzucił Topolskiemu uprzejmych słów parŃe i znikł w tŃumie goŃci.

Topolski tymczasem, pomimo powierzchownoŃci, na pierwszy rzut oka aroganckiej nieco, okazał siŃe miłym i wprawnym "causeur em", a id-c wolno obok Oli, z oŃywieniem rozmawiaæ ni- nie przestawał.

- Jak to? - mówiła DzierŃymirska - wiŃec to pan odziedzyczył maj-tek w naszych stronach... Wolno wiedzieænazwisko dŃor paæskich?..

- SzczŃesnaja - odparł Topolski.

- AleŃ to zaledwie o piŃæmil od Gowartowa, gdzie z mŃeŃem mieszkamy - objaŃniła towarzysza Ola. - fliczna rezydencja, znam z widzenia... Nie przypuszczalam zgoła, Ńe bŃedŃe miała w pana s-siada. Bardzo mi miło! -

dokończyła uprzejmie. Topolski skłonił się, rzuciwszy jednocześnie zdawkowo - banalnie grzeczność

- To pan dziedziczy po hrabi Teodorze Irenhauzie? wszak prawda? - pytała dalej Ola.

- Tak, pani; to był mój dziad stryjeczny... - Tak? no, widzi pan... Znałam doskonale swego czasu dziadka, pańskiego, nous sommes donc en pays de connaissance... Był to bardzo dystyngowany, zacny i miły człowiek...

- Oh, vous êtes bien aimable, madame...- zaczęła swą wytworną francuszczyznę młodzieniec, lecz przerwała mu, snaż niedostępnym, Ola:

- I objął pan już swe dobra?..

- Nie, pani, jadę tam dopiero za parę tygodni...

- Pozna pan zatem Ukrainę, - ciągnęła dalej swobodnie młoda kobieta, - kraj to cudny, śliczny, zobaczy pan... Ja go tak lubię, tak kocham, z całego serca!.. - kończyła, z ożywieniem.

- Ot bynajmniej nie jest mi obca Ukraina - pośpieszył z odpowiedzią Topolski. - Zaznałem już jej uroku, bywałem bowiem u stryja dawniej, et je suis tout à fait de votre opinion madame, c'est un pays charmant... Tyle wdzięku, cichego czaru, w tych drzemących stepach i polach, tyle poezji, w jej dumkach, a tyle, tyle tęsknoty we wszystkim!.. - z zapałem, wygłosił ostatnie słowa Topolski.

Ola, po raz pierwszy, spojrzała na uważnie. Twarz młodzieńca w tej chwili pozbyła się całkiem nałożonej konwenansowej maski światowca, złągodniała jakby i wyścięła.

Przesunął swój uważnie swe rozumne spojrzenie po twarzy swego nowopoznanego sąsiada wiejskiego w przyszłości, Ola zdziwiła się w duszy niepomiernie, tym bardziej, że nie poza bynajmniej, ale przeciwnie, szczerze w ostatnich słowach jego d...wierała. Nie spodziewała się podobnego zwrotu w rozmowie banalnej przeciwnego salonowca, za jakiego wzięła nowego gościa, zamyśliła się zatem chwilę, umilkła, i dopiero, w parę minut później, przypomniawszy sobie obowiązeki gospodyni, uprzejmie bardzo zwróciła się do Topolskiego.

- Gawędź z panem, et j'oublie tout à fait, comte, que vous connaissez ici très peu de monde... Wszak prawda? Przyjechał pan dni temu parę zaledwie... Przedstawcie pana... donnez moi votre bras, s'il vous plait.

Z wdziękiem, Topolski podał natychmiast Oli swe ramię, rozpływając się jednocześnie w podziękowaniach, grzecznościach i zasypując zręcznymi komplementami młodą kobietę... Uprzejma gospodyni tymczasem prowadziła go ku grupie siedzących starszych dam. Im naprzód przedstawwszy gościa, skinęła następnie na jednego z kręcących się bezczynnie młodych ludzi, a zapoznawszy z nim swego protegowanego, poleciła zaprezentować

młodszy paniom i pannom.

- Comte Topolski... hrabia Topolski... monsieur le comte Topolski...-
rozległo się po chwili tu i tam po salonach, w milknącym wątku rozmów
gwarze, tęto fortepianu bowiem, stojącego na zaimprovizowanej estradzie,
zbliżała się w tej samej wątku chwili sławna artystka, śpiewaczka
włoska...

Akompaniowana jej zamierzała znany profesor i muzyk.

Topolski zaczął przyciszonym głosem zabawiać grupę pań i panien, wespół
z wyfraczoną i wymuskaną młodzieżą, uwaga zaś powszechna zwróciła się
jednocześnie na młodą i piękną Włoszkę.

Coraz ciszej i ciszej, chętnie, umilkł w kołach, niby morze, tępym
wytwornym i słuchającym, z pozornym zajęciem...

Wreszcie, w ciszy względnej jeszcze, odezwały się pierwsze akordy, a w
ślad zatem obłąka o ściany salonów i uszy słuchaczy melodyjny, o
cudnym aksamitnym brzmieniu, kontralt kobiecy. Zaczęła w harmonijnym
całkowicie muzyki fortepianu, rozległa się, zadrżała uczuciem włoska pieśń
namiotna i jak świeższe tchnienie z pod nieba Italii, spłynęła urocza, na
rojnmaszkości...

Wstrząsnęły zaś gam-tonów przepełnione salony, poleciała pieśń
czysta, skrzydlata, daleko - wyrwała się przez okna na ulice miasta
potężna, silna, wcisnęła się do każdego zakątka mieszkania
Dzierżymirskich - zbudziła swym czarem dalekim siedzącego w zadumie w
jednym z najbardziej oddalonych fumoirów, Romana.

Podniósł głowę instynktownie, wsłuchał się w modulowaną artystycznie
pieśń i westchnął po kilkakrotnie...

Korzystając ze zwróconej ogólnie uwagi na mający się rozpocząć krótki
popis koncertowy, Dzierżymirski znużony schronił się byt tutaj.

Myśli dłużej go przytrzymały. Teraz zaś, słyszeli daleki, cichny
stopniowo szmer tłumnego zebrania, a później wyraźne tony pieśni
znakomitej śpiewaczki, ztagodzone oddaleniem, piękne, marzące, drgające
uczuciem i siłą - Roman, w milczeniu słuchał nieporuszony - jakby
zakłóty... I odejść nie chciał mu się wcale...

Poddał się bowiem urokowi słuchanej pieśni, poruszały się, trzęsły
jakby czyjeś dźwięki - lekka, jakieś struny w jego duszy, kwiliły cicho,
grały...

Tymczasem namiotny głos Włoszki rósł, potężniał...

Wreszcie w połączonym rytmie ostatnie, donośne, słowa pieśni zabrzmiały
- polały się lawą - jakby ekstazy, rozkoszy, upojenia, wstrząsnęły
ścianami cichej komnaty, a dobiegły aż tu, pod stopy Dzierżymirskiego, i
zgasły...

Nastała drobna chwilka zupełnego milczenia, poczem, zgłuszony nieco oddaleniem, zabrzmiał okłask przeci-gły, długi, szczery...

Roman przetarł dłoni- czoło i powstał... Trzeba było powracać do obowiązków niestrudzonego gospodarza domu.

A tak dobrze było mu tutaj! Dawno nie pamięta tak cichej, niczem nie zam-conej chwili, bez zgrzytu żadnego, bez rozterki...

Rozterka!.. Była przecież ona jego życiem. Tak. Nie tem zewnętrznem, dla ludzi, dla świata, ale tem prawdziwem, wewnętrznem - dla siebie.

Cieś smutku powlekł piękne rysy Dzierżymirskiego; rozpamiętując coś, zadumał się on znowu.

Nagle brwi zmarszczył, i jakby przypomniawszy coś sobie, sięgnął szybko do kieszeni fraka, skąd wyjął welinową podługę kopertę. Rzuciwszy uważnym okiem na wypisany, drukiem, dokładny adres, odczytywał go poczyt. Był to zaś list do niejakiego pana Wiktora Orłowskiego w Paryżu. O pismo to chodziło Romanowi bardzo od kilku już tygodni, to jest od czasu, gdy się dowiedział, że wzmiankowany powyżej, Wiktor Orłowski, zamieszkał w stolicy świata z oszczędności i musu po stracie -majątkowej, wynikłej, jak mówiono, ze zguby, przed samym terminem licytacji majątkowej, sumy pieniężnej.

Opowiadanie to, postępowane przypadkiem, uderzyło Romana Dzierżymirskiego. Rodziny Orłowskich nie znał, szczegółów dowiedzieć się nie mógł... Wiadomość jednak niepokoiła go; ogarniał go poczucie chęć niezbadana stanowczego zobaczenia się, z owym Wiktorem Orłowskim, oraz wybadania go rzecznego.

I od chwili tej nie znał już pragnień innych...

Wreszcie poznał się umyślnie pewnego dnia z bogaczem, sławnym odludkiem i dziwakiem, Hugonem Orłowskim, jedynym krewnym zamieszkałego, w Paryżu Wiktora, by w jakikolwiek sposób móc dotrzeć przez niego do nieznanego mu człowieka, a trzymającego, może, kto wie, nieznanego własnej zagadki! Dziś dopiero, na kilka godzin przed rautem, udało się zdobyć list od starego samoluba, dla którego napisanie go nawet było ofiar- niew-żliwie wielką, zerwał bowiem zupełnie stosunki ze swym krewnym.

Pismo to było w kwestyi oderwanej całością; treść poddana przez samego Romana, polecała tylko oddawcę w pewnej sprawie względem synowca starego bogacza, posiadającego jednak listów w kieszeni, Dzierżymirski odetchnął. Łatwiej mu już bowiem było, mając sposobność poznania owego Orłowskiego, potr-ć rozmowie z nim o temat pieniężnej zguby, którego, jako obcy zupełnie, prawdopodobnie tk-aby nawet z nim nie mógł.

- Ba!.. jeszcze jeden... - westchnął Dzierżymirski i skierował się śpiesznym krokiem ku rozbrzmiewającym już wrzaw- salonom.

Tam, po uczcie artystycznej ducha, przechodzono właśnie do dużej pustej

jadalnej sali, by z kolei przystąpiło uczty cięta i pokrzepiasię
jadłem, za stawionem poka...nie i suto, na olbrzymim podłunym, przybranym
kwiatami, stole.

Roman stanął w cieniu portyery, u wejścia jednego z ustronnych buduarów,
gdzie w tej chwili nie było nikogo, i objął spojrzeniem swych gości.

W jego ogromnych salonach było już nieco przestronniej; tu i tam
siedziano jeszcze, rozmawiano, lub przechadzano się swobodniej...
Wypukkle występowaty teraz wspaniałe toalety kobiet, mieniły się
tęczowymi kolorami.

Na alabastrowych szyjach, piersiach i ramionach wachlujących się
zalotnie dam, łatwiej można było dojrzeć obecnie wspaniałe klejnoty,
połyskujące, na równi ze spojrzeniami ich oczu...

Na lewo zał, ku sali jadalnej, nacisk natomiast panował. Wiele osób
dyskretnie w ostatnim, trzecim z rzędu, salonie, oczekiwało, rautując
tymczasowo, kolei swej, bo przy stołach biesiadnych pełno już było
gości, posilających się, przeważnie stojąc, wystawnie, urzędowo na zimno
kolacy. Paniom i pannom usługiwali panowie, jedząc, flirtując, mijając
się i bawiąc wesoło.

Obejmując sale wzrokiem, dłużej już chwilę stał tak Dzierżymirski, a na
twarzy jego, w ślad za
pewnym jakby odbłaskiem wewnętrznego pręgnięcia, zawitał teraz
melancholijny cień...

- Przyszli tutaj - myślał - tak, stawili się z różnych obozów, sfer,
przybyli i wielcy, i mali, bawi się obecnie swobodnie, weseli,
splatając zarazem swobodność - dźwięg grzeczności wiatowej, zacięgnięty
u niego - pożyteczne moralnych usług, czynności, zabiegów...

Ha, zapewne! Lecz gdyby tak oto niespodzianie, nagle, dowiedzieli się
tutaj oni wszyscy, co poza jego, Dzierżymirskiego, powłok - się kryje,
gdyby w zawrotną gęb duszy jego zajrzeli!..

O, niewątpliwie! Przeczytawszy ukryt - tam tajemnicę, odwróciłby się ze
wzgard...

Dzierżymirski nieuczciwy? Jak to?.. Prezes, wiceprezes, człowiek czynu,
energii, żelaznej woli, nasz najzdolniejszy, znany i poważany w
szerokich kołach miasta?..

Jaka pełna zgrzytów, piekca ironia roześmiała się na głos w duszy
Romana.

- Ha-ha-ha!.. ha-ha-ha !.. Oszukujesz ich ty!.. Ty, czczony, wielki!
Zasypujesz im oczy białyszczącym piaskiem, kpisz sobie w duchu z nich
wszystkich!..

Roman wstrząsnął się... W przywidzeniu nagłem ujrzał on te klasy, sfery
- tych wszystkich, przechadzających się przed nim, strojnych ludzi,

unikaj-cych jego wzroku, ukłonu, uchylaj-cych się od podania mu ręki, ze
wzgard- zimn-, such- na obliczu...

I Dzierżymirski, wzburzony nagle, podniósł głowę hardo, wstrz-śn-ł bujn-
czupryn-, śniada twarz jego przybrała wyraz energii, oraz niezłomnej
woli, i wyszeptał:

- Nie dam się, nie dam!.. - zacisn-ł instynktownie pięści i dokończył
ciszej jeszcze: - Korz- się oni przede mn-, kornymi zostaną; bo ja tak
chcę i tak bym!..

Dzierżymirski bowiem w tej chwili nie bał się rzeczywiście ciemnej,
nierozwi-zanej jeszcze życia zagadki - ufał w siebie!..

W ukryciu swem, niedostrzeżony przez nikogo, stał długo jeszcze...
Uspakajał się stopniowo, a z równowag- umysłow-, wywalczan- zwykle wol-
żelazn- - codzienny, tajony przed drugimi, smutek, pełny samowiedzy, po
raz setny znowu wstępował do duszy jego.

- Galernikiem jestem!.. - szep-ł Roman z gorzycz-. - Nie tym, z piętnem
ludzkiej sprawiedliwości na czole, potępianym, ale może gorszym jeszcze,
bo moralnym - tym, któremu honory pod nogi rzucaj- hojnie, a on je z
rumiencem wstydu ukryłby rad przed sumieniem, lecz nie może!.. W ciemności
zagadki wpatrzony błędnie, wij-cy się bezustannie w ducha rozterce,
niewolnikiem błędnego koła przeznaczenia własnego jestem, bryzgaj-cym
światu fałszem mego "ja", potrafi-cym go odurzyc- komedy-, gran-
znakomicie, nie mog-cym zał, niestety, zagłuszyli tylko - siebie!..

(przypis - tu ksi-żk- jest spalona, elementy wzięte w nawias kwadratowy
s- dokończeniem wyrazu, b-d... oznaczeniem przerwy w tekście)

I Dzierżymirski przesun-ł dłoń po czole, jakby pragn-c zetrzeć niego
ostatecznie myśli nieposłuszne. Stan-ł po chwili przed lustrem,
rozcesał starannie włosy i brodę, poprawił szczegóły swej] toalety, a
przybrawszy zwykł- codzienn- pozę] oblicza - przest-pił sprężyćcie próg
z[bu]duaru... Rzucił znowu oczyma po salac[h].

Druga, czy trzecia partya gości []raz wieczorem, a tamci, syci,
przechadzali się po nim. Nagle ujrzał w dali sylwetkę w[] szukaj-cej
uparcie wzrokiem kogoś w[zak po] chwili oczy ich spotkały się, Ola
uśmiechnęła się i przyzywała go poczęta skinieniem głowy.
[Równocześnie]nie ktoś szybko uchwycił za rękę Romana.

- Qua diable, excelencyo!.. - zabrzmiał głos Ładyżyńskiego. - Co z tob-
się dzieje? Kolacja rozpoczęta, pani Ola cię szuka, gościu dopytuj- się
o ciebie bezustannie, a ty, jak w wodę wpadł... Bóg się Boga, wielki
człowieku, cóż z ciebie za gospodarz domu!?. - i pan Emil, wzi-wszy pod
rękę Dzierżymirskiego, prowadził go poczęt- przez salony.

Roman zał teraz dopiero zdał sobie sprawy dokładnie, jak widocznie długo
nie było go pomiędzy gośćmi.

- Telefonowano do mnie, interes bardzo ważny!.. Naprawdę załatwił

musiałem korespondency... - skłamał gładko.

- Ach, zawsze z ciebie ten sam interesoman - załmiał się Ładyłyński -
wiesz co ? Ja myślałem, że jeżeli tak długo potrwa, to i w nocy będziesz
przewodniczył sesjom, a niby p. Napoleon godzin parę tylko spoczywał
w objęciach Morfeusza!..

(przypis - druga strona spalenizny)

[Roman] na tę uwagę nic nie odpowiedział, bo [] go. Panowie i panie
przywłaszczali sobie jego nieobecność tak długo gospodarza do [] z nim
w rozmowy, na których dni, [] i tu nawet, zręcznie wyzyskujący
[] interes osobisty.

[Dziękowski] za to, że zwykł sobie pozornie poddawać się
temu wszystkiemu uprzejmie rozmawiając z ożywieniem i niebawem znikł z
oczu, [] fałszywi. W trybie swe, kąciczka i kosa [] ją go znowu
machina życia, ścieraj-c walkę [] i, wrażenia z przed chwili,
barwnym, bawim się "towarzyskim światem", tak, jak wczoraj czyniła to
interesami, sesjami, pracą społeczną, lub czem innym wreszcie...

To właśnie życie czynne było najwęższym moim czasem lekarstwem
Romana - było jego morfiną, której za moralną dawką zapominał chwilowo o
wszystkiem.

Tymczasem czas mknął szybko. Po skończonej już zupełnie kolacyi, przez
czas krótki do kulminacyjnego punktu ożywienia doszedł raut prezesostwa
Dziękowskich... Salony rozbrzmiały zdwojony zabawą i rozmową. Na
wszystkich prawie twarzach widniało szczere zadowolenie, co w wielkiej
mierze zawdzięczano niezmiernym, gościnniej uprzejmości pełnym
zabiegom Romana i Oli.

Eleganckie ich sylwetki, w różni barwnej różni-cej fali zaproszonych osób,
migały szybko, znajdowały, zdawało się, wszędzie, by tylko uprzyjemnić
rozruszając zabawę wszystkich, umiejętnym przedstawianiem, dobieraniem
wzajemnym ką i kąciczek swych gości.

Wreszcie stopniowo, z wolna, w salonach ukazywało się poczucie coraz
więcej swobodnego miejsca...

Wybiła gdzieś godzina wpół do trzeciej. High life miejscowy pierwszy
dał hasło do odwrotu, za jego przykładem, śladem poszły i sfery inne...
Przed domem, oraz na asfalcie obszernego dziedzińca zatętniały liczne
uderzenia kopyt kołskich, zamajaczyły ogniki u latarz dziesiątek powozów
i karet. Rozjeżdżało się tłumnie i coraz szybciej.

U wejścia wyludniających się coraz bardziej salonów, znowu stali teraz
Dziękowski, ścignając wszystkich serdecznie i grzecznie nad wyraz.

- N'est ce pas ? do zahaczenia w Gowartowie?.. - rzuciła na pożegnanie
Ola odchodzącemu już w tej chwili Topolskiemu.

- Najmilszym to dla mnie będzie obowiązkem!.. - zabrzmiała, w ukłonie

wytwornym skwapliwa jego odpowied....

Noc wiosenna, cicha, przez otwarte wszystkich apartamentów okna,
zajrzała w swej gwia...dzistej szacie do salonów Dzierżymirskich.

Ciepłym, rze...kim powiewem zmieszała się ona z pozostał- tu woni- perfum,
potu ciała i oddechów ludzkich, - tchnieniem swem dotknęła głów
siedz-cych w zacisznym buduarze Romana i Oli.

Ola z lubości- wci-gnęła w piersi oddech wiosennej nocy, poczem rzekła:

- Ach, jak przyjemnie... czujesz, Romciu? Co za miły i świeży powiew!..

Dzierżymirski, pal-cy w zamyśleniu papierosa, spojrzął na wdzięczn-
postażony, opięt- zgrabnie w rliczn- dekolowan- sukniCE, i dłużej
zatrzymawszy na niej spojrzenie, milcz-c, z uśmiechem skin-ł potakuj-co
głow-; po chwili zał rzucił papierosa precz od siebie i przysun-wszy
fotel bliżej do kanapki; gdzie siedziała Ola, położył mięk- dłoæ sw- na
jej małej r-czce.

- Wiesz, kochanie - rzekł łagodnie i z wolna - że ja już jutro do Paryża
jechaæmuszCE...

- Już jutro?.. - wykrzyknęła ze zdziwieniem Ola. - Mielimy jechaærazem
do Gowartowa - dodała następnie z żalem - a ty za granicę dopiero
pó..niej...

I oczy Oli pociemniały nieco, na twarzy zał odbił się cieæ widocznego
jakby rozczarowania. Dzierżymirski uśmiechn-ł się na tCE minkCE
niezadowolon-.

- Dba jednak o mnie i kocha... - przemknęło mu przez myśl, poczem
łagodnie, głaszcz-c dtoni- r-czkCE Oli, mówił pieszczotliwie znów dalej,
paliły go już bowiem gor-czk-: list schowany w kieszeni i nadzieja
wpadniCEcia może na tak dawno poszukiwany trop.

- Wierz mi, zwlekaænie mogCE, muszCE jechaænatychmiast... Zreszt-
przyjadCE do Gowartowa pó..niej.

- Ależ wczoraj jeszcze - żachnęła się Ola - mówił mi, że nic tak
dalece pilnego nie powołuje ciCE...

- Ho-ho gniewy!.. - zauważył lekko i żartobliwie Dzierżymirski. - Cóż
to, może moja pani chciaaby mnie mieæak ci-gle àses trouses?.. - I
mówi-c to, powstał, zbliżył się do żony, a uj-wszy jej obie dłonie,
położył je uśmiechnięty sobie na twarzy i wargami muskaæpocz-ł
delikatnie, bawi-c się jednoczeñnie brzECz-cemi na r-czkach Oli
bransoletkami.

- Oj, kotku, koteczku ty mój drogi, kochany! wczoraj... - przedrze...niał
z kolei - wczoraj nic nie wiedziałem jeszcze, a dziś... - tu Roman

spuścił oczy - na rauce wstał nie uchwaliliśmy razem z członkami nowozakładajcej się spółki Przemysłu Fabryczno - Krajowego, że ja, jako delegowany, muszę, jechać zempródeż do Paryża, w celu obejrzenia na miejscu udoskonalonych fabrycznych...

Roman umilkł, puścił delikatnie dłoń i wyjął ruchem szybkim zegarek.

- Oho - po trzeciej... Pó...no, chérie, już kłósić się pora - i kończąc jakby poprzedni rozmowę, dorzucił: - No, i cóż, moje życie, widzisz teraz, i że nie jechać tutaj nie mogłem...

- Zapewne. Ty zawsze nie możesz, gdy nie chcesz! No, ale cóż robić. Jed..... Tylko w takim razie proszę mi dźtugo tam nie siedzieć pisać listy codziennie. Koniecznie... By nie zapomnieć mnie zupełnie - tu Ola z uśmiechem pogroziła mężczyźnie palcem i dodała jeszcze: - bo Paryż - Paryżem, ho, ho, ja znam się na tem!.. Nie oszukasz mnie tak łatwo...

- Ale cóż znowu? - żachnął się Dzierżymirski, ale tym razem zupełnie szczerze. - Cóż za myśli - uśmiechnął się, a potem dorzucił całkiem poważnie: - Wiesz przecie, że prócz ciebie, żadna na świecie kobieta nie obchodzi mnie zgoła!..

Z wdzięcznością spojrzała na Ola.

- Wiem i wierzę - rzekła - a ponieważ i mnie tęskno bez pana mego będzie, więc i ja jutro pojedę...

Zatrzymała się, spojrzawszy filuternie na mężczyznę, ciekawie mimowolny przebiegł po twarzy jego...

- Nie, nie do Paryża!.. - rozemiała się szczerze, jakby myśli Romana zgadując - ale do Gowartowa!..

Uśmiechnął się z kolei Dzierżymirski.

- Dobrze! - wykrzyknął wesoło. - Zatem jutro - marsz! Ponieważ za pół pociąg mój wychodzi pó...niej od twego, wyślę pakunki nasze przez służbę i odwieźcie mnie na kolej powozem. A teraz - cięgnij dalej - spać.. Dobranoc, kochanie, zmęczony jesteś.

Pocałował Oję serdecznie w obie ręce i czoło - małe szczęście znużone rozszło się...

Niebawem w apartamentach prezesostwa Dzierżymirskich pogasły wszystkie światła. Cisza i upienie, prowadząc się za ręce, wstąpiły do rojących się tak niedawno od ludzi salonów, buduarów - rozpostarły się wszędzie i mrokiem sennym otuliły wszystko dokoła.

- Paris!.. Tout le monde descend!.. Paris!..

Okrzyk ten jędrny, donośny, a wyrzeczony najczystszy francuskim akcentem, obił się o słuch pasażerów pociągu, podjeżdżającego pod oszklone arkady paryskiego dworca, i zbudził drzemącego w wagonowym przedziale Dzierżymirskiego.

- Par... - ris !.. - zabrzmiało przecięgle raz jeszcze pod samem oknem wagonu i drzwiczki szybko roztworzono nagle... Roman zerwał się, a pochwywszy podręczny torebkę, wyskoczył śpiesznie na peron.

Biegająca, ruch, zgiełk, ogarnięty go natychmiast, oszołomiły chwilowo całąk; w parę minut dopiero, zorientowawszy się, poszedł Dzierżymirski do rewizyjnej sali, gdzie pobieżny z bagażem swym załatwiwszy formalności kwadrans później znalazł się już w drodze, na bulwarach.

Zapaliwszy cygaro i rozparłszy się wygodnie, z przyjemnością przypatrywał się on teraz od bardzo już dawna nie widzianej nadsekwaskiej stolicy.

W drodze bulwaru Sewastopolskiego, ulic, wymijały go ogromne, zielone tramwaje elektryczne, różnobarwne omnibusy konne, ekipaż, samochody; cały zastęp ruchliwych pojazdów tamował co chwila wir miasta, na sekund kilka wielokrotnie zatrzymawszy się była zmuszona wioząca Romana droga; policyjna w mantylach ciemnych krzykliwie czyniła porządek - poczem ruszano znowu.

A pod wyniosłymi drzewami, po bokach, snuły się śpiesznie przechodniowie; na werandach mnogich kawiarni, zajmujących czasy przechodnika, pełno było również i gwaro od konsumentów - pań obojga oraz różnych stanów.

I jaki przedkierunek, czynnego bezustannie życia, lecącego na ślepo jakby przed siebie, niepomnego byłego, znikłego już "wczoraj", w cięgiej, śpiesznej pogoni tera...niezostaci i jutra - bił od tych uganających się mas ludzkich, zawrotnych cięgnących jakby ku sobie - pochłaniających i wabiących...

W pęca swe wciągając bezwiednie tchnienie tego życia, toczącego się z łoskotem swego perpetuum mobile, Roman dojechał wreszcie do jednego z centralnych hoteli, gdzie rozlokowawszy się niebawem, znużony położył się i zasnął.

Przespawszy w kamiennym śnie zmęczenia dobrych godzin kilka, Dzierżymirski zabrał się energicznie do celu swego tutaj przybycia. Wybiegł na miasto.

Dla oryginalności i pod wpływem przypomnienia używanej za studenckich jeszcze czasów jazdy na "impériał" omnibusów, "pan prezes" usadowił się na dachu jednego z nich i z zadowoleniem, rozglądając się poczętokoło.

U stóp jego, blisko, w granitowym podłożu toczyła sennie swe ciemne, stalowe fale Sekwana. U jej brzegów w oddali, na lewo, wznosiły się ponure nieco kwadraty wieżyc katedry Notre Dame, w prawo zaś majaczyły

Luwr olbrzymi. Dalej znów błyszczą ozdobami most Aleksandra III-go, odcinała się na tle nieba wieża Eiffel - w perspektywie, kopuła pałacu Inwalidów złociła się w promieniach majowego słońca...

A po Sekwanie, kręcąc, uwijały się parowe statki, zatrzymywały się u licznych przystani, obsługując bezustannie mieszkańców stolicy.

Trzęsąc się niemiłosiernie, ścisty, w trzy siwe konie zaprzężony, omnibus zatrzymywał się w końcu na jednym z przystanków, gdy obserwujący cięgle Paryż Dzierżymirski, zdał sobie nagle sprawę, że mieszkanie Orłeckiego może być blisko, i poczęst schodził szybko po krętych schodkach, czujących piętnastocentymową improwizację z trzydziestocentymowym padołem.

Znalazszy się na bruku, Roman przyśpieszył kroku, i wyminął kilka wskich zaułków, znikł w bramie jednego z domów. W chwili później dzwonił na krętych ciemnych schodach starej, jak świat, kamienicy - u drzwi pomieszkania Orłeckiego. Otworzyła mu młoda, fertyczna służąca, w charakterystycznym białym czepeczku na głowie.

- Monsieur Orłocki? - zapytał Dzierżymirski.

- Sorti et ne reviendra qu'à dix heures du soir - postępszała zwięźle - odpowiedź....

Zawiedziony Roman skrzywił się, z niechęcią i zagadnął:

- A jutro o której godzinie zastąpił będzie moją?

- O, jutro zgoła co innego. W Niedzielę pan przyjmuje od drugiej do obiadu - poinformowała przybysza młoda Francuzka.

- A zatem przyjdę jutro o tejże godzinie - odparł Dzierżymirski, i sięgnął po bilet wizytowy, oraz list Hugona Orłeckiego, wręczył jej służącej,

- Proszę oddać panu... Do widzenia!.. - skinął głową uprzejmie.

- Bonjour, monsieur!.. - odwzajemniając się dzieł dobrym, według miejscowego zwyczaju, pożegnała go dziewczyna uśmiechem i zalotnym błyskiem oczu.

Wydostawszy się na ulicę, Dzierżymirski, niezadowolony ze zwłoki, a cały pochłonięty nadzieją - rozważaniem za pomocą Orłeckiego dręczącej go zagadki - szedł naprzód przed siebie odruchowo czas dłużył. Od otoczenia swego daleki jeszcze myślami, nagle zatrzymał się jednak, spojrzawszy uważnie dokoła siebie.

Znajdował się obok filarów wejściowych Panteonu - przed nim zaś w perspektywie już bliskiej zieleniał za kratami ogród Luksemburski.

Pustymi chodnikami skierował się w stronę; wkrótce był już w ogrodzie i zaczął bez celu szerokimi alejami, niebawem zaś znalazł się na obszernym tarasie. Na lewo, w oddali, zamajaczyły wieżycy Obserwatorium,

przed nim wznosiło się muzeum Luksemburskie.

- Wpadł tam i obejrzał, co jest!.. - pomyślał, zadowolony nagle na widok gmachu, a ponieważ wejście do pałacu nie było od ogrodu, lecz od strony bulwaru f-go Michała, Dzierżyński skierował się bocznie alejką parku ku wyjściu, na prawo. Twarz chmurzył, znudzony, okraszył mu uśmiech; przestąpił sprężysto progi muzeum i spojrzał jednocześnie na zegarek - mijała czwarta, podwoje pałacu za nim zamykano o pięć minut.

- Zdaje chyba zobaczyć wszystko!.. - mruknął, kontent już tym razem zupełnie, z przyjemnym zabiciem czasu.

I rzeczywiście.. Pod wpływem bowiem pierwszego rzutu oka na salon sztuki, Dzierżyński zapomniał o wszystkim, co go dręczyło.

Znajdował się w otoczeniu, ustawionych w pierwszej sali, licznych rzeźb nowożytnych...

Więc oto najprzód spojrzenie jego przykuła ustawiona na małym wzniesieniu, w pobliżu wejścia, rzeźba Moreau-Vauthier'a, a była niepostawiona, lecz na wznak, w lubieżnej pozie i upojeniu, bachantki, z gronem winogron w lewej dłoni... Naturalność pozy i ruchu, a szczególnie modelowane doskonale ciało kobiece, tętniące po prostu w zimnym białym marmurze, żarem krwi młodej - zatrzymało dłużej na sobie wzrok Romana.

Rozglądając się, przystając co chwila, poszedł dalej!.. I niebawem znowu zapatrzył się dłużej, tym razem przed przegiętą w tył, w stojącej postawie, i unoszącej się jakby w przestrzeni, postacią nagiej również dziewczyny. Oczy jej były przymkniętymi, twarz owiana mgłą upienia, w rękach trzymane chwiała się kwiecie...

Było to "Złudzenie" F. Charpentier'a, oddające subtelnie pochwyconieuchwytność iluzji, jak sen, jak marzenie, nieujętej - rozpływającej się jakby w przestrzeniach...

Nieprównanym bowiem oddaniem czaru upiornych pięknych rysów kobiecych, zdawało się, że znajdujący się tutaj przedstawiciele rzeźby turniej urządzili sobie.

Wśród wielu innych w tymże rodzaju posągów, wyróżniała się jeszcze rzeźba, nader piękna, zatytułowana: "Wspomnienie". Twórcą jej był Merciø Autouin.

Przedstawiała ona młodą dziewczynę, o rysach drobnych, z głową przechyloną w tył nieco, z obliczem, tonującym jakby w gębokim, cichym śmiechu. Na kolanach jej, na ziemi - wszędzie, widniały rozsypane kwiaty; dwa gołębki, niosące w dzióbkach również kwiecie, leciały ku niej, rozmarzonej cicho, we wspomnieniu dalekim...

Poświadczyłszy względnie do czasu na rzeźby, Dzierżyński przeszedł spiesznie do salonów, zawieszonych obrazami, dochodziła już bowiem godzina zamknięcia. Szybko, jak mógł najuważniej, poczynił oglądanie obrazów

wszystkie; w ten sposób dobiegł do sali ostatniej. Później, wolniej
nieco, powracał.

I teraz w jednym salonie uwagę jego zwrócił nader oryginalnie, bo, jakby
całkiem po niewieku traktowany, a mimo to nadziemskości – tchnący, obraz:
"Najświętsza Maryja Pocieszycielka..." Z ram patrzyła na widza,
natchnionego oblicza, o dużych oczach czarnych, siedząca postać
Niebios
Królowej... Na kolanach Jej, rzucona na klęczkach, oparła się kobieta, z
twarzą ukrytą, z rękoma zamkniętymi, w bezbrzydnym białym, szukając na
łonie świętej Maryji pocieszenia! U stóp tych dwóch postaci kobiecych –
poniżej, leżało wzdłużnie ułożone dzieciętko, śnieżne, osypane całe,
obrzuczone puchem białych róż, śnieżnych, w rozkwicie...

Dzierżyński, zachwycony wdziękiem i poezją, bijącymi z obrazu tego,
podeszła "Bouguereau"; po chwili znów pospieszył dalej.

Naraz zatrzymał się ponownie. Ujrzał bowiem naprzeciwko siebie obraz
dość ciekawy, przez Detaille Edwarda. Nosił miano "Le Père (Sen)".

Na olbrzymim otoku, otuleni płaszczami, z czapkami nasuniętymi na
czołochy, pokotem, jeden obok drugiego, leżący setki odpoczywających,
pogrążonych we śnie żołnierzy... Poranek cichy; niebo hen! daleko
zarządza się leniwie jutrenki, – wśród śpiących ludzi błądzą – w
szarem światle rzędem poustawiane, ułożone w koczny brygady, a gdzieś z
boku, blisko, dogasa już ognisko...

Lecz czy to za cienie mający – tam, w górach, nad nimi?

To gór, w obłokach, płynnie mgłą – przesłonięty jakiś hufiec inny,
zwycięzki – mar i duchów, nie ludzi!.. Grzmi tam muzyka, bębni,
strzelają, proporce się chwieją, chorągwie szumi... tamci, tam,
zwycięzcy – niezawodnie!..

I ponad głowy ułożonych żołnierzy, których potwórną wojny może już jutro
pochłoną, przesuwają się, jak marzenie, ułudne widzenie ostatnie: oni
śpiący, widzą siebie, jak zwycięzcy, pełni chwały!..

To sen...

Pięta wybiła głośnie w salonach sztuki, i Dzierżyński opuścił
muzeum. Niebawem znalazł się na bulwarach Paryża i równocześnie
instynktownie poczuł głód.

Włoch z matki i duszą – artysta, myśli – wspominał on jeszcze widziane
przed chwilą dzieła sztuki i pogodnym spojrzeniem ogarniał biegnące
wokoło siebie tłumy, przepełnione kawiarnie i huczące pojazdy.

- La Presse!.. La Patrie... La Presse!.. - krzyczano mu nad uchem na
wszystkie strony; w restauracjach, na platformach, spożywano już
posiłek, popijano wino, absynt i inne wyskokowe napoje – cały Paryż
obiadował.

Na świeżym powietrzu, przy jednym z takich stolików, zachęcony

przykładem, zasiadł i Roman, a kazawszy podać obiad, zapalił swobodnie cygaro.

Niebawem przyniesiono pierwszą potrawę. Wkrótce przelewającego się kaskadą paryskiego życia i huku ruchliwej stolicy, Dzierżymirski spokojnie zaczął spożywać uprzednio, słuchając ciekawie, z uśmiechem, głośniejszych rozmów swych przeróżnych gości i charakterystycznych czystokrwistych bulwarowych dowcipów.

Punktualny, pomiędzy drugą, a trzecią po południu, wchodził nazajutrz Roman do mieszkania Orłowskiego. Służąca wprowadziła go natychmiast do saloniku, zaledwie jednak wszedł tam, roztworzyły się już zamasywane boczne drzwi komnatki i w ramie ich ukazała się młodziutka blondynka, wysoka i dojrzała, o siwiej-cym, z polską podkręconym, włosie.

- Jakże mi miło... Jak miło mieć w swoich progach tak dostojnego gościa... rodaka!.. - zaczął od proga, z polską szczerością i uprzejmością - w głosie, roztworzył przytem machinalnie ramiona, jakby chciał do piersi przycisnąć ramieniem przybyłego, po chwili opamiatał się jednak i wyciągnął uprzejmie prawicę; czysto już tylko salonowym gestem, przedstawił się: Orłowski... Wiktor... - siostrzeniec Hugona.

- Nie uwierzy pan - ciągnął natychmiast bardzo grzecznie - jak rzetelnie prawdziwie radzę uczynić mi list stryja i zapowied... tej pańskiej wizyty... Proszę, niech pan prezes siada!... Proszę bardzo...

I Orłowski wskazał, z grzecznością, fotele, widząc za zdziwienie na twarzy Romana, na dźwięk tytułu "prezesa", uśmiechnął się, odgadłszy myśli gościa.

- Dziwnem się panu prezesowi, jak widzę, wydaje - przemówił, - że tytułuje go... Cóż to, przypuszcza pan może, - ciągnął dalej, ze swadą, - że my tu na obczy...nie nic nie wiemy, kto w kraju u nas przoduje? Przeciwnie, przeciwnie! - śledzimy gorątkowo i z uwagą ruch naszych ziomeków, współbraci!.. A jakże... a jakże!.. Ja sam osobiście trzymam wiele gazet polskich, wiem o wszystkim, a z nazwiskiem pańskim - tu skłonił się grzecznie w stronę Romana - spotykałem się w nich tylokrotnie, ceniąc zawsze ruchliwość pana prezesa i oddaniu się jego społeczeństwu naszemu...

Umilkł, a po chwili

- Ale!.. przepraszam bardzo!.. Pan prezes wszak pali zapewne?.. służę natychmiast - i zerwał się miejsca, przynosząc wkrótce Dzierżymirskiemu pudełko papierosów.

Roman sięgnął po jednego z nich i błąknął niewyraźnie:

- Dziękuję bardzo!..

Obserwując wciąż ciekawie, spod oka swego gospodarza, chciał przytem już

przemówiæ lecz peñny bezustannej uprzejmoñci OrłŒcki przerwañ mu zanim usta otworzyæ doñatñ:

- A mo¿e cygarko?.. Przepraszam stokrotnie... Za chwile! - i nie czekaj-c odpowiedzi, znikñ za drzwiami przylegñego pokoju, Dzier¿ymirski zañ uñmiechn-ñ siŒe.

Pocziwy czñowiek jakiñ - pomyñlañ - i choæzdaje siŒe, blagier nieco, lecz szczery i z gatunku nieszkodliwych. Dowiem siŒe prawdopodobnie, czego chciañem...

Ledwie Roman okreñlenie to w umyñle sformuñowaæ doñatñ, gospodarz domu stañ ju¿ przed nim, podaj-c szerokie puzderko cygar.

- Doskonañe - pochwaliñ - prawdziwe pruskie... O, bynajmniej nie tutejsze, które s- po prostu ohydne - zaopiniowañ.

- DziŒekujŒe bardzo. Pan tak ñaskaw... - poczuñ siŒe w obowi-zku odrzec Dzier¿ymirski, powstawszy zarazem z miejsca swego.

- O, panie prezesie! - pospieszyñ, z odpowiedzi-, OrłŒcki, - Siadaæ proszŒe en bons amis... Ot -tutaj... - wskazañ na kanapke - wygodniej bŒdzie! - i zapaliwszy równoczeñnie zapañke, zbli¿yñ pñomieæ do koniuszczka cygara Dzier¿ymirskiego.

- Merci!.. - skñoniñ siŒe ten¿e raz jeszcze, i wypuñciwszy kñeczeko dymu, odezwañ siŒe wreszcie, skorzystawszy z sekundy milczenia goñcinnego gospodarza.

- Czytañ pan list stryja, pana Hugona, wszak prawda?.. Wiadomy panu wiŒec zatem cel mego tu przybycia... Nie zn-j-c nikogo w Pary¿u, zdecydowañem siŒe prosiæ stryja paæskiego, o tarte d'entree do pana...

- Och, i bez tego, panie prezesie - przerwañ OrłŒcki - ka¿dego rodaka witamy tu z cañego serca! Tembardziej zañ pana prezesa, tak w kraju zasñu¿onego...

- Ach, tak, nie w-tpiŒe - z wolna potwierdziñ Roman - lecz i mnie chodziñ równie¿ - tu uñmiechn-ñ siŒe z lekka - o specyjaln- protekcyŒe do kogoñ, by potrafiñ uñatwiæ wiadom- nam sprawŒe przemysñow-...

- A tak, tak! - przerwañ znów OrłŒcki, niezadowolony jakby, ¿e poruszano tŒe kwestyŒe. Pan prezes radby obejrzeæ drobiazgowo i gruntownie urz-dzenia fabryk tutejszych, przy mojej pomocy... Owszem, postaram siŒe, panie prezesie, choæ przedziæmuszŒe, ¿e ja... - zatrzymañ siŒe - nie mam tak rozlegñych stosunków ze sfer- handlowców... to jest, chciañem powiedzieæ. ze sfer- fabrykantów... przemysñowców... Pary¿a... panie dobrodzieju... Jednak¿e... - tu zaj-kn-ñ siŒe, zapl-tañ w swem przemówienia OrłŒcki i zamilkñ, widocznie zmieszany.

Uñmiech niedostrzegalny okoliñ w-skie usta Romana.

- To nic nie szkodzi - odparñ. Mam niepñonn- nadzieje, i¿ razem z panem

damy sobie z tem wszystkim radę... Zresztą, to chyba drobnostka. Chodzi za ledwie o jakieś dziesięć fabryk tylko...

Roman zatrzymał się i zapytał jeszcze, chcąc konsekwentnie doprowadzić do końca zmyślony swój interes i misję:

- Wszak fabryki owe wymienione są w liście pana Hugona...

- Tak jest, tak jest... w istocie... - potwierdził Orłowski i zająknął się znowu.

- To dobrze, mógłby mi może szanowny pan powiedzieć czy właściciele ich znani są jemu?... Gdzie to zakłady fabryczne znajdują, w jaki sposób, oraz kiedy obejrzą je można by było?..

- Nic doprawdy nie mogę jeszcze panu prezesowi w tym względzie powiedzieć odrzekł Orłowski i dodał natychmiast:

- Co się tyczy, czy znam właścicieli, to... prawdopodobnie... Zresztą zna się tutaj osób tyle... - zatrzymał się. - Tylko, vous savez, panie prezesie... otrzymałem list dopiero wczoraj - urwał, i dokończył po chwili - więc, vous comprenez, czasu nie miałem...

- Ależ naturalnie!.. - pospieszył z uspokajaniem Orłowskiego Dzierżyński. - Ja tylko dlatego się pytam, iż to jest celem mego tutaj przybycia, i że to mnie nader interesuje, jako delegata nowa zakładającej się u nas w kraju spółki Handlowo-Przemysłowo-Fabrycznej...

- A tak, słyszałem,.. Czytałem nawet o tem gdzieś w gazetach - odparł, z przekonaniem Orłowski.

- Kłamię, jak z nut - pomyślał Dzierżyński, i uśmiech dyskretny ponownie przemknął po ustach jego. Zaciągnął się jednocześnie cygarem i wpatrzył badawczo w Orłowskiego. - Bonne pâte d'homme... - myślał zarazem - ale jak tu zacząć o tych zgubionych pieniądzech?

Tymczasem, nie lubiły milczeć Orłowski, widocznie również pragnący zwrócić rozmowę, już mówił:

- Pan prezes zapewne nie po raz pierwszy i na dłużej przybył do Paryża, nieprawdaż?..

- Och, tak... - odruchowo potwierdził Roman, nie myśląc o tem, co mówi.

- No, to mam nadzieję - opowiadał uprzejmy gospodarz dalej - że będzie jeszcze miał okazji przedstawić panu prezesowi moją żonę i córkę... Dziś pojechały do Versailles. Panu prezesowi wiadomo zapewne, iż w pierwszą niedzielę każdego miesiąca puszczają wodę ze wszystkich fontann w Wersalskim parku... Widok zaiste bywa wówczas wspaniały. C'est charmant!.. - zatrzymał się chwilę i sięgnął po zegarek do kieszeni. - O! trzecia już dochodzi... Niebawem wróci...

Dzierżymirski tymczasem, słuchaj-c, nie słuchał, pogrążony wci-ż w myśłach. Naraz twarz śniada jego ożywiła si-CE, przeleciał po niej promie-æ... Strzepuj-c delikatnie popiół z cygara, przemówił z wolna:

- Prosz-CE pana... - zatrzymał si-CE. - Za niedyskrecy-CE popełnian- może, najmocniej przepraszam... Czy-żby pan nie był rad powróci-æ do kraju..

I Dzierżymirski badawczo spojrz-ł w twarz Ori-CEckiemu, czekaj-c odpowiedzi, jednocześnie myśł-ł.

- Ka-żdy Polak na obczyźnie t-CEskni za krajem, pewnik; dlaczegobym ja nie mia-ł u-ży-æ tego sposobu do osi-gni-CEcia mego prywatnego celu? No, zobaczymy...

Ori-CEcki za-ł ju-ż mówił:

- Czy ja nie pragn-łbym powróci-æ do kraju? Ale-ż, panie prezesie, to moje najgor-CEtsze życzenie! pragnienie żony mojej, córki - codzienne marzenie nas wszystkich! - doko-æczył, z zapa-tem.

- No, dobrze, mam ci-CE!.. - przeleciało przez umysł Romana.

- Czy wolno zapyta-æ jeszcze - przemówił - o rzecz jedn-ą, a mianowicie... Czy życzenie to pa-æstw - marzenie - poprawi-ł, z uśmiechem - ma ju-ż dot-łd jakie pewne i konkretne podstawy?..

Ori-CEcki na te słowa spuścił wzrok ku ziemi.

- O, bynajmniej - odparł... - Tam, w kraju, stosunki zerwa-tem wszystkie prawie... tu za-ł zawi-za-tem niektóre, potrzebne mi. Mam poza tem sta-łe zaj-CEcie, przynosz-æ mi doch-ł pewny...

- Tak, tak, zapewne, rozumiem - przerwał szybko Dzierżymirski - wchodz-CE w po-łoz-enie i przepraszam bardzo za me pytania... - doko-æczył grzecznie, a widz-c równocześn-ie na twarzy gospodarza zakłopotanie widoczne...

- Nie ma za co jecha-æ nieborak - to jasne, i żaby z czego nie mia-ł -w-łród swoich - pomyśł-ł i w tej-ż chwili zapytał:

- Lecz gdyby tak trafiła si-CE na przykład szanownemu panu okazya dobra do obj-CEcia w kraju zyskowej posady? Przypuszczam, że w takim razie przeszkody do wyjazdu nie byłoby żadnej?..

- No, zapewne... Lecz o tem i myśł-æ niepodobna, nie posiadam bowiem ju-ż żadnych w kraju stosunk-ów - powtórzył Ori-CEcki, ze smutkiem.

- A pan Hugo, krewny pa-æski?.. - zagadn-ł Roman.

- Och... ten... - przeci-gle odparł gospodarz, z niech-CEci- wyra...n-ą, i z wybuchem szczerości nagł-iej, rzekł z gorycz-ą:

- Stryj Hugo od czasu, jakem emigrowa-ł i wieśł-ami si-CE w życiu przesta-ło, zna-ænnie ju-ż nie chce, ani wiedzie-æ o mnie... Dziwi-CE si-CE nawet

niewymownie, i ż raczył napisaa pod moim adresem, w interesie prezesa, sów kilka...

Na twarzy Orłeckiego, przy tych słowach, osiadł cieæ, po chwili dorzucił:

- Zwykła kolej ludzka... nic dziwnego. świat pamięta o tych tylko, którym się powodzi.

Dzierżymirski wpatrzył się uważnie w Orłeckiego; ostatnie słowa, wypowiedziane przez niego, odkryły mu utajoną stronę życia siedzącego przed nim człowieka - nieszczęście, gorycz skrytą, a powodów jej trudno domyślić się Roman. Pomimo woli, żał mu się Orłeckiego zrobiło.

- To szkoda jednak - przemówił z wolna - że panowie mieszkają tak od siebie z daleka... Pan Hugo, choć dłudek i egoista, poza tym jednak człowiek nieposzlakowanej opinii i nadzwyczaj przy tym wpływowy i bogaty.

OrłECKi na te słowa uczynił niewyraźny ruch ręką; - nastąpiła chwila milczenia.

- Wypada mi raz jeszcze przeprosić stokrotnie pana - odezwał się znów pierwszy Dzierżymirski - że ośmielałem się wkraczać w stosunki jego, tak osobiste, lecz po pierwsze wyjątkowe położenie nasze tu, na obczyźnie, jako rodaków, skłania mnie do tego; po drugie zaś, że w tym względzie może mogę stać panu użytecznym...

OrłECKi, zdziwiony, spojrzął na Romana.

- Tak jest - rzekł Dzierżymirski, z uśmiechem - cóżby szanowny pan bowiem powiedział na to, gdybym... -- tu zatrzymał się sekundę - uścisnął mu... - Dzierżymirski przy tym zaakcentował wyraźnie ostatnie wyrazy - powrót do kraju... Stosunkami zaś dał mu jak- posadę korzystną?..

- Ależ, panie prezesie! - wykrzyknął OrłECKi, i zerwawszy się z fotelu, uchwycił dłoń gościa swego, ścisnął ją serdecznie.. - Wdzięczność moja i sercu memu bliskich nie miałyby granic!.. Lecz doprawdy, nie pojmuję... nie rozumiem!.. - urwał wzruszony... - Skąd taka żaska pana prezesa dla mnie?... Wszak poznaliśmy się tak niedawno! - dokończył i zamilkł, nie wiedząc śmiało powiedzieć jak się obrócić znaleźć sytuacyi, tak dla niespodzianej...

Roman tymczasem powstał również z miejsca, i oddawszy serdecznie uścisk OrłECKiemu, po przyjacielsku ujął go za ramię.

Przeszli po pokoju tak razem kroków kilka, poczem Dzierżymirski, wciągając idąc pod rękę z OrłECKim, rzekł całkiem swobodnie:

- Przyznaję, poczułem do szanownego pana szczerą sympatię, rozumiem przy tem w zupełności położenie jego tutejsze, i gotów jestem uczynić dla niego wiele...

- Dziękuję, po tysiąc razy dziękuję! - uśmiechnął Orłowski serdecznie trzymane ramiona Romana, z równowagi cały wyprowadzony.

Dziękuję, mówię tymczasem dalej, pomny celu swego:

- Lecz daruje pan rzecz jedną... Nim przystąpimy mianowicie do obchodzenia pana sprawy, wiedzieć muszę dokładnie - Roman zatrzymał się - zupełnie szczegółowo - poprawił - przebieg dotychczasowego jego życia. Nic w tym dziwnego z mej strony, wszak prawda?.. Znam przyjemność szanownego i kochanego pana od tak bardzo niedawna! - dokończył, z przyjaznym uśmiechem, i jak najnaturalniej na pozór.

- Ależ, rzecz prosta! Tajemnicy w tym zresztą nie ma żadnej! - odparł Orłowski szybko, przekonany zupełnie. - Opowiem prezesowi wszystko natychmiast! - ciągnął dalej rozradowany.

- No, to siadajmy!.. - rzekł wesoło Dziękuję.

Usiedli jeden naprzeciw drugiego. Roman wpatrzył się badawczo w twarz Orłowskiego, a w oczekiwaniu zwierzenia, którego w duszy tak bardzo pragnął, twarz mu pobladła mimo woli, aksamitne zaś spojrzenie ciemnych oczu stało się bardziej jeszcze przenikliwym i rozumnym.

- Słucham pana - rzekł poważnie.

Uśmiechnięty, radosny, poprawił się Orłowski na krześle, i sięgnął po cygara, zapalił jedno, w roztrągnięciu czestując nimi Romana.

- Dziękuję, pałeczek jeszcze - uśmiechnął się niedostrzegalnie Roman, i spojrzawszy z pod oka na gospodarza. - Râi à point! - zdecydował w myśli sarkastycznie.

- A, przepraszam! - odrzekł Orłowski i mówił dalej:

- Otóż, co do mego, technicznie tak zwanego curriculum vitae, postaram się opowiedzieć prezesowi w kilku słowach. Rzecz ta przedstawia się zatem jak następuje:

- Urodzony lat temu, czterdzieści i siedem, dobiegam już bowiem pięćdziesiątki - uśmiechnął się - z ojca Ryszarda i matki Józefy z Lancjarskich de domo, przepróżnowałem, kształć się w domu, do lat piętnastu... Potem oddano mnie do Jezuitów, następnie kończyłem uniwersytet w Bonn, nad Renem, i wróciwszy do kraju, objąłem klucz majątkowy, dziedziczny Orlin...

- Bywając w, świecie przez lat kilka, starałem się o pierwsze w kraju partye, żyłem nieco szeroko, straciłem majątek... Następnie spotkałem dzisiaj - żonę moją, z domu hrabiankę Bożkowską... Przez - uśmiechnął się Orłowski, - bo s- i Borzkowscy przez rz, bez tytułu i nie pochodzący wcale z karmazynów - zwyczajne szaraki - objaśnił.

Dziękuję w tym miejscu uśmiechnął się pobłażliwie - sarkastycznie, lecz słuchał w milczeniu dalej.

- Pobraliśmy siłę, - cięgnę tymczasem Orłowski - i osiadłem na roli, już nie jako pan, ale jako skromny obywatel na kilkudziesięciu włókach ziemi, i naturalnie, z czasem zerwałem przy tym zupełnie dawne światowe stosunki... Gospodarowałem sobie tak cicho lat kilkanaście, stałem się domatorem - przekształcałem stopniowo, o ile mogłem, w czcigodnego pana - siada... Wreszcie, niestety, jak piorun z nieba, spadło na mnie zdarzenie pewne... Nie wspomóżony przez nikogo, sprzedać musiałem dobra, i przybyłem tu - za chlebem!..

Orłowski umilkł na chwilę, poczem, dodał nieco smutnie :

- Jak najpiękniejsza od słońca płowieje materya, tak i najbarwniejsze życie blaknie od nieprzychylnych ciosów życia. Szarzyń - ono dla mnie dzisiaj - trudno! - westchnę, i zamilkł znowu.

W nadziei, iż dowie się jeszcze oczekiwanego przeze "clou" historii tej całej, milczenia tego nie przerywał Dzierżyński. Po dłuższej jednak chwili, widząc, że Orłowski, pochłonięty myślowo, zapominał o sobie nawet o jego obecności, zagadną uprzejmie:

- I jeśli wiedzieć wolno, cóż dalej?

Jakby ze snu jakiego dalekiego zbudzony, Orłowski podniósł powoli posmutniałe oczy na Romana.

- Nic! - odrzekł bezbarwnie, głosem twardym.

- Być może? - zadziwił się Roman, jak mógł najszczerzej. - I pomyśleć cięgnę swobodnie - że ja tam w kraju tyle przeróżnych rzeczy o panu słyszałem...

Urażony jakby tem, co usłyszał, Orłowski zapytał z kolei sucho:

- No, i cóż takiego, ciekawym, wymyśliła na mnie luba opinia, czy wiedzieć mogł?

Roman niecierpliwie poruszył się na krześle.

- Cóż u licha! - pomyślał - czyni dotąd tyle, i prawda wciąż wymyka mi się sprzed nosa...

Po chwili zaś, jak gdyby nagle na coś zupełnie już stanowczo zdecydowany, odpowiedział z wolna, przetarłszy przytem rękę - czoło:

- Och!.. potem o tem... Teraz znowu powróćmusz do jędra zajmującej nas kwestyi. Pragnę dać panu posadę... Czy wolno zapytać jakie są jego mocne - zaakcentował - kwalifikacje fachowe?..

- Fachowych umiejętności żadnych - przerwał niezadowolonym trochę głosem Orłowski. - Posiadam jednak języki: angielski, francuski, rosyjski i niemiecki, oraz zdobyte prace i praktyki - obecne - rachunkowość buchaltery - w banku, gdzie urzęduję i skąd w razie potrzeby otrzymuję

mogę odpowiedzieć.

- A! - zaskoczył się mimo woli Roman - to dobrze... to bardzo dobrze...

Wzrok jego przy tym, z zadowoleniem objął dżuższ - chwilę cała postać Orłowskiego, mówił do siebie mimo woli wyrażając: - Patrzcie?... nie spodziewałem się!..

- Zatem - odezwał się niebawem - objawno i szanowny pan inny, lepszy nawet posadził od tej, którą przeznaczałem w myśli dla niego.

- Cóż to za miejsce? - zagadnął Orłowski.

- Une place de confiance... - wycedził z wolna Dzierżymirski. - Przy tym równocześnie jedno z wyższych przy korespondencji i buchalterii w Banku Komercyjno-Przemysłowym, otworzył się mającym za miesiąc kilka... Do komitetu należało, odmówić nic nie mogło... Skoro zaś pan w tej sprawie nie dziedzinie już posiada praktykę pewną, tem śmiało więc wybór mógł zatwierdzić...

Roman skończył i spojrzał znów spod oka na obywatela - emigranta.

Zdziwienie radosne biło z twarzy Orłowskiego.

- No, teraz chyba wyśpiewasz mi wszystko - pomyślał Roman, w duchu.

- Pensja znaczna - ciągnął dalej ciekawym obojętnie, - ile, nie wiem jeszcze na pewno... W każdym razie tysiące kilka .. - urwał niedbale.

- Ależ to miejsce idealne! - wykrzyknął żywo Orłowski. - Dziękuję po raz wtóry! - uśmiechnął się do Romana.

Dzierżymirski uczynił wysiłek nad sobą, by nie zdradzić się przypadkowo nerwowym głosem brzmieniem i przemówił:

- Tylko zachodzi tu jeszcze kwestya jedna... A mianowicie - zawahał się...

- Bo to, widzi szanowny i kochany pan, ci panowie, tam, w Zarządzie, są bardzo trudni... Czepiają się do czego...

I znów Roman mówił przestał, poczem zaś, porwany nagle, że będzie zmuszony i tak prosto do celu i palcami dotykał kwestyi, którą rzecznie obejmował zamierzał, wyrzucił z siebie twardo:

- Mówiono mi tam, o jakichś pieniędzach, zgubionych przez pana, nieodnalezionych, czy coś tam podobnego... Pojmuje pan zatem, że ja, protegując - zatrzymał się Roman sekundę, i uprzejmie nieco dorzucił, z wymuszonym uśmiechem. - Powiedzieć muszę wszystko, wszak pan to rozumie chyba?... Nic zaś o tem dotąd szanowny pan mi nie mówił...

- Ależ nie powiedziałem? - obruszył się urażony widocznie Orłowski. - Bo uważałem to, jak i uważam dotąd, za sprawę czysto osobistą...

- Masz sobie! - omal że nie wykrzyknął Dzierżymirski, że złołci-, lecz opamiętał się w porę, i zapytał w ślad za tem spokojnie, wpadłszy zarazem na pomysł przebiegły.

- No tak, zapewne... Czyjeż to jednak pieniądze były?..

- Aaa! - wyrwał się z ust Orłeckiego natychmiast, i powstawszy gwałtownie z krzesła, wykrzyknął:

- To prezesowi tak powiedziano!.. Rozumiem teraz i przepraszam... Łotry dopiero, infamisy!.. - wyrzucił z siebie z oburzeniem.

Dzierżymirski śpiesznie położył swą kobiecą miękkość na łydce szlachcica i pomimo woli rzucił niecierpliwie:

- Ja również bardzo przepraszam! - zawahał się - i słucham... - dokończył.

OrłECKi usiadł, wzburzony jeszcze odsapnął i przemówił:

Powiesz mi pó...niej, prezesie kochany, kto mnie tak oszkalował. Pierwsza rzecz, gdy do kraju powrócę, wyzwę go na pojedynek, jak mi Bóg miły, a teraz słuchaj:

- Było to tak: Posiadałem majątek na Litwie, gdzie, jak wiadomo, hipoteki nie ma, ni Towarzystwa Kredytowego... S- tam tylko tak zwane "Banki Ziemskie", które w razie nieuiszczenia się z wypłaty na termin, egzekwują bardzo szybko... Otóż w jednym z banków owych miałem grubo pożyczkę... Minął termin jeden, drugi, trzeci, płaciłem mało, zebrały się zaległości, wystawiono mi dobra na sprzedaż... Zapłacić musiałem zaległości - razem dwanaście tysięcy... Nie miałem ich, pożyczylem więc sumę - daną u paru osób i w drodze, gdym jechał płacić miejsce, w ostatniej niemal chwili pieniądze te zgubiłem... Majątek mi naturalnie sprzedano...

- To bolesna prawda!.. Chyba pan prezes przysięgi - dał mi nie będzcie, a zresztą?.. Gotowym! - i OrłECKi powstał uroczyście...

- Ale, cóż znowu?.. - rozległ się w milczeniu suchy głos Dzierżymirskiego, a słowa te, wymówione zimno, zabrzmiały niemiłym dla ucha d...wkiem:

Od chwili bowiem, gdy z ust OrłECKiego padła cyfra "dwanaście tysięcy", Roman zmienił się całkiem. Gięstem, pełnym zniechęcenia, wypuścił z r- k trzymane cygaro, twarz zaś, przybrawszy wyraz obojętny, chłodny, poorał się w drobne zmarszczki. Więc ponownie oto rozprysła mu się w palcach mydlana bańka!.. flycie, z przerażająco- logik- dawało mu do zrozumienia, że kpiąc usiłowało jego nie przestaje... I drwina ta nowa, szydercza, zraniła go boleśnie, jednocześnie zaś gniew niewytłumaczony, instynktowny, zawrzał w Dzierżymirskim.

Cóż go, zaiste obchodził OrłECKi, historie i przysięgi jego?

- Osioł!.. Myśli może - rzucił w duchu gniewnie - że obecnie, kiedy nie dwadzieścia siedm, a dwanaście tylko zgubił tysiące, zajmowałeś nim błąd!.. Ba, nie gupim! - i uśmiech zły, sarkastyczny wykrzywił wskie usta Romana.

Powstał sztywno, mając za już z wieloletniej swej praktyki na ustach gotowy do pozbycia się ludzi zdawkowy komunał, wyciągnął rękę na pożegnanie...

Lecz oto niespodzianie fakt na pozór drobny pomieszał mu całkiem szyki - zadzwoniono. Gadatliwy Oriński, rozpoczynając wstanie, mała już obchodził teraz Romana, dalszy ciąg swych życia kolei, przeprosił, wybiegł do przedpokoju, w ślad za nim rozległy się dwa głosy kobiece, szelest okrycia sukien damskich. Rozbierano się, potem szeptały, a to, po chwili zażółtła dwa wykrzykniki zdziwienia i radości obity się o ścianę Dzierżymirskiego.

Słyszysz je, skrzywił się Roman nieznacznie, chrząknął i znudzony zbliżył się powoli ku oknu salonika. Nie trudno było domyśleć się, że tam, w przedpokoju, ten "pocziwy" Oriński wygadał już rodzinie swej niemal wszystko.

- Wpadłem! - pomyślał Roman, i zdenerwowany, stuknął palcami w powietrze.

Drzwi za nim poza nim roztwierały się już spiesźnie. Odwrócił się.

Naprzeciwko niego szły dwie kobiety, zarówno one, uśmiechnięte. Jedna z nich, starsza, brunetka, piękna jeszcze, dobrze zakonserwowana, - druga, dziewczę młodziutkie, szesnastoletnie zaledwie może, hoła i niewie...

- Prezes Roman Dzierżymirski, nasz obecny zbawca, opiekun, a jak ci mówiłem przed chwilą, najszlachetniejszy z ludzi, których dotąd w życiu poznałem! - przedstawił szumnie Oriński gościa żonie, głosem ciepłym, jakby wzruszonym jeszcze od doznanych z przed chwilą wrażeń.

Skłonił się Dzierżymirski, a na d...wiśnięcie ostatniego zdania lekki rumieniec pokrył mu lica. Wstydził się za swe myśli - za siebie...

Tymczasem ruchem wspólnym, uprzejmie wyciągnięty się ku niemu dwie małe kobiece rączki.

- Bardzo mi miło poznać pana, bardzo miło! - mówiła, ścisłając dłoń jego, pani Orińska. - Tembardziej, że jak mi wstanie mój powiada, pan prezes staje się aniołem opiekującym naszymi losami, przyszłości - zwiastunem, i zobaczymy kraj nasz, za którym ciągle tak bardzo tęsknimy! - kończyła wzruszona.

- Moja córka, Mita - przedstawiła z kolei Romanowi młodziutką pannę.

Dzierżymirski trzymał, ścisłając wstanie w dłoniach drobny jej rączki, a chociaż powiedział mu dziewczę nic złego, z naciskiem jednak

przyjaznego, ciepłego, ze spojrzenia jasnych, niebieskich oczu, w których czytały się w owej chwili wdzięczność bez granic, radość i nadzieja - poczuł Roman, iż okrucieństwem niemiłosiernym byłoby teraz z jego strony cofnięcie obietnicy.

I jednocześnie reakcja nagła wstąpiła w nim. Jakiś przypływ jakby dobroci zalał mu duszę, serce; zarazem zaś pomyślał:

- Nazwano mnie "najszlachetniejszym", ha-ha-ha!.. Ironii może w tym wiele, ale... jednak... dlaczego bym i ja czasami nie miał być szlachetnym? A poza tem, cóż de facto winien ten oto Orłowski, że nie jest tym właśnie, którego tak szukam bezowocnie?.. Jestem wpływowym, silnym, dlaczego więc nie dopomógłbym człowiekowi, pokrzywdzonemu b-d... co b-d... przez nieznanego pieniądze jego znalazcę, tak, jak pokrzywdzonym jest może przeze mnie również i ten osobnik nieznaną - "mój!.."

I starczyło w nim za tem jednej chwili, by w głowie Dzierżymirskiego powstał plan gotowy.

- Cieszy mnie niewymownie, że los pozwala mi stać się - tu zwrócił się, z uśmiechem, ku pani Orłowskiej - Aniołem Stróżem tego domu... Dziś zaraz zatelegrafuję do panów z komitetu nowego banku o kandydaturze pana - wskażę nieznacznie Orłowskiego ruchem głowy.

W milczeniu, wzruszony szlachcic ucisnął dłoń Dzierżymirskiego. Ten ostatni zaś zastanowił się chwilę...

Kiedy czynią coś, to czynią zupełnie i wszechstronnie, - pomyślał, a sięgnął do kieszeni, dyskretnie poczuł długo szukanego w portfelu... Znalazłszy wreszcie tam przekaz na okaziciela w "Credit Lyonnais", wskazyjący sumę dwóch tysięcy franków, rzekł swobodnie:

- Choćto niegrzecznie bardzo z mej strony tak zaraz niemal po poznaniu opuszczanie, - skłonił się uprzejmie w stronę dwóch kobiet - jednak panie wybaczą, uczyniło to bóg zmuszony, i...

- Ależ, cóż znowu... - obruszyła się Orłowska. - Obiad, podadź w tej chwili, prosimy bardzo... Mito! - zwróciła się do córki - kaź dawać.

- Dziękuję serdecznie! - skłonił się z uśmiechem Dzierżymirski w stronę młodego dziewczęcia. - Wychodzę natychmiast, a to z powodu nagłych spraw, które nieodzwrotnie dziś jeszcze załatwiać muszę...

- flegnam panie! - wyciągnął uprzejmie rękę do pani domu, a następnie do panny.

Ta ostatnia podała mu ją, z niewystawionym wdziękiem i cicho rzekła:

- Przyjm pan, panie prezesie, i ode mnie szczerą podziękowanie za to, co czynisz dla ojca mego... Jesteś szlachetnym, dobrym i wdzięcznym i ja nie zapomni panu tego - nigdy!..

- Szczęśliwym prawdziwym dla mnie, że i pani będzie z tego korzystała.

Bo, o ile zgaduję, pani tu chyba najwięcej wróciła by rada do rodzinnego kraju?..

- O! tak... - przyznała, z zapałem, szczerze: Wykołysały mnie nasze łąki i lasy, wychowała ta ziemia nasza, tak piękna chyba, jak żadna!..

Z sympaty, spojrzął Roman na dziewczynę, i skłoniwszy się raz jeszcze, zwrócił się z kolei do Orłowskiego.

- A do kochanego pana to mam jeszcze i interesik drobny... - wzięła gospodarza za ramię i poprowadziła ku oknu:

- Rzecz przedstawia się, jak następuje - rzekła, o ile mógł, najpoważniej. - Na zasadzie jednego z paragrafów ustawy, urzędnikom nowego banku, naturalnie protegowanym, daje się z góry na instalację... Kwoty te jednak obmówić trzeba poprzednio na zebraniu. Otóż, ponieważ pan, pomimo, że bank nie funkcjonuje jeszcze, za miesiąc najdalej musisz już być na miejscu, a to, w celu ulokowania się i objęcia, de nomine, wakansu ofiarowanej posady, ja załóż dopiero za miesiąca kilka tam będzie - zatem... - Roman urwał, dobierając jakby w umyśle wyrazów. - Zatem - powtórzył - awansujcie tu kochanemu, panu przekazem, sumę wstawić... Przypuszczam, będzie ona odpowiadać mniej więcej kwocie, którą w swoim czasie przyznajcie panu na zebraniu Rady... Cóż, zgoda? Dobrze myślałam? - dokończyła Roman.

- Ależ z kochanego prezesa anioł prawdziwy, nie człowiek!.. - wykrzyknął Orłowski i po staropolsku, uściskawszy go szczerze, podziękował, z zapałem.

- Kłociu, czy słyszysz? - zawołała na głos. Pan prezes na instalację awansuje mi, przekazem! - i szlachcic poinformował dobrodusznie, szczegółowo mając o wspaniałomyślności Romana. Następny w rząd za tem ponowne podziękowania, wykrzykniki...

Odprowadzony aż do drzwi, żegnany serdecznie i czule, Dzierżymirski wyostał się nareszcie na schody, a potem na ulicę, sam pomimo woli wzruszony, z głową pełną najsprzeczniejszych myśli.

Gdy po jakimś czasie, wracając z wolna do rzeczywistości, podniósł głowę, spostrzegł w pewnym oddaleniu przed sobą zwooną kopułę tumu Inwalidów. Tknięty nagłym myśleniem, z miejsca natychmiast skierował się ku furtce, a wyminawszy ją i strzegącego wejścia kulawego inwalidę, znalazł się na obszernym placu tumu, odgradzonego kratami od ulic miasta.

Wkrótce, po stopniach wschodów wstępował do wnętrza przybytku, kryjącego w swych murach grobowiec wielkiego Napoleona.

W gmachu milczenie i jakby uroczysty powiew jakiś potęgi niewidzialnej i grozy objął Romana natychmiast.

Cichym tylko szmerem rozlegały się tu kroki kilkunastu osób... Na dole, w szerokim, na kształt basenu, pogłębieniu, drzemał olbrzymi sarkofag, z ceglasto - wianowego marmuru...

Dzierżymirski zbliżył się do balustrady grobowca, i stanął smutny,
cichy...

Wobec prochów moźnego władcy poczuł się równocześnie drobnym, nikłym...
Hucz-ce jego troki zmalały również - uspakajał się...

I myśli jego nagle wzięły również obrót zupełnie inny.

- Więc to tu - mówił sobie Roman - leży zwycięzca z pod Marengo, Ulm,
Austerlitz, i.t.d., i.t.d. Więc tu spoczywaj-snem, nieprzebudzonym,
wiecznym, prochy tego, wielkiego duchem - małego imperatora!..

Dawno bardzo nie bawi-cy już w Paryżu, pamiętaj-cy go zaledwie w
zamglonym tylko wspomnieniu, z minionych lat młodzieńczych,
Dzierżymirski, w skupieniu i z nabożeństwem w duszy, wpatrzony,
milcz-cy, z głow-pochylen-, zadumał się przed trumn- cesarza Francji.

Wokoło niego z prawej i lewej strony, w wewnętrznym półkrogu tumu,
widniały wklęsłe pogłębienia, z grobowcami małymi; przed nim za, poza
drzwiami do grobu, wznosił się rozpięty na krzyżu Syn Boży umęczony...

Dzierżymirski po chwili ocknął się z zamyślenia i postąpił wzdłuż
kolistej baryery grobowca, w kierunku jego wejścia:

Zamknięte szczelnie drzwi pomnikowe połykiwały hebanem czarnego
marmuru; u progu ich i wschodów, wiod-cych do wnętrza "tombeau", w
mundurze granatowym, poważny, ze wstęgami i orderami, brodaty, stary,
stróżował inwalida...

Na górze zań bżyszczą wielki napis złoty: "Je d'Øsire, que mes
cendres reposent sur le bord de la Seine - au milieu de ce peuple
français, que j'avais tant aimØ" *).

[*] "PragnØ, aby me prochy spoczØły u brzegów Sekwany - w ród tego ludu
francuskiego, który tak bardzo kochałem."

Dzierżymirski patrzył, przejęty mimowolnie do głębi powag-, skupienia
pełn-, i jak-ł melancholi- rzewn-, wiec- od tego grobu zmarłego
geniusza despoty, Źni-cego tu cicho, zapomnianego jakby w samym sercu
republikańskiego dził Paryża.

Nagle, gdy poruszony, niemy, stał tak, wci-ż, zamyślony, drgnął
gwałtownie.

Bo oto w tejże samej chwili wybiła w ciszy głołno godzina czwarta, a z
jej uderzeniem, jako sygnał zamykania już gmachu, raptowny, rozległ się
włałnie odgłos bębna.

Grano bojow- pobudke... Donołnie rozchodził się w milczeniu uderzenia
krókie, wzbijały się pod strop wysoki, echem dudniły w zagłębieniach,
arkadach, owalnej kopule wysokiej.

- Messieurs et dames sortez!.. sortez, s'il vous plait, sortez,

sortez!.. - rozległ się jednocześnie twardy głos szwajcara, stróża Napoleońskiego grobowca... Postukuj – c grub – lask – , i poczęł on i rozbrzmiewać energicznie przed sobą, ku wyjściu rozsypanych po gmachu tam i ówdzie gołci.

- Sortez! - rozkazuj – cy, wojskowo - lakoniczny, - bezustanny rozbrzmiewał głos jego i mieszał się! z bojow – fanfar – bębna!..

Dzierżyński jednak nie ruszał się wcale z miejsca przeciwnie. Wrócił jakby w ziemię; ucho jego łowiło śpaczynie donośne, jędrne tony pobudki, wyobra...nia, podsycona nerwami, w rozstroju - poruszona, snuła mu przed oczyma obraz fantasmagoryczny.

W gmachu panował mrok...

Ostatnie d...wiaki surmy bojowej konały, a Romanowi zdało się, iż z milkn – cę coraz już dalszym echem bębna, poczynaj – oto zaludniał um wspaniałe jakieś wyrosłe jakby zewsz – d mury i cienie poległej dawno Napoleońskiej gwardii starej, i wyra...ny o śluch jego objął się przy tym stuk ich butów i ostróg o kamienie posadzki!..

Id – ! Ustawieni w szyku, gotowi do walki, stoj – oto niezliczeni wokoło grobu wodza swego... Przebieg, cóż to jest?..

Huk jakiś rozlega się w gmachu - to marmur grobowca pęka, unosi się...

W trógraniasty kapelusz przybrana, z założonemi na piersiach rękoma, staje wyra...nie przed wzrokiem Romana postać Napoleona - wodza!..

- Paf, paf!.. - w tej samej chwili tuż koło Dzierżyńskiego o posadzkę uderza ktoś zamasyście.

- Sortez, sortez donc, monsieur!.. Quatre heures... la consigne!.. - rozlega się głos twardy i szorstki.

Roman budzi się, rozgl – da... A zirytowany natychmiast, że tak obcesowo przerwano mu jego widzenie marz – ce, gotów już jest a to rzucić w twarz stoj – cemu nad nim miejscowemu szwajcarowi jak – ostr – okoliczności – uwagę... Otwiera już usta, spojrzawszy jednak na twarz wybladłą, pooran – zmarszczkami, o wyrazie pełnym melancholii i smutku, milknie.

W tych rysach bowiem czyta wyra...nie gniew tłumiony, lecz nie bezmyślny, - bynajmniej. Nie, przeciwnie. Oburzenie to jakieś inne, szlachetniejszej, podniosłej jakby natury, i mówi – da się:

- Ach id...cie, już id...cie!.. Odejd...cie wy wszyscy, profanatorzy wstrętnej, kalaj – cy te progi ciekawości – banal – - nieprzystojnym szumem, hałasem, gadanin – i gwarem m – c – cy bezmyślnie spokój i sen wieczny wielkiego imperatora!..

- Cóż wy? - mówią z pogard – te szare smutno oczy starca. - Cóż wy, karły, nie ludzie dzisiejsi, mali -wiedząnożecie? Co s – działo czynach olbrzymich "Jego?" Co odczuwa Cóż rozumie – jesteście zdolni?..

Dzierżymirski z uwagą wpatrywał się dalej w stojącego przed nim niecierpliwie szwajcara - inwalidę.

Czyby istotnie w umyśle tego starca uczucia podobne się kryły? - myślał i zatopiwszy raz jeszcze, milcząc, badawcze spojrzenie w mętnych...renicach starca, bez słowa, skierował się ku wyjściu z tumu.

Otworzono przed nim, zamknięte przed chwilą: z hukiem drzwi wchodowe, i zatrzaśnięte je poza nim.

Wydostawszy się na ulicę, Roman, znużony, wszedł do pierwszej dorożki; tu zaś, ochłonąwszy nieco od wzruszenia i wrażeń, porządkowałam w głębi no zdarzenia minionych godzin kilku.

- Raz jeszcze zatem, miast rzeczywistości, chwyciłam marę, cię ułudny!.. - mówił sobie w duchu, z nagłą goryczą. - Pochłonięty wcięż jedni - myśli - przybiegam tutaj nadziei pełny, i znowu nic - zero!..

- O, ironio, niezrozumiała, dziwna!.. - dumał dalej. - Czy nigdy nie trafię na ślad pewny? Czy, wiecznie, biczowany sumieniem, dręczeni tak bódem, zmuszony?

Dzierżymirski opadł na kolana, w zniechęceniu i pochylił nisko głowę. Z chwilową samotnością, z pogłębieniem się w siebie, wracała bezlitosna samowiedza, bledne koło tajonego w duszy cierpienia zacieśniało się, wirowało, rzucając mu jednocześnie na ekran duszy wizerunek nagły własnego moralnego "ja".

Nie kryły go obszary złośliwe, utkane z pozorów, zdolności osobistych, rozumu, energii, czynu, bezinteresownego poświęcenia dla drugich, szlachetności i wielu innych przymiotów, w które, jak w nieznajomości, lamowan - purpur, togi patrycyusza - przed ludźmi, przed światem, stroił się prezes Dzierżymirski...

Nie, był to szkielet tylko!.. Otulony w płachtę jaskrawą - szalonej ambicji, krył on za jej fałdami bagno moralne pamiętnej w życiu Romana chwili, gdy dla osobistego szczęścia, użycia, pogwałcił on był etyczny społeczny prawa!..

Z tej kałuży jednak brudnej, a pozornie już zapomnianej, wyrastał kwiat - niby niepokalana biała lilia - zasiany ziarnem silnych, choć podeptanych zasad, wszczepionych za młodu - kiełkujący, przy pomocy czujnego zawsze sumienia!..

Kwiatem tym - była chęć szlachetna, instynktowna, konieczna, oddania - d... co b...d..., prawemu właścicielowi przywłaszczonych pieniędzy. Ona, wytrwała, popychała bezustannie Romana naprzód przed siebie; ona - ze środkowym wyciąga w sobie również najpiękniejsze pierwiastki jego charakteru - zniewalała go - do czynów, tam i ówdzie szlachetnych. Jej to niewątpliwie zawdzięczał Dzierżymirski swój postępek z Orikiem!..

I Romanowi w tej chwili mignął obraz wdzięczności tych trojga ludzi ku

niemu.

Znów tu wiŃc faŃsz mimowolny - Ńycia ironia!..

DzierŃymirski westchnŃ. Pomimo jednak, iŃ czuŃ zgrzyt w duszy, roŃto tam w nim jednoczeŃnie pewne zadowolenie, zazwyczaj odczuwane przez subtelniejsze natury, po speŃnieniu dobrego, lub szlachetnego czynu.

SpojrzaŃ wokoŃto weselej nieco... DoroŃka mijaŃta wŃaŃnie bardzo oŃywion-dzielnicŃ miasta.

Na lewo widniaŃta wieŃa St. Jaeques, a tuŃ obok koŃciŃ St. Germain -l'Auxerrois; naprzeciw ogromem rozwiŃmoŃyŃ siŃc Luwr wspaniaŃy.

Roman, zapŃaciwszy wo...nicŃ, wyskoczyŃ z doroŃki i skierowaŃ siŃc ku muzeum.

OdcicŃy w podrŃy od zwyŃtego, peŃnego czynu, Ńycia, pochŃaniaj-cego go caŃkowicie - DzierŃymirski poczuŃ nagle potrzebŃ nieodzown-, konieczn-, odwrŃenia j-trz-cych mu mŃg myŃli czemkolwiek, uciekaŃ siŃc wiŃc znowu do koicielki-sztuki.

Niebawem przez jedno z licznych wejŃawchodziŃ do jej Ńwi-tyni, pogr-Ńonej w milczeniu, tchn-cej majestatem zapatrzonych w siebie tworoŃ ludzkiego geniusza, szybuj-cego na skrzydŃach artyzmu we wszelakich jego odmianach i fazach - wcielaj-cego piŃekno, by szŃo, niby tchnienie Ńywe, do dusz ludzkich, umiej-cych wznieŃasŃc i oderwaŃd poziomŃ!

ZnajdowaŃ siŃc w salach dolnych. Zabytki staroŃytnej rze...by romaŃskiej, greckiej otaczaŃy go zewsz-d. Setki ich z epok rŃnych patrzyŃy na niego piŃekna wyrazem, rŃek- mistrzŃ zakutym w kamieŃ i marmury...

DzierŃymirski, rozgl-daj-c siŃc wokoŃto, szedŃ wolno, zamyŃlony.

Jak w kalejdoskopie, przesuwaŃy siŃc wci-Ń kolejno przed nim pos-gi, coraz piŃekniejsze.

Tutaj wiŃc wychylaŃy siŃc oto rzŃdem ku niemu biusty i srogie oblicza wszystkich prawie imperatorŃ rzymskich - tam znŃw wykwintnie modelowanem ciaŃem pochylaŃy, giŃcŃy pos-gi ApollinŃ - rzymskiego dŃuta, o rysach grubszych, peŃnych mŃskoŃci i siŃy, - greckiego, traktowane daleko subtelniej z finezy-, o ciele jakby miŃekkszem i drobniejszym, przedziwnie wykoŃczone w szczegŃtach i wyrazach twarzy...

W oddzielnej sali, naprzeciw siebie, drzemaŃy, na wzŃ oryginaŃŃw w Watykanie, olbrzymie odlewy, z brzozy: Ńpi-cej Aryadny, Laokoona, Apollina i Dyany; dalej znŃw, z Tripolisu w Afryce sprowadzona, bez koŃca nŃj i gŃowy, unosiŃta powabnie draperye piŃekna Venus, bieliŃy siŃc bez liku dzieŃi-Ńki rze...b pomniejszych - staŃ Apollo z Lycyi, oparty o pieŃ, koŃto kŃtego obwiŃaŃ siŃc w-Ń zdradliwy... Apollo z Paros, patrzyŃ Ńagodnie na widza; o rysach drobniutkich, w draperyi faŃdach - wdzicŃczyŃta siŃc grecka muza...

Dzierżyński, z powodu braku czasu spieszący zmuszony, szedł pomimowolnie szybko, zatrzymując się jednak co chwila to krócej, to dłużej, zniewolony ku temu pięknem, hojnym i dzieki niestrudzonym zabiegom, nagromadzonemu, tak obficie wokoło.

Tak więc, pomiędzy wieloma, wieloma innymi zajęta go jeszcze rze...ba Tyberiusza cesarza, okrytego fałdami togi, z rękami wyciągniętymi przed siebie, w oratorskim geście, tak wymownie, iż zdawało się, że oto już zaraz przemówi... Tam znów uwagę zwróciły dwie postacie kobiece, zabytki, przeniesione z greckich cmentarzy. Jedna z nich, owiana szatą przejrystą, w stojącej postawie, zadumana smętnie, - druga, w takiejże pozycji, z wieńcem laurowym na głowie, w bolesnym pogrzebionym skupieniu, z przełlicznymi przytem wyrobionym obliczem, przybrana w draperyje, której fałdy, wykończone subtelnie w marmurze, za lada powiewem poruszały w oczach zdawały.

Dzierżyński wpadł w labirynt sal, salek, i szedł coraz dalej i dalej... Jednocześnie poddawał się stopniowo coraz bardziej urokom sztuki, a przypatrując się cięgle, z uwagą, okazom starożytnego dęta - zapominał coraz bardziej o dręczących go myślach z przed chwili; czarne i smętne niepostrzeżenie pierzchały one cicho...

I niebawem Romana znowu zajęł marmurowy posąg z wyspy Paros... Przedstawiał on Aleksandra Wielkiego, z połówkami włosów złamanymi i biustem, bez ręki, z twarzą natomiast zachowaną doskonale. Później zachwycała go z kolei "Venus accroupie" w marmurze, również bez ręki, ze śladem na plecach odłamanej ręki Amora, potem znów dziesiątki rze...b innych, jedne charakterystyczniejsze, piękniejsze od drugich...

Po chwili, oparty o pień drzewa, zatrzymał go jeszcze, względnie do otaczających maleńki bardzo posąg, zatyłowany "Amor, jako Hercules", następnie inny: "Walczący Gladiator", a w końcu, cudna w swej prostocie, postać muzyki poezji lirycznej: "Polymnie..."

Była to rze...ba wizerunku z profilu kobiety, opartej, w zadumie, bokiem o kolumnę, w zwojach fałdowej draperyi. Głowa pochylona miała nieco, a upiększały jej włosy, falujące z lekka w marmurze, jedną ręką podpierając oblicze, natchnione, o rysach drobnych i subtelnych - drugą dotykała niedbale swej sukni, z ujmującym wdziękiem...

Wymijając tłum nieruchomych posągów, gubił się wśród tych rze...b, zadumanych, cichych, śniących jakby o wielkiej swej przeszłości - znalazł się wreszcie Roman niebawem w salce kwadratowej, małej, gdzie, otoczona sznurówką baryerą - na wzniesieniu, ubraną bordo tkaniną, stała, królując, zda się, nad wszystkim dokoła, perła zbiorów posągowych Luwru - Venus grecka z Milo.

Zmęczony nieco, Dzierżyński usiadł na ławeczce, zdjęł kapelusz i wpatrzył się w stojącą, bez ręki, półnagą postać marmuru.

Pozornie kroczyła ona...

Wpróż pochylona niedostrzegalnie, przytrzymała fałdów upadającej w

pasie draperyi, zdawało się, że idzie, z szyj- sw-, wyci-gnięt- nieco naprzód, z oczyma przymrużonemi jakby, z włosami, karbowanemi z lekka i uwi-zanemi z tyłu w wężę, z twarz- blondynki, anielsk- - bosk-!..

Od twarzy tej i pocięta nagiego do draperyi, Dzierżymirski oczu oderwał po prostu nie był w stanie...

On w oblicza tem czytał - a przynajmniej tak mu się w danej chwili zdawało - zapatrzenie się w siebie i dumę, ale zarazem i sędycz, zakut- w przedziwnej regularności rysie każdego, i chociaż sam osobliwie nie odczuwał w rysach twarzy tej silnego promienia wewnętrznego, jak zadumy lub marzenia - to jednak piękno linii królowało w nich - tak niepodzielnie, że zachwyty tylko wzbudzało... A cicho?..

Po prostu było ono, nie tylko zał nagie, dla oka widoczne... Z przodu, pod fałdami draperyi - czyni-cej wrażenie, iż spada - w kilka zał zgięte karbowanej z tyłu - tępniło ono, ożyte jakby, nie martwe, w ruchu kroc-cego, wzniesionego nieco kolana, w odkrytych piersiach i biuście bez r-ka, przegiętym w prawo z zachowan- przedziwnie w marmurze, miękko-, jak w ciele żywym - subtel- lini- przegięcia...

Czas mijał... Przesiedziawszy na ławeczce doługo, Roman z trudnościami powstał i oderwał się od arcydzieła sztuki. Spojrzał na zegarek - dochodziła pięta - godzina zamknięcia Luwru. Postanowił obejrzeć jeszcze, choć pobieżnie, galerie obrazów...

Skierował się spiesźnie na pierwsze piętro gmachu. Min-wszy salę pierwszą, zatrzymał się w drugiej, malarzkiej. Dwa, dla osóbliwie przepiękne, obrazy zajęły całą uwagę.

Na jednym z nich, w aureoli blasków nad głową, umarła, cicha, po fali sennej płynęła postać z twarz- anielsk- i łagodną, - to sławne dzieło Delaroche'a "La jeune Martyre". Wisiało ono na prawo, równolegle z wejściem do sali, na ścianie zał bocznej od tego wejścia, w lewo, od innych odbijało wzdłużem, pędzla "Girodet - Trioson'a" Przebudzenie Apollina, pięknego, jak marzenie, w postawie leżącej, pogr-żonego we śnie głębokim. Na cudne oblicze boga Olimpu i zamknięte jego ...renice, z wysoka, prostopadły padał promień światła!.. Roman po chwili ruszył dalej...

Mijał teraz z wolna jedno za drugimi olbrzymie sale.

A w salach tych milcz-ych, wielkich, unosił się jakby nadprzyrodzony jakiś duch idei piękna, zakłety, olbrzymi i brał despotycznie w posiadanie każdego, kto korzył się przed kultem sztuki, czyja dusza, drgnieniem zachwyty, wyciągała w ekstazie ku jej nieśmiertelnemu czarowi pragn-ce swe ramiona!

Najpierw mistrzowie szkoły włoskiej, flamandzkiej, francuskiej, hiszpańskiej i innych - wielcy w swym majestacie, w aureoli wiekopomnej sławy, wygl-dali z ram dziełami, niewidzialną dłoń- zatrzymywali, jakby przed sobą, mówiąc, zdawało się, do Romana dumnie: - "podziwiał nas!.."

Idąc wci-ż przed siebie w ten sposób, dotarł wkrótce Dzierżymirski, do sal ostatnich.

Było ich dwie; w jednej, podłużnej, wielkiej, a tak zwanej "Rubensa", pełno było przepysznych obrazów, wziętych przeważnie z życia królowej Maryi Medici - w drugiej, przedostatniej i mniejszej, noszącej miano "Van-Dycka", zwróciły uwagę Romana, wśród kilkunastu może dzieł tego mistrza, portrety: Dzieci Karola I-go; jego samego, stojącego na tle krajobrazu, obok giermka, z rumakiem, i kardynała Richelieu'go, całego w purpurze.

Dotarwszy do końca pałacowych sal, Dzierżymirski puścił się w powrotną drogę, zaglądając tam i ówdzie, idąc, wracając - błądząc wśród tych drzemących w chwale własnej, nieprzeliczonych dzieł pędzla - twórców talentu ludzi cenionych i wielkich...

Setki obrazów przeoczonych, nowych, zastępowały mu drogę...

I Dzierżymirski przystawał ci-gle... Zachwycał się niejednym obrazem, ustępującym może innym, pod względem piękna, lecz przemawiającym żywiej do indywidualnego jego poczucia i pojęcia sztuki.

Tak widząc w jednej z sal zatrzymał się dłużej przed wielką szkocą francuskiej, "Greuz'a", złotaw-blond, z oczyma, wzniesionymi smutnie, w zamyśleniu błądząc gdzieś daleko, może w ideałach niepochwytnych krainie, z wyrazem twarzy, tchnącym melancholi- i rozmarzeniem...

Tamże również zajęły go dwa obrazy tegoż mistrza: pierwszy "La litière" przedstawiał rozwożącą nabię młodą wiandyerkę - wspartą, w zadumie cichej, o karego z białym żbem konia; drugi pod tytułem: "Rozbity dzban", widać nad wyraz, wyobraża dziewczynkę w bieli... Włosy miała ona rozczesane skromnie na dwie strony, stroiła je białe kwiecie, - w fartuszkach różowo - blade różę, na rękawku zawieszony rozbity niebacznie dzban, a w całej twarzyczce miluchnej nieporównany wyraz dziecinnej naiwnej rozpaczy.

Dzierżymirski coraz szybciej wymijał sale; nie znalazł się w galerii podłużnej i olbrzymiej, w kształcie salonowego korytarza, szerokiego i przestronnego.

Na ścianach wisiało tu wiele pięknych okazów; między innymi zatem dzieła Rafaela Sanzio, jak na przykład portret Joanny d'Aragon, w purpurowej sukni, przetkanej złotem, f-go Jana Chrzyciela, oraz wielki portrecik młodego człowieka, o włosach blond, w czapeczce czarnej, podpartego, w zamyśleniu i parcie innych tegoż mistrza.

Patrzył tu również na Romana z widem liczne dzieła Marina, jak Urodzenie Najświętszej Panny Maryi, cud San Diego, czyli anielska kuchnia... Opodal obraz, przypisywany malarzowi hiszpańskiemu Riberze, występują z ram postaci- umarłego Chrystusa, o twarzy przedziwnie spokojnej, w wypoczynku jakby po bitwie pozostającej - z ciałem ran pełnym, ociekającym, zda się, krwi- ciepłą- jeszcze... Bitwa Salvatora Rosy tamże nęciła oko realizmem i grozą - dziesiątki, setki obrazów zatrzymywały

spojrzenie, a wreszcie dwa z nich najbardziej; pędzla Leonarda da Vinci: Jan Chrzciciel i Bachus...

Oba przedstawiały ciemnokochanych, pięknych młodzianów, o bujnie i naturalnie kręconych włosach, cerze różniodłowej i dziwnie wiele, mówiących twarzy, zbliżonych rysami do siebie...

Obrazy te, w ogólnym zarysie, również zlewały się ze sobą. Nagłym skojarzeniem myśli, przypomniły one Romanowi, podobnie, nieco traktowanym włosach, złotawo - miedzianych, pędzla Ferrari'ego, w Pinakotece Medyolańskiej. Przedstawiała ona Matkę Bożą, całą w czerwieni, z przechyloną głową i przymkniętymi oczyma, z wyrazem nadziemskiego upojenia, gdy Dzieci-tko Jezus równocześnie wyciąga przed siebie w przestrzeń swe ręczyny maleńkie, jak gdyby niemi pochwycał w powietrzu pragnięto...

I z przypomnieniem tem nagle do duszy Dzierżymirskiego spłynęła fala wspomnień...

Mignęła mu więc przed wewnętrznym wzrokiem duszy Medyolan, rodzinne gniazdo matki i tam "Cimitero Monumentale", gdzie zapomniane przez siebie leżały jej prochy, wreszcie rysy matczyne, jak żywe, przeszłymi latami zamglone...

Z powiewem zał lat tych minionych, z przeszłości tchnieniem, w mózgu Romana znowu załwidrowały wyrzuty sumienia, dawne - te same.

Zadumany, powracał Dzierżymirski, kierując się w olbrzymie sale ku wyjściu, opanowany na nowo - wewnętrznym - trosk - - niezdolny obecnie po prostu patrzeć na dzieła sztuki.

Poza tem zresztą - i czasu na to nie było... Zamykano już Luwr.

Spieszono się powszechnie. Rozrzućeni tam i ów turyści - malarze, dyletanci pędzla, kopiujący tu zapamiętane od samego rana na rozstawionych stalugach wszędzie, hałaśliwie składali swe przybory, a odgłos ich rozmów, zarówno jak i kroki odchodzącej tłumnie gromady ludzkiej, przeciwnie echem odbijały się o ściany i próg olbrzymich sal muzeum.

Wyludniały się one nader szybko; niebawem cisza utulała stopniowo twory człowieczego geniusza, a jeden jeszcze samotny i niewidzialny pozostał tu tylko, zda się, król Piękna - bóg Sztuki!..

W dziesięć minut później Dzierżymirski wychodził na ulicę, gdzie zoczywszy niebawem napis podziemnej kolejki elektrycznej zwanej: "Metropolitain", po schodach spuszczał się ku stacyi.

Zagłębiony w myślach, kupił Roman machinalnie bilet na prawo jazdy i wyszedł na peron podziemnej poczekalni. W głowie jego, wśród myśli wielu, nieukształtowany jeszcze, niewyraźny, zakiełkował projekt opuszczenia Paryża, nieprzedstawiającego dlań już teraz, jako pobyt, celu żadnego, i udania się do - Medyolanu...

W tej samej chwili, z chrząstaniem, wślizgiem, wpadł na platformę zwrócony, mały, elektryczny pociąg miejski.

- Louvre!.. Louvre!.. - wrzaski do donośności, kilkanaście drzwiczek u wagonów otworzyło się spieszenie... Wysypała się z nich garstka ludzi, partya druga szybko zajęła ich miejsce, Dzierżyński wskoczył za innymi do pociągu, z wielkim pośpiechem, nie minęła bowiem minuta, gdy już zatrzaśnięto na powrót z hałasem u wagoników wszystkie drzwiczki.

Kolejka ruszyła z miejsca pędem prawie, zanurzyła się i zniknęła, jak zmyta, w oświetlonej gdzieś tylko elektrycznymi lampami czeluści ciemnej podziemnego tunelu, biegnącego, jak wiadomo, pod wiekszą - czeludką - nadsekwaskiej stolicy.

Letnie, upalne popołudnie drzemało jeszcze nad ziemią, skwarne jednak słońce promienie zniżało już poczynają stopniowo...

Ochoczo uwijały się po polach dziewczęta robocze, w swych krótkich kolorowych spódnicach i haftowanych barwnie koszulach - z sierpami w ręku, znośne, układowe je w snopy i kopy, a z łaski i łanów dalszych odzywały się od czasu do czasu rytmiczne ostrzeżenie kos i ich chrząstanie w ślad za tem, ścinający trawy, owsy i jęczmień, rozlegały się echem miarowem.

W otaczające go, tętniące ruchem i pracą pola zapatrzone, na ciemnym tle parku nieposzlakowane białe milcząco wsłuchiwały się dwóch gowartowski w odgłosy, idące z łanów dalekich.

Na werandzie, w głębokim fotelu siedziała marszałkowa Warnicka, pracująca z zajęciem nad robót - rączką; dalej nieco, w parku, poprzez drzewa alei migała jasna letnia suknia kobieca i sylwetka siedzącego obok niej męczący; przez otwarte na ścieżkę wreszcie tuż koło balkonu okno saloniku dolatywały dwa męskie głosy, zmieszane z miarowem uderzeniami kul bilardowych.

W saloniku owym grali w karambole Ładyżyski z Krasnostawskim.

- Patrz, młodzieńcze, i ucz się! - mówił w tej chwili pan Emil, pochylony nad bilardem.

Biała bila jego, musnąwszy poprzednio lewy bok czerwonej drugiej kuli, wracała wspaniale teraz posłuszna, dotykając lekko stojącej opodal trzeciej i czwartej bili.

- Aha!.. - wykrzyknął z tryumfem Ładyżyski. - Uderzenie znakomite, a rzadkie, jak kruk biały!..

Spojrzał na Krasnostawskiego. Ten ostatni, bez ceremonii zwrócony do okna, stał gdzieś zapatrzone, przez grzeczność w ostatniej tylko chwili

obróciwszy się szybko ku mówić-cemu.

- Barbarzyńco! - wykrzyknął Ładyżyński, oburzony szczerze.

- Jak to? - pytał zdziwiony dalej. - Na seryo zatem nie widziałeś pan wcale ?

- Ale cóż znowu, i owszem! - zaprotestował Krasnostawski, zmieszany nieco.

Partner z pod oka spojrzał na młodzieńca i mruknął złośliwie:

- Co pan ciekawego wypatrujesz wśród alei? Nikt tam, que je sache, nie spaceruje, prócz Oli i kochanego Topolsia, hrabiego na Szczęsnój... A tu tymczasem straciłeś pan coup de maître, cug iście wspaniały...

I wskazując dłońmi stojące kule, objaśnił już spokojnie:

- Przez czerwony... Zamiast zwyczajno-pospolicie - tyłem, przez pięć band, i serya notabene gotowa - pochwalił się.

- Wiele mam? - zapytał po chwili. - A, prawda... - odpowiedział sam sobie pan Emil, - osiemdziesiąt sześć.. Przepadłeś pan z kretesem. Za chwilę - requiescat in pace!..

Przy tych słowach, Ładyżyński pochylił się znów bilardem. Pod wprawnym uderzeniem jego kija, dotykane, cofane, kierowane zręcznie, posypały się niebawem liczne karambole.

Krasnostawski, od początku partyi kilkakrotnie do gry zaledwie dopuszczony, ziewnął skrycie, znużony.

- Ta zdradziła Radziwiłła!.. - wykrzyknął w tej chwili pan Emil. - Chybiłem - graj pan!..

Krasnostawski z kolei zrobił kilka dośmiemiejczytnych karamboli.

- Brawo, bravissimo! - potakiwał Ładyżyński - Z jakim przestajesz, takim się stajesz, niedarmo tak głośno przysławie...

A ze złością, śledząc dalej uwagę niegroj partnera, dorzucił jeszcze, w rodzaju pochwały:

- Czołem, czołem!.. Wstępujesz w me ślady... bardzo dobrze, wcale nie...le!..

Krasnostawski, z przymusem, uśmiechnął się lekko, po paru uderzeniach wreszcie chybił.

- Przeszła, minęła, jak sen jakiś zły! - zadeklamował Ładyżyński, z patosem. - zgubiony młodzieńcze! - dorzucił, i pochylił się nad sukrem zielonem.

- Gram z tyżu - poinformoważ - ostatni, żmiertelny cios...

Pchnięta, nakredowan - poprzednio starannie, muszk - kija - biaża kula, obleciawszy szereg band, w skomplikowanej geometrycznej figurze - niebawem pokorna, grzeczna, za jednym uderzeniem, musnęta cicho dwie pozostaże bilardowe kule.

- N, i... ni - c'est fini !.. - odsapn - ż z ulg - pan Emil.

- No, teraz siadamy! - ci - gn - ż dalej. - DziękujCE panu za partyCE! - podaż uprzejmie rCEkCE Krasnostawskiemu, poczem wyj - ż papierożnicCE.

- SżużCE panu! - rzekż, wyci - gaj - c j - w stronCE mżodego czżowieka.

- DziękujCE bardzo! - odparż Krasnostawski, skżoniwszy siCE grzecznie, wzi - ż papierosa, podsuwaj - c jednoczeżnie Ładyżyæskiemu zapalon - zapażkCE.

- Merci! - mrukn - ż pan Emil. - Ha, zmachażem siCE nie gorzej od mżodycy, na polu przy burakach! - westchn - ż.

Usiedli, i zapanoważo chwilowe milczenie.

W ciszy pokoju sżychażyżo teraz wyra...nie jednostajne brzCEczenie much; zniżaj - ce siCE sżoæce żcieliżo swe promienie po zielonej powierzchni bilardowego sukna - salonik ton - ż caży w pżżwiatżach koæcz - cego siCE letniego popożudnia.

Nagle firanki u okien poruszyży siCE gważtownie - ktoż drzwi otwieraż...

Na progu, w szarem sukienem, liberyjnym ubraniu, stan - ż lokajczyk, mżode chżopiCE...

- Zamykaj, do kroæet! - zagrzmiaż Ładyżyæski, porzuciwszy silny przeci - g i zwróciż siCE równoczeżnie do Krasnostawskiego. - Ma pan jeszcze ochotCE na partyjkCE?... bo ja - to nie!

- O, ja równięż! - odparż szybko Krasnostawski - Zreszt - nie mogCE, mam dzisiaj pilne zajCEcie jeszcze i wracaæmuszCE! - flegnam pana! - dorzuciż uprzejmie i powstawszy, wyci - gn - ż rCEkCE do Ładyżyæskiego.

- Adieu!.. - od niechcienia, ale grzecznie, nie ruszaj - c siCE z miejsca, odwzajemniż mu tenże użcisk dżoni.

Krasnostawski, niby szukaj - c czegoż po pokoju, zbliżyż siCE zrCEcznie do okna, posżawszy wywiadowczy wzrok raz jeszcze do ogrodu.

Siedz - c wci - ż na swem miejscu, Ładyżyæski żledziż spod okna, a usta skrzywiży mu siCE przy tem sarkastycznie.

- Cóż to tak zapamiCEtale pan szukasz? - rzuciż ironicznie - serca, czy gżowy?

- O, nie... tylko kapelusza!.. - odci - ż chżodno Krasnostawski, i rzuciwszy siedz - cemu powtżnie pożegnanie uprzejme, wyszedż z saloniku.

- Hm... hm!.. - mruknął do siebie stary kawaler, i powstał.

- Wyczytaj bilard szczerze - tak, jakem cię nauczył na wskos, nicponiu!.. - rozkazał królowi - czemu się po pokoju lokajczykowi, i strzeż - wszy ubranie, opuść cię bilardów - salkę, zmierzaj - c ku werandzie.

- Zawsze przy pracy, pani marszałkowo! - powitał siedząc - przy robocie pani - Melanję i usiadł wygodnie na bujającym się fotelu.

- No, i pan, panie Emilu, pracować tak - uśmiechnęła się łagodnie matrona. - Stąd słyszałam, jak stukają karambole i postępowają ra...no wykład gry bilardowej...

- Ano, trudno!.. Trzeba pouczać młodych! - odparł pan Emil i uśmiechnął się swoim zwyczajem. A gdzie to młoda para? - rzucił.

Marszałkowa nie zrozumiała pytania. - Jak to? - zdziwiła się.

- No, pani Ola i kochany hrabicz! - objaśnił niedbale, kołyszając się leciutko w fotelu.

- Aaa !.. - załmiała się marszałkowa - s- w ogrodzie - dodała spokojnie.

- A pan Bolesław gdzie cię znajduje? - zapytała z kolei.

- Przegrawszy partykę karamboli i postawszy trzydzieści i jedno spojrzenie Esknych w stronę ogrodu i przechadzających się tam ludzi, uciekł do domu - odpowiedział pan Emil.

- fle też pan ci - gle tak samo niepoprawny i zawsze musi widzieć niepotrzebne! - obruszyła się, z widocznym niezadowoleniem, marszałkowa.

- To tak tylko dla kontrastu z pani - marszałkow-! - odparł słodki tonem, układnie pan Emil i uśmiechnął się szyderczo.

- No, no!.. - udobruchana nieco, pokiwała głową - starszka. - fleby to tylko tak było w istocie ! - Ależ upewniam pani - marszałkow - podchwyciła Ładyżęski. - Wracaj - c jednak do poprzedniej prozy życia, i jego wypadków - ci - gn - c wolno - ciekawym, czemu ten Roman nie wraca?..

- A! - żywo odparła pani Warnicka. - Zapomniałam powiedzieć panu... Wczoraj wieczorem był list od niego... Donosi, że z Ostendy, dokąd udał się prosto z Paryża, dla odpoczynku, przybył już do Mediolanu, gdzie zabawi dłużej...

- Hm, hm! - chrząknął pan Emil. - fle też prezesuniowi kochanemu nie trzeba: do żony primo, do mnie - secundo, to się wydziwiaćemu nie mogą - wygłosił całkiem seryo.

Marszałkowa na te słowa uśmiechnęła się do siebie, w milczeniu, Ładyżęski mówił dalej, wydobywszy zegarek z kieszeni:

- Patrzcie państwo, już wpół do ósmej!.. O wpół do szóstej zaczęliśmy grać Krasnostawskim partyjką, a pani- marszałkowie pozostawiliśmy wszyscy tu na balkonie samotni... Tiens... tiens... jak to czas leci.

Pan Emil spojrzał na ogród, szukając coś oczyma i w tej samej chwili zerknął na marszałkowie. Ta ostatnia również wyślęła spojrzenie do parku. Złoteliwie nieco wykrzywił usta pan Emil i wpatrzył się badawczo w twarz staruszki, lecz ta obojętnie całkiem odwróciła po chwili głowę i kończyła spokojnie robótke.

Zapanowało milczenie.

- Dziwny aforyzm przychodzi mi do głowy! - odezwał się Ładyżyński, w parę minut później.

- Bardzo, ciekawam, co tam znowu przychodzi panu do głowy?.. - zażmiała się staruszka.

- Piękna kobieta - wyłosił z patosem pan Emil - to częstokroć wcielenie złepego trafu igraszki!.. Obdarza ona bowiem królewsk- sw- task- nie zasługonych, lecz szczerliwych, choć wszyscy, niby gracze, pragnęliby w duchu wygrać najwyżej- tylko stawkę...

Siwe oczy marszałkowej na chwilę zabłysły rozumnie, i odparła lekko, w tym samym tonie:

- Ho-ho, co za porównania, jaka poezja nagle objawiła się w panu! - pochwaliła ironicznie i dodała: - Ja nie wiem, doprawdy, czy potrafię, skromna, wznieść się na takie wyżyny... Lecz i mnie również, dziwnym zbiegiem okoliczności, aforyzm przywita w myśli:

I po chwili pani Melanja wyłosiła z przyciskiem:

- Podejrzliwie to wcielenie satanizmu!.. Oczernięzbruka potrafi najczystsze, nienie jagnię, tem gorsze za ono, że uwierzy- mu ludzie, goni- cy, z rozkosz-, za obmow-, choćby ni- był i fałsz wierutny!..

- Les beaux esprits se rencontrent! - wycedził w półukłonie pan Emil, i zamilkł.

- No, żegnaj kochanego pana! - odpowiedziała marszałkowa, i powstała cięko z fotelu. - Idę - cięgnęła - wydać rozporządzenia do wieczery, bo gosposia nasza, jak widzę, zapomniała się dzisiaj, a pana - tu uczyniła ręk- niewyra...ny ruch w powietrzu - pozostawiam sam na sam z aforyzmami!.. - zażmiała się przy tem staruszka złoteliwie nieco, i znikła we drzwiach salonowych.

Ładyżyński, po wyjściu marszałkowej, zapalił papierosa i zamaszycie poczęł kołysać się na biegunach fotelu.

- f miej się, f miej, babuleńko! - mruknął z cicha. - Ja mam swój rozum i wdech przywity. O, co do tego, to zapewniamogę, że nos mam wyborny!.. - dotknął twarzy, zażmiał się do siebie, wcięgnął powietrze, i powstawszy,

zeszedł po stopniach schodów balkonu.

Spojrzał znowu na zegarek i mruknął:

- Głowa dochodzi... Sapristi, o czymże dwie i pół godziny sam na sam mówią sobie - mogłoby być dwójka młodych ludzi, jeżeli nie o miłości... Psst! - syknął głośno i położył sobie na ustach palec. - Podejrzliwieżalbowiem jest to wcielenie satanizmu... i tak dalej, - dokończył, i zamknął się znowu cicho. - No, zobaczymy! - szepnął do siebie jeszcze i skierował się do ogrodu.

Słońce zachodziło wfałnie. Białe ściany gowartowskiego domu gorzały czerwienią, błyszcząły, złościły się okna, dach blaszany żarzył się, jak gównia, a tam w parku, w oddali, wstydliwie żarłocowały się, rumieniły brzozy, mieniły od gasnących promieni, w odbłaski polerowanej miedzi, dęby, lipy, topole...

Ładny, zagłębiał się dalej i dalej w ogród, idąc krokiem pewnym, a żgnik, pochłonięty cieniami ciemnej już, drzew wierzchołkami zroszonej ze sobą alei; poszukiwania jego jednak miały spełznąć niczem. Młodej pary, jak ją pan Emil żartami nazwał, nie było już w ogrodzie.

Topolski i Ola, przed pół godziną, znalazłszy się na skraju parku i ścieżkach szerokich, opuścili ogrodowe aleje, pocięgnięci współwzajemnie czarem przechadzki po zielonej, biegnącej wśród pól, ugorów, ż-czce, w przedwiecznej świeżości skądś całej.

Gawędząc, śmiejąc się i przekomarżając na przemian bezustannie, oddalili się oni nawet już do dworku, nie spostrzegłszy tego naturalnie wcale.

Wbrew zapowiedzi, danej pani Oli jeszcze na raucie, przypieszył Topolski swój przyjazd do odziedziczonych w pobliżu Gowartowa dóbr swoich "Szczęsnaja".

Bawił już tu przeszło od sześciu tygodni, będąc nader czestym gościem osamotnionej prezesowej Dzierżymirskiej; Ola zaś, nie mająca prawie tu ni rozrywki, ni towarzystwa żadnego, zazwyczaj niezmiernie mu rada była.

Topolski zaś ze swej strony podobał się mu tylko. Ogładzonych form świątowych, przystojny i miły, był również bardzo inteligentnym, a lekki pokład idealnego marzycielstwa, w kontraście połączony ze sceptycyzmem, czynił go interesującym bardzo, szczególnie dla kobiet. W koleżance pięknej czuł się zawsze panem... Posiadając wrażliwość czułości przyrodzoną, rozumiał on kobiety przytem stokrotnie lepiej od innych mężczyzn, odczuwał je subtelnie, - w podbijaniu zaś serc niewieścich, cierpliwem i umiejętnem, - mistrzem go nazywano.

Próżniacze życie jego, zjadającego dochody "panka", zabarwione tylko z lekka tam i ówdzie dyletanckiem zainteresowaniem się sztuką, oraz podrójkowaniem po świecie - składało się z przeważnie z krótszych lub dłuższych miastek, z żacucha: "bonnes fortunes", które, jak ogniwa, ze sobą bezustannie łączyły się starą.

Poznawszy Ojca Dzierżyńskiego, Topolski postanowił zdobyć nieodzwonie. W tym celu wiec dowiedziawszy się o bytności Romana Dzierżyńskiego za granic, przyspieszył wyjazd na Ukrainę, i od dwóch już niespełna miesięcy pracował wytrwale, powoli, ze znanstwem swej sztuki, cegiełka za cegiełką, budując swe przyszłe, jak nazywał - szczęście!

Z początku było mu niezmiernie trudno skierować się do Ojca, choć nieznacznie tylko, na swe tory.

Grała, złożona z setek subtelnych odcieni, opartych na gruntownej znajomości "kobiety," parokrotnie srodcie zawiodła go z Ojcem Dzierżyńskim. Lecz po paru już tygodniach uczuł Topolski wreszcie grunt pod nogami, aczkolwiek jeszcze bardzo niepewny. Tryumfował skrycie - i szedł dalej...

Dzielił się, po tygodniach sześciu pobytu, miał on już za sobą matkę - przeszłość w tym względzie; między nim, a Ojcem mianowicie biegła nie trwała obcowania wzajemnego, wspólnych rozmów, dociekań, paradoksów, określeń - garść faktów jednak na pozór nic nie znaczących prawie...

A wiec, na przykład, gdy w gronie osób postronnych, trzecich, toczyła się rozmowa o temacie, poruszonym już przez nich dwojga nigdy w pogawędce sam na sam wspólnej - czy to w zakresie sztuki, literatury, muzyki, czy wreszcie w dziedzinie wypadków pospolitych codziennego życia - usta ich umierały się nieznacznie, a równocześnie oczy spotykały się, posłuszne...

To znów kiedy indziej, nim jedno z nich zdążyło wypowiedzieć jak-ś, czestokroć drugie, chwyciło je szybko już w lot i na nie wypowiedziane, a przeczute słowa, dawało trafną odpowiedź..., lub rzucało aforyzm dwuznaczny, mający li tylko dla nich dwojga znaczenie, dla innych niezrozumiały czesto wcale - poruszający za sobą wspomnienie, zdarzenie osobiste, wspólne...

Szukali się wzajemnie również, unikając towarzystwa drugich, pragnąc zawsze być ze sobą, wyłacznie sami.

A po za tem? Och, określić nawet trudno.

Dziesiątki, setki, tysiące maleńkich, nikłych zdarzeń, powikłań, chwil, chwilek, słów, słówek, gestów, drgnień twarzy, umiędów, niedomówionych spojrzeń, uśmiechów, przyjaźniejszych, czulszych - w nieskończoność - zacieśniały ich dwie duchowe ja...nie coraz bardziej, motały ich ze sobą - i z nitki początkowo pojedynczej tylko, czas uprzedził tkaninę przedzwaną niewidzialną, a nierozzerwalną - już jednak, co silnie, a trwale zczytała ich w kołcu ze sobą!

I Topolski, błąkający się z początku w swej grze trudnej zaplatał się sam wkrótce, nie wiedząc nawet kiedy, w zastawione ręcznie na Ojca sieci.

Serce w nim obudziło się po raz pierwszy może w życiu!.. On, motyl

niestały, powierzchownie tylko kochliwy, w każdej zamkniętej, wdzięcznej buzi - zakochał się na seryo w Oli!

Dziś od dwóch godzin przeszło, w słów dobieranych szermierce, flirtował z nią - teraz już dla ukochanej, a przez to samo upragnione - jeszcze bardziej.

Mówili dnia tego jak zwykle o literaturze, muzyce i sztuce, to jest o tym, co zajmowało ich wspólnie najbardziej w krainie, oderwanej od przędzy codziennego życia.

On wspominał i opowiadał barwnie wrażenia licznych podróży, dowcipkował, śmiał się, przytomny bezustannie gry swojej; Ola słuchała mówiła, opowiadała z kolei wiele sama... Jak w złocie łanów zboża, jednostajnym od maków purpurowych i bławatnych chabrów, rojął się w tej ich słów gawędzie od dwuznaczników, w lekkich formach obleczonych ze strony Topolskiego oświadczyń i półsłów - potowicznym niedomówieniem wiele mówiących nieraz rzeczy!..

Przed chwilą, słowem użył się do snu. Topolski kończył jednocześnie wywołane faktem tym opowiadanie wspomnienia, tymczasem się wschodu słowem obserwowanego z wierzchołka góry "Mont Blanc," spowiadając się z wrażenia podniosłego, doznanego wysoko!..

Słowa pełne zapachu, efektowne, zamarty mu wspaniale na ustach, na których spojrzeniem całym zawisła artystyczna dusza idącej obok niego kobiety.

Zapanowało pomiędzy nimi chwilowe milczenie:

Ze stepu tymczasem, z łanów, płynęły wonie zbóż, i polnych kwiatów; żaby i chrzątki odzywały się w moczarach - czar letniego gasnącego dnia chwytając za duszę...

- Wie pan, jesteśmy porządnie od domu daleko! - pierwsza wesoło zaśmiała się Ola.

- A tak? - zadziwił się niby Topolski. - To wracajmy! - rzekł niechętnie.

Zawrócili. Szli wolno czas jakiś, pomimo woli zamyśleni.

- Tak, pani - przemówił Topolski, słowem - dzisiejsze myślenie - hen, daleko, na szczytach Alp, w Szwajcarii - wrażenie to było tak silne, iż nie zapomnę go do końca życia. - I wie pani? - dorzucił, z uśmiechem dziwnym i nagłym - o czym mimo woli pomyślałem w owej uroczystej chwili, gdy pierwszy promyk słowem ozłocił cypl śnieżny "Mont Blanc?" Nigdy pani nie zgadnie.

- No, ciekawam bardzo? - zapytała Ola i spojrzenie piękne utkwiała w twarzy młodszego człowieka.

- O kobiecie!.. - odrzekł Topolski, i zaśmiał się; nie otrzymawszy za to żadnej odpowiedzi, spojrzawszy po chwili spod oka na Olicę.

Z pięknej twarzy młodej kobiety, jakby odpędzany umiśnie, pierzchał cieś wyra...nego niezadowolenia; Topolski się spostrzegł, iż post-pił niezręcznie, wiedział bowiem z wieloletniej praktyki doskonale, że nie należy nigdy wobec kobiety, o której względy ci chodzi, wspominać dobitnie, że przed ni- była inna. Poprawił się natychmiast.

- To jest... ..le mówi!.. - rzekł seryo całkiem, uśmiechn-wszy się atoli w duchu do siebie - o kobiecie, nie jednostce, bynajmniej myślałem wówczas, ale o ogólnym w niej symbolu kobiecości!..

- Jak to! nie rozumiem dobrze pana... - zdziwiła się Ola. - Cóż, bowiem wspólnego ma wschód słońca...

- O, i bardzo! - przerwał Topolski - przynajmniej dla mnie... Bo gdy, stoj-c na wysokościach niebotycznych, - ci-gn-ł, zapalaj-c się do słoń wspanych - ujrzałem nagle, jak zaróżowiona silnie jutrzienka przysła snopem promieni, jak całuj-c jakby po prostu okoliczne szczyty, niepokalane, śnieżne - objęła w ramiona zwyczajne świat cały, tak rozpromieniony za jej przybyciem, tak wyra...nie szczęśliwy! - Topolski umilkł na chwilę...

- Skojarzeniem myśli, może dziwnym w istocie w Chwili danej - kończy już spokojniej - porównałem majestatyczne, królewskie słońce do uczucia kobiety - miłości bezbrzeżnej, wielkiej, która również sw- potęg- i blaskiem rozjaśniła i oszczęśliwiła i ożywiła człowieka, tak, jak "ono," tam, na wysokościach - świat cały!..

- Och, jakiż poeta z pana! - zauważyła, z uśmiechem, Ola i umilkła, poczem jednak dorzuciła całkiem poważnie:

- Aczkolwiek mnie osobiście na razie myśli ta do głowy nie przyszłyaby może, gdybym się tam znajdowała na pańskim miejscu, rozumiem j- jednak i odczuwam doskonale...

- Prawda? - uradowany mimo woli podchwycił Topolski. - Pani przyznaje - ci-gn-ł, - że egzystuje poniek-d w pojęciach tych analogia pewna... Słuchaj-c pani jednak, przychodzi mi do głowy jedno spostrzeżenie... - zatrzymał się...

- Musiała pani - i instynktownie Topolski nadał głosowi brzmienie łagodne, czułe - w życiu swem kochał go bardzo...

- Dlaczego? - zapytała z uśmiechem Ola.

- Bo inaczej nie zrozumiała i nie odczułaby pani wrażenia mego! - rzucił po francusku Topolski.

- Kochałam! - odparła stanowczo, w tymże języku, Ola.

- Kogóż, jeśli spyta swobodnie i jeśli to nie jest żadn- tajemnic- stanu?

- Mówi! - odparła po polsku, lakonicznie Ola, patrz-c ironicznie nieco

Topolskiemu prosto w twarz. Ten ostatni skrzywił się z lekka.

- Ach, ja nie myślałem o tym zgoła... Mój a powinno się kochać. Zreszt-
- uśmiechnął się z towarzyszący - uśmiechnął się pani czasu przeszłego... Kochałem,
j'ai aimé - cię ironicznie, - wszak, o ile mnie pamięć grammatyki
francuskiej nie zawodzi, to passé défini... - zaakcentował wyraz
ostatni.

- Och, jakże pan śpieszy za słowami! - zamiała się nieszczercze trochę
Ola. - Przy tym zapragnął pan pochwalić znajomość francuskiej
grammatyki, i nie udało się... J'ai aimé - to passé, indéfini - odcięła.

- Ach, alors votre amour, madame... est indéfini? - nie pozostał dłużnym
Topolski.

- Ech, nieznośnym się pan stajesz! - zamiała się młoda kobieta. - Ot
lepiej, niech pan spojrzy na prawo - wskazała ruchem ręki niebo,
widocznie pragnęła zmienić temat rozmowy. - Jakie piękne chmurki,
nieprawdaż?..

Topolski wolno zwrócił głowę, we wskazanym kierunku.

- Przełiczne! - potwierdził.

Niby zaróżowione, zdrowe, w aureoli złotych włosów, buziaczkami
zasypiających rzedem obok siebie smacznie dorodnych dzieciaków, układały
się do snu na niebieskawo-perłowym tle nieba obłoczki małe,
koralowo-złote, - zakłócały jakby cudownie w ostatnim odbłasku pięcego
już słońca.

Dłuższy czas stali Topolski z Olą, zapatrzeni w grę światła wieczora; po
niejakim czasie, odwróciwszy wzrok od nich, kobieta spojrzała przed
siebie.

- Regardez! - przerwała milczenie swym miłym brzmieniem głosem. - Wszak to
Krasnostawski, prawda? - zwróciła się do towarzysza, pokazując mu ruchem
głowy zbliżającego się pędem ku nim je...d...ca.

- Tak. Zdaje się, że to ja nie pan plenipotent pomyka - odparł z
przekąsem Topolski, z zaakcentowaną rozmyślnie obojętnością w głosie.

Tymczasem kasztanek złotawy, parskał cicho, przemknął tuż koło nich i
ruchem uprzejmym, aczkolwiek chłodnym nieco, i nie zatrzymując się
wcale, skłonił się Krasnostawski stojącej parze.

Topolski i Ola w ślad zatem ruszyli powoli miejsca, rozmawiając znów
życzo ze sobą, je...dzieci zaś, na wskos przeciwszy czkocząc, wspinały się
zaczęły po pochylonej jaru. Z lekkiego pocztkowo pod głowę truchcika, koło
przeszedł w wolnym stopniu...

W ciszy wieczornej, do uszu Krasnostawskiego dochodziły wyraźne słowa i
śmiechy idących czkoczących par.

Młody człowiek, uderzywszy gniewnie konia butami i spicrutem, pochwycił cugle, i pomknął dalej...

- fle też im nigdy nie zbraknie tematu do rozmowy! - mruknął.

Obecność Topolskiego przy Oli gniewała niepomiarnie młodego plenipotentę. Znał on, jak wiadomo, dzisiejszą dziedziczkę Gowartową od lat blisko dziesięciu. Dziewczycę jeszcze podobała mu się ona bardzo.

A potem?.. Wszak pamięta doskonale tę chwilę, gdy dowiedział się on od starego Gowartowskiego, że Ola uciekła z Dzierżymirskim... Dziwnego, och, niepojętego dlań nawet, na razie doznał wówczas wrażenia! Po śmierci zał pana Januarego i przyjeździe młodych, przypadek bardziej jeszcze zbliżył go do niej, a było nim powtórzenie zbolełej córce dosłownie ostatnich chwil ojca i słów jego, pełnych przebaczenia...

Fakt ten, na pozór drobny, stał się jednak dla Krasnostawskiego wysoce poważnym, postawił go bowiem wobec nowych chlebobawców na przyjaznej, poufalej niemal stopie, i takim dotąd bez zmiany pozostał.

Co rok, gdy Dzierżymirscy przyjeżdżali do siebie na wieś, pierwszy witał ich na progu Krasnostawski, bywał potem zawsze stale co dzieje niemal w Gowartowie... Dzierżymirscy traktowali go, jak równego im zupełnie, naturalnie, uprzejmie przyjmowali zawsze - bez różnicy, o każdej dnia porze, ze względu zał na dobre wychowanie jego, i wspomnienie, iż do snu wiecznego zamknął był Gowartowskiemu powieki, uważano go nawet jakby za należącego do rodziny.

Czuł się zatem młody pan plenipotent w pałacu, jak u siebie w domu, zastępował mu on strzechę rodzinną, której nie posiadał wcale i trwał tak rok rocznie przez kilka letnich miesięcy. Potem znów następowała dlań przerwa; - gospodarstwo, samotność i wyczekiwanie z upragnieniem chwili przyjazdu Dzierżymirskich! Powtarzało się to bezzmiennie przez lat ubiegłych parę, i przez czas ten cały stała się rzecz, której z łatwością domyśleć można było...

Krasnostawski, dawniej Don-Juan wielkomiński, jeszcze obecnie na wsi bałamucy wszystkie ładniejsze dziewczyny w okolicy - niepostrzeżenie, początkowo nie zdając sobie nawet wcale sprawy, zakochał się na zabój w swej pięknej, młodej dziedziczce i pani...

Łatwe sercowe zdobycze pomijały się na lekkomyślnym panu plenipotencie. Miłość prawdziwa, silno powaliła go już w drugim roku pobytu u Dzierżymirskich.

Zabrała mu serce kobieta, dla niego całym, i rzecz można, na zawsze, niezdołana, niepochwytana nawet, ze względu warunków społecznej różnicy położenia jego w ogóle z jednej strony, a z drugiej - z powodu charakteru Oli, jak się zdawało, bez skazy, niezłomnych jej zasad, oraz bezgranicznej, niezmiennej, a dotąd jedynej - miłości jej dla młodego.

Przeboleł zatem Krasnostawski wiele, lecz zapanował nad sobą. Nikt nie zbadał dotychczas tajemnicy jego serca, nawet "ona."

A dzień, uczucie drzemicy i ukryte na dnie duszy przed sarkazmem óz i języków ludzkich, przeobraziło się już było w prawdziwy kult...

Codzienny gość Górwartowa, Krasnostawski, poza obowiązkami, już "prawdziwie" w dniu godzin tylko kilka, t.j. tych parę wspaniale, podczas których obcował z Olą, młoda kobieta stała się w duszy jego, nie żółtej, nieprzesubtelnionej, lecz szczerzej, pięknej i prostej - na piedestale świętości prawdziwej! Krasnostawski modlił się niemal do Oli!..

I oto teraz przyszło mu cierpieć podwójnie: dotąd odbierała mu ubóstwa - konieczność życia, w postaci męczyca... - Dzień przy boku jej się zjawiał inny... Krasnostawski znienawidził pana na Szczyśnej...

Zazdrościła miłośnicy siostrzyca, pochwyciła go w swe szpony krogulcze, dręcząc bez litości... Młody człowiek za powiększył jeszcze poczucie własnej niemocy.

Myśli o tem po raz setny, Krasnostawski pędził wciś szybko, nagłym niemiłosiernie spicrut - wierzchowca.

- Słuchaj - jestem i na wieki słuchaj - zostanę!.. Psie życie, psie!.. - rzucił głośno z goryczą - obszarom, śniącym w mroku. - On mi już - we...mie, pokala, ja to czuję, przeczuwam!.. Lecz co czynię, co robię - wołał do siebie wzburzony przyjaciel, domownik pałacowy Dzierżymirskich. - Zastrzelę bym go, to lisi-tko! - mruknął ciszej.

W tej samej chwili koło się potknął, Krasnostawski ścisnął instynktownie cugle, i poczył jechać wolno.

Wokoło niego, otulony szarzyzną mroku, kołysał się step mały, wysoka trawa łechtając mu opuszczony w dół siodła rękę. W oddali rysowały się już cienie folwarku Tomaszówki, tak zwanej ukraińskiej fermy, żółtej tylko z toku, to jest: stodoła, spichlerza, paru jeszcze zabudowań gospodarskich, i jego własnego, niskiego, mieszkalnego domku - krójących w cieniu kilkunastu drzew w rzędach i łanów szerokich.

Krasnostawski zdjął czapkę i przetarł chustką czoło. W krąg niego latały tysiące muszek małych, brzęczały żałosnie roje komarów; błąkał gdzieś w moczarach, a przepiórka zabłąkana, wędrując jeszcze po polach, odzywała się gdzieś nieśmiało samotna...

Przejechał wolno kawałek stepu, Krasnostawski puścił się znów poprzez bodziaki i trawy szybkiego nader, tak zwanego sztapaka. Prychając nozdrzami, czuł się wciąż blisko, pomknął kasztan ochoczo. Pędem powietrza i końskiego biegu, wysokie trawy zakłócały się trwożnie - zaszumiało na stepie...

Lecz oto po chwili wierzchowca skoczył w bok gwałtownie: to układający się już do snu błogiego zajął pomknął mu chyżo spod nóg i znikł w wieczornym mroku... Niebawem je...dziec z koniem wpadli na trakt szeroki.

- Zginie mi Ola moja ubóstwana, najdroższa!.. A szkoda - szkoda! -

szeptając do siebie podniecony Krasnostawski.

- Co czynią jak przeszkadzają ciemu? - huczało mu dalej w głowie.

Lecieli wci-ż... Domostwa Tomaszówki stawały się coraz wyra...niejsze, bliższe... Wymin-ł ich wóz; jad-cy w przeciwn- stronCE, chłop pokłonił się nisko, lec-ce za wozem ...rebiCE przył-czyło się do wierzchowej klaczy Krasnostawskiego.

- Ksiou, ksiou, ksiou! - zawołał chłop przeci-gle: ...rebczyk zastrygł uszami, prychn-ł i zawrócił galopem.

- Ach, czemuż, czemuż nie wolno mi kochać siebie, najdroższa? - wyrzucił z siebie Krasnostawski wymówkCE, pełn- goryczy. - Ja bym ciCE ozłocił, klECząc przed tob- - zmiatał proch u stóp twoich!..

Je...dziec z koniem, jak huragan, wpadli we wrota i na dziedziniec małego dworku. Zatrzymali się... Krasnostawski zeskoczył z kasztanka i hukn-ł donośnie.

Niebawem zjawił się wyrostek, w rozchylonej koszuli, boso, odebrawszy wierzchowca, znikł z nim pomiCEdzy strzechami podłunych budynków; młody człowiek zaś, szepc-c jeszcze smutnie coś z cicha do siebie, schyliwszy głowCE, wszedł do wnętrza małego, krytego śtom- dworku.

Odemkn-ł drzwi kluczem, a przest-piwszy próg, zatrzasn-ł je z hałasem. W ślad za tem potarł zapałkCE, a zapaliwszy lampCE, zbliżył się do biurka, stoj-cego pod oknem, wśród skromnie umeblowanej izby, wybielonej, z niskim sufitem, o dużych wystaj-cych u pułapu belkach.

- Nie mnie, marnemu pionowi, marzyć kochać mnie!.. Do pracy, sęugo, pęc- ci za to! -szepn-ł Krasnostawski, z beżmiern- gorycz-. Rozłożwszy jednocześn- na stole olbrzymi- rachunkow- ksiCEgCE, umoczył pióro w kałamarzu i usiadł ciCEżko przed biurkiem.

Cisza zaległa pokoik. Przerывał j- tylko szelest papieru i zgrzyt donośny stalki w obsadce - czasami zaś akordem w tCE muzykCE milczenia i pracy wplotło się z rzadka stłumione westchnienie ciche.

Ukraiæskie lato upalne dobiegało koæca, zanikało, wypierane jesieni-wczesn-, w tym roku piCEkn- bardzo - przezroczy-...

flycie w Gowartowie płynCEło cicho, a dnie mijały tutaj za dniami, wszystkie bez zmiany niemal bardzo do siebie podobne. Ładyżyæski zatem tak samo zawsze szyderczy z marszałkow- się sprzeczał i rozmyślnie przeszkadzał flirtowi Oli z Topolskim... Krasnostawski, tłum- c w sercu bód, żal, gorycz i zazdroś przyjeżdżał tu jak zwykle, co dzieæ, a bawi-c w pałacu coraz krócej, po partyjce bilardu z panem Emilem, uciekał do swej wśród pód samotni.

Czasem zajrzał do Gowartowa ktoś z dalszych, lub bliższych s-siadów, i jak to bywa zazwyczaj na wsi, zjeżdżał-c całym rodzinnym taborem, na godzin kilka rozgaszczal siCE w pałac. Dom cały naturalnie zniewolonym był byæna uslugi goŃci, chocia siCE to jednak zawsze ku wielkiemu zmartwieniu £ady¿yæskiego. Bywalec eleganckich miejskich salonów, zty chodził wóczas z k-ta w k-t, ziewaj-c skrycie i pokpiwaj-c nieznacznie z przybytych w goŃcinCE; s-siadów Gowartowa nie lubiał bowiem pan Emil i z góy stale traktował, ochrzciwszy wszystkich ryczaótowo mianem "serwatki towarzyskiej"...

W niedzielCE wszyscy z pałacu je...dzili do koŃcioła - w tygodniu, dla ubarwienia jednostajnego sk-din-d ¿ycia, oddawano s-siedzkie wizyty... Pan Emil wtedy zostawał zawsze w domu, a namawiaj-c panie, by jechały, starał siCE zwykle wybraæna to dzieæ, w którym spodziewał siCE odwiedzin Topolskiego.

Hrabia ze SzczESnej, przyje¿d¿aj-cy teraz, regularnie, co drugi dzieæ prawie, stawiał siCE wóczas niezmiennie. £ady¿yæski, uŃmiechniCEty zfoŃliwie, przyjmował go z otwartymi ramiony, do karamboli natychmiast werbował, nic najczCEŃciej przy tem nie mówi-c o wyje...dzie paæ, wymijaj-c zrECznie jego pytania w tym wzglCEdzie. Dopiero pó...niej, po partyi, wychodził na chwilCE, wracał, i spokojnie oznajmiał mu o tem, mniej wiCEcej w ten sposób: "Wszak hrabia kochany o panie mnie siCE pytał? n'est ce pas? Pardon... na Ńmieræzapomniałem... wyobra... pan sobie, wyjechały przed godzin- na spacer, pewny byłtem... A tu, conceivez... DowiadujCE siCE wtaŃnie, i¿ palnCEty sobie wizytCE!.."

Topolski rad nie rad niebawem odje¿d¿ał, pan Emil zaŃ, ironiczny, zjadliwej uprzejmoŃci peŃny, odprowadziwszy go do powozu - zacierał rCEce z radoŃci.

Pomimo jednak usiówaa zrECznych £ady¿yæskiego, stosunek Topolskiego i Oli zacieŃniał siCE coraz bardziej; przyja...æ fermentowała ju¿, potCEgowała zaŃ stosunek ten przedtu¿ana coraz bardziej nieobecnoŃæ Dzier¿ymirskiego, od którego, po liŃcie oznajmij-cym wyjazd do Medyolanu - nie było zgoła ¿adnej wiadomoŃci.

Był wieczó letni, koj-cy, cichy...

W pałacu gowartowskim zgaszono ju¿ wszystkie Ńwiatła, prócz jednego - w jadalni, gdzie marszałkowa przegl-dała Ńwie¿e gazety. Niebawem odto¿ywszy je na bok, ze zmCEczonych oczu staruszka zdjCEła okulary, a przetaršszy powieki, powstała i skierowała siCE ku balkonowi.

Tam, wzi-wszy w rCEkCE laskCE, zeszła do ogrodu, zagŃCEbiwszy siCE w jedn- z cienistych alei.

Ola, Topolski i nieodstCEpny ich satelita, pan Emil, u¿ywali przeja¿d¿ki łórk- po stawie, w t- stronCE wiCEc skierowała kroki marszałkowa. Wkróce przed ni- zaskliła siCE tafla stawu, staruszka usiadła na ławeczce i postąta spojrzenie w dal...

Do uszu jej jednoczeŃnie, w wieczornej ciszy wyra...na, doleciała pieŃæ,

Śpiewana zgodnie silnym męskim tenorem Topolskiego i cieniutkim sopranem Oli, z przeci-gnięciem do wtrę gwizdaniem pana Emila. Barka znalazła się niebawem pośrodku stawu. Pieśń, urwana nagle, zcichła, marszałkowa krzyknęła, jak tylko mogła najgłośniej: - Hop!.. hop!..

- By... waj! - odpowiedział natychmiast pan Emil, rozległy się szybsze uderzenia wiosła, plusk wody i śród... chyżo kierowa się poczęty ku brzegowi, Ładyżyński po chwili przyłożył do oczu rękę i krzyknął;

- Per Bacco! Wszak to pani marszałkowa!..

- O, ciociu! Czemu cioteczka przyszła aż tutaj? Jakże można... wilgoć ze stawu, opary niezdrowe! - rozległ się z kolei cieniuchy głosik Oli.

- Nic, dziecko, nie szkodzi... Posiedź sobie, taki śliczny i ciepły wieczór... Jed...cie, jed...cie, jak się zmęczycie, to powróć! - odkrzyknęła pani Melania.

- E, cóż znowu? - zagrział basem Ładyżyński. - I my wracamy. Księżyc zreszt- dziwnie nie dopisuje i chowa się ci-gle... Naprzód!.. - zakomenderował donośnie.

- Nieprawdaż? - dodał ciszej, zwracając się ku siedzącej w śródce młodej parze.

- Ależ naturalnie! - potwierdziła szybko Ola, widząc, iż Topolski milczy dyplomatycznie. - Cioteczka zaziębi się, jak ją pozostawimy tu dłużej, a sama do domu tak rychło nie pójdzie...

Po chwili, śród... stanęła u brzegu. - Ciotuniu, jesteście... - żywo krzyknęła Ola, i wysiedli wszyscy.

Topolski z Ol- poszli naprzód, pan Emil zaś pozostał, systematycznie ułożwszy wiosła i zamkn-wszy na klucz kłótkę u ławeczka, przytwierdzonego do barki, poczem zapalił z wolna papierosa.

- Pa -nie E - mi - lu! Wra -ca - my! - rozległ się z góry, na brzegu, wołający głosik Dzierżymirskiej.

- Idę, idę! - odpowiedział w ten sam sposób Emil, nie ruszył się jednak wcale. Po chwili warknął do siebie półgłosem:

- O, nie podoba mi się coraz więcej ten farbowany na hrabiczka! Lecz swój- drog- pozycja moja tutaj jest w zupełności idyotyczn-... Marszałkowa, jak ślepa: nic nie widzi; on, wściekły, zębami na mnie po cichu zgrzyta ona się d-sa... Que diable! Nie byłem dot-ąd nigdy stróżem cna młodych męzatek!..

I Ładyżyński wzruszył ramionami, poczem z wolna skierował się ku pałacowi.

Pozostała zaś trójka była już daleko. Topolski podawał kornie ramiem marszałkowej, Ola szła obok niego - rozmawiali wszyscy żywo i wesoło;

niebawem znale...li siŃe na werandzie i usiedli, zmŃeczeni nieco przechadzk-

Topolski, zatrzymany i uproszony przez panie, zostawał na noc w Gowartowie, obecnie zał namawiał OliŃe do zagrania na fortepianie.

- Ale kiedy mówiŃe panu - broniła siŃe, łmiej-c, młoda kobieta, - Ńe teraz wtałnie czuje siŃe niemołliwie usposobion- do muzyki... Upewniam pana, ił go boleabŃed- uszy!..

- O, mnie nigdy! Chyba pana Emila? - odparł Topolski.

Ładyłyæski nie znosił muzyki. Nazywał j- zawsze "gnŃebicielk- i pierwszym stopniem do histeryi i neurastenii."

- Jełeli nie dla mnie - nachylił siŃe w tej chwili Topolski ku sied-cej obok Oli - to niech zagra pani dla pana Emila za to, Ńe nam ci-gle swem towarzystwem przeszkadzał...

- Przeszkadzał?.. w czym? - spytała Ola, z ułmiechem i zalotnem btyłniŃciem oczu.

- Powiadaj-, ił przysłowia s- m-drołci- narodów, a jedno z nich mówi pono: "m-drej głowie, dołæ." i.t.d. Pani nie rozumiała - to trudno.

- Ha, ha, ha! - załmiała siŃe Ola - zdrobnia pan przysłowia, stosownie do okolicznołci, ale bogi odmówiły panu talentu rymowania. Ja szczerze zupełnie powiadam, ił nie rozumiałam pana.

- Honny suit, qui mal y pense. Lecz pozwolŃe; sobie tymczasem nie wierzyæ pani...

Rozmowa ta cała prowadzon- była półgłosem, tak, ił sied-ca w przeciwnym rogu balkonu marszałkowa nie słyszała jej wcale. Odezwała siŃe wiŃec, przerywaj-c:

- WidzŃe, Ńe na próno pan Topolski ciŃe prosi. Zagraj, Oluniu, zagraj, dziecko, w taki cichy wieczŃr łlicznie siŃe wyda głos fortepianu.

- No, jak cioteczka kałe, to i owszem! - rzekła z ułmiechem Ola. - Ale czyniŃe to tylko dla niej; avis au lecteur...

ZwrŃiła siŃe do Topolskiego, spojrzawszy mu prosto w oczy, poczem przest-piła próg pokoju. Młody człowiek skłonił siŃe, i powstawszy, pod-łył do salonu w łlad za ni-.

- KtŃ zbadał rzeczywiŃ- pobudkŃe czynów kobiety? - szepn-ł dyskretnie, pochyliwszy siŃe ku id-cej.

- Przepraszam! - załmiała siŃe wesoło Ola - proszŃe wracałna balkon dotrzymaałtowarzystwa cioci Melanii, a zreszt- - tu, siadaj-c do fortepianu, uczyniła rŃek- ruch w stronŃe werandy - oto pan Emil...

- A... więc pani jednak gra... dla niego - rzekł z wolna Topolski i posłuszny zawrócił.

Ola nie odpowiedziała... Gamma tonów z pod jej palców zabrzmiała donośnie... Fantastyczna pieśń norweska odbiła się o echa parku i głębiej niżej do stawu - namiotna, burzliwa, popłynęła w dal cichym i stepu...

- Ile też pani Ola nie ma litości nad ptaszkami, co śpi sobie w parku tak cicho. Gdy usłyszę bowiem parę podobnych fortepianowych trelików, ogłuchnę do rana zupełnie. - odezwał się w tejże chwili ironiczny głos Łady Łyńskiego.

- Cóż to pan, jak widzę, prócz ptaków tylko o sobie nie zapomina, a nas z pani marszałkow- z łycych wykreśla! - półżartem, półserjo odciął panu Emilowi Topolski.

Łady Łyński nie odpowiedział; wszedłszy do niewielkiego salonu, gdzie grała Ola, odezwał się w ukłonie:

- Wszak pani pozwoli, nieprawdaż?... Bym zagrał sobie prozaicznie, terre à terre, w karambole sam ze sobą... Czy zgrzeszę bardzo?

- Mais pas du tout, owszem... Staraj się pan karambolować w takt gry mojej; może to drog- wreszcie nauczysz się pan kiedyś odczuwać muzykę...

- O, dziękuję ci, pani! - trzymaj się za serce, skłonił się pan Emil i zadzwoniwszy na lokaja, kazał zapalić światła w bilardowej salce, a po chwili, cały zatopiony w grze, z pietyzmem wykonywał karambole.

Piękną Schumana rzewną skarżył się cicho teraz fortepian, płakał, smucił się żałośnie... Ola grała pięknie, z technik- i uczuciem. Siedzący na balkonie Topolski łowił tony z lubości, przez grzeczność tylko prowadził rozmowę z marszałkow- i klnął zarazem w duszy jej obecność przeszkadzając- mu we flircie z Olą.

Niebawem wybiła w ciszy domu godzina jedenasta. Staruszka, zmęczona snem całym dniem, powstała ciekawo i rzekła:

- No, słuchajcie tu sobie muzyki, moi panowie, ja za idę spać. A pan Emil gdzie - nie widzę go? - zapytała naraz.

Topolski zauważył dawno, że Łady Łyński postukuje na bilardzie; nie chcąc jednak informować tem marszałkowej, odparł szybko:

- Och, nie, wiem. Wszedł przed chwilą, wróci zapewne niebawem! - i na dobranoc - pocałował, z uszanowaniem, rękę staruszki.

Marszałkowa, nic nie mówiąc, weszła do salonu i zbliżyła się ku fortepianowi.

- Bonsoir, chère! - rzekła, całując Olicę w głowę.

- Dobranoc, cioteczko! - zerwawszy się z krzesła uściskała marszałkowie Dzierżymirska; poczem pani Melania skierowała się wolno do swych pokojów.

Znikła... Fortepianem wstrząsnęło gwałtowne intermezzo; do pokoju, tonącego w cieniach, cicho, jak kot, wsunął się Topolski.

Usiadł na niskim foteliku obok Oli: -Nareszcie!.. - szepnął.

- Nareszcie... Co? - ze spojrzeniem zalotnym, zapytała, nie odrywając paluszków od klawiszy.

- Jesteśmy z pani- sami...- dokończył Topolski zdanie. - I ten satyr, któremu tu tak wszystko wolno i uchodzi...

Topolski urwał, a widząc, że Ola już otwiera usta by coś powiedzieć wyrzucił z siebie szybko, czyniąc nieznaczny ruch ręką:

- Och, wiem już z góry, co pani mi powie... Pan Emil - przyjaciel nieboszczyka ojca pani, druh marszałkowej, wreszcie zna pani- od dzieciństwa. - Wszak to wszystko wiadomem mi jest doskonale... Co nie przeszkadza - ci-gnął - i źdenerwuje mnie ten pan do niemożliwości... Bo, np. dzisiaj: od rana nie pozwolił nam byśchwilki nawet sam na sam...

- Ho, ho, cóż to za gorycz i niezadowolenie! - zdziwiła się niby Ola, a usiłując nadać głosowi brzmienie twardsze, dodała: - Nie pojmuję zresztą, skąd te zdania uporczywe sam na sam i urojone jakby jakieś prawa...

Nie dokończyła... Trel gwałtowny przebiegł, jak dreszcz, po klawiszach, spojrzenie za młodą kobietą, które dojrzał Topolski w półcieniu i blask jego, co, jak pieszczota, przesunął mu się po twarzy, zadały kłopot wyrażony wymówionym przez Olę słowem. Topolski zapomniał o nich. Zapamiętał wzrok tylko i pokorny na pozór pochylił się ku rączce Oli.

- Przepraszam stokrotnie!.. przepraszam!.. - i pocałowała biegnąc po fortepianie biały rączek, wychylając się z fałdzistego rękawa - wyżej łokcia. - Przepraszam się niżej! - rzuciła żartobliwie Ola.

- Ciemno...winna temu... -- rzucił lekko Topolski.

Milczenie parku i domu przerywały teraz tylko tony fortepianu, coraz namiękniejsze jakby, gwałtowne, burzognistego zapału i pragnię wstrząsające spokojnie, oraz nerwami dwojga ludzi, słuchających tej orgii dźwięków rozpasanych, zamkniętych w złoczone ramy sztuki i techniki.

Głos Topolskiego wkrótce przeszedł w szepta przyciszony, pieszczotliwy, miękki. Z dala odzywał się jednostajnie, co sekund kilka, uderzenie kul na bilardzie zajętego wciąż karambolami pana Emila... I Topolski, flirtując tak dyskretnie z Olą, podsycając półsłówkami słów jego igraszki, od czasu do czasu wysyłał spojrzenie przelotne na wywiady, czy

pan Emil przypadkiem nie wraca; lecz ten nie myślał o tem wcale.

Widz-c to, Topolski przysun-ł siŒ bliŒej do młodej kobiety. Ruch ten jednak zauwaŒyła Ola i widałchCEaprzekorna sprzeciwienia siŒe mCE¿czy...nie przebiegła jej nagle przez główkCE, bo odezwała siŒe w tej chwili:

- Chciałam wtañnie, oto zagraapanu coñ przepiŒeknego, i zapomniałam... Masz tobie! - zatrzymała siŒe. - Trzeba zapalićwiece! - dokończyła, z filuternym uñmiechem.

- Ale, có¿ znowu? - podchwycił Topolski. - Po raz pierwszy dostrzegam u pani - ci-gn-ł niezadowolony widocznie - brak odczucia nastroju chwili danej... Tak mi miło było słuuchaćry pani w tym wtañnie pócieniu, tak znakomicie godz-cym siŒe z muzyk- i cisz- wieczorn-.

fmiech szczery Oli rozległ siŒe w tej chwili. Zapaliła ñwiece i rzekła swobodnie:

- Cóż robięwidzi pan teraz, ¿e wcale nie jestem doskonałofici-.. Nareszcie pan sam empirycznie przekonał siŒe o tem. A mówiłam tyle razy...

Urwała, i otworzywszy nuty, dotknCEła siŒe rŒek- klawiatury.

- Niedobra pani... - nadaj-c głosowi brzmienie poci-gaj-ce, łagodne, przemówił Topolski. - Niedobra! - powtórzył ciszej, i podniósł do ust, jej dłoæ.

- Z okazji czego - zañmiała siŒe Ola.

Topolski na pytanie wprost nie odpowiedział, lecz mówił dalej:

- Rozwiąta mi pani złudzenie! - umilkł na chwilCE.

Pytaj-co spojrzeła naæ Ola.

- Tak jest - powtórzył mCE¿czyzna - bo uwierzy pani, jak dziwnego doznałem wraŒenia, gdy oto tak przed chwil- siedzieliñmy w zapomnieniu, ciszy, przy fortepianu d...wiŒkach - zupełnie sami...

- No, ciekawam? Cóż panu siŒe zdawało? - ironicznie nieco rzuciła Ola, a oderwawszy zarazem rŒece od klawiatury na chwilCE, słuchała, patrz-c mu w oczy przeci-gle:

- Po prostu zdało mi siŒe, i¿ jesteñmy mCE¿em i ¿on-...

- Tylko tyle? - zañmiała siŒe Ola ztoñliwie. - No, po prologu spodziewałam siŒe czegoñ nadzwyczajniejszego przyznajCE! - dorzuciła lekko, a odwróciwszy spojrzenie, ułożyła zeszyt nut na stalugach fortepianu, i znów graapocZEła, tym razem coñ smŒetnego, koj-cego jakby - pełnego cichej tŒesknoty...

- Co to jest? - z¿ymn-ł siŒe w duchu Topolski, rozgniewany: - fle te¿ ta

kobieta zawsze zbije mnie z pantałyku! - Nie wiedział po prostu, co mówiał dalej muzyka za chwilę jednocześnie była pogodna, płynna - miękko z pod palców kobiety, nerwowo, drażliwo - naturę jego nastrajała dziwnie na nutę, wręcz przeciwnie słowom, jakie same cisnęły mu się do ust przed chwilą...

- Jednak, jak ona, niecnota, zna mnie, dobrze! - zauważył jeszcze w myśli, spojrzawszy z pod oka na Olicę, która, z błąkającym się w kciukach ustek uśmiechem, grała wspaniale, z uczuciem, coraz, subtelniejszym, miękkszym, a i fortepian martwy skarzył się jakby zdawał.

Po chwili, Topolski przemówił znowu, głosem jednak już całkiem innym, niż poprzednio:

- Pani się śmieje, tymczasem to, co mówię, wszak takie naturalne...

- Na - tu - ra! - nie! - przedrze...niła lekko Ola. - Ha - ha - ha! - zaśmiała się - vous êtes incomparable!..

- Permettez! - przerwał porywczonie nieco męczyciel - niech skończę...

- Ale śłucham, śłucham od kwadransa, et vous n'en finissez pas. Więc, jakież ultimatum?

- Bardzo proste. Odczuwamy się z pani - wzajemnie, rozumiemy, jak rzadko kto może... Dusze nasze - to jakby niewidzialny kamerton, który, za uderzeniem myśli, uczuwałam wspólnych, brzmi zawsze jednakowo... A mój i ona przecie, poza...

- Ha, ha, ha.. - urwała przezornie Ola. - Otóż mylisz się pan zupełnie, bo ja, na przykład teraz, nic, ale to nic pana nie rozumiem...

A zresztą - kończyła, powstawszy szybko od fortepianu - en voilà assez... - zamknęła fortepian. - flak mi pana Emila, który pewnie już darował mi nie może, że gram tak dżugo, bo oto wspaniale nadchodzi..

- A bodajże! - zgrzytnął szeptem Topolski i zerwał się śpiesznie, poczynszy odruchowo układać niby porządnie nuty na etażerze.

- Silence a mon approche - quelle galanterie, madame, de votre part!.. Podziwiam, zaiste! - odezwał się na progu pan Emil, w ukłonie, a zwracając się ku zmieszanemu pomimowolnie Topolskiemu, rzucił, z ukrytym sarkazmem:

- Czy to... może panu zawdzięczam?..

I podtrzymywana przez Ładzińskiego głównie, popłynęła przez czas krótki jeszcze rozmowa ogólna, poczem panowie powiedzieli Oli dobranoc i rozeszli się, pozostawiając ją samą. Zapalone przy fortepianie dwie rzucały teraz na salon migoczące światło, lekki zefirek kołysał ich płomień z lekka, poruszała firanki i portyery... Ola skierowała się ku werandzie, i oparłszy o balustradę, zadumała się głęboko.

- Co to jest, co się z ni- dzieje? - myślała. Od wyjęcia za m-ż, od lat sześciu kochała dot-đ niezmiennie Romana tylko, choć bezustannie ocierała się o dziesiątki nadskakujących jej mężczyznych, na żadnego jednak uwagi nie zwracała nawet. I dopiero teraz, teraz!..

Ujęła głowę w rozpalone dłonie i cisnęła niemi skronie...

Ten Topolski działa na ni- w sposób iście niezwykły. Tak j- odczuwa, tak dobrze rozumie, tak rozzmąstawia po prostu umiejętnie prowadzon- gr- intrygi, flirtu - tak poci-ga ku sobie nieprzeparcie!... Ten jego ujmuj-cy, niezwykły jak i zwodniczy wdzięk osobisty, którym techn-asię zdaje postać jego cała, zwycięża j- coraz natarczywiej, uparciej... Broni się przed nim, w żart jego słowa obraca, a jednak ona, Ola, czuje, że jeśli tak samo potrwa jeszcze dłużej, kto wie, czy dołączy do niego?..

Och, gdyby przynajmniej Roman przybył już przedzej, gdyby! A tu sama walczy zmusi!.. Jeden Ładyński tylko po swojemu broni j- przed "nim" i przed ni- sam-...

I Ola przy ostatniej powiększej myśli podnosi zwolni głowę, a poci-gnięta koł-ć- cisz- parku i światłem drż-cych promieni księżyca, schodzi z balkonu i zapuszcza się samotna w cieni- ogrodow- alejce.

Na piasku cięż jej rysuje się mały i kroki rozlegaj- się donośnie; przez liście niebieskawo-srebrne plamy światła cieli- się u jej stóp dyskretnie, ukazuj- się, to znów nikn-...

- Kocham go, kocham,.. i pragnę! - szepce Ola. - A on?

- Czyż można nawet w-tpiać o tem? - odpowiada samej sobie. - Przyleci na jej pierwsze skinienie, gdyby tylko... zechciała...

Zechciała? - Ola przeciera czoło dłońi- i czuje, jak krew młoda igra jej w żyłach nieposłuszna, jak pragnienie poziome, zmysłowego użycia, rozkoszy - nieprzeparte, silne j- sam- ogarnia wszechpotężnie.

Idzie coraz wolniej, coraz bardziej pogr-żona cała w myślach i wewnętrznej walce.

Doszedłszy do końca alei, Ola zawraca machinalnie, kieruj-c się ku domowi.

- Romanie!.. Romciu... wybac mi! - szepce, kład-c załamane ręczki na rozpalone czoło. - Przyjdź i obroń mnie!.. Obroń! - woła rozpaczliwie, czuj-c burzę w piersi, rozsadzanej uczuciem, pragnieniem i rozterk-!

Broniła się dot-đ, ale teraz czuje, iż siły jej zbraknie na pewno...

Ile godzin w dniu samotnych, ile nocy bezsennych, przemyślała, przecierpiała w walce z pokus drażni-ć-, z sercem, wyobra-ni-, dusz- cał-, - rw-cemi się do ukochanego mężczyzny - w jego ramiona, które czekały tylko jej skinienia, by j- opleć pieściami - unieść w krainę

miłoci i rozkoszy!..

- Marzenia! Ona nie ulegnie!..

- Nigdy, przenigdy! - szeptem Ola, spowiada się przed zasłuchanymi, cichymi drzewami parku. - Tylko ty, Romanie, ty, co po raz pierwszy w życiu otworzyłeś mi ułudę miłości, szczęścia, ty, którego dotąd ponad życie kochałam - przyjed..., ratuj mnie, swobecnoci- wesprzyj!!!

Ola już jest w pobliżu pałacu.

- Nigdy cię nie zdradzę!.. nie zapomnę obowizku... nigdy! - szeptem po raz wtóry jeszcze i z żywo bijącą w arteryach krwi - wzburzona cała, z ostatnim wyrazem "nigdy" na ustach, wstępuje po schodkach pałacowego skrzydła. Daleka myśli od szczegółów drobiazgowego życia - zapomina o pozostawionych w salonie wiatłach - o wszystkim i skrypnęwszy drzwiami, znika za nimi.

W ciszy upionego już domu, gdzie, w dali, wydzwania tymczasem po chwili godzina dwunasta.. Kwadrans mijają stopniowo, a noc letnia, w milczeniu przyrody całej, woniami swymi miarowo oddycha i pocyna..

W salonie pałacowym dopalają się powoli wiece u fortepianu, pamięć ich drży - bezustannie od nocnych powiewów, oświetlają fantastycznie pokój cały; czasem wpadnie tu z nienacką księżycowy promień - i ztagodzi swym blaskiem ciałe wiec pomyki...

I trwa to tak do rana jeszcze...

Nagle jednak drzewa parku szumią i pocynają - wraz głośnie, księżyc gdzieś ginie, przepada, chmurki za drobne pokrywa i pocynają - coraz głośniejsze niebo dotąd pogodne... I zefirek leciutki, wpadłszy do salonu przez balkonowe drzwi, hula po nim pocyna...

Jeden pomyłek u wiec głośnie, drugi w pobliżu okna pali się wci-ż, dygoc-c...

Swawolny wietrzyk tymczasem wzdyma teraz firanki, a podrzuciwszy jedną z nich, nakrywa nią pamięć wiece przy stojącym obok okna fortepianie i jakby pragnąc przypatrzeć się swej psocie, nagle przestaje powiewem poruszać wszystko dokoła!..

Stopniowo firanka zapala się z wolna; pamięć obejmuje ją - pieśczośliwie w swój ucisk gor-cy...

Wpada znów podmuch zefiru. I pamięć idzie w górę zwyczajnie, zapala lambrekin. Minut kilka... Okienne ramy już płonę zżocistym ogniem, z traskiem przełamują się po chwili, szyby pękają - z nienacką, i wszystko to razem upada na ziemię. Dywan puszysty kocią pocyna... Od firanki zajęte się rozrzucone na pianinie nuty, drobiazgi...

Wietrzyk, jak szatan złośliwy, dodaje tymczasem animuszu pomyśleniom, przyspiesza pochód ich po salonie...

Ogniste węże obejmują już niebawem w śmiertelny uścisk fortepian, skarżąc się on żałośnie... Meble pękają – od gorąca – dym, żar, napełniają pokój cały, kobierzec już płonie – posadzka pod nim trzeszczażaczyna!..

Wiatr ustaje tymczasem, chmurki stopniowo rozchodzą się jak przyszyty, rozpraszają... Sierp księżycyca ukazuje się znowu, i zagląda ciekawie do wnętrza pałacu...

Wśród ciszy śpiącego domu pali się już teraz cała prawa strona salonu; drzwi przymknięte od sąsiedniej jadalnej sali, pod naporem ognia, wali się, z trzaskiem – w tej chwili hufiec płomieni wsuwa się podstępnie do innych, przyległych komnat...

Nikt nie spostrzegł jeszcze w pałacu ognia. Cicho.

W pokoju, na pierwszym piętrze, śpi smacznie Topolski, a uśmiechnięty, rozmarzony, śni zapewne o Oli.

Mija jeszcze z kwadrans. W komnacie rozlega się nagle trzask silny, w ślad za tem podłoga wstrząsa się...

Topolski budzi się, a ledwo otworzywszy oczy, kaszleżaczyna: coś dusi go, w oczy się wżera...

Zrywa się wystraszony i przytomnie natychmiast. Instynktownie otwiera okno...

- Co to, na Boga, co to? - przenika mu jednocześnie mózg pytanie. Patrzy w dół przez okno - księżyc świeci, śpi wszystko!.. Słucha... Włosy jego – mu się na głowie, zapala świece, i widzi siebie w obłokach dymu.

- Pożar!.. - świta mu w głowie. Niepewny jeszcze, ubiera się pośpiesznie, parę chwil za pół – niej jest już na korytarzu - za drzwiami...

Dymu wszędzie pełno. Echo łoskotu płomieni na dole dochodzi tu wyraźnie... Poza tem wszędzie panuje milczenie zupełne...

- Na Boga, czy Ola śpi? - nikt snaz ogniu nic jeszcze nie wie! - przemyka przez umysł młodzieńca. Chce krzyknąć - Ogień, gore! - waha się...

Staje strwożony... Może jemu tak tylko się zdaje?.. Po sekundzie namysłu, rzuca się jednak na lewo, ku schodom, i biedz na dół zaczyna..

- Ola... Ola!.. - szepce półgłosem, pomny i tylko najdroższej sercu istoty, i znalazłszy się na dole, skręca gwałtownie w prawo, ku pokojom pani domu...

Po omacku, przewracając meble, biegnie Topolski przed siebie, jak nieprzytomny...

We względnym ciszy, towarzyszy mu tylko coraz wyraźniejszy odgłos palącego pałacu...

Nagle rozjaśnia się przed nim krwawo-czerwota płomienista przestrzeń ciemna pokoi, gęstych załóżoskot, potoczony z sykiem i świstem, odbija się donośnie..

To wspomnienie wdarły się już do siedzącego z sypialni Oli buduaru... Odblask ich oświetla jaskrawo białe drzwi, prowadzące do... Topolski na ten widok, korzystając z wolnego jeszcze od ognia, miejsca, rzuca się gwałtownie ku nim. Słucha...

Do uszu jego dolatują jakieś wołania, krzyki:

"Gore, gore! pali się... Ratunku! ratować. Bywaj!" - krzyczą teraz zewsząd zapamiętane, rozpaczliwie jakieś głosy, a pod samym domem rozlega się równocześnie przyspieszona bieżanina, tupot licznych kroków ludzkich...

- Już alarm dany - to dobrze! - czyni sobie w duchu Topolski uwagę i odruchowo wchodzi do sypialni Oli, zamknął drzwi za sobą.

Tu jeszcze cicho... Nocna lampka mętem tylko światłem oświetla komnatę; księżycowy promień drżący ściele się po ścianie i żółu, na którym leży Ola, pogrążona we śnie spokojnym.

Z pod kapy lekko narzuconej, unosi się jednostajnie pierś młodej kobiety i rysują wdzięcznie kształty ciała...

Pomimo grozy położenia, Topolski zachwyty powstrzymać nie może. Chwilę stoi nieruchomy...

Huk tymczasem jakiegoś mebla, pękającego, pod naporem ognia, odgłosem swym budzi uwagę... Strwożona, zrywa się, rzuca kapcie, i w bieli...nie nógkami bosymi, dotyka ziemi...

Jednocześnie dym napełnia sypialnię poczyna, a przez dolną szparę u drzwi wciska się przemocą, niby węż jadowity, krwawe pasemko ognia... Ola rzuca okrzyk strasznej trwogi, i wcale nie widząc jeszcze Topolskiego, porywa stojący na małym stoliku dzwonek i rozpaczliwie dzwoniąc poczyna...

Topolski, widząc i słysząc to wszystko, szybko otwiera na całą okno i rzuca się ku Oli... Ona spostrzegła go wspaniale...

- Co to?... Pan tu?... O, jakżeż można!.. i Ola zarumieniona milknie, a wstyd zarazem staje się silniejszym od trwogi, bo ruchem nagłym obwija się rękami porzuconego obok na krzesło szlafrocza...

Huk ponowny tymczasem wstrząsa murami pokoju. Ogień zwyciężca wkracza jednocześnie w komnatę, drzwi pękają i pękają! Topolski porywa drżąc ze strachu i wstydu młodą kobietę w swe silne ramiona.

- Co... to?... Co... to?... - szepcze Ola jeszcze, z lękiem... Męczycyna pragnie coś odpowiedzieć w tej chwili, z łoskotem i chrzęstem, wpadając do sypialni drzwi roztrzaskane, a zięćca paszcza płonących komnat pałacu ukazuje się, jak na dźoni, w całej swej grozie i majestacie...

Jednocześnie rozlega się przeraźliwy krzyk kobiety!..

To zbudzona dzwonieniem swej pani, wbiega w sąsiednim pokoju służąca, wołaniem, błaga o pomoc!

W sypialni zaś już nie ma nikogo. Wskoczywszy zresztą oknem, Topolski stoi teraz w parku i obrzuca spojrzeniem płonący pałac. Widzi w oddali ludzi kilkanaście, ekonomów, parobków i służbę dworską, a w dali zapomnianą przez wszystkich sylwetką marszałkowską...

Wśród gwaru słyszany zarazem donośny głos pana Emila: "Hej! hej! ludzie, tu! do mnie!! - woła energicznie. - Ratować pani!.. W rogu dworu!! przędź!!!"

Słuchając tego rozkazu, kilku ludzi natychmiast odrywa się do ogólnej gromadki służących i leciając ku pokojom młodej dziedziczki - ku niemu!..

Wystraszona przodem i krzykiem Ola zarzuca równocześnie Topolskiemu na szyję swe nagie ramiona! On, wstrząsnąwszy się pod tym dotknięciem, porywa się nagle z miejsca, jak szalony, i mknie chyżo w ogród... Krew gorąca, młoda, grająca nim poczyną... Zapomina o wszystkim, prócz tulącej się do jego piersi kobiety i ucieka dalej i dalej...

Do uszu jego dolatują wołania coraz cichsze, okrzyki!.. Topolski biedznie przestaje ku znanej sobie altanie, położył onej na karku ogrodu.

Prowadząca do niej aleja parku rozbrzmiewa echem gwałtownego jego biegu, szeleści mu nad głową liśćmi pogwarem.

Z zarzuconymi na szyję męczycyny ramionami, tuli się wciąż ku niemu, jak powód wiotkie ciało Oli... Topolski, dotąd zapatrzony wciąż w przestrzeń, opuszcza naraz głowę i wzrokiem pięści chwilę trzymaną w uścisku kobietę...

Oczy jej przymknęły - zemdlą!..

Topolski zatrzymuje się. Z miłością bezbrzeżną, pragnieniem, spogląda cięgle na Oję... Krew uderza mu nagle do głowy!..

- Mój ty skarbie najdroższy!.. moje ty wszystko!.. - szepce drżącymi ustami, i jak szalony, całowając ją poczyną jej wargi, oczy i ciało!..

W kilka minut później, dopada cienie altany i niknie, ginie w jej głąbiach... Niedyskretny, ciekawy wsuwa się za nim księżyc błądzący, a kopuła altany, mieni się od jego promieni, drży leciutko - tajemnicza...

W dalekim zakłtku parku znów cicho...

.....

Koło pton-cego pałacu natomiast ruch panuje nie do opisan

Co chwila od pobliskiego stawu i z powrotem pEdz- galopem konie, wioz-ce beczki z wod-; wszystkie miejscowe sikawki s- w ruchu, dyryguj-cy zał parobkami i słułb- ekonom Gowartowa krEci siE, jak mucha w ukropie, krzyczy, gniewa siE, rozkazuje...

MEdczy...ni zalewaj- wod- dach, pton-ce belki, wdrapuj- siE na piEtra, wyrzucaj- oknami nietkniEte jeszcze przez ogieæ pałacowe meble. Zbudzone wiejskie kobiety, w ponarzucanych płachtach i koszulach, przypatruj- siE bezmyłnie połarowi, gwarz-c z cicha pomiEdzy sob-, lamentuj-c, złorzecz-c...

Grupa ich wystraszona rzuca siE nagle w bok, z okrzykiem...

To przelEkniony hałasem i płomienist- łun-, pEdzi wprost na nie kary, pólkrwi arabskiej, ogier, wyrwawszy siE z pozostawionej bez opieki stajni.

Ucieka strwołony, błEdny... Wymin-wszy zał rozpierzchł- gromadkE, umyka przed ogniem i lud...mi do parku, budz-c jego drzemi-ce cisze przerałonem rłeniem.

Jednoczełnie na czele kilkunastu tomaszowieckich fornali, wpada przez bramE, z impetem, Krasnostawski, a z przybyciem jego wszystko wre dokołta, ze zdwojon- energi-

I oto niebawem krwawa łciana ognia, wzbijaj-ca siE ku niebu, miejscami złocista, tam znów, niby krep-, przesłoniEta czarnym gryz-cym dymem, zaczyna zniłasiE, zmniejszaæpowoli... Juł obecnie huk połaru coraz czEłniej przerywaj- syki gasn-cych płomieni - opanowany nieco ływioł mniej gro...nym siE staje, pokorniej, cichnie...

Lewe podłune i najwiEksze pałacowe skrzydłto pali siE jeszcze, płomieæ nadal zwyciEsko sieje tam zniszczenie, praw- stronE jednak domu ugaszono juł zupełnie. Z płaszcz-cego siE tu dymu wyłaniaj- siE teraz białawe, osmalone mury; włról zgliszcz, juł zwEglonych, pełzaj- jeszcze tam i ówdzie ogniste wEłe, całuj-c lubiełnie, lił-c łcian poczerniałych podnółe.

I w porównaniu gwaru, zgiełku, które panuj- u pton-cego w dali pałacowego skrzydłta - cisza krłuje tu wzglEdna...

Tam ruch, krzyki, krzyłuj-ce siE rozkazy, łuna ognia, huk jego, syk, oraz zupełne oddanie siE wszystkich całkowicie dławieniu i walce z ływiołtem...

Tu - srebrz-ce siE, czyste promienie jałniej-cego wysoko na niebie

niepokalanie miesi-ca, co bęyszcz- na okopconych flicianach, stanowi-c dziwny w sobie, a pełen spokoju, kontrast, z wrzaw- i krwawo-złocist- poźog-...

Szelest kroków tymczasem przerywa nagle milczenie. Za wCEgtem stercz-cego samotnie odłam murów pogorzeliśka, pojawia siCE Krasnostawski, i stan-wszy w zamyfieniu, flic wzrok badawczy w stronCE parku.

- Tam pułciłem już w ruch wszystko!.. - mówi głoŃno do siebie. - Dokończ- gasiæ dadz- sobie radCE beze mnie... - mrućy dalej. - Ja zaŃ ich muszCE znale...æ muszCE!..

Krasnostawski milknie, i rozgl-gaj-c siCE bacznie dokoła, kieruje siCE w gę-b parku, idzie z wolna zamyfiony, a trzyman- w rCEku dęug- nahajk- co chwila uderza siCE machinalnie po wysokich, okopconych butach...

Od czasu, jak tu przybył na ratunek i pi-te przez dziesi-te zdołał rozpytaæsiCE o pocz-tek i przebieg poźaru, myŃl jedna i ta sama drCEczyła go bezustannie: gdzie s- Topolski i Ola?.. flic nic zętego im siCE nie stało - wiedział... Co robi- zatem sami tak dęugo?..

Kochaj-c OICE i odczuwaj-c przez to podwógnie zacieŃniaj-cy siCE stosunek jej z Topolskim, męody człowiek przeczuwał wiCEcej od marszałkowej i Ładyżyæskiego... Oni, pochłoniCEci poźarem, jak wszyscy zreszt-, potracili gęowy!.. A on?..

MyŃleææ Topolskim i Oli nie przestawał, jak szalony przy tem siły odpCEdzał od siebie myŃli niektóre.

Obecnie, tkniCEty przeczuciem jakby, szedł wtaŃnie alej-, prowadz-c- do ustronnej altany...

Dusz- Krasnostawskiego miotał niepokó. ZazdroŃaszarpała nim bez miłosierdzia, s-czyła swó jad zatruty, niepewnoŃamCEczyła - obawa, że sprawdz- siCE skryte jego podejrzenia, tamowała mu oddech w gardle i zniewalała w bezsilnej wŃciektoŃci zaciskaæłtonie.

Poza dziedzin- przeczuæbowiem, ów niepokó Krasnostawskiego miał również ...róđto i w nastCEpuj-cym, konkretnym fakcie.

Komenderuj-c i uwijaj-c siCE przy poźarze, spotkał Krasnostawski pomagaj-c- również innym, znosz-c- wodCE, dziewczynCE sęużebn-, ulubienicCE Oli...

Ta zaŃ, gdy j- zapytał o pani-, opowiedziała mu beżładnie: - Powiadam paniczowi... Boże, Boże, jakie to było straszne! JaŃnie męodsza pani dzwoni, i siCE budCE, ubieram prCEdziutko, sęyszCE jakiŃ szum... Otwieram drzwi, a tu - ogieæ, ogieæ jak daleko spojrzeæna paæskie pokoje... Tylko poŃciel męodej pani pusta i okno otwarte!..

KtoŃ rozdzielił ich i dalsz- indagacyCE przerwał Krasnostawskiemu szerz-cy siCE poźar, zamCEt i wrzask. Poprzestaæmusiał tylko na tem.

Teraz szedł coraz prędzej. Nagle zatrzymał się, jak wryty.

Już od minut paru zauważył na wilgotnym piasku alei ślad kroków męskich, obutych w zgrabny trzewik, teraz zaś leżała przed nim dobrze mu znana papierosnica Topolskiego, a opodal widziany często we włosach Oli grzebień, z szyldkretu.

Wtępliwości już być nie mogło... Krasnostawski pochwyił machinalnie oba leżące przedmioty i biedząc...

Szalała w nim burza.. Nienawistny, pogardzonego przez ubóstwianek kobiet na korzyści rozpaliła mu krew, napełniła jak niepokonany dziesięć pastwienia się i zemsty!..

Spocony, blady, stanął wkrótce u wejścia do altany, i biedząc nadsłuchiwał z zapartym oddechem. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, usta zacisnęły się boleśnie, oczy zamigotały dzikim ogniem.

Z cichej, sennej altany dochodziły wyra...nie dwa głosy - dwa szepty...

Krasnostawski rozchylił gałkę... Na szelest ten w ciemnościach zerwał się ktoś śpiesznie i u progu stanął Topolski. W półmroku nocy zamajaczyła jego twarz biała, rasowa, i dwaj mężczyźni spojrzeli sobie, milcząc, prosto w oczy.

Trwał to sekundę, lecz wystarczyło Krasnostawskiemu, bo to, co wyczytał na wzburzonym obliczu Topolskiego, aże nadto uzasadniło jego obawy.

Wysiękaniem woli, ochłoniwszy z wrażeń, przemówił pierwszy Topolski, wskazując swobodnie na pozór ruchem ręki widnokrąg, gdzie dogorywała już żona ognia:

- A zatem, chwata Bogu, już po żołarze!.. My właśnie...

- Nikczemny! - zabrzmiało w ciszy słowo jedno.

Wymówił je głosem drżącym Krasnostawski, i niepomny niczego, rozszalały, schwyciwszy Topolskiego za gardło, drugą ręką przerzucił go poprzez siebie i z pasy- okładał biedząc trzymaną w ręku nahajkę...

W milczeniu zakłócając rozległ się krzyk bitych i w ślad za tem okrzyk inny - kobiecy!..

Ku dwóm mężczyznom wypadła Ola... Jak lwica, rzuciła się natychmiast pomiędzy nich, a obroniwszy Topolskiego, gwałtownie, szybko, wymierzyła Krasnostawskiemu dwukrotny policzek...

Jak rąbany obuchem, zachwiał się pod tem uderzeniem mężczyzna, cofnął się wstecz, blady, jak ściana, oszalały, straszny.

Zaległa chwila milczenia...

Oswobodzony Topolski znikł we wnętrzu altany, a z ust stojącej na wprost

Krasnostawskiego kobiety wybiegłoby drżącym, urywanym szeptem, pełnym oburzenia i zimnej - gorszej od policzka, pogardy:

- Podły... sżugo!.. Jak śmiał się? - Precz!..

Ze wzruszenia umilkła Ola, po chwili dopiero i powtórzyła raz jeszcze, przejmując - ciszej:

- Precz!..

Tego nadto już było dla rozbolałego zazdroścy i bódem mŃskiego serca! Nie czynnie, lecz moralnie spoliczkowany po raz drugi, Krasnostawski zachwiał się powtórnie, jak nieprzytomny, w oczach pociemniało mu - zawirowały altana i drzewa parku...

- Kocham cię! - szepnęły w oddechu cichutko, jak skarga, usta jego i omdlały runął u stóp kobiety, zdeptany jej postępkami...

.....

fwit zorzy wyrzał nieśmiało spoza stepu, pół szerokich, orze...wił się w toni sennego jeszcze stawu i wślizgnął do altany ciekawy...

Nie było w niej już jednak nikogo, zarówno jak i nigdzie, w pobliżu:

Niebo zaróawiało się stopniowo, początkowo ledwo dostrzegalnie, boja...liwie, pó...niej zaś coraz silniej i śmielej.

Przeci-gaj-c się lubię nie, wstawała jutrzienka z obłoków puszystych pościeli.

Na powitanie jej tryumfaln- fanfar- rozbrzmiał park cały świergotem ptasz-t; zbudzone, zrywały się one do lotu, otrzepywały zamasyście skrzydełka z porannej rosy, rozlatywały się na wsze strony, siadały na zczerniałych ruinach spalonego pałacu. Dym jeszcze ścilił się tu gdzieniegdzie... Na pogorzelsku, jak karbunkuły, bżyszczą tam i ówdzie, dopalaj-c się, belki i inne szcz-łki pałacu, tliły się w zgłiszczach - tuliły do okopconych zwalisk...

A wokoło drzemało, spało wszystko!..

Ze spuszczonei żaluzyami, spoczywały zatem pałacowa oficyna, stajnie i gumna, śniły także liczne, rozsiane za pałacow- bram-, białe wieńniacze chatki...

Potężny, wspaniały zabłysł pierwszy promień sżoæca i obojętny zajął nad wszystkim dokoła...

Nie zbudził jednak nikogo... Na gazonie tylko, pod gó- wyrzuconych z pałacu, leż-cych na kupie mebli, duży pies podwzowy otworzył oczy, mlasnął językiem, przeci-gnął się i zasnął...

Zadumanej ciszy nie przerywało nadal nic zgoła.

Pomimo, iż przez szpary okiennic Tomaszowieckiego dworku wślizgiwało się już słońce, w tak zwanym kancelaryjnym pokoju paliła się jeszcze duża lampa, oświetlając biurko, przy którym Krasnostawski pisał coś szybko i zamazywał. Obok niego stała szklanka z herbatą i leżały porzucone na ziemi, niedopałki od papierosów... Nagle młody człowiek porzucił pióro, z hałasem odsunął krzesło od biurka i zamknął wszystkie okna, powstał.

- Nareszcie! - westchnął głęboko z ulgą i zbliżywszy się do okna, odemknął je, odczepiwszy zarazem wewnętrzne haczyki okiennic.

Fala słonecznego światła, wraz z powietrzem letniego poranka, wpłynęła do pokoju. Krasnostawski zgasił lampę i spojrzał przed siebie...

Od początku minęła doba tylko, patrz – jednak na młodego plenipotentę, pomyśleć można było, iż od tej chwili oddzielały go lata; nie młodzieniec bowiem obecnie, pełny hartu i życia patrzył przez otwarte okno, ale mężczyzna, na pozór więcej, niż dojrzały, który zapominał już jakby, że młodym był tak niedawno.

Jak burza, przeszła po nim pamiętna noc rozterki, cierpienia, upokorzenia i bólu, ślad wiecznotrwałości zostawiwszy po sobie...

Twarz Krasnostawskiego była, oczy przymglone i podkrążone, a na skroniach gdzieś, wśród czarnych pukli włosów, biała nitka przedwcześnie siwa.

I kontrast przykry prawdziwie stanowił ten człowiek, stojąc tak w owej chwili w ramie okna... Przed nim, w perspektywie, jak okiem sięgnąć kraina cała złociła się od złotych kęp zbożowych, zieleniła od niw i stepów, śpiewała setkami głosów: uśmiechała się rozkosznie!..

- flycia!.. flycia!.. Miłoci, szczęścia!.. - wielkim głosem wołało wszystko, a on jedyny tylko, nieczuły na nic zgoła, stał wciąż tak samo nieruchomy, zapatrzonej nie w dal jasnej, lecz w cienie cierpienia duszy własnej..

Po nocy poru do Tomaszówki uciekł Krasnostawski piechotą, obudzony się z omdlenia, sam jeden wśród szumiącego mu łagodnie nad głowami parku.

Tu, u siebie, przemyczył się, jak nieprzytomny, w błąd - do rana. W kołach jednak zmęczenie fizyczne zabiło moralną troskę. Snem kamiennym, a zbawczym dlań, przespał Krasnostawski większość dnia, bo aż do godziny szóstej po południu. Zbudził się za już nieco innym...

Zebrałszy myśli i wspomnienia, przede wszystkim postanowił uciec co rychlej z tych miejsc, rzucił się w wir pracy w warunkach całkiem

odmiennych.. Powietrze dusiągo poczęto, ziemia parząstopy!.. Chciał
już wskoczyć na konia i opuścić wszystko na zawsze.

W porę jednak zastanowienie i zimna logika trzęwego rozumu powstrzymała
go na szczęście od tego kroku...

Wszak, poza dziedzinę moralnych jego cierpię, stał przecię jeszcze mur
rzeczywistego życia, które chleb mu dotąd dawało - istniał świat
obowiązków dotychczasowego jego stanowiska tutaj.

Rzucałak wszystko byłoby lekkomyślności- iście chłopięc-

- Nie, ja tego nie uczynię! - zdecydował. - W jak najcięższym
porędku przekaże na odjeździe wszystkie gospodarskie księgi, rachunki,
kasę i.t.d.

Po skromnym posiłku, zabrał się Krasnostawski do wyczerpującej pracy,
całych nieledwie dziewiętnaście godzin pisał, rachował bezustannie.
Wreszcie wyczerpany skończył przed chwilę...

Był wolnym!.. Za godzin parę będzie mógł opuścić strony - na
zawsze...

Zadumany smutnie, stał Krasnostawski wciąż pod oknem; zapatrzony, nie
zauważył on wcale zbliżającego się ku niemu wyrostka.

Dłwięk jego głosu zbudził młodego człowieka. Spuścił wzrok i zapytał
głęboko:

- Ha!.. szczo każesz?..

Wyrostek, był to chłopiec stajenny, wysłany przezem do Gowartowa, by
sprowadzić tamtejszego starego i zaufanego rzędcę, któremu chciał
Krasnostawski zdać klucze kasy, księgi, i przekazaćostatnie
rozporządzenia. Z relacji chłopca okazało się, że rzędcę wyjechał do
miasteczka.

- A pany? - spytał machinalnie Krasnostawski, używszy utartego pomiędzy
ludem miejscowym wyrażenia, oznaczającego w liczbie mnogiej, właściciela
danej wioski.

- Nykoho ne baczył! - odrzekł zapytany i dodał zarazem, że Szmul, który z
karczmy wiejskiej, powiedział mu, że państwo na dobre wyjechali. -
Każut, szczo do Szczesnoi, do jasnoho grafa Topolskoho! - poinformował
znowu wyrostek.

Na wybladłym licu słuchającego tych nowin młodzieńca zakwitł rumieniec
oburzenia.

- Łotr!.. - zgrzytnął cicho, niedostęszalnie przez zęby. - Snażpotrafił
każdego z osobna podejśćszukaćPrawdy nie domyślił się nikt,
widocznie...

Więc teraz ugascza wszystkich u siebie... Co za ironia prawdziwa! - dokończył w myśli, i w ciekłociągła opanowała go...

- Czego, durniu, stoisz! - huknął w twarz parobczakowi, a ź zatrzeszy siē szyby dworku.

- Osiodaj mi zaraz konia! - dokończył spokojniej nieco.

Niebawem zgotawy kasztan, z bia- gwiazdk- na czole, parską ochoczo pod Krasnostawskim, jad- cym na przeaj przez pola do Gowartowa.

Wokoło niego praca wrzała. Krz- taj- cy siē lud roboczy: parobcy i gospodarze kłaniali siē nisko czapkami panu plenipotentowi; czarnookie, czarno brewe moodyce i dziewczēta, w jaskrawych spódnicach i chustkach, pozdrawiały, równie Źyczliwie mōdzieca zerkaj- c z uśmiechem i lubo- ci- na "harnoho chōpca*").

[*] Pięknego chōpca.]

W kwadrans pó...niej, Krasnostawski zjeżdżał już stēpa na groblē gowartowsk-...

W gēbiach stawu, otoczonego zieleni- parku, odbijały siē dawniej, jak w lustrze, mleczn- bia- ci- i- ciany dworu. Teraz czerniały zarysy pogorzelska, a tam - na gōrze, zgliszcza, zakopconem pałacowem skrzydłem, krōwały smutnie nad le- cem dokoła siołem...

Je...dziec odwrócił oczy i wspi- konia. Jak strzała, przeleciał przez groblē i stan- niebawem przed zamkniet- wjazdow- bram- pałacu; tu hukæ pocz- , by mu j- otworzono.

Nadbiegło kilku stajennych; oddawszy im spienionego konia pocz- Krasnostawski wypytywa- siē o mieszkańcōw pałacu. Okazało siē, i- dom cały wyjechał nazajutrz po po- arze, rankiem i bawił teraz w go- cinie u Topolskiego, w Szczēsnojej.

- A to co? - zapytał nagle, furmana zdziwiony Krasnostawski, wskazuj- c spicrut-, na całe stopy czego, ponakrywanego p- achtami.

- To, paniczu, meble z pałacu; pan ekonom kazał poprzykrywa- tymczasem!
- odpowiedział zapytany.

Krasnostawskiego zirytowało to niedbalstwo, wzglēdem ocalałych, i cennych, a tak dobrze mu znanych, mebli pałacowych. Zdecydował g- no.

- To tak zosta- nie mo- e! - i ruszył spiesznie ku - rodkowi gazonu, gdzie le- ały meble. Kazawszy pozdejnowa- w - lad za tem wszystkie przykrycia i opony, ujrzał, i- mebli uratowanych było sporo.

- S- parobcy na toku? - zapytał.

- S-... s-! - po- wiadczyła krz- taj- ca siē wokoło niego s- u- ba.

- Siergieju! - rozkazał Krasnostawski po ma- orusku starszemu furmanowi,

- id...cie powiedziecie zaprzęgi do wozów, ile się da i zajeżdżaj tutaj, a gumienny, niech da klucze od pustej stodoły!.. Trzeba to wszystko - wskazać ruchem ręki meble - tam zaraz zawie... tymczasem i zamknąć.

Plenipotenta dóbr gowartowskich lubiano powszechnie i słuchano chętnie.

Natychmiast zatem furman skierował się do gumien; wyprzedził go chłopiec stajenny, by rozgłosił pierwszej rozkazy "panycza."

Krasnostawski pozostał sam i uważnie zaczął przeglądać nagromadzone meble. Tam i ówdzie rozpoznawał na wpół uszkodzony sprzęt i przypominał sobie miejsce, gdzie on stał dotąd w pałacu...

Spojrzał na pogorzelsko... Groźny i bolesny smutkiem wiąło od tego zakłosa - ruina zwyczajnie szczyt trupi - paszczek - miał się jakby szyderczo...

Z mimowolnym wstrętem, odwrócił się Krasnostawski i na nowo począł przyglądać się, z uwagą, pałacowym sprzętom. Uśmiechnął się smutnie...

Obok na wpół pękniętego dużego salonowego zwierciadła, zlamane tuliło się łóżko pozłacane, w stylu "empire," z pokoju Oli Dzierżymirskiej. Tam znów jej szafa odemknięta, z kilkoma pozostawionymi w pośpiechu sukniami - walała się obok szczątków pianina...

Dziwna rzecz jednak - pomyślał w tej chwili - jak sprzęt przypomina człowieka!.. Ola, Ola i jeszcze Ola!.. Widział on już tu - wszędzie, te odłamki zachowały jakby części tej osoby - dusza ukochanej przezeń kobiety błąkała się w nich, martwych i obojętnych...

Młody człowiek znalazł wiele rzeczy nieuszkodzonych prawie; niektóre z nich sam odsuwał od innych, segregował.

- Ooo!.. - wyrwał mu się nagle z ust, z ubolewaniem.

Przed nim, zdruzgotane, przepalone niełotliwie do połowy, leżało w pyle piękne, ulubione biurko Romana, antyk pamiątkowy, z mahoniowego drzewa, wykładany bogato srebrem, subtelnie inkrustowany perłową masą. Krasnostawski zaczął macać uważnie dokoła przepalony sprzęt drogi. Obejrząwszy go dokładnie, zajrzał do kilku szufladek i skrytek.

Lecz nagle koło pobliskich gumien zatętniało... Wykonywał rozkaz, nadjeżdżały już wozy. Turkot przybliżał się coraz wyraźniejszy, donośniejszy, bliższy. Krasnostawski, zajęty biurem, drgnął, lecz nie na odgłos wozów bynajmniej.

To ruszona w tej chwili bezwiednie dłoń - jego zgrzytnęła niebawem jakaś sprężyna i szufladka, dotąd dla oka niewidzialna - rozłożyła się przed nim, a w niej, o, dziwo... leżał oto spokojnie portfel niewielki, z eleganckiej, brązowej skóry. W rogu pugilaresu połykiwała granatów korona hrabiowska, - błyszcząca czerwonym ogniem. Ochłoniwszy ze zdziwienia, Krasnostawski rozciągnął się swobodnie i wziął

portfel w ręce.

W tej chwili jednak na dziedzińcu zadudniły drabiniaste wozy, parobcy, zdejmując czapki, witali go wesoło i dziarsko, a zeskoczywszy na ziemię, brając zaczęli do roboty.

Chcąc nie chcąc, musiał Krasnostawski stłumiona razie ciekawość schowawszy tajemniczy pugilares do kieszeni, poczęł energicznie wydawać rozkazy.

Wozów było kilkanaście. W pół godziny, plac przed zgliszczami pałacu opustoszał; wozy, jeden za drugim, skierowały się powoli ku tokowi.

Do gumien przyjechano niebawem; przed otwartą pustą stodołą zawrzało ruch; wkrótce ułożono porządnie pałacowe meble, przykryto je, drzwi zamknięto szczelnie i Krasnostawski, rad z ostatniego na szczęście spełnionego obowiązku - wyjechał z wioski.

Puściwszy konia luzem, zamknięty, znalazł się w kwadrans później w lesie, gdzie, znużony, zsiadł z konia i rozłożył się swobodnie na murawie. Zdjąwszy kapelusz z głowy i wciągający w siebie świeżo, aromatyczny woń boru, sięgnął on do kieszeni po pugilares, rozwinął go i poczęł szperać ciekawie.

W portfelu leżały ułożone porządnie banknoty, w osobnych przedziałkach rulony złota.

- No, no! - mruknął parokrotnie Krasnostawski i z coraz wzrastającym zdziwieniem, pieniądze zaczął liczyć sumiennie.

Wszystkich razem było dwadzieścia siedm tysięcy kilkaset. Ułożony na powrót banknoty i złoto, Krasnostawski portfel zamknął i spojrzawszy raz jeszcze na koronkę z graników, potrzymał go jakiś czas w dłoni, poczem wpuścił do kieszeni. Widoczne zakłopotanie malowało się na jego twarzy. Czuł się zaambarasowanym, co czyniał tym fantem?..

Wypadało go zwrócić niezwłocznie, w zastępstwie prawego właściciela, jego żonie - Oli. Zatem jechało Szcześnej osobie?..

- Nigdy w życiu! - rzekł głośnie do siebie młodzieniec. Zaspiał się. Nagle myśli jakaś nowa zrodziła mu się widocznie w głowie, bo zerwał się żywo i wskoczywszy na konia, wjechał w las drożyn. Wkrótce w borze rozległy się głośnie ujadania psów, i Krasnostawski, opędzając się od natarczywych kundli, wchodził do małej chatki leśniczego...

W chałupie panowała cisza. Rozciągnięty na ławie, spał snem sprawiedliwego mężczyzna, w sile wieku, barczysty, ubrany w kurtkę myśliwską; dubeltówka leżała opodal, w kącie drzemał pies legawy.

Krasnostawski potrząsnął energicznie ramieniem śpiącego leśnika. Ten ostatni zerwał się, a ujrzawszy plenipotentę, zawstydzony poczęł błąkać.

- Słucham panicza, słucham... Padam do nóg... Tak mnie jakoś zmroczyło... Zasnęłam, ale to, jak Boga Kocham, nigdy mi się nie zdarza...

- Nic nie szkodzi, mój Rzemieścki! - uspokoił go natychmiast Krasnostawski, klepiąc poufale po ramieniu. - Potrzebuję was, i to natychmiast... Pojedziecie z pieniędzmi i z listem do Szczesnojej, gdzie są teraz państwo... Ja oto teraz sam jadę konno do domu, a wy w ślad za mną - idcie do Tomaszówki piechotą. Tylko idcie zaraz!

- Duchem, proszę panicza, duchem! - odparł i wawo leśniczy w ślad za odjeżdżającym.

W pół godziny później, metody plenipotent siedział już przy biurku w Tomaszówce i kreślił swój paragraf do pana Emila.

Jako nic niewiedzący o zajęciu z Topolskim i Olą, napisał Ładyśkiemu tylko, iż musi niezwłocznie jechać do miasta rodzinnego na wakacje - intratną posiadłość, nie chcąc zamykać karyery tutaj, bez widoków na przyszłość.

Nadzieję otrzymania miejsca natychmiast motywował także wyjazd bez pożegnania, jak i przesyłkę również kluczy od kasy, ksiąg rachunkowych, oraz znalezionej pugilaresu. W końcu listu, Krasnostawski przeproszał pana Emila za trud i dodawał sucho, że pensji nic mu się nie należy, bo czyni niespodziany zawód swym dotychczasowym chlebodawcom.

We wrotach dziedzińca tymczasem majaczyła już barczysta postać Rzemieśckiego, pies legawy, poszczekując radośnie, wyprzedzał go...

Uświadomiwszy o czym należało starego sługę, wręczył mu Krasnostawski: papiery, księgi i klucze, oraz portfel znalezionej, z nadmienieniem zawartości jego, a przerwawszy szereg utyskiwań i szczerych żalów dotyczących się jego stąd odjazdu, - wyprawił do Szczesnojej.

Sam zaś do kancelarii powrócił i znużony padł na otomanę...

Widocznym było przy tym, iż w mózgu jego odbywała się jakaś walka...

- Nie, nie daruję!... To ponad siły moje! - rzekł wreszcie kilkakrotnie, urywanym szeptem, porywczo.

- Nie daruję! - powtórzył: - On o wszystkim wie! Tak także sprawiedliwie! Tak musi, tak będzie! - głośno już zupełnie wyrzucił z siebie wzburzony, a przysunął fotel do biurka, sięgnął ponownie po papier listowy, i umoczył pióro w atramencie.

Zatrzymał się... Po chwili cisnął pióro, wstał i znów zaczął chodzić gorączkowo po pokoju.

- Jak to? - szeptał. - Ja miałbym, niby pies sponiewierany, odejść, usnąć, zniknąć... Ja miałbym zamknąć sercu ich wspólną tajemnicę, i tem samym ocalić tego chłopca!.. Prawda, jednak,

dziurawy drewniany mostek, gdy konie, z ICEkiem poczęły się nagle wspinać cofając się przez grabelki. Furman zaklął po matorusku, i parokrotnie uderzył biczem konie...

- Stać! - rzucił naraz krótko Krasnostawski i zeskoczył z bryczki.

- Kto tam jęde! Baczysz? - zaciekawiony zwrócił się nagle do mrużącego wciśniętego furmana, wskazując ręką zbliżający się na bocznym trakcie obłok kurzawy.

- A kto ich znaję!.. Pewno zwitki(*) pany! - odburknął furman, który złazłszy takżę z kozła i poprawiając uprząż u koni, częstował wścieknie jednego z nich energicznym w pysk uderzeniem.

[*] Skłócił.]

Krasnostawski nie zauważył tego znęcania się nad ulubionymi dotąd przezę kołami...

- Dlaczego pany? - spytał z roztargnieniem, a pó...niej zaraz w tym samym języku dorzucił: - A, prawda, poznajęz po turkocie...

Odmienny bowiem rzeczywiście od furkotu kół bryki, czy też innego poja...dziku, stępiony, jednostajny i nieco gęchy przerywał ciszę przestrzeni turkot powozowy, regularny. Niebawem też zgrabny faeton wyłonił się z obłoków pyłu; konie siwe, w angielskich szorach, zaprzęone w leje, i dwoje ludzi siedzących na ko...le, ubranych w liberyę granatów-, ze złotymi guzikami.

Zaprzęg w parę minut stanął przy moście. Krasnostawski wydał okrzyk zdziwienia, taki sam drugi odpowiedział mu z zewnątrz powozu i odemknęwszy z hałasem drzwiczki, wyskoczył z niego zapyłony ładyński.

- No, gonięm pana, ale nie spodziewałem się, że go złapię! - załmiał się wesoło pan Emil i ułcisnął wycięgnięte dęo Krasnostawskiego.

- Witam, witam!.. - cięgnął dalej. - Cóż to, bułanki kaprysz- i przez most nie chcę przejść? Obserwowałem... no, siadaj pan ze mną; zobaczysz, jak hrabiowskie angliki przejdę spokojnie.

Ładyński pocięgnął Krasnostawskiego do powozu.

- Cóż to, pan takżę na kolej, czy tylko po mnie? - ułmiechnął się Krasnostawski, nieco zmieszany i zaskoczony widokiem pana Emila.

- Wyjeżdżam - odrzekł tenżę krótko, i dorzucił swobodnie, zauważywszy wyraz twarzy młodego człowieka: - Nie bę się pan, nie trwó!.. Nie myłł wcale i nie mam polecenia zwracać pana z drogi do dawnych obowiązków... Przeciwnie, mojem zdaniem czynisz pan bardzo dobrze, i ż rzucaz te kęty...

W Gowartowie nie doszedłby nigdy do niczego, a szkoda młodołaswoję zamykać i tracić.

I Ładyżyæski wyci-gn-ł, przy tych słowach, rCEkCE do Krasnostawskiego, a
¶cisz-wszy j- silnie, rzekł jeszcze.

- PowinnowaænogCE tylko, ¿e¶ siCE pan otrz-sł ze skrupułów, i ¿yczyæ
powodzenia na przyszło¶.

Krasnostawski skłonił siCE, milcz-c. Pan Emil za¶, przechodz-c
natychmiast na inny temat, ju¿ mówił:

- Wiesz pan co?.. Siadaj pan ze mn-!.. Mam panu X rzeczy ciekawych do
opowiedzenia. C¿, zgoda?

Krasnostawski usłuchał; bryka cofnCEła siCE nieco, a powóz, przejechawszy
spokojnie przez mostek, potoczył siCE znów równo i szybko dalej.

- SłuzCE panu! - rzeki Ładyżyæski, czCEstuj-c Krasnostawskiego cygarem.
Zapalili...

Oparłszy siCE wygodnie o poduszki i zaci-gn-wszy cygarem, pan Emil rzekł.

- Nadstawiaj pan uszu!... Tandem tCEdy, zaczynam...

- Słucham, słucham! - potwierdził młodzienc, kontent w duszy, ¿e go
co¶, choæna chwilCE, odrywa od smutnych my¶li.

- Przedstaw pan sobie zatem, panie kochany, ¿e jeste¶ w teatrze na
jednoaktowej szaradzie. Uwaga pan: sza - ra - dzie...

Rzecz dzieje siCE, mówi-c w¶a¶ciwym stylem, za naszych czasów, na
Ukrainie, w SzczEsnojej, maj-tku grafa Topola - Topolskiego.
Popołudniowa, przedobiednia godzina - cisza... Pałac pogr-żony w
milczeniu... W tej samej jednak chwili stoj-cy na ganku strzelec, w
pokornym zgiCEty ukłonie, podaje co¶ mCE¿czy...nie, ubranemu w smoking.
Mówi-c nawiasem to ja - u¶miechn-ł siCE pan Emil, po chwili ci-gn-ł
dalej:

- Kurtyna spada, nastCEpuje odsłona druga: Sala portretowa jadalna, do
stołu zasiada ze trzydzie¶ci eleganckich osb... Jedno tylko krzesło
wolne... Wchodzi ten sam mCE¿czyzna w smokingu, trzymaj-c co¶ w rCEku.
Wita tam i ówdzie osb parCE, zbli¿a siCE do młodej nadobnej damy i wrCEcza
jej z ukłonem portfel, mówi-c co¶ obja¶niaj-co... Nagle siedz-cy obok
sam "graf" zrywa siCE od stołu, jak oparzony, i robi-c arcygłupi- minCE,
wpatruje siCE w portfel... Zaintrygowanie ogdne, sytuacja jednak
wyja¶nia siCE wkróce...

W tej chwili spojrzawszy na zasłuchanego towarzysza, pan Emil roz¶miał
siCE serdecznie.

- No, dosyæna ju¿ pan tych efektów scenicznych, dokoæczCE panu zatem tCE
szaradCE zwyczajnymi tylko słowy...

- Dziwi pana zapewne - mówił dalej, - arcygłupia mina Topolsia, gdy
ujrzał portfel, z połuskuj-c- koron-, symbolem jego wielko¶ci!..

- Otóż, w tem ma się rzecz cała, że portfel ten nie Dzierżymirskiego, i nie jego pieniędzy, ani pani Oli, lecz, ni plus ni minus, tylko Topolskiego...

- Nie może być - wykrzyknął Krasnostawski, szczerze zdziwiony.

- No, cóż! szarada dobra... co? - rzucił wesoło Ładyżyński.

- Niezła - uśmiechnął się z kolei młodzieniec - bo dotąd przynajmniej nic a nic jej nie rozumiem.

- Cierpliwoci! Zaraz pan pojmiesz wszystko - uspakajają się pan Emil swego słuchacza.

- Zapaliliśmy poprzednio cygara, bo i pańskie zgasło, nieprawdaż? - rzekł w ślad za tem, a wydobywszy zapalniczki, zapalił z nich usiłował, lecz wietrzyk swawolny zgasił mu je - i następnych kilka. - Sapristi! - zaklął z cicha. - Staćcie-no, hej! tam! - krzyknął na furmana.

Konie zatrzymane stanęły; wspomagany przez młodszego plenipotentę, Ładyżyński zapalił wreszcie cygaro, a podniósłszy głowę, spojrzął przed siebie.

- Cóż to? Wyżycpol? - zapytał służyby.

- A tak, proszę jaśnie pana! - potwierdził lokaj, zdejmując liberyjną czapkę.

- Tiens, tiens, widzi pan jak to czas leci - zwrócił się do Krasnostawskiego; - za jakie pół godziny będziemy na stacyi, patrz pan, - i wskazał ręką krajobraz.

Błyszczą w mroku, lśniła się opodal wstęga rzeki, na górze malowniczo rozrzucone dookoła miasteczko mrugało dziesiątkami światłek...

- Jechał - rozkazał Ładyżyński.

Powóz ruszył; pan Emil, po chwili milczenia, przemówił nagle:

- Przepraszam stokrotnie, że widzę ciekawość w oczach pańskich, nie kończąc opowiadania... Pozwolisz pan, że mu zadam dwa pytania: czy masz pan dobrą pamięć dokąd pan jedziesz?

- Jadę do rodzinnego miasta, a pamiętam wybornie! - uśmiechnął się Krasnostawski.

- Otóż to - bardzo dobrze. Napisałem, bo widzi pan, list do Romana, ze szczegółowym opisem tego, co teraz tu opowiadam. Mam pamięć jednak fatalną... Zapomniałem listu wrzucić na pewno! Mój panie kochany, we... go i wrzuć na dworc... Cóż, dobrze? Przy tych słowach, Ładyżyński wyjął pośpiesznie z surduta gruby list i podał go Krasnostawskiemu. Ten

machinalnie schował go do kieszeni, gdzie spoczywał i jego do Romana pismo.

- No, więc kołeczko!.. - zaciął się dymem, rzekł pan Emil.

- Słucham i to bardzo ciekawie - przerwał z zainteresowaniem Krasnostawski.

- Dziwił się pan fakt, - cięgnął Ładyłowski - że pugilares i tysiączki są właśnie hrabiczka, chociaż znalazły się w szufladzie Romka?.. W tym sęk właśnie, że Topolski dopiero przekonał się, iż są one w innym, niż przypuszczał, miejscu.

Wyobra... pan sobie bowiem, jaki był przebieg zguby tych pieniędzy...

- Temu lat sześćdziesiąt, Topolski miał przyjaciółkę w teatralnych sferach.. Otóż pewnego wieczora, zaprzysięgł sobie w duszy uroczystość, że puści w drogę swoją magnifikę, idzie Topolski do niej na ostatnie rendez vous... Naturalnie w kieszeni kilka tysięcy w zapasie - Ładyłowski urwał, zamiał się i puściwszy z ust kółko dymu, mówił dalej.

- Lecz i tym razem spotyka pana na szczęsnej niepowodzenie... Nadobna córka Melpomeny nie chce nawet słyszeć o rozstaniu... Scena więc z tego naturalnie, płacze! On przeprasza - ona w końcu daje się przebagać amor vincens tuszując wreszcie wszystko!..

Pan Emil odsapnął - i swobodnie po chwili cięgnął dalej:

- Nad ranem, z miłością gruntownie odegrzał w sercu, przysięgł sobie, iż przyjaciółki nie porzuci nigdy, powraca Topolski do siebie... Nagle, dotknął się kieszeni surduta, nie znajduje tam - pugilaresu! Ona, ta nieprzejednana, zagrała z nim komedię; za mało jej było dziewięciu tysięcy, które jej pono dawał, najbezczelniej okradła go więc, po prostu na całe dwadzieścia i siedem, znajdując się w portfelu.

Topolski jednak wobec powyższego faktu, po głębszym wniknięciu w siebie, decyduje, że b-d... co b-d... pozbył się baby...

Oddychając zatem pełną piersią - swobodny wyjechał do domów swoich "krzyżak na niewiniątynie pugilaresie postawiwszy" - jak powiedzieliby bracia nasi, Litwini...

Tu pan Emil przerwał opowieść jeszcze, zapalił na nowo zgasłe cygaro i kołeczko.

- Od tej chwili minęło lat sześćdziesiąt, a tych dwoje nie widziało się wcale.

Skończyłem...

Ładyłowski odetchnął i umilkł.

- Dziękuję panu za opowiadanie - pośpieszył z odpowiedzią,

Krasnostawski. - Rzeczywiście, szarada prawdziwa... Ale w Szczesnojej zdziwienie było wielkie?

- Ogromne! - odparł pan Emil. - Notabene, wyobra... pan sobie, w Szczesnojej pełno gości... Mieszka tam więc stale: primo jakaś poważna wielce krewna Topolskiego, zapewne dlatego, by do kawalerskiej siedziby pana na Szczesnojej mogły przybywać damy; secundo, prócz męskiego towarzystwa, przybyłego niespodzianie z kolei dzień z rana - a w których to gronie nie brakowało i jednego prezesa, społecznego koleżki Romana - znajdowało się też w siedzibie Topolska kilka osób, które przyjechały specjalnie do naszych: pań, z kondolency - po lekarze.

Więc powiadam panu! - mówił wesoło dalej Ładyżyski - gdy to co mówię, nam, męczyznom, opowiedział Topolski po kolacyi przy cygarze, i kiedy wiadomość do pań się przedostała, Topolski został bohaterem dnia!..

- No, a pani Ola nic o istnieniu tego portfelu nie wiedziała?

- Ależ, nic zupełnie! - podchwycił Ładyżyski. Tem większe zaintrygowanie, domysły!.. Wszyscy, a szczególnie panie, wsiadły na mnie, bym natychmiast opisał to wszystko Romanowi, chciały nawet, bym specjalnie w tej sprawie pojechał do niego... Prezes zaś, księż Szydłowiecki, zrobił nawet w liście moim dopisek, żeby Romek powiadomił go telegraficznie o swym przyjeździe, to on wyprawi wówczas raut na cześć jego i Topolskiego, jako bohaterów tej zagadkowej sprawy... Jednym słowem, powiadam panu - komedia...

Ładyżyski mówiąc przestał, strzepując popiół z cygara. Lecz trwało to krótko...

Rozmowa wkrótce potoczyła się znowu błyskotliwa, lekka...

A powóz tymczasem dudnił wspaniale teraz po moście, rzuconym przez rzekę, i wtoczył się w wiskie brudne uliczki Łydowskiego miasteczka; niebawem wymiął je i znalazł się na szerokim trakcie, prowadzącym do kolejowego dworca.

Jednocześnie w oddali ukazały się trzy góry - to pociąg zbliżał się już do stacyi. Pierwszy dojrzał go Krasnostawski. Sięgnął szybko po zegarek i spojrzął:

- Oho, już po dziewiętej! to pański pociąg...

- Do djaska! - zły - się pan Emil i - wyłożył wzrok w kierunku pociągu.

- Janie! galopem! - krzyknął, zwracając się energicznie do furmana... Dam ci na mohorycz... nocowa... ani myśle!.. Może zdziemy! Jazda, a ostro!..

Stangret trzasnął z bicia, czwórka puściła się pędem po gładkim szlaku.

Ziajane już konie, galopując, sapały i tak dojechało aż pod sztachety

drewniane, okalające stacje... Tu pełno już było wozów, bryk, obywatelskich czwórek, oczekujących na swych panów.

Gdy elegancki ekwipaż pana Emila wtoczył się na brukowany plac przed stacją, jednocześnie na platformie rozległ się dzwonek i wpadł tam, z hukiem pociąg, zatrzymujący się tu tylko parę minut.

- Zuch z ciebie! - pochwalił Ładyżyński furmana, i rzuciwszy mu półimperyała, wyskoczył szybko. Rzeczy, przytwierdzone za powozem, odwiązywano już; dwaj panowie, zarzdziwszy po piech, pobiegli do sali.

Tu ruch panował nielada..

Pasażerowie przyjezdni wysypywali się z wagonów i tłoczyli do wnętrza dworca; jadący kupowali bilety, służba kolejowa nosiła ręczne bagaże, zdawała kufry, biegała gorczkowo, kręciła się, jak w ukropie.

Przebiegłszy energicznie przez tłum, pan Emil zdobył bilet pierwszej klasy i w minutę potem, wychylony z wagonowego okna, rozmawiał z łożącym go Krasnostawskim.

Uderzył trzykrotnie dzwonek, konduktor gwizdnął, lokomotywa odpowiedziała mu przecięgle - pociąg ruszył powoli z miejsca.

- Do widzenia!... Powodzenia na nowej drodze życia!..- mówił pan Emil, uśmiechając się przyjaźnie, serdecznie ściskając dłoń Krasnostawskiego.

Ten ostatni zaś, widocznie pod wpływem jakiejś nagłej myśli, puścił szybko rękę Ładyżyńskiego, skłonił się, i wydobywszy szybko z kieszeni dwa listy, podbiegł ku uchodzącemu wagonowi pocztowemu. Dogonił go i ręcznie wrzucił w otwór włazowy oba pisma.

- Addio... dziękuję! - postępszał jeszcze głos pana Emila, i pociąg znikł niebawem.

Krasnostawski pozostał sam. Następny pociąg miał przyjechać wkrótce, poszedł więc do kasy, kupił bilet, a wróciwszy na platformę, usiadł na ławeczce samotny.

Zamyślił się...

Poza nim zamykał się teraz na zawsze jeden okres dotychczasowego jego życia.

Płatny służba bogatszych od siebie ludzi żył się on jednak, zbratał z ich życiem - z nimi... I po co?.. Po to, by obrachunek ten życia wspólnego zakończył marnie?..

Krasnostawski pochylił głowę, ująwszy je w dłoń. Jakiś bunt mimowolny podnosił się w nim przeciwko życiu, losowi i ironii jego.

Po co tu przybył lat temu kilka, po co przywiózł się do tego cudzego kątka ziemi, po co tak gorco ukochał Ojca?

Dlaczego to wcielenie wdzięku, czaru, wiosny, miłości i piękna, w osobie tej kobiety, stało się, jak cię niepochwytne, na drodze jego życia?..

Krasnostawski pochylił się bardziej jeszcze i długi czas pozostał nieruchomy.

Nagle drgnął całym ciałem i podniósł głowę. Gwizd donośny przeszył powietrze, na dworzec z hukiem, szumem, w kłobach pary wpadł pociąg kuryerski.

Krasnostawski począł szukać miejsca w wagonach. Ulokowawszy się wreszcie, zbliżył się do okna wagonu i wyjrzał.

Zamykano już w pełni z pośpiechem drzwiczki, wśród zgłębku rozlegał się trzeci dzwonek.

Krasnostawski ostatniem spojrzeniem smutnem objął raz jeszcze wszystko i cofnął się w górę wagonu...

Zagrała w tej chwili trąbka drożnika, mignęły latarnie sygnałów i pociąg kuryerski znikł, pochłonięty cieniami nocy.

Na dworcu zagościł znowu spokój. Wszyscy rozeszli się teraz na dobre, pogaszono latarnie, a w oknach stacyi niebawem również znikły światła.

Na bagnach chłubi grał tylko swobodnie jednostajnie gdzieś w dali, w pobliskim lesie słyszeć się dawały jakieś, szmery i senna noc cicha, zasiadłszy, jak królowa, na tronie z tkanego złotem szafiru - rozpostarła panowanie nad światem...

Cisza zupełna zawładnęła okolicą.

Mierz-c tylko mknący chyżo czas, olbrzymi zegar stacyjny wydzwaniał godziny miarowo...

W milczeniu ogłdnem, jak szept człowieka, głos jego odzywał się bezustannie:

Tik - tak! tik - tak! tik - tak!..

W centrum Mediolanu, na placu "Del Duomo," w powodzi jaskrawych promieni upalnego, kołacz-cego się już popołudnia, leniwie snuły się po chodnikach sylwetki niezbyt licznych przechodniów, krył się od słońca pod kolumny frontowe i oszklone galerie "Vittorio Emanuele."

Wokoło klombów, zajmujących środek placu, i otaczających stojący tam pomnik, kręciły się jednostajnie elektryczne tramwaje, dzwonił co chwila, rozbiegając się i ginąc w sieci ulic miasta, sam zaś na koniu majestatyczny Wiktor Emanuel II, z brązu, z piedestału pomnika, wpatrywał się zdawał ciekawie w otwarte drzwi królowej tu na placu

katedralnego tumu, pociągającego z oddali tajemniczo wejścia góbin... Koronkowej roboty marmurowe jego ściany, dach, kilkadziesiąt wieżyc i zdobiące go statuy, w liczbie około dwóch tysięcy, wznosiły się dumnie, i wystrzelały wysoko w niebo wąskie, szafirowe, czyste, zadziwiająco misternym wykończeniem, dając sobie najlepsze nieśmiertelne świadectwo genialnej pracy człowieka.

Po marmurowych stopniach schodów tej okazałej, gotyckiej katedry, mogącej w swoim wnętrzu pomieścić około 40,000 ludzi, co chwila wchodził ktoś do jej przedsionka, lub wychodził na ulicę - z której ciszy niewidzialnie wpadając nagle w hałaśliwy wir miasta, i natychmiast jego mieszkańców, w osobie spacerującego po trotuarze tuż koło tumu przekupnia, ciszącego w ręce każdego gwałtem mozaikowe wyroby weneckie.

- Uno liro, signore, solamente uno liro! - na pół rozpaczliwym, na pół przekonywającym głosem napierał się wspaniale ten ostatni, niady Włoch, o przebiegłym spojrzeniu, i trzymając w ręku jakby podejrzanej roboty broszkę, zagradzał drogę młodemu męczycielowi... nie, wstępującemu, w zamknięciu; po stopniach katedry.

Dzierżymirski przystanął; podniósł głowę, i spojrzał w oczy natychmiastowi, a żachnąwszy się niecierpliwie, rzucił mu coś energicznie po włosku. Przestępiwszy próg kościoła, zdjął kapelusz i odetchnął z ulgą.

Przyjemnym chłodem w przeciwstawieniu do panującego na dworze upału; powiało na niego z wnętrza tumu i milczeniem skupionem, powagi i - majestatu pełnym... Ciepła, pustka i tajemniczo niewytłumaczona objęły go zarazem niepodzielnie. W ciszy; po mozaikowej posadzce, z marmuru, donośnie, rozległy się kroki Romana.

Poza amfilad - 52 kolumn olbrzymich, kolosów, szesnastu kroków każdy obchodu mających - w perspektywie, daleko, widniał wielki ołtarz, chór i rzędy plecionych krzesłek świecących przy zmięzionym blasku kolorowe szkła okien, ponad głową - za Dzierżymirskiego, opiekuńczo jakby, wznosiły się marmurowo wyniosłe gotyckie arkady; z wierzchołków kolumn, zdobiące je grupami każdy - z osobna, patrzyły na niego dziesiątki statuetek małych...

Odblask słoneczny dotknął delikatnie pięknych rysów przybysza, jego smagłych policzków, wypukłego czoła, i oświetlił je przelotnie.. Rażony światłem w oczy, Roman usunął się w cień, i spuściwszy głowę na piersi, zadumał się głęboko.

Godzin temu dwie zaledwie odebrał jednocześnie dwa listy...

Pierwszy od Emila Ładyżewskiego, sarkastycznie - szyderski, opisujący mu szczegółowo i swobodnie fakt znalezienia pugilaresu, - powalił go w pierwszej chwili, niby uderzenie obucha.

Drugi, przepełnił miarę jeszcze!..

Ze słów tak szczyrych, i już nie mogły nasunąć nawet momentalnej wątpliwości, wyrwanych prosto z bolejącej duszy ludzkiej, dowiedziały się Dzierżymirski o zdradzie Oli...

Chwili tej nie zapomni do grobu!..

Otchłama, zda się, głębocka i bezdena rozwarła mu się pod stopami, dusiągo w gardle poczęło, w głowie powstał zamęt - w piersiach dotkliwy ból!.. Wybiegł jak nieprzytomny na ulicę... Półobłąkany prawie przybił pod stopnie marmurów katedry po ukojenie...

Za progiem niewi-tyni, rzeczywiście cudem po prostu jakimś, powróciła mu samowiedza i względna równowaga umysłowa..

I oto teraz Roman porz-dkowaaczyna uci-żliwie myśli. Wzrok jego machinalnie błądzi po wspaniałych freskach, z dziełami mistrzów, ołtarzach, marmurowych rze...bach i pomnikach, zatrzymuje się instynktownie na siedmioramiennym kandelabrze olbrzymim, kosztownej roboty, w kształcie drzewa... Potem oczy jego spoczywaj-bezmyślnie na kopule, przed chórem i znajduj-cej się pod ni- podziemnej kaplicy świętego Karola Boromeusza, ozdobionej bogato drogimi kamieniami i złotem...

Dzierżymirski sięga nagle do kieszeni i wyjmując otrzymane listy... usiłuje przeczytać je po raz wtóry...

Przed nim, przeświecane błętnieciem słońca, zmatowanym blaskiem żagodne światła - w zmierzchach katedry wspaniałe trzy okna chóru, jak mówi-, najwiecejsze na świecie całym.

Niby żywe, patrz- na Romana z okiennych witrzyn miniaturowe postacie świętych; malowane barwnie na szkło, na małych kwadratowych tafelkach - 350 obok siebie reprodukcji scen religijnych, wzorowanych na najświetniejszych mistrzach wychyla się, płońnie setkami kolorów i cieni...

Dzierżymirski wypuszcza listy z ręki i ukrywa twarz w dłonie...

Pod wpływem bowiem jednego rzutu oka tylko na pisma, cierpienie bezbrzeżne i rozpacz tłocz-c- fal- zalewaj- mu duszę...

Więc zdradził go!.. Zdradził nikczemnie, dla zmysłowego upojenia - dla szata!.. Zdeptał jego miłość i uczucia, oszukał go - zapomniał!..

Więc takim ironii zgrzytem nagradza jego los szyderca, za to, co dla kobiety tej nigdy uczynił!..

Ależ on dla niej przecież poświęcił wszystko!.. Siebie oddał!.. Sw- cześciwość sumienia!..

- Przez ciebie wszystko to uczynił, przez ciebie! - głuchy jęk unosi pierś męczyzny. - O, Olu!.. Olu!.. przez ciebie!..

I milknie skarga...

A potem niezrozumiałego już coś tylko, niedosłyszalnego poczynaj-

naraz szeptaæ do siebie Dzierżymirskiego usta.

KICEka i jakie¶ bde i ale pñyn-æsiCE zdaj- pod strop milcz-cego tumu,
biegn- trwożnie pod wyniosłe jego arkady, odbijaj- siCE o statuy, rze...by
i pomniki - na kolana padaj- u ołtarzy - lec-, tam, gdzie¶ wysoko... do
Boga!..

Lecz oto nagle spokój ¶wi-tyni brutalnie przerwany zostaje...

- Yes, yes, yes!.. - odzywa siCE co chwila i dowcipy francuskie wtóruj-
angielszczy...nie, - z przewodnikami Baedeker'a w rCEku przesuwaj siCE tuż
koło Romana garstka osób, z udaniem znawstwem ogl-daj-c wszystkie zabytki
tumu.

Gwarz-c wesoło, dziel- siCE tury¶ci na dwie połowy. Jedna z nich zmierza
zobaczyćwnCEtrze kaplicy ¶w. Karola Boromeusza, druga, pobrzCEkuj-c
pieniCEdźmi, kupuje niebawem prawo obejrzenia dachu katedry, przy
stoliku, postawionym we wnCEtrze ¶wi-tyni, na prawo, w g±CEbi, u wej¶cia
do prowadz-cych tamże schodów.

Roman powstaje i z ko¶cioła uchodzi po¶piesznie. Na ulicy wskakuje do
dorożki, i rzuca g±o¶no jakiś rozkaz wo...nicy.

Powozik rusza... Stopniowo, coraz szybciej wymija ulice, uliczki, place
targowe; starożytne ko¶cioły i pałace... Ruch miejski wokoło zmniejszaæ
siCE poczyna i powóz wjeżdża niebawem w szerok- alejCE, gdzie, oprócz
biegn-cych gdzieś tam tramwaj, nie ma zgoła nikogo.

W ¶lad za tem również roztwiera siCE perspektywa...

Poza obszernym placem, bieleje kwadrat wielkiej kolumnady, zieleæ ¶wieża
ramuje j- wdziECnie. To już miasto umarłych, - jeden z najpiCEniejszych
włoskich pomnikowych cmentarzy, medyolaæskie "Cimitero Monumentale."

Powóz podjeżdża bliżej nieco, Dzierżymirski wysiada i id-c piechot-,
kieruje siCE ku rysuj-cej siCE teraz całkiem już wyra...nie i okazałe,
cmentarnej kolumnadzie wej¶ciowej. Kroc-c za¶ tak powoli, my¶li:
Nareszcie... tu, u grobu matki, dadz- mi spokój przynajmniej ludzie!..
Tu zdobEdCE samotno¶ci chwilCE z jej prochami tylko i z samym sob-!..

WstCEpuj-c po stopniach schodów, Dzierżymirski znajduje siCE niebawem pod
dachem kolumnady, kwadratowym frantom, ozdobionym wieżycami, zamykaj-cej
z zewn-trz widok i wej¶cie na cmentarz.

U stóp Romana obecnie, w potokach sñonecznych promieni, na tle zieleni
gaju, bielej- setki marmurów, wystrzelaj- w niebo dziesi-tki gotyckich
wieżyczek, mauzoleów i pomników...

Nie patrz-c nawet na nie, obojCEtny, Dzierżymirski, skrCEca w lewo, a
wzrok jego przesuwaj siCE machinalnie po małych zadrukowanych tabliczkach
marmurowych wprawionych gCEsto obok siebie w ¶cianCE kolumnady, a
oznaczaj-cych miejsce trumiemek, z popiołami nieboszczyków.

I Roman w ten sposób dochodzi do k-ta frontowego czworoboku, widząc za siebie naprzeciw siebie mur, skłocęca, idąc wciąż jeszcze pod dachem kolumnady, posłusznie, na prawo...

Zadumany, mijając wprawiony w rzeźbianie pomnik rodziny Volonte, pełny artysty, piękny bardzo w oddaniu grozy i bólu...

Na ciało już oto martwe piękne młode dziewczyny i leżące w powłoki na łóżku z kamienia, w zgiecie bolesnej postaci całej, rzucona w szale rozpacz, klęczy młoda kobieta i całuje drogą dla siebie twarz zmarłego... Całuje, pieści w zapamiętaniu śmiechem, upojeniu strasznym, bo ostatniego, a nieodwołalnego już porzucenia!..

Roman, wszedłszy po schodach bocznego skrzydła kolumnady, jest już na cmentarzu.

Idzie wolno, kierując się bezwiednie aleją znaną, wiodącą ku mogile matczynej.

Wkoło niego wznoszą się zewsząd wspaniałe grobowce: Verazzich, Sonzognich, Nasonich, Turatic, Brambillich, Pagnonich i innych włoskich rodzin i rodów. Pieściłki kamieniarskiej, rzeźbiarskiej i budowlanej roboty, mauzolea, w kształcie gotyckich kapliczek, z pięknymi ołtarzykami, mozaikami, obrazami i innymi ozdobami wewnątrz liczne, odcinają się licznie na tle zieleni drzew cmentarza... Po wsze strony za siebie, gdzie okiem rzucił tylko, w tych wszystkich białych grobowych sylwetkach pochwycony artystycznie, w kamieniu martwy i marmury rzeźbiarskim dźwiękiem zakuty, drżący, zdawało by się wszędzie... ból!..

Słoneczko, zniżając się już stopniowo coraz bardziej, złoci teraz rzeźbiłki róg białych postaci... W pobliżu Dzierżymirskiego, z krawędzi odłamu - na wprost obrosłego zielenią, a doskonale imitowanej skały górskiej - z jej szczytu, iskrzący się w blaskach słońca, spogląda wyniośle dokoła wspaniałą orzęt z bromu.

To odznaczający się od drugich oryginalnością pomysłu, grobowiec Poggich...

Dalej za siebie nieco pomnik rodziny Rusconi; rzeźba kobiety, o oczach, pełnych wyrazu, wpatrzona smutnie w dal, z testamentem nieboszczyka w rękach, na którym wyryte widnieją zapisy..

W innej znów stronie, wdowa w półleżącej pozycji, zapłakana; twarzy jej nie widać wcale - ukryta w dłoni. Cała postać wyraża ból niezmierny.

W swej wiersz grobowców w Odrówe, Dzierżymirski przystaje nagle... W zamyśleniu - zbłądził... Oryentując się, zawraca, i ponownie mijając mnóstwo grobowców, okazałszych, skromniejszych - przechodzi mimo pięknego nader pomnika.

Na grób z marmuru rzucona duża kotwica; pod krzyżem siedzi na mogile anioł-kobieta, o przełicznym wyrazie twarzy, pogrążona w smutnym zamyśleniu, z wieńcem w dłoni...

Niebawem, tuż obok idącego wci-ż Romana, wyrasta znów pomnik z kamienia. Na wierzchołku jego, z rękoma wzniesionymi do góry, modli się wielki Anioł, z pięknymi bardzo rysami twarzy, u stóp grobu klęczy kobieta, ze wzrokiem spuszczonej wdzięcznie, w ekstazie jakby błą, odziana cała w zwoje subtelnie odrze...bionych koronek.

Wkrótce przed grobowcem, banalnym nieco, a w porównaniu z innymi nader skromnym, Dzierzymirski pochyła się, zdejmując kapelusz i kłęk, oparłszy głowę o zimny kamień pomnika. Na grobie wyrze...biony subtelnie w białym marmurze biust pięknej kobiety, oczyma wielkimi, pełnymi wyrazu, z odcieniem litoficji, czy błą, patrząc się zdaje badawczo na pochyloną postać głowę męczycy...

Tymczasem rozsiana dokoła cisza, tchn-ca spokojem, momentalnie ukazuje poczyna Romana. Z chaosu, dotychczas panującego mu w mózgu, jedna po drugiej wyłaniają się doniesione mu fakty, ustawiają rzędem w symetryczną całość niby ogniwa, logik-, rozumu spojone, wi-ż- się ze sobą-, grupują...

I kara życia, nieubłagana, zimna, choć moralna tylko, staje Dzierzymirskiemu teraz przed oczyma wyra...nie...

Pozornie otrzymał on wszystko: W obliczu świata pozostał bezkarnym; był bogatym, wpływowym i wielkim, kłaniano mu się, żebano jego łaski, protekcji.

flycie całe dot-d opromieniała mu Ola miłośnic- sw-, bez granic...

Posiadał skarb najwładniejszy - kochał i był kochanym...

To było wczoraj jeszcze, a dziś?... Dzierzymirski, pod ciężarem cierpienia, pochylił się w tej chwili bardziej jeszcze, skulił się, zmalał...

I w jasnowidzeniu jakby nagłym, ujrzał on równocześnie, co innego jeszcze...

Przyszłość awta-!..

On więc, w społeczeństwie swym jeden z pierwszych niemal; on, stojący na jego świecie, nie skażony moralnie, "na zewnątrz" - niczem, sponiewierany może, zbrukany pos-żeniem, lub domysłami, a wreszcie, - kto wie, czy nie stojący w obliczu tłumów, pod przegierzem prawdy, tajonej skrycie do dziś dnia na dzień duszy?

- O Boże!.. Boże! - jęk mimowolny wydobywa się z piersi Romana, oczy zaś jego wznoszą się jednocześnie i spotykają na grobie, z wizerunkiem matczynym. Oblicze rodzicielki patrzy teraz na niego, z wyra...nem współczuciem, współboleje z nim jakby. Jak żywa, spogląda na Romana matczyna, twarz smutna; kilka kropelek rosy, czy deszczu, ukrytych dot-d w załamkach kamienia, spływa nagle po wykucie obliczu pięknej kobiety...

Zachodzące słońce zakrwawia je swym blaskiem...

I krwi- oto serdeczn-, zdaje się matka płaka nad synem - łzami litości i bólu.

A Roman jednocześnie, w porwywie cierpienia, wyciąga ramiona do rze...by twarzy drogiej, obejmuje niemi głowę z marmuru i krzyż pomnika, a dotkn-wszy czołem czoła matki, szepce coś jak dziecko, kwili...

- Matko... mateczko! - słychałokładnie, i cicha skarga z piersi mu się wyrwa! Z będę jutra, czy się w nim zarazem jakiś bunt niewytłumaczony do świata, do ludzi - do życia!... I w szepcie słów urywanych, zmieszanych, wymówka wnet cierpka słysze się daje.

- Matko! - szepcze Roman, z wyrzutem. - Dlaczegoż nie po tobie odziedziczyłem gor- krew tej ziemi? Czemu, ach, czemu, z mlekiem twym wysałem zapalczywy ogień pragnie, zmysłowego szafu, który zniweczył we mnie wszystko, któremu oprze się nie zdołałem, i upadłem tak nisko... tak... nisko!

Nie mogłem odmówić sobie posiadania kobiety, którą ukochałem, bo w żyłach mych płonęła, jak lawa twych, matko, ojczystych wulkanów, krew dzieci południa, bo natura ich gwałtowna, przewrotna, bez nieświadomych uczciwości zasad, zakorzeniła się w mej istocie... Podeptałem wszystko... wszystko...

- Matko, tyś temu niewinna, ja wiem, tyś niewinna! - skarżył się dalej Roman, przepraszał jakby, - ale, czemuż twym wpływem, kiedy ojca straciłem tak wcześniej, nie starałaś się złagodzić mi tej natury narodu twego? Dlaczego nie mogłaś wyćpiąć z niego ziarna? Czemu?.. czemu?.. czemu?..

I pytanie to Dzierżymirskiego ostatnie, rozpaczliwe, uleciało, półpokorne, półgro...ne jakby i zamarło w ciszy!

A rodzicielka Romana mówiła piętym, wyrazistym w białej rze...bie wzrokiem - odpowiadała mu, zda się równie:

- Nie blu...nij, synu, nie rozpaczaj!.. Nie ja tu winnam!.. Wierz mi!.. Czyniłam, co mogłam... Wpajałam w tw- duszę nieświadome zasady, wzmacniałam twój umysł, twe serce! Nie miej żalu do mnie, me dzieci!.. Popsuła świat, co skala, zbruka niejedno swym bólem!.. Zbł- dziła!..

A tymczasem zbiegła usta Dzierżymirskiego, wij-cego się wci-ż u stóp grobowca, w bólu i niepewności jutra, zaszepcały znów rozpaczliwie, z cicha...

- Co czyni co czyni - Wszak tam wszyscy czekaj- teraz ode mnie wyjaśnienia o pieniądziej zgubie, którego dałam, niestety, nie potrafię. Cóż im powiem? co wymyślę, a zreszt-, cóż mi po tem? Gdybym po wysiłku mózgowym i znalazł może przem-dre nawet rozwiązanie jakie, czyż nie takim samym, nie do zniesienia piekłem, stałoby się to moje jutro! - odpowiadały w duchu Romana: bezmierne zniechęcenie i gorycz.

- W ci-głej, podwójnej jeszcze, niż dot-d, obawie skandalu, z tajon-,
tłumion- w duszy tajemnic-, bez miłoci, bez niej, bez Oli, sam,
opuszczony, z widmem wyrzutu sumienia?.. - Nie! - wyrzucił z siebie
Dzierżymirski, z moc-. - Ja tak żyć nie potrafię!..

Szept urywany Romana ustał. Tuł-c wci-ł w ramionach ciemny marmur
grobowca, milcz-c- snają-ł teraz z rodzicielk-sw-, a mo-łe i z Panem
Wszecrzeczy, prowadził on rozmowę.

Nagle jednak w stłoczonej piersi Romana cierpienia dłużej nie zdołał
ju-ł się ukryć spazmem łkania wydobył się na zewn-trz!

Milczenie cmentarnego zacisza wstr-sn-ł płacz męski, przejmuj-cy,
głęboki i przykrem nader echem rozległ się dokoła.

A tymczasem nad Medyolańskim przepięknym "Campo Santo," w całym swym
majestacie zachodziło słońce...

Mieniły się w odbłaskach jego dachy i wieżyczki licznych kapliczek,
mauzoleów; przez kolorowe w-skie szyby okienek, drzwi i kraty
włizgiwała się wewn-trz ich cicho czerwiałe promieni, pełzała po mozaicy
posadzek, muskała ubrane wdzięcznie kwiatami ołtarzyki, kandelabry,
pos-gi i piękne rzeźbionych obrazy...

Wspaniała wejściowa kolumnada iskrzyła się równie-ł blasków;
ściany, dach i wieżyczki położonego na drugim końcu cmentarza "Tempio di
Crematione" gorzały p-sow- gr- światła...

A mleczno-białe, ciche i zadumane dot-d sennie pos-gi pomników ocknęły
się po prostu jakby ożyły...

Kształty ich, misternie w kamieniu wykute, rysy, odrze...bione,
przebudziły się niby z martwoty dotychczasowej na drobn-, przelotn-
chwilce - na mgnienie!..

I nie s- to już alegoryczne postacie, ni podobizny zmarłych dawno -
nie, to wszak żywi ludzie, z krwi i kości! Ciała ich przecię-ł,
zaróżowione leciutko, drżę-łto zda się, porusza-ł w żyłach krew płynie,
usta co-ł mówić, a oczy ich, rysy, wyrazu pełne, bole-ł-, płacz-, smuc-
się - my-ł!..

Patrzcie... patrzcie!..

Tam, na, wspaniałym grobowcu, po obu stronach siedzącej na szczycie,
zadumanej symbolicznej postaci kobiecej, dwaj aniołowie zalewają się
gorzkimi łzami, szlochają!.. Tu znów, przy innym pomniku, po stopniach
jego porusza się, kroczy wzy-ł niewiasta młoda, - ku dwóm pos-gom,
stoj-cym na górze grobowca, prowadzi chłopczyka, ślicznotę, w którego

dłoni zaciśnięty kwiatusek się chwieje... A tam, znów dalej, w innej stronie...

W otwarte drzwi małego mauzoleum, po stopniach schodów wchodzi wolno, szeleszcząc jakby fałdami swej sukni, ze spuszczonego wzrokiem - w trzymanym w dłoni rękawie wpatrzona, cudnej piękności kobieta...

I tak dalej, i tak dalej...

Dziesiątki białooskrzydłych aniołów, wdów bolejących, załamujących się dźwiękami, tarzających się gwałtownie, czy też pogrzebionych w martwocie rozpaczki, - setki biustów, postaci - zda się, w cmentarnej ciszy nuciły oto hymn bólu, w zgodnym akordzie z piersi jakby wyrzucając - wszechogólny krzyk cierpienia!..

A promienie zachodu zniżają się tymczasem coraz bardziej...

Purpura ich ciemnieje w kołach, niebawem nikt nie powoli zaczyna tam i ówdzie. Zakładki cmentarza dalsze, pod murem, stoją już w cieniach - przyrodzonym kłopot się jeszcze w ostatnich połączonych drganiach czerwieni i złota...

Wokoło kłócącego Romana, i obejmującego wciśniętego w jednej i tej samej pozycji pomnik, z posągami matczynym, palącym się w całej pełni jeszcze dogasającym światła blaski.

Dziękuję, szukajcie dalej ulgi w cierpieniu, jak nieprzytomny, wciśnięty szeptał coś niezrozumiałego do skłanej w purpurze promieni rze...by z marmuru... I niebawem, w ciszy, przerywanej tylko łagodnym szmerem poruszanych u drzew liści, dręczących się znów skarga poczyna.

- Nie, matko! - szeptał Roman - nie, matko! zrozum mnie, nie gwał... Ja tam, do nich wrócić nie mogłem, to przechodzi siły moje!.. Wszak ja jego, kochanka Oli - tłumaczy się dalej Dziękuję, dziękuję - jego, mego wroga, zabijać powinienem! A jakże ja to uczynię? Przecież oczyszczać pojedynkiem nawet mego honoru nie mogłem! - z gorzkością w głosie, niby żywej osobie, perswadował Roman, coraz ciszej, załamany szeptem... - Zrozum, matko!.. Nie... mogłem!..

Milknie na chwilę, poczem urywanym głosem, z beznadziejną rozpaczą, mówi, zwierza się jeszcze... - Tak, matko! bo honoru wszak ja... sam... nie... posiadam!..

I Dziękuję, dziękuję, dziękuję: - On w twarz mi to rzucił, że jeśli się dowiedzie o wszystkim, a wtedy?.. Nie, matko! - powtarza głębiej Roman nie dając tego ode mnie! - Ja, z pięknym pogardą na czole, bez czci tych tłumów, które ujarzmiłem - zwyciężę potrafię!..

A szczególnie z jej... Oli możliwym pogardą - bez jej uczucia zwyciężę nie mogłem!..

I tem kołczy spowied... przed rodzicielką - syn zbolejący, a po chwili dorzuca, z mocą. - I... nie chcę!!!

Milknie Dzierżymirski, twarzy nie odrywa jednak od marmuru grobowca,
pogrążwszy się w jakimś półodrętwieniu głębokiem.

A wkoło niego tymczasem gaśnie już całkiem żona zachodu... Jak przed
chwilą, niby dotknęte czarownicę, ożywiały się posęgi z marmurów,
tak teraz kolejno do martwoty swej powracają.

Położony tylko tuż obok Dzierżymirskiego symboliczny grobowiec jaśnieje
jeszcze... Na wpół różowy od blasków czerwonych, blednie to wspaniale
coraz bardziej pocyna w tył przegięty, eteryczny i wielki na grobie tym
anioł z marmuru, o rysach precyzyjnych, o rysach kobiecych, dziwnie
nadziemsko zadumanych, a postaci całej wiotkiej i ustawionej na
pedestale w ten sposób w powietrzu unosił się, leciał...

Anioł patrząc się zdaje na Romana, ze współczuciem, spod rzesz
spuszczonych, oczyma żółtego jakby ducha. Nad urną, którą trzyma w
dłoniach i tuli do piersi i unieśmiertnia jakby pragnie w żółtych,
odrębiających się ognikach rzeczywiście światłem, pieszczony
ostatnim promyczkiem słońca!..

Wreszcie i on zupełnie gaśnie.

Korowód wieczornych cieni z mrokiem, wodzem na czele, wsuwa się teraz
cicho na "Campo-Santo" i welonem szarym wkrótce przesłania z wolna
wszystko... W oczekiwaniu jutrenki różanej, która ich znowu przebudzi -
zasypiają, symbole snu wiecznego, marmurowe rzeźby...by białe, doczesne
są tylko drzemki...

Stopniowo uciekają się zarysy posągów, kapliczek, mauzoleów...

Zmierzch ciemnieje. fioletowe światło tryumfu, a śmiech słońca po coraz
bardziej mrocznych zakątach "Cimitero" cienie wieczoru przesłania już
obecnie swobodnie całkiem - drżyna ich weseli się, tańczy, pusta,
skracając godziny do przyjścia nocy-władczyni.

Po pewnym czasie jednak staje się wśród tego grona jej paziów coś
nieuważliwie szczególnego bardzo... Wszystkie sylwety bowiem bawących
się cieni - czują się oto w jednej grupie, zartem kołem otaczają - któryś z
licznych grobowców.

Obejmują ramionami krzyż i posąg marmurowy, klęczy tu nieruchomo,
zlewając się prawie z pomnikiem, pochylona, biała sylwetka męczycielki...
Cienie pochylają się ciekawie nad nią, dotykają jej ciała, zaglądają w
twarz, dziwnie bladą.

I raptownie szepta jakby trójny przelatuje po szeregu paziów nocy...
Bezradni stoją wciśnięci, przelicznymi czemś jakby, przejęci,
cisi... Niektórzy z nich nawet zamykają ręce, drudzy kręcą z
niedowierzaniem głowami - inni wpatrują się smutnie w majaczące postacie
ludzkie.

Nagle koło ich rozpręga się gwałtownie, milkną - pozostawiają w

zapomnieniu zupełnym pomnik i znajduj-cego siCE u stCP jego czCPowieka. Momentalnie, szybko, ustawiaj-siCE skCPadnie w dwa szeregi, pochylaj- z gracy- i pokor-, szacunku peCPn-, w powitalnym ukCPtonie...

To pani ich i krCPowa - Noc, strojna, wspaniaCPa z wyCPzyn na ziemiCE zest-piCPa wCPaCPnie w tej chwili, w czarnym swym pCPaszczu i w gwiazd aureoli.

Poranek sierpniowy uCPmiechaCP siCE tego dnia radoCPnie do tCEtni-cego zwykCPym ruchem wielkiego miasta. Pogodny, jasny, niCPsCP on jednak w powiewach swych, chCPodniejszych juCP nieco i CPwieCPszych, zapowied... id-cej wczesnej jesieni, tej czarownej, piCEknej jesieni polskiej, tak zadumanej zda siCE i marz-cej cicho, po otulonych mgCPami pCPaszczynach i tak peCPnej porywaj-cej sob- tCEsknoty.

Na jednej z gCPCPwCPnych ulic miasta uwijano siCE CPwawo. Przechodnie, wszyscy skwapliwie spiesz-cy w jedn- stronCE, wymijali siCE gor-czkowo, dzwoniCPy tramwaje, doroCPki turkotaCPy gCPoCPno - lekko, z cicha przesuwaCPy siCE liczne, na gumowych koCPach, ekwipaCPe i karety, d-CP-c rCPwnie CP w tymCPe, co i piesi, kierunku.

Niebawem jednak liczba jad-cych powozCPw poczCECPa siCE zmniejszaCPstopniowo coraz bardziej, w koCPcu zaCP ustaCPa zupCPnie.

UlicCE ruchu koCPowego zamkniCEto. Ostatnie, zabCPkane doroCPki zawracano, zmuszaj-c do natychmiastowego skrCEcania w pierwsz- lepsz- bocz- ulicCE, a we wzglicednej, panuj-cej obecnie, uroczystej ciszy rozlegaCP siCE tylko zgCPuszony szmer licznych stCP id-cej po trotuarach gromady ludzkiej.

PCP-milczenie to dyskretne trwaCP dobre pCP godziny.

Wreszcie z wieCPyc jednego z pobliskich koCPcioCPCPw odezwaCPy siCE powaCPnie i rzewnie CPaCPobne dzwony i smutne - zabrzmiaCPy donoCPnie.

Ruch powstaCP na chodnikach... Zbierano siCE grupami, przystawano, policya i CPandarmi na koniach poczCEli czyniaCPporz-dek, niebawem zaCP w perspektywie wielkomijskiej, opustoszaCPej CProdkiem ulicy, ukazaCP siCE kondukt pogrzebowy. Na progach magazynCPw, balkonach i w oknach domCPw zaroCPiCPo siCE od widzCPw ciekawych...

Z kilkunastoma ksiCECPmi i licznyCP klerem, CPaCPobny korowCPd przesuwaCPsiCE zacz-CP z wolna alej-.

RamowaCPy go wdziCEcznie niewinne gCPCPwki id-cych regularnie rzCEdami chCPopaczCPw i dziewczynCP - a wychowaCPCPw z licznych miejscowych ochronek, zakCPadCPw dobroczynnych - za trumn- zaCP okazaCP-, zCPoCPon- na bogatym szeCPciokonnyCP karawanie i jad-cymi w CPlad za tem, uginaj-cymi siCE od wieCPCPw, CPaCPobnymi wozami, postCEpowaCP tCPum niezliczony - koCPysaCPo siCE morze gCPCPw ludzkich...

Hen! daleko zaCP, poza ciCPb-, gin-c gdzieCP w perspektywie ulic miasta,

Wciąż się w promieniach słońca sznur powozów i karet.

Wśród uczestniczących w pogrzebie rzeszy rozlega się stłumiony gwar ogólnie prowadzonych rozmów. Na wszystkich zaś ustach było teraz jedno tylko imię!

Bez zmyślenia i skazy wobec świata zeszedł do grobu - Roman Dzierżyński.

W ostatnich dniach lipca społeczeństwem miasta, w którym żył, pracował, któremu na różnych polach działalności przewodził, wstrząsnęła wiadomość niespodziewana, zakomunikowana przez gazety. Telegramem mianowicie doniesiono lakonicznie o śmierci prezesa Dzierżyńskiego, we Włoszech, w Medyolanie, na grobie matki, z aneurysmu serca. Powodem nagłego zgonu było, jak mówili jedni, silne wstrząśnienie moralne i bolesna wiadomość z kraju, jak utrzymywali po cichu inni - straty poważne, czysto finansowej natury i połączenie bez wyjścia!..

Ciało sprowadzono do kraju i dziś oto to same miasto, któremu Dzierżyński tak wiele zasłużył się za życia, oddawało byłemu przodownikowi ostatni - posługę.

Stawiły się wszystkie sfery i stany - wszyscy zaś z niechętnym żalem, szli obecnie za trumną człowieka, z którego śmierci, zdaniem ogólnym, ubywała miastu i krajowi nawet poważna społeczna siła...

A do jakoby posłuchać tylko uważnie tam i ówdzie co mówiono o zmarłym, by przekonać się, jak szczerym, jak powszechnym prawdziwie był ten żal po nim!

Jednocześnie bowiem i wszegdy wynoszono po niebiosy czyny prezesa Dzierżyńskiego, poświęcenie dla ogółu, zdolności, rozum, szlachetność i energię - jednobrzmięco ubolewano nad stratą jego niepowetowaną! Czasami, naturalnie, wplątała się i tu fałszywa gdzieśnuta, lecz ginęła natychmiast w akordzie powszechnego uwielbienia i żalu z przedwczesnego zgonu, tak zasłużonego społeczeństwu człowiekowi...

Z trudnościami przeciskają się pomiędzy dwoma sznurami ciekawych na chodnikach, wspaniały pogrzebowy korowód oddalał się tymczasem stopniowo w perspektywie ulicy, - wreszcie księża, karawani i dzieci - za trumną tłumy skręciły w lewo, i po pewnym czasie znikły...

Na pierwszorzędnej ulicy w mieście przywrócono ruch natychmiast. Z bocznych ulic wysypały się dziesiątki zatrzymanych dotychczas pojazdów, potoczyły się, dzwoniąc, ponownie tramwaje, zadudniły dorożki, omnibusy - do spowodowanych naciskiem wypadków kilku, wpadło na ruchliwą arterię grodu wezwane Pogotowie Ratunkowe, donośnym na trące pobudki torują sobie drogę!

Uroczysty nastrój sprzed chwili pierzchnął bezpowrotnie. Szerokim korytem życie brutalnie deptało śmierci widmo - w codziennym szacie gorączki codziennego bytu przyoblekło się wszystko dokoła.

Na ustach tylko, snujących się po trotuarach przechodniów, biernych

widzów żądobnego konduktu, błąkało się jeszcze nazwisko
Dzierżymirskiego, roznosiciele zafl dzienników zarobili się niebawem, a
korzystaj-c z chwilowego nastroju publiczności, sprzedawaapoczeli z
powodzeniem nadzwyczajne dodatki do gazet, z portretem i życiorysem
zmarłego.

Minął rok czasu...

Powodził wiatę w mglisty wieczór pierwszego Listopada gorzał cmentarz
miejski rozległy, i roje ludzi tłoczyły się na nim. Poukładane
wzoryście paliły się na bogatych grobach i ubogich mogiłkach kolorowe
lampiony, kwiaty i wieńce stroiły umarłych zak-tek...

Przy grobowcach niektórych, ubranych wspaniała, nie było żywej duszy.
Przy innych formalne odbywały się zebrania. frodkiem zafl ulicy
wystrojony, "szykowny", a przeważnie bezmyślny, wflród dowcipów
brukowych, wygłaszanych donośnie, spacerował tłum ciekawskich obojętny.

Tu i tam z rzadka czerniała przy flwieżym pomniku postaćaschlona,
zadumana tceskie, cierpi-ca... Tam i ówdzie na skromnej mogiłce, w
bardziej oddalonej cmentarnej alei, szlochała cicho jakaś kobiecina,
gdzie indziej znów klęczał-cy syn, czy m-ż, samotny, modlił się, lub nie
widz-c nic zgoła, nie słysz-c, zapatrzony w bód własny - połykał żzy.

W samotnej bocznej alei cmentarza wesoła młoda para, pochylona
wzajemnie, szeptała sobie czułe czule słówka mijaj-c obojętnie groby, a
pomiedzy innymi i mogiłekCE jedn- darniow-, skromniutk-... Zapłakana
dziewczynina kilkunastoletnia, ze złożonemi pobożnie r-czkami, klęczała
na niej i sama jedna, biedziła się w tej chwili z jedn- zapalon-, a
gasn-c- za każdym podmuchem wiatru, flwieczk-, któr-, wespół z
dziesięciogroszowym z choiny wianuszkciem, i białym wielkanocnym
barankiem - ustroiła grobek matuli.

Od żebraków, bab i dziadów, mrucz-cych modły, zawodz-cych żaflnie,
roiło się na cmentarzu.

Co chwila ktoś z publiczności zbliżał się do nich i daj-c jałmużnę,
dodawał: - Za duszę nieżyj-cego Piotra, Maryi i t.d.

- Litości godna osobo! - skarżył się głośno żebrak stary, wyci-gaj-c
dłoa kości- do przechodz-cych wflnie alej- trzech ładniutkich
podlotków, rozmawiaj-cych wesoło.

- Czekajcie! - do rówieśnic odezwała się żywo jedna z panienek,
zatrzymuj-c się przed dziadem. - Dam mu, niech się pomodli za duszę mego
pana Stanisława...

- Ależ kiedy on żyje! po co? - zadziwiła się naiwnie najmłodsza z

tróki.

- Ha-ha-ha! - załmiała się pierwsza serdecznie, - a cóż to szkodzi, niech się tam za niego, grzesznika, pomodli!..

I wróćcaj-c nastóćnie dziadowi szóstaka, rzekła: - Macie, dziadku, za Stanisława!..

- Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światło wiekiusia niechaj mu świeci! - zaintonował zebrał uroczyście.

f miech rozległ się w alei; koncept podobał się figlarnej tróće, a kilka babek i dziadów, znajdujących się w pobliżu, skorzystało na tem, bo obdzielono ich groszakami na t-ż sam- intency. Pan Stanisław został za życia pogrzebanym, modlono się już z góry za niego, a pusta, niefrasobliwa młodocianość znalazła zapewne jeszcze, co to bód prawdziwy i żał po drogiej sercu stracie - poszła dalej, śmiech za jej srebrzysty odbił się raz jeszcze na zakręćcie alei o ukryty w drzew cieniu pomnik okazały.

Na wysokiej kolumnie z pożyskującego marmuru widniał jakiś pos- g stoj-cej osoby... Na grobowcu nie było żadnego kwiatka i żadnych świec... Zapatrzony jakby smutnie sam w siebie, stał on ciemny na uboczu, opuszczony i widocznie zapomniany. Jarzący się tylko blask lampek czerwonych, które ozdobił grób siedni, rzucał nań niepewne, dalekie światło. W półświecie tem, kto znał za życia Romana Dzierżymirskiego, z łatwością mógł go poznać teraz w stoj-cej rze...bie z marmuru.

I id-cego przechodnia przykuwało do miejsca zdziwienie nagłe.

- Jak to? - zadawał sobie mimowolnie pytanie. - W powodzi świec, blasków tysiąca, dających tak wymowne i chlubne świadectwo, że żywi pamięćtają jednak o umarłych, dzisiaj o Dzierżymirskim już zapomniano?.. Czyż to możliwe, by świat był tak niewdzięcznym, żeby wykreślał z pamięci jednostki, tak głośnie za życia - tak momentadnie!..

I dziwił się przechodzień... Dziwił się w dalszym ciągu naiwnie, nie zdając sobie sprawy z tego pewnika życiowej ironii, która prawem "tera...niejszości" się zowie, a która, z małymi wyjątkami, uwielbia tylko żyjących i na widowni obecnych, umarłych zasypuje pyłem zapomnienia.

I spacerujący po cmentarzu widzą ciekawy przybliżyć się do grobowca, z trudnościami odczytywać napisy, a później szedł dalej, zamknięty mimo woli nad nietrwałymi doczesnego bytu.

Lecz o niewdzięczności tym razem poszła ludzi niesłusznie. Bo los szyderca, któryby mógł i rzeczywiście stał u świata wspomnienie innego, prawdziwie i wszechstronnie zasłużonego człowieka, niezbrukanego życiem, czystego - okazał się łaskawszym jednak, dla ubranego w togę pozorów moralnego wykolejającego!

W kwadrans później, trzy osoby, oglądające się wokoło, skupiły się przed

grobem Dzierżymirskiego. Wkrótce, tamże zjawił się również młodziwiec, z kobietami do przodu i garstkami dzieci.

Przed ginącym w cieniach wieczora pomnikiem Romana, pokleknęli oni niebawem wszyscy...

Byli to Orłowcy: ojciec, matka i córka, oraz Zieliński Herman, z rodziną.

Młody gęsiak dziewczęcy pierwszy przerwał niezmiażdżone milczenie cmentarnego zakątka. Silny, jedyny zawtórował mu głos młody i szeptał otaczającym...

Wśród dalekiego echa kroków gromady ludzkiej, ich rozmów, śmiechu i płaczu - popłynęła z serc wdzięcznych za duszę zmarłego modlitwa!..

.....

Nazajutrz osamotnienia i zapomnienia żywych wstydzi się już nie potrzebować przed innymi - wspaniały grobowiec prezesa Dzierżymirskiego.

Czyjaś troskliwa ręka ustawiła na grobie palmy i wieńce kwiaty... W krzyżach ułożonych różnokolorowych lampionów kilkanaście świeciły tu oko i skromny, aczkolwiek gustowny wieniec zielony u pomnikowego tulił się pod nogą. Tamże białyszcząc o nieboszczyku napis złocisty, złożony z samych tytułów i godności...

I w blasków powodzi, na szczycie kolumny jaśniała zarówno teraz wdzięcznie odrzebia sylwetę piśmiennego, młodego jeszcze młodziwiec.

Krójcie nad wszystkim dokoła, niepokalanie biały, stał on i patrzył zamyślon! Na ustach z kamienia białym zdawał dyskretny uśmiech zwycięskiej ironii...

A poniżej - u stóp posągu, na czarnym tle marmuru, wielkimi literami, rzucały się w oczy te oto wyryte słowa:

Uczciwy, szlachetny i prawy,
Ukochał bliźnich i społeczeństwu oddał życie całe -
Nagrodo... go, Panie!..

End of the Project Gutenberg EBook of Ironia Pozorow, by Maciej hr.
Lubiński

*** END OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK IRONIA POZOROW ***

This file should be named rnpz108.txt or rnpz108.zip
Corrected EDITIONS of our eBooks get a new NUMBER, rnpz118.txt
VERSIONS based on separate sources get new LETTER, rnpz108a.txt

Etext produced by Michalina Makowska, Szczecin, Poland,

Eve Sobol, South Bend, IN, USA, and Julia Jezierska, Stawiszyn, Poland.

Project Gutenberg eBooks are often created from several printed editions, all of which are confirmed as Public Domain in the US unless a copyright notice is included. Thus, we usually do not keep eBooks in compliance with any particular paper edition.

We are now trying to release all our eBooks one year in advance of the official release dates, leaving time for better editing. Please be encouraged to tell us about any error or corrections, even years after the official publication date.

Please note neither this listing nor its contents are final til midnight of the last day of the month of any such announcement. The official release date of all Project Gutenberg eBooks is at Midnight, Central Time, of the last day of the stated month. A preliminary version may often be posted for suggestion, comment and editing by those who wish to do so.

Most people start at our Web sites at:

<http://gutenberg.net> or

<http://promo.net/pg>

These Web sites include award-winning information about Project Gutenberg, including how to donate, how to help produce our new eBooks, and how to subscribe to our email newsletter (free!).

Those of you who want to download any eBook before announcement can get to them as follows, and just download by date. This is also a good way to get them instantly upon announcement, as the indexes our cataloguers produce obviously take a while after an announcement goes out in the Project Gutenberg Newsletter.

<http://www.ibiblio.org/gutenberg/etext03> or

<ftp://ftp.ibiblio.org/pub/docs/books/gutenberg/etext03>

Or /etext02, 01, 00, 99, 98, 97, 96, 95, 94, 93, 92, 91 or 90

Just search by the first five letters of the filename you want, as it appears in our Newsletters.

Information about Project Gutenberg (one page)

We produce about two million dollars for each hour we work. The time it takes us, a rather conservative estimate, is fifty hours to get any eBook selected, entered, proofread, edited, copyright searched and analyzed, the copyright letters written, etc. Our projected audience is one hundred million readers. If the value per text is nominally estimated at one dollar then we produce \$2 million dollars per hour in 2002 as we release over 100 new text files per month: 1240 more eBooks in 2001 for a total of 4000+

We are already on our way to trying for 2000 more eBooks in 2002
If they reach just 1-2% of the world's population then the total
will reach over half a trillion eBooks given away by year's end.

The Goal of Project Gutenberg is to Give Away 1 Trillion eBooks!
This is ten thousand titles each to one hundred million readers,
which is only about 4% of the present number of computer users.

Here is the briefest record of our progress (* means estimated):

eBooks Year Month

1	1971	July
10	1991	January
100	1994	January
1000	1997	August
1500	1998	October
2000	1999	December
2500	2000	December
3000	2001	November
4000	2001	October/November
6000	2002	December*
9000	2003	November*
10000	2004	January*

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been created
to secure a future for Project Gutenberg into the next millennium.

We need your donations more than ever!

As of February, 2002, contributions are being solicited from people
and organizations in: Alabama, Alaska, Arkansas, Connecticut,
Delaware, District of Columbia, Florida, Georgia, Hawaii, Illinois,
Indiana, Iowa, Kansas, Kentucky, Louisiana, Maine, Massachusetts,
Michigan, Mississippi, Missouri, Montana, Nebraska, Nevada, New
Hampshire, New Jersey, New Mexico, New York, North Carolina, Ohio,
Oklahoma, Oregon, Pennsylvania, Rhode Island, South Carolina, South
Dakota, Tennessee, Texas, Utah, Vermont, Virginia, Washington, West
Virginia, Wisconsin, and Wyoming.

We have filed in all 50 states now, but these are the only ones
that have responded.

As the requirements for other states are met, additions to this list
will be made and fund raising will begin in the additional states.
Please feel free to ask to check the status of your state.

In answer to various questions we have received on this:

We are constantly working on finishing the paperwork to legally
request donations in all 50 states. If your state is not listed and
you would like to know if we have added it since the list you have,

just ask.

While we cannot solicit donations from people in states where we are not yet registered, we know of no prohibition against accepting donations from donors in these states who approach us with an offer to donate.

International donations are accepted, but we don't know ANYTHING about how to make them tax-deductible, or even if they CAN be made deductible, and don't have the staff to handle it even if there are ways.

Donations by check or money order may be sent to:

Project Gutenberg Literary Archive Foundation
PMB 113
1739 University Ave.
Oxford, MS 38655-4109

Contact us if you want to arrange for a wire transfer or payment method other than by check or money order.

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been approved by the US Internal Revenue Service as a 501(c)(3) organization with EIN [Employee Identification Number] 64-622154. Donations are tax-deductible to the maximum extent permitted by law. As fund-raising requirements for other states are met, additions to this list will be made and fund-raising will begin in the additional states.

We need your donations more than ever!

You can get up to date donation information online at:

<http://www.gutenberg.net/donation.html>

If you can't reach Project Gutenberg,
you can always email directly to:

Michael S. Hart <hart@pobox.com>

Prof. Hart will answer or forward your message.

We would prefer to send you information by email.

The Legal Small Print

(Three Pages)

START**THE SMALL PRINT!**FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS**START

Why is this "Small Print!" statement here? You know: lawyers. They tell us you might sue us if there is something wrong with your copy of this eBook, even if you got it for free from someone other than us, and even if what's wrong is not our fault. So, among other things, this "Small Print!" statement disclaims most of our liability to you. It also tells you how you may distribute copies of this eBook if you want to.

BEFORE! YOU USE OR READ THIS EBOOK

By using or reading any part of this PROJECT GUTENBERG-tm eBook, you indicate that you understand, agree to and accept this "Small Print!" statement. If you do not, you can receive a refund of the money (if any) you paid for this eBook by sending a request within 30 days of receiving it to the person you got it from. If you received this eBook on a physical medium (such as a disk), you must return it with your request.

ABOUT PROJECT GUTENBERG-TM EBOOKS

This PROJECT GUTENBERG-tm eBook, like most PROJECT GUTENBERG-tm eBooks, is a "public domain" work distributed by Professor Michael S. Hart through the Project Gutenberg Association (the "Project").

Among other things, this means that no one owns a United States copyright on or for this work, so the Project (and you!) can copy and distribute it in the United States without permission and without paying copyright royalties. Special rules, set forth below, apply if you wish to copy and distribute this eBook under the "PROJECT GUTENBERG" trademark.

Please do not use the "PROJECT GUTENBERG" trademark to market any commercial products without permission.

To create these eBooks, the Project expends considerable efforts to identify, transcribe and proofread public domain works. Despite these efforts, the Project's eBooks and any medium they may be on may contain "Defects". Among other things, Defects may take the form of incomplete, inaccurate or corrupt data, transcription errors, a copyright or other intellectual property infringement, a defective or damaged disk or other eBook medium, a computer virus, or computer codes that damage or cannot be read by your equipment.

LIMITED WARRANTY; DISCLAIMER OF DAMAGES

But for the "Right of Replacement or Refund" described below, [1] Michael Hart and the Foundation (and any other party you may receive this eBook from as a PROJECT GUTENBERG-tm eBook) disclaims all liability to you for damages, costs and expenses, including legal fees, and [2] YOU HAVE NO REMEDIES FOR NEGLIGENCE OR UNDER STRICT LIABILITY, OR FOR BREACH OF WARRANTY OR CONTRACT, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO INDIRECT, CONSEQUENTIAL, PUNITIVE OR INCIDENTAL DAMAGES, EVEN IF YOU GIVE NOTICE OF THE POSSIBILITY OF SUCH DAMAGES.

If you discover a Defect in this eBook within 90 days of receiving it, you can receive a refund of the money (if any) you paid for it by sending an explanatory note within that time to the person you received it from. If you received it on a physical medium, you must return it with your note, and such person may choose to alternatively give you a replacement copy. If you received it electronically, such person may choose to alternatively give you a second opportunity to receive it electronically.

THIS EBOOK IS OTHERWISE PROVIDED TO YOU "AS-IS". NO OTHER WARRANTIES OF ANY KIND, EXPRESS OR IMPLIED, ARE MADE TO YOU AS TO THE EBOOK OR ANY MEDIUM IT MAY BE ON, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO WARRANTIES OF MERCHANTABILITY OR FITNESS FOR A PARTICULAR PURPOSE.

Some states do not allow disclaimers of implied warranties or the exclusion or limitation of consequential damages, so the above disclaimers and exclusions may not apply to you, and you may have other legal rights.

INDEMNITY

You will indemnify and hold Michael Hart, the Foundation, and its trustees and agents, and any volunteers associated with the production and distribution of Project Gutenberg-tm texts harmless, from all liability, cost and expense, including legal fees, that arise directly or indirectly from any of the following that you do or cause: [1] distribution of this eBook, [2] alteration, modification, or addition to the eBook, or [3] any Defect.

DISTRIBUTION UNDER "PROJECT GUTENBERG-tm"

You may distribute copies of this eBook electronically, or by disk, book or any other medium if you either delete this "Small Print!" and all other references to Project Gutenberg, or:

[1] Only give exact copies of it. Among other things, this requires that you do not remove, alter or modify the eBook or this "small print!" statement. You may however, if you wish, distribute this eBook in machine readable binary, compressed, mark-up, or proprietary form, including any form resulting from conversion by word processing or hypertext software, but only so long as *EITHER*:

[*] The eBook, when displayed, is clearly readable, and does *not* contain characters other than those intended by the author of the work, although tilde (~), asterisk (*) and underline () characters may be used to convey punctuation intended by the author, and additional characters may be used to indicate hypertext links; OR

[*] The eBook may be readily converted by the reader at no expense into plain ASCII, EBCDIC or equivalent form by the program that displays the eBook (as is the case, for instance, with most word processors);
OR

[*] You provide, or agree to also provide on request at no additional cost, fee or expense, a copy of the eBook in its original plain ASCII form (or in EBCDIC or other equivalent proprietary form).

[2] Honor the eBook refund and replacement provisions of this "Small Print!" statement.

[3] Pay a trademark license fee to the Foundation of 20% of the gross profits you derive calculated using the method you already use to calculate your applicable taxes. If you don't derive profits, no royalty is due. Royalties are payable to "Project Gutenberg Literary Archive Foundation" the 60 days following each date you prepare (or were legally required to prepare) your annual (or equivalent periodic) tax return. Please contact us beforehand to let us know your plans and to work out the details.

WHAT IF YOU *WANT* TO SEND MONEY EVEN IF YOU DON'T HAVE TO?

Project Gutenberg is dedicated to increasing the number of public domain and licensed works that can be freely distributed in machine readable form.

The Project gratefully accepts contributions of money, time, public domain materials, or royalty free copyright licenses. Money should be paid to the:
"Project Gutenberg Literary Archive Foundation."

If you are interested in contributing scanning equipment or software or other items, please contact Michael Hart at:
hart@pobox.com

[Portions of this eBook's header and trailer may be reprinted only when distributed free of all fees. Copyright (C) 2001, 2002 by Michael S. Hart. Project Gutenberg is a TradeMark and may not be used in any sales of Project Gutenberg eBooks or other materials be they hardware or software or any other related product without express permission.]

*END THE SMALL PRINT! FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS*Ver.02/11/02*END*

PRINT! FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS*Ver.02/11/02*END*

who wish to do so.

Most people start at our Web sites at:

<http://gutenberg.net> or

<http://promo.net/pg>

These Web sites include award-winning information about Project Gutenberg, including how to donate, how to help produce our new eBooks, and how to subscribe to our email newsletter (free!).

Those of you who want to download any eBook before announcement can get to them as follows, and just download by date. This is also a good way to get them instantly upon announcement, as the indexes our cataloguers produce obviously take a while after an announcement goes out in the Project Gutenberg Newsletter.

<http://www.ibiblio.org/gutenberg/etext03> or

<ftp://ftp.ibiblio.org/pub/docs/books/gutenberg/etext03>

Or /etext02, 01, 00, 99, 98, 97, 96, 95, 94, 93, 92, 91 or 90

Just search by the first five letters of the filename you want, as it appears in our Newsletters.

Information about Project Gutenberg (one page)

We produce about two million dollars for each hour we work. The time it takes us, a rather conservative estimate, is fifty hours to get any eBook selected, entered, proofread, edited, copyright searched and analyzed, the copyright letters written, etc. Our projected audience is one hundred million readers. If the value per text is nominally estimated at one dollar then we produce \$2 million dollars per hour in 2002 as we release over 100 new text files per month: 1240 more eBooks in 2001 for a total of 4000+ We are already on our way to trying for 2000 more eBooks in 2002 If they reach just 1-2% of the world's population then the total will reach over half a trillion eBooks given away by year's end.

The Goal of Project Gutenberg is to Give Away 1 Trillion eBooks!

This is ten thousand titles each to one hundred million readers, which is only about 4% of the present number of computer users.

Here is the briefest record of our progress (* means estimated):

eBooks Year Month

1 1971 July

10 1991 January

100 1994 January

1000 1997 August

1500 1998 October

2000 1999 December

2500 2000 December

3000 2001 November

4000 2001 October/November

6000 2002 December*

9000 2003 November*

10000 2004 January*

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been created to secure a future for Project Gutenberg into the next millennium.

We need your donations more than ever!

As of February, 2002, contributions are being solicited from people and organizations in: Alabama, Alaska, Arkansas, Connecticut, Delaware, District of Columbia, Florida, Georgia, Hawaii, Illinois, Indiana, Iowa, Kansas, Kentucky, Louisiana, Maine, Massachusetts, Michigan, Mississippi, Missouri, Montana, Nebraska, Nevada, New Hampshire, New Jersey, New Mexico, New York, North Carolina, Ohio, Oklahoma, Oregon, Pennsylvania, Rhode Island, South Carolina, South Dakota, Tennessee, Texas, Utah, Vermont, Virginia, Washington, West Virginia, Wisconsin, and Wyoming.

We have filed in all 50 states now, but these are the only ones that have responded.

As the requirements for other states are met, additions to this list will be made and fund raising will begin in the additional states. Please feel free to ask to check the status of your state.

In answer to various questions we have received on this:

We are constantly working on finishing the paperwork to legally request donations in all 50 states. If your state is not listed and you would like to know if we have added it since the list you have, just ask.

While we cannot solicit donations from people in states where we are not yet registered, we know of no prohibition against accepting donations from donors in these states who approach us with an offer to donate.

International donations are accepted, but we don't know ANYTHING about how to make them tax-deductible, or even if they CAN be made deductible, and don't have the staff to handle it even if there are ways.

Donations by check or money order may be sent to:

Project Gutenberg Literary Archive Foundation

PMB 113

1739 University Ave.

Oxford, MS 38655-4109

Contact us if you want to arrange for a wire transfer or payment
method other than by check or money order.

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been approved by
the US Internal Revenue Service as a 501(c)(3) organization with EIN
[Employee Identification Number] 64-622154. Donations are
tax-deductible to the maximum extent permitted by law. As fund-raising
requirements for other states are met, additions to this list will be
made and fund-raising will begin in the additional states.

We need your donations more than ever!

You can get up to date donation information online at:

<http://www.gutenberg.net/donation.html>

If you can't reach Project Gutenberg,
you can always email directly to:

Michael S. Hart <hart@pobox.com>

Prof. Hart will answer or forward your message.

We would prefer to send you information by email.

****The Legal Small Print****

(Three Pages)

*****START**THE SMALL PRINT!**FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS**START*****

Why is this "Small Print!" statement here? You know: lawyers.

They tell us you might sue us if there is something wrong with

your copy of this eBook, even if you got it for free from

someone other than us, and even if what's wrong is not our

fault. So, among other things, this "Small Print!" statement

disclaims most of our liability to you. It also tells you how

you may distribute copies of this eBook if you want to.

***BEFORE!* YOU USE OR READ THIS EBOOK**

By using or reading any part of this PROJECT GUTENBERG-tm

eBook, you indicate that you understand, agree to and accept

this "Small Print!" statement. If you do not, you can receive

a refund of the money (if any) you paid for this eBook by

sending a request within 30 days of receiving it to the person

you got it from. If you received this eBook on a physical

medium (such as a disk), you must return it with your request.

ABOUT PROJECT GUTENBERG-TM EBOOKS

This PROJECT GUTENBERG-tm eBook, like most PROJECT GUTENBERG-tm eBooks, is a "public domain" work distributed by Professor Michael S. Hart through the Project Gutenberg Association (the "Project").

Among other things, this means that no one owns a United States copyright on or for this work, so the Project (and you!) can copy and distribute it in the United States without permission and without paying copyright royalties. Special rules, set forth below, apply if you wish to copy and distribute this eBook under the "PROJECT GUTENBERG" trademark.

Please do not use the "PROJECT GUTENBERG" trademark to market any commercial products without permission.

To create these eBooks, the Project expends considerable efforts to identify, transcribe and proofread public domain works. Despite these efforts, the Project's eBooks and any medium they may be on may contain "Defects". Among other things, Defects may take the form of incomplete, inaccurate or corrupt data, transcription errors, a copyright or other intellectual property infringement, a defective or damaged disk or other eBook medium, a computer virus, or computer codes that damage or cannot be read by your equipment.

LIMITED WARRANTY; DISCLAIMER OF DAMAGES

But for the "Right of Replacement or Refund" described below,

[1] Michael Hart and the Foundation (and any other party you may receive this eBook from as a PROJECT GUTENBERG-tm eBook) disclaims all liability to you for damages, costs and expenses, including legal fees, and [2] YOU HAVE NO REMEDIES FOR NEGLIGENCE OR UNDER STRICT LIABILITY, OR FOR BREACH OF WARRANTY OR CONTRACT, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO INDIRECT, CONSEQUENTIAL, PUNITIVE OR INCIDENTAL DAMAGES, EVEN IF YOU GIVE NOTICE OF THE POSSIBILITY OF SUCH DAMAGES.

If you discover a Defect in this eBook within 90 days of receiving it, you can receive a refund of the money (if any) you paid for it by sending an explanatory note within that time to the person you received it from. If you received it on a physical medium, you must return it with your note, and such person may choose to alternatively give you a replacement copy. If you received it electronically, such person may choose to alternatively give you a second opportunity to receive it electronically.

THIS EBOOK IS OTHERWISE PROVIDED TO YOU "AS-IS". NO OTHER WARRANTIES OF ANY KIND, EXPRESS OR IMPLIED, ARE MADE TO YOU AS TO THE EBOOK OR ANY MEDIUM IT MAY BE ON, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO WARRANTIES OF MERCHANTABILITY OR FITNESS FOR A PARTICULAR PURPOSE.

Some states do not allow disclaimers of implied warranties or the exclusion or limitation of consequential damages, so the

above disclaimers and exclusions may not apply to you, and you may have other legal rights.

INDEMNITY

You will indemnify and hold Michael Hart, the Foundation, and its trustees and agents, and any volunteers associated with the production and distribution of Project Gutenberg-tm texts harmless, from all liability, cost and expense, including legal fees, that arise directly or indirectly from any of the following that you do or cause: [1] distribution of this eBook, [2] alteration, modification, or addition to the eBook, or [3] any Defect.

DISTRIBUTION UNDER "PROJECT GUTENBERG-tm"

You may distribute copies of this eBook electronically, or by disk, book or any other medium if you either delete this "Small Print!" and all other references to Project Gutenberg, or:

[1] Only give exact copies of it. Among other things, this requires that you do not remove, alter or modify the eBook or this "small print!" statement. You may however, if you wish, distribute this eBook in machine readable binary, compressed, mark-up, or proprietary form, including any form resulting from conversion by word processing or hypertext software, but only so long as

***EITHER*:**

[*] The eBook, when displayed, is clearly readable, and

does ***not*** contain characters other than those

intended by the author of the work, although